Rok XXVI.
Ogólnego zbioru Tom CII.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM II. — ZESZYT I.

Kwiecień.

WARSZAWA,

1901.

DRUK. i LIT. JANA COTTY.
7. Kapucyńska 7.

SPIS RZECZY.

Zeszyt zawiera arkuszy 15.

Druk ukończono d. 16 kwietnia 1901 r.

5. Historya.

6. Socyologia.

7. Ekonomia polityczna.

8. Sztuki piękne.

9. Językoznawstwo.

10. Rozbiory i sprawozdania.





Nasze potrzeby na polu nauki.



Był czas, kiedy ostro powstawałem przeciw erudycyi, pozbawionej ogólniejszego, t. j. filozoficznego polotu. Minęło lat kilkanaście, stare pokolenie erudytów w Warszawie wymarło, a młode jest tak nieliczne, iż nie zdołało zapełnić opróżnionych placówek. Nie wdaję się w rozbiór przyczyn takiego niezbyt pocieszającego stanu rzeczy, bo zaprowadziłoby to nas zbyt daleko. Poprzestaję więc na zaznaczeniu samego faktu oraz jego skutków, wykazujących jaskrawo, jak potrzebna jest dla społeczeństwa nawet pospolita erudycya, pozbawiona szerszej myśli. Zniknęła bowiem ona tylko po to, ażeby w znacznej mierze pozostawić miejsce bardzo powierzchownemu traktowaniu nauki, które dzisiaj nie znajduje u nas na wielu polach najmniejszego wędzidła, jakie ongi istniało w osobie niezbyt filozoficznego, ale bądźcobądź obeznanego ze swym przedmiotem erudyty. Taki specyalista nie był zdolny do wysokiego polotu, nie wnosił entuzyazmu wiedzy do społeczeństwa, ale znajomością przedmiotu trzymał na wodzy rozkiełzaną wyobraźnię jednych i zmuszał ją liczyć się z faktami, i lekkomyślność i niesumienność innych, przechodzącą nieraz w najpospolitszą blagę. Nawet nie przysparzając nauce nowych, a przynajmniej doniosłych przyczyn-

ków, niekiedy ograniczając się jedynie do uważnego śledzenia nauki zagranicznej lub znajomości już dokonanego dorobku, wygasły częściowo gatunek erudytów przedstawiał w naszej duchowości umysłowej pierwiastek niezmiernej wagi, bo panowania nad przedmiotem, i powstrzymywał naszą naukę od zatonięcia w powierzchownej niesumienności. A nie są to narzekania gołosłowne, wynikające z przesadnego pesymizmu. Od lat kilku notuję starannie różne objawy lekkomyślności naukowej; mógłbym wskazać prace, w których ludy zamieniły się na kraje, a kraje stały się ludami; inne, w których autorowie przyczynków, roszczących pretensye do naukowości, zalecają w swej specyalności dyletantyzm, jako rzecz zupełnie właściwą; jeszcze inne, gdzie, co stronica, to nowy dowód nieuctwa, nie zdającego sobie sprawy z najważniejszych zdobyczy rozpatrywanej gałęzi wiedzy.

Zanik erudycyi posiada przedewszystkiem znaczenie, jako objaw upadku nauki wogóle. Wśród grona osób, które imają się pracy naukowej, znajdują się różne usposobienia: są tacy, którzy nie tylko dostrzegają fakty i nazwiska, ale także ogarniają umysłem swoim ogólniejsze założenia i cele społeczne; ale zawsze istnieje wśród pracujących znaczna bardzo liczba osób, które z przyrodzenia swego zwracają się ku suchemu rejestrowaniu dorobku naukowego. Ci ostatni zawsze przeważają, a kiedy w społeczeństwie zaczyna ich braknąć, świadczy to niewątpliwie o upadku nauki, wziętej w całej jej rozciągłości. A tymczasem wiedza w postępie narodowym przedstawia żywioł zbyt wpływowy, ażeby wolno ją było lekceważyć. Minęły czasy, kiedy znaczenie narodu mierzyło się jego siłą wojenną. Przodujące stanowisko ludów zależy dzisiaj od stopnia ich rozwoju ekonomicznego oraz od poziomu kulturalnego, t. j. od przyczynków, dostarczanych do skarbnicy nauki i sztuki, i od napięcia demokratyzacyi tego dorobku. Naród, który w chórze cywilizacyjnym nie posiada własnego głosu, zwolna traci zaufanie we własne siły i wyzbywa się wielkiej ambicyi, czego nie zastąpią błyskotliwe frazesy o wrodzonych zdolnościach, w dalszym zaś ciągu zaczyna patrzeć na siebie, jako na coś upośledzonego i nawet niższego. Jesteśmy stanowczymi przeciwnikami zarozumiałości, która wypływa z nieuctwa i ograniczoności widnokręgów, ale umiemy cenić wiarę w siebie, opartą na słusznem przeświadczeniu o istotnej wartości i dzielności, jako znakomity składnik postępu kulturalnego. Jak jeden z filozofów za probierz istnienia naszej „jaźni" wystawił twierdzenie: „myślę, więc jestem“, podobnież naród, który myśli, t. j. stwarza prawdziwą naukę, istnieje i istnieć nie przestaje.

Należy także wziąć pod uwagę jeszcze inną okoliczność. Wiedza, prawdziwa, głęboka wiedza, stwarza w społeczeństwie trwałe źródło entuzyazmu, a wpływy tego zapału pod względem społecznym są cenniejsze, niż oddziaływanie sztuki, bo odznaczające się większą trwałością, ciągłością i świadomością. Zwłaszcza młode pokolenie jest nadzwyczaj łapczywe na ten pokarm; jak głodny zwierz rzuca się na żer, tak ono szuka upojenia w nauce, a nie znajdując jej w pobliżu, zwraca się ku obcym bogom. Oglądaliśmy takie zjawisko w Czechach. Żydzi czescy mogli wsiąknąć zarówno w społeczność czeską, jak i niemiecką, a że zatonęli w niemczyznie, stało się to poniekąd dlatego, iż kultura niemiecka dostarczyła im upojenia umysłowego, na jakiem zbywało Czechom. I nawet z pośród rodowitych Czechów odrywały się atomy, które unosił entuzyazm wiedzy i odłączał od rodzimego społeczeństwa, gdzie praca ich przyniosłaby większy pożytek, niż w zamożnej, a rozwiniętej kulturze niemieckiej. Wreszcie i o tem nie zapominajmy, iż demokratyzacya wiedzy, t. j. przedostawanie się jej do szerokich warstw narodu i rozlewanie jej licznymi potokami wśród ludu stanowi zasadniczy warunek postępu. Nauka czytania, pisania i czterech działań nie wystarcza dzisiaj; kraje przodujące pokrywają się siecią uniwersytetów ludowych i bibliotek oraz muzeów, mających otworzyć dostęp do zasadniczych wyników wiedzy szerokim masom. Jeszcze przed dziesiątkiem lat za miarę cywilizacyi w pewnym kraju brano stosunek analfabetów do tych, którzy posiadali umiejętność czytania. Nie wątpię o tem, iż za parę dziesiątków lat zjawi się zgoła inna skala dla oceny postępu kulturalnego, o wiele wyższa od poprzedniej. Ale to podniesienie poziomu kulturalnego jest znowu możliwe tylko pod warunkiem istnienia w kraju mnóstwa ognisk, z których sumienna znajomość wiedzy mogłaby się rozchodzić w społeczeństwie.

Nauka więc w obecnej fazie cywilizacyjnej konieczna jest, jako jeden ze środków nieznikięcia z widowni dziejowej, jako ognisko, przy którem grzeją się duchy i nie rozbiegają się po świecie, jako wreszcie dźwignia podniesienia poziomu umysłowego w całym narodzie. Naturalnie, nie jest ona jedynem i wyłącznem źródłem postępu narodowego, bo prócz niej istnieją jeszcze inne, nieraz donioślejsze nawet, ale bądźcobądź wiedza bynajmniej nie należy do liczby pośledniejszych sprężyn wielkości ludów, a nawet jest ważniejsza, niż wiele innych, powszechnie uznawanych. W każdym razie największe koszta jej utrzymania i stwarzania bynajmniej nie są za wysokie wobec konieczności zaopatrzenia się w ten rynsztunek cywilizacyjny. A pamiętajmy i bądźmy zawsze na to przygotowani,

iż koszta te są i muszą być dzisiaj bardzo znaczne. Dorobek naukowy wzrósł niepomiernie i powołał do życia olbrzymie biblioteki i muzea, powstały ogromne pracownie i doświadczalnie. I z każdym rokiem wymagania te wzrastają. Zresztą najlepiej uczynimy, dając w tym razie głos prof. O. Balzerowi, który świeżo, z okazyi projektowanego we Lwowie Towarzystwa dla popierania nauki u nas pisze, pisze co następuje:

„Poszukiwania archeologiczne, podróże archiwalne i badanie rękopisów w rozrzuconych po świecie bibliotekach, podróże i wędrówki geologiczne czy etnograficzne, mozolne w różnych stronach zbieranie dat statystycznych, długoletnie nieraz doświadczenia przyrodnicze, inne wreszcie podobne kosztowne prace przygotowawcze są w wielu wypadkach warunkiem ostatecznego rozwiązania pewnej kwestyi naukowej. Na tego rodzaju zadania nie starczą środki prywatne badacza. Nadto jak zresztą i w tych nawet razach, gdzie zebranie materyału przygotowawczego nie wymaga znaczniejszego nakładu, nasuwa się nadto najczęściej inna jeszcze trudność: pokrycia kosztów samej publikacyi. Niełatwo znaleźć nakładcę, któryby chętnie ogłaszał dzieła naukowe, zazwyczaj bowiem pokup ich stosunkowo słaby nie wraca nawet kosztów nakładu. Do dawniejszych ofiar w pieniądzach, czasie, wytężonej nieraz i długiej pracy potrzebna jest zatem wielokrotnie nowa jeszcze ofiara materyalna ze strony badacza, który pracę swoją ogłasza własnym sumptem, mając z góry pewność, iż rozprzedaż dzieła wydatku nie pokryje. Cóż dopiero mówić o szczególnie kosztownych publikacyach z zaresu niektórych gałęzi wiedzy, jak np. z różnych działów nauk przyrodniczych, wymagających licznych, dokładnie wykończonych, kosztownych tablic, o publikacyach z zakresu historyi sztuki, wydawnictwach kartograficznych itd. O pokryciu kosztów na tego rodzaju dzieła jednostka przy największej nieraz ofiarności ze swojej strony najczęściej nawet myśleć nie może.“

Wydatki, idące na naukę, w budżecie, że tak się wyrazimy, społecznym każdego ludu wzrastają. Przykładu może dostarczyć praktyczna Ameryka. Umie ona robić pieniądze, ale pamięta o tem także, iż istotnem bogactwem narodowem jest zdrowa, obfita krew w żyłach obywateli, humanitarne serce oraz wykształcony umysł. Tamtejsze publikacye etnograficzne i geologiczne, muzea i inne przybytki wiedzy pochłaniają tak olbrzymie sumy, iż nasz ląd o nich nawet nie ma należytego pojęcia. Możnowładcy kapitału dawniej poświęcali zapisy swoje na rzecz dobroczynności, dzisiaj fundują wyższe zakłady, biblioteki i instytucye, kierujące pracą nauko-

wą. Ten zwrot uwydatnia w całej pełni tę prawdę, iż opinia publiczna nie dobroczynność, lecz krzewienie wiedzy i jej gromadzenie uważa za rzecz najpierwszej wagi. Żaden z wielkich przemysłowców Stanów Zjednoczonych nie odezwałby się z poglądem, iż praca specyalna, nie mogąca liczyć na wielu czytelników, powinna pozostać w rękopisie w bibliotece—do użytku specyalistów. Największe koszta nie są wysokie, gdy chodzi o poparcie rozwoju zarówno wiedzy, jak jej demokratyzacyi.

I znowu oddamy głos tylko co wymienionemu badaczowi:

„Wobec wielkich i coraz obszerniejszych zadań, jakie sobie nauka stawić musi, należyty jej postęp i rozwój zależą bardziej, niż kiedykolwiek przedtem, nie tylko już od samej ilości pracowników i tęgości głów pracujących, ale także od materyalnego poparcia, jakie jej społeczeństwo użyczyć może. Gdzie tego poparcia niema, tam też zazwyczaj i sama nauka na szersze rozmiary rozwinąć się nie może. Zakres pytań naukowych, jakie ogarnia, jest w tym razie szczupły; najczęściej pozostają na uboczu pytania ważniejsze, wymagające dłuższych, kosztownych badań przygotowawczych; uczeni poprzestają zwykle na rozwiązywaniu zagadnień mniejszych, podrzędniejszych, zmuszeni nieraz i tutaj zadowolić się wynikami połowicznymi; wreszcie, kiedy się nawet zwrócą do rzeczy ważniejszych, brak potrzebnych środków materyalnych paraliżuje często najlepsze ich usiłowania. Oceniając słusznie ujemne strony takiego stanu rzeczy, państwo i społeczeństwo nowożytne przeznaczają coraz większe kwoty z funduszów publicznych na popieranie badań naukowych. Subwencyi udzielają nieraz same rządy bezpośrednio, liczne Akademie umiejętności, czy to dawno istniejące, czy też nowozakładane, opatrywane z funduszów prywatnych, czy publicznych kapitałami, do bardzo znacznej nieraz wysokości dochodzącymi, przyczyniają się do rozwoju nauki nie tylko samą właściwą pracą naukową swoich członków, ale zarazem także poparciem materyalnem, na podejmowanie badań naukowych udzielanem. Powstają setki i tysiące towarzystw naukowych z pewnym ściśle określonym celem pracowania nad rozwojem danej gałęzi umiejętności, czasem niekiedy jednego jej działu, poświęcające również mniejsze lub większe kwoty na popieranie badań naukowych. Powstają wreszcie czasem instytucye, same nie mające charakteru związków naukowych, które ograniczają swe zadanie wyłącznie do udzielania materyalnej pomocy na cele naukowe; przez to jednak pośrednio przyczyniają się nieraz w wydatny sposób do poparcia i rozwoju nauki. A jednak nawet w tych szczęśliwych krajach, gdzie ilość

wszystkich tych instytucyi jest stosunkowo bardzo znaczna, a dotacya ich materyalna bardzo wysoka, daje się ciągle jeszcze odczuwać brak dostatecznych środków, potrzebnych do urzeczywistnienia wszystkich nasuwających się zadań naukowych, odzywają się coraz nowe głosy, wskazujące na potrzebę pomnożenia funduszów. W ostatnich czasach powstała na zachodzie myśl, częściowo już urzeczywistniona, stworzenia związku większej ilości Akademii Umiejętności, z których każda rozporządza setkami tysięcy rocznego dochodu, ażeby w ten sposób nie tylko pracą wspólną swych członków, ale zarazem wspólnymi funduszami dokonać pewnych większych zadań, na których przeprowadzenie nie stać nawet owe bogate Akademie, każdą z osobna.

U nas liczba takich instytucyi, bądź zajmujących się pracą naukową, bądź popierających środkami pieniężnymi badaczy, jest bardzo nieznaczna, rozporządzane zaś kapitały są nad wyraz szczupłe. Prof. O. Balzer oblicza, iż ogół uposażenia tego rodzaju urządzeń na całym naszym obszarze etnograficznym nie przewyższa rocznie kwoty 200,000 guldenów, chociaż na tych funduszach ciążą rozleglejsze obowiązki, niż gdzieindziej. Wobec tego zamierzone ufundowanie we Lwowie Towarzystwa dla popierania nauki musimy uważać nie tylko za objaw pożyteczny, ale nawet nieodzowny. Nowa instytucya, nie chcąc rozpraszać swych sił i funduszów na różne strony, zakreśla sobie bardzo wyraźne koło zajęć i co do celów swoich jest pokrewna Kasie imienia J. Mianowskiego. Będzie jej chodziło o organizowanie wyłącznie pomocy materyalnej dla badań naukowych w ścisłem i właściwem tego słowa znaczeniu, a więc o udzielanie jej tym, którzy zajmują się poszukiwaniami naukowemi, czy to dla ułatwienia, czy wreszcie dla umożliwienia pewnych studyów. Najlepiej zresztą uczynimy, dosłownie przytaczając tekst odpowiednich ustępów statutu.

Ustawa opiewa, iż powstające Towarzystwo bierze sobie za zadanie:

a) Udzielanie zasiłków na wszelakiego rodzaju poszukiwania naukowe, jako to: badania archeologiczne i etnograficzne, studya w archiwach i bibliotekach, gromadzenie dat statystycznych, doświadczenia w zakresie nauk ścisłych, technicznych.

b) Urządzanie ekspedycyi naukowych celem dokonania zbiorowych poszukiwań w zakresie pewnej gałęzi wiedzy na szersze rozmiary.

c) Udzielanie zasiłków na częściowe pokrycie kosztów druku wydawnictw naukowych.

d) Wydawanie własnym nakładem publikacyi naukowych.

e) W miarę zasobu funduszowego stwarzanie pewnych zakładów, przyczyniających się bezpośrednio lub pośrednio do podjęcia zadań naukowych.

Zbyteczna rozwodzić się nad pożytkiem, jaki taka fundacya może przynieść dla nauki u nas, gdzie wprawdzie istnieją zdolności i chętne siły, ale które po kilku latach borykania się z ciężkimi warunkami pracy naukowej zaniedbują ją wreszcie z braku środków, niezbędnych dla ukończenia rozpoczętych nawet poszukiwań. Z pośród blizkich przyjaciół mógłbym wskazać kilka takich przykładów: ludzie uzdolnieni, obeznani ze stanem wiedzy, zaszczyceni nawet medalem złotym za przyczynki przyrodnicze na ławie szkolnej, porzucali dalsze studya, które ich pociągały, bo nie było funduszów, aby poświęcić parę lat dalszych na doprowadzenie do końca rozpoczętej roboty. Wiem o dziełach, które po lat kilka leżą w rękopisie, bo w pobliżu zbywa na potrzebnym materyale, a wyjazd do biblioteki zagranicznej jest połączony z trudnościami zarobkowemi. W tem chowaniu pod korcem swojej pracy mają tę przynajmniej, zresztą niezbyt miłą pociechę, iż idee ich zostają wygłoszone przez badaczy angielskich i wywołują ożywione rozprawy w towarzystwach naukowych. Mógłbym znakomicie powiększyć liczbę podobnych faktów, ale ograniczę się na ostatecznym wywodzie, mianowicie, iż praca naukowa odbywa się u nas w tak ciężkich warunkach materyalnych, iż raczej należy podziwiać, iż jeszcze ukazują się w Warszawie dzieła treści naukowej, niż że są tak nieliczne. Powołanych jest wielu, więcej, niż kiedykolwiek w przeszłości, ale hart ducha, ażeby wytrwać w pracy na obranej niwie, nie jest zbyt znaczny, zwłaszcza, gdy zagranica uprzedza nas w opracowaniu powziętych idei i samodzielnego pracownika sprowadza na poziom człowieka, wydającego z siebie tylko zapożyczone światło. Często zdarza się, iż ktoś, marząc o pracy teoretycznej i posiadłszy potrzebne przygotowanie, kończy na posadzie chemika, nauczyciela lub ima się publicystyki. Aż nazbyt często na widok takich losów odnoszę wrażenia, iż zegarkiem przybijamy gwoździe do ściany... Są to okoliczności przygnębiające, i żadne wydatki nie są za wielkie, ażeby stworzyć u nas choć niewielkie grono pracowników naukowych. Pozostaje więc życzyć nowej instytucyi tylko jednego, a mianowicie, ażeby jaknajszerzej zdołała spełnić swoje zamiary, a jednocześnie ażeby społeczeństwo pamiętało o swoich bardzo doniosłych potrzebach oraz nie dawało olśnić się modnym frazesem o bankructwie nauki. Na takie paradoksy może pozwolić sobie jedynie naród za-

możny, szczodrze uposażony w warsztaty i narzędzia pracy naukowej oraz w samych pracowników. Frazes uwiedzie tam nieliczną garstkę, ale nie pociągnie rzeszy ani nie powstrzyma dalszego gromadzenia.

Ale całą duszą życząc rozrostu wątłej płonki, jaką jest u nas nauka w porównaniu z rozkwitem jej potężnym w szczęśliwszych społeczeństwach, nie łudzę się bynajmniej, a przynajmniej nie chciałbym łudzić się co do tego, jakie rezultaty może ona wydać u nas. Pragnąłbym, ażeby i inni tak samo spojrzeli na przedmiot. Przy obrachunku możliwości lepiej patrzeć trzeźwo, niż żywić przesadne nadzieje. Taka przesada może zasłonić przed naszym wzrokiem poważne braki, tymczasem trzeźwość jedynie jest zdolna wyciągnąć je na światło dzienne i pozwolić zapobiedz im w przyszłości. Otóż są granice, poza które nasz własny dorobek naukowy z trudnością zdoła przekroczyć. Wydajna praca naukowa na wszystkich bez wyjątku polach jest tylko tam możliwa, gdzie już pod ręką istnieją olbrzymie biblioteki i bogate spostrzegalnie, doświadczalnie i pracownie. Może kiedyś zdołamy posiąść niektóre z tych środków, ale naówczas i zagranica jeszcze bardziej rozwinie swoje zasoby i na jeden nasz krok w postępie odpowie uskutecznieniem paru. Co najwyżej więc możemy ogólnej skarbnicy wiedzy przysporzyć faktów z naszego bezpośredniego otoczenia, a więc znajomości geologicznei naszego obszaru, rozmieszczenia na niem typów antropologicznych i zwyczajów, wiadomości o ubiegłej strukturze naszego społeczeństwa. W dalszym ciągu możemy uczynić zadość naszym potrzebom, jako całości etnicznej, interesującej się przeszłością i stanem dzisiejszym własnego narodu. Wreszcie możemy stworzyć ludzi, obeznanych ze stanem danej gałęzi wiedzy zagranicą, a niekiedy pracowników, wnoszących do ogólnego zasobu nauki przyczynki, oparte już nie na miejscowym materyale. Oto najdalsza meta, czego dopiąć możemy. Pozostaje jednak jeszcze olbrzymie zadanie, nieznane w takiej mierze innym społeczeństwom, a konieczne wobec ograniczonych środków naszych — przyswajania tego, co inne narody uskuteczniły, a to dla podniesienia własnego naszego poziomu umysłowego oraz dla dostarczenia samodzielnym pracownikom pokarmu przygotowawczego. Jako jeden z redaktorów Poradnika dla samouków, miałem niejednokrotnie przykrą sposobność przyjrzenia się naszemu ubóstwu na wielu polach pracy naukowej. Istnieją działy, w których nie było ani jednej książki podstawowej! Dość wskazać archeologię przedhistoryczną, paleontologię, historyę rozwoju ekonomicznego, antropologię

fizyczną—biorę gałęzie, z któremi wypadło mi zetknąć się osobiście. Kiedy te luki zostaną w sposób samodzielny wypełnione, nie wiem, ale mam to smutne przeświadczenie, że własnym dorobkiem nieprędko je usuniemy. Niejednokrotnie młodzież zwracała się do mnie o poradę, z jakiego dzieła zdołałaby zapoznać się z metodami i założeniami tej lub innej gałęzi nauki. Zwłaszcza liczne były te zapytania co do antropologii fizycznej, nauki, w której moglibyśmy coś dać innym narodom. Musiałem polecać książki w obcym języku, francuskim więc, niemieckim lub angielskim, a tymczasem znajomość obcych języków jest u nas bardzo słaba i zgoła nie znajduje się w stosunku, odpowiednim do potrzeb. Ten i ów odchodził zniechęcony, chociaż niejeden z nich, jako student medycyny, przestudyowawszy Topinarda, mógłby gromadzić podczas przyszłej praktyki z pożytkiem materyał faktyczny. Na te ubóstwo w warunkach dzisiejszych jest jedna tylko rada, a mianowicie przetłómaczyć kilkanaście, a może kilka dziesiątków dzieł podstawowych z różnych gałęzi wiedzy. Koszta takiego systematycznego wydawnictwa są olbrzymie. Kiedyś, mając zamiar przełożyć pewną rzecz obszerniejszą, obliczyłem wydatki na parę tysięcy rubli i naturalnie odstąpiłem od zamiaru. Żaden księgarz nie odważy się na takie przedsiębiorstwo, bynajmniej nie rokujące dochodów. Niekiedy ktoś przetłómaczy jakąś poważniejszą książkę, a rękopis tuła się po wydawcach, szukając nakładcy; dzisiaj taką wędrówkę bezowocną odbywa Historya mechaniki Macha, dzieło niezaprzeczenie pierwszorzędnej wartości. Wypełnieniem tego zadania, tak rozległego i kosztownego, zająć się może tylko któraś z instytucyi, nie dbająca o zwrot poniesionych wydatków. Kwestyę tę podejmowałem już kilkakrotnie i podejmuję ją znowu w łamach poważnego miesięcznika, bo przyswojenie podstawowych podręczników uważam dla nas za rzecz wielkiego pożytku.

Trzeba nam stróżów, stojących na pieczy sumienności naukowej, oraz pracowników samodzielnych, którzyby zbadali w sposób naukowy nasze własne obszary, trzeba środków dla umożliwienia pracy naukowej, trzeba wreszcie funduszów na przyswojenie przynajmniej ważniejszych płodów wiedzy europejskiej. Trzeba nam tego wszystkiego, bo, jak pisze prof. O. Balzer:

„Społeczeństwo żywotne, po męsku działające, musi sobie samo, pomocą własną stwarzać i zdobywać warunki rozwoju kulturalnego, musi ich zdobyć sobie przynajmniej tyle, na ile starczą wszystkie jego siły!"

K. R. Żywicki.

NASZE ROLNICTWO

WOBEC NIEMIECKIEJ POLITYKI CELNEJ.*)

Położenie rolnictwa w kraju naszym, wciśniętym, jak w kleszcze, pomiędzy granice pruskie, oddawna zależało bardzo od polityki celnej Prus.

Wiadomo, jak zgubny wpływ na ogólny stan ekonomiczny kraju, a w szczególności na rolnictwo, wywarły jeszcze za Rzeczypospolitej zarządzenia celne Fryderyka II, tamujące zaraz po pierwszym rozbiorze swobodny handel na Wiśle i wolny spław zboża polskiego do Gdańska.

W świeżej zaś wszyscy mamy pamięci ostatnie dwudziestolecie, w ciągu którego rolnictwo nasze, narażone na coraz silniejsze współzawodnictwo dziewiczych czarnoziemów dalekich gubernii stepowych wschodu i południa, odcięte dzięki niemieckiej polityce celnej od swych przyrodzonych rynków zbytu na zachodzie, stanęło na skraju przepaści, która też pochłonęła niejedną fortunę ziemiańską. Aczkolwiek obecnie, dzięki przyczynom ubocznym, do których przedewszystkiem zaliczyć należy rozwój przemysłu krajowego, wytwarzającego znaczne kapitały i wewnętrzny rynek zbytu na wiele produktów wiejskich, rolnictwo nasze dźwiga się, walczy wytrwale, a nawet w niektórych gałęziach wytwórczości, jak np. w mleczar-

*) Wobec doniosłości społecznej niniejszej kwestyi poświęcamy jej na tem miejscu obszerniejsze studyum, pomimo że w ogólnych zarysach omówiono ją w „Kronice ekonomicznej“ w zeszycie niniejszym. (Przyp. Red.)

stwie czyni względnie szybkie postępy,—jednak ogólnego stanu ekonomicznego naszej ludności wiejskiej, naszego rolnictwa, kraju nawet całego pomyślnym nazwać nie można: przeczyłby temu bowiem smutny objaw masowego wychodźtwa ludu naszego zagranicę w poszukiwaniu pracy.

Do niedawna wywoziliśmy miliony korcy zboża zagranicę, dzisiaj zmniejszający się z każdym rokiem wywóz ziarna zastępujemy masowem wychodźtwem robotnika. Zamiast wywozić produkty pracy wywozimy samą pracę, oddając na korzyść naszych szczęśliwszych współzawodników całą nadwartość, przez pracę wytwarzaną—to źródło kapitału, tracone bezpowrotnie.

Odzywają się wprawdzie głosy, że zmniejszenie się naszego wywozu ziarna, a nawet konieczność dowozu do nas zboża dla wyżywienia ludności, jest objawem anormalnym, nieuniknionem następstwem rozwoju naszego przemysłu i szybkiego wzrostu ludności; a niektórzy cieszą się nawet, że kraj nasz z rolniczego staje się przemysłowym. Czy jednak pogląd ten jest słuszny? czy można ominąć bezkarnie konieczne etapy rozwoju ekonomicznego, czy może stanąć silną stopą przemysł w kraju, w którym ekstensywne gospodarstwo rolne i nizki stan potrzeb biednego i ciemnego ludu nie zapewnia przemysłowi dostatecznego rynku wewnętrznego i zmusza go do uganiania się za odległymi i niepewnymi rynkami, narażając go na częste a dotkliwe przesilenia? Czyż zwiększenie ludności nie powinno było wywołać w normalnych warunkach ekonomicznych zwiększenia produkcyjności naszych pól i łanów, wystarczającego zupełnie do wyżywienia całego przybytku ludności?

Patrząc na pola nasze, tak dalekie od kultury zachodniej, zastanawiając się nad wykazywaną przez statystykę przeciętną naszych zbiorów, wątpić nawet nie można, że znaczne zwiększenie produkcyi rolnej naszego kraju to rzecz technicznie zupełnie możliwa i zależna jedynie prawie od warunków ekonomicznych, które postęp w tym kierunku przyśpieszyć, zwolnić albo nawet zupełnie zatamować mogą.

W wytworzeniu z nieprzyjaznych dla rolnictwa warunków ekonomicznych ważną rolę odgrywa polityka celna naszych najserdeczniejszych sąsiadów, podrywających przez wysokie cła zbożowe podstawy bytu naszych do niedawna wyłącznie prawie zbożowych gospodarstw, a przez szczelne, pod pozorem względów sanitarnych, zamknięcie granicy dla inwentarza utrudniających naszym rolnikom, wystawionym na współzawodnictwo tanio opasanego by-

dła ze wschodu, wejście na tory racyonalnego gospodarstwa hod(
wlanego.

Skoro więc niemiecka polityka celna tak ważny wpływ wy
wiera na krajowe warunki ekonomiczne, do których rolnik z koniecz
ności jak najszybciej przystosować się musi, to oczywiście ziemiani
nasi pilnie śledzić powinni wszelkie w jej zakresie zjawiska i zwro
ty, a szczególniej w tak ważnej, jak dzisiejsza chwili.

Około r. 1903 upływają terminy większej części traktatów han
dlowych, obowiązujących Niemcy, a w celu odpowiedniego przygo
wania się do zawarcia nowych wysadzono specyalną komisyę (*Wirt schaftlicher Ausschuss zur Vorbereitung der Handelsverträge*); jednocze
śnie cesarski urząd finansowy (*Reichsschatzamt*) wypracował projekt nowej ustawy celnej, który ma stanowić wygodne ramki dla systemu protekcyjnego i wytworzyć przez nową a wielce wyspecyalizowaną klasyfikacyę towarów i rubryk celnych mnóstwo pozycyi nadających się do targów, zmian i wzajemnych ustępstw przy przewidywanych układach.

Ale nie tylko sfery rządowe i odpowiednie urzędy zajmują się w Niemczech tą sprawą. Traktaty handlowe i kwestye celne dotykają żywotnych interesów wszystkich warstw ludności, nic więc dziwnego, że poruszają one opinię publiczną i wywołują ożywioną agitacyę, zapełniającą łamy dzienników i broszur ulotnych.

Z jednej strony stronnictwa liberalne i postępowe, przedstawiciele handlu, znacznej części przemysłu, a szczególniej szerokich mas ludowych, występują przeciw podniesieniu ceł zbożowych i żądają utrzymania polityki traktatów handlowych, z drugiej nienasyceni w swych pożądaniach, związani w silny związek (*Bund der Landwirten*) agraryusze niemieccy uważają obecne cła zbożowe, wynoszące dla pszenicy 3½ marki od 100 kilo, za niewystarczające i żądają ich podwyższenia do 8, a nawet do 10 marek.

Nie dość jednak podnieść cło, trzeba jeszcze zabezpieczyć się przeciw możności jego obniżenia w drodze międzynarodowych układów handlowych.

Stosownie do § 11 konstytucyi niemieckiej traktaty handlowe zawiera cesarz po porozumieniu się z radą związkową. Do niego należy inicyatywa układów, określenie ich terminu, wybór komisarzy, a także nakreślenie dla nich instrukcyi. Wprawdzie projekt układu po ostatecznym jego wykończeniu musi uzyskać zatwierdzenie czyli ratyfikacyę parlamentu, ten jednak może tylko traktat albo w całości przyjąć, albo odrzucić, zmian żadnych wprowadzać nie ma prawa. Ten to porządek zatwierdzenia traktatów, ograniczający dzia-

łalność parlamentu, nie podoba się agraryuszom. I rzeczywiście, parlament, stojąc wobec skomplikowanego elaboratu traktatu handlowego, rezultatu długotrwałych targów i układów, czuje się faktycznie skrępowanym w swem veto obawą zupełnego zerwania nie tylko handlowych, lecz i politycznych stosunków z umawiającą się stroną odrzuconego traktatu.

Nienasyceni junkrzy pruscy, obawiając się, że przy zawarciu układu ustanowione w zasadzie cła na zboże mogą być w drodze wzajemnych ustępstw dla niektórych państw, a szczególniej dla Rosyi, znacznie obniżone, wobec zaś procedury ratyfikacyi traktatów przez parlament nie będą oni w stanie obniżenia tego uniknąć, wysunęli zasadę podwójnych taryf celnych: maksymalnych i minimalnych. Taryfa maksymalna ma obowiązywać towary, sprowadzane z krajów, które nie zawarły traktatów handlowych, minimalna zaś to granica ustępstw przy zawieraniu układów. Jeżeli zasada taryfy podwójnej zostanie przyjęta przez parlament, w takim razie granica ustępstw, które mogą być zrobione przez rząd niemiecki umawiającej się stronie, będą z góry aktem parlamentarnym określone, agraryusze zaś liczą na to, że przy obecnym składzie stronnictw parlamentarnych i przy współdziałaniu centrum zdołają ustanowić granice te dla zboża zgodnie ze swemi zakusami, a mianowicie co najmniej na 6, a nawet 7 marek od stu kilogramów dla żyta i pszenicy przy odpowiedniem również podniesieniu ceł od innych gatunków zboża, a nawet ocleniu buraków i kartofli, które dotychczas wolne były od cła.

Pożądania agraryuszów niemieckich nie ograniczają się z resztą do podwyższenia ceł od ziarna, ale dotyczą wszystkich produktów rolnych, jako to: wełny, masła, chmielu, mięsa, lnu, konopi i t. d. przy utrzymaniu oczywiście jak najszczelniejszego zamknięcia granicy dla inwentarza żywego.

Prócz tego, dążąc konsekwentnie do utrudnienia importu z zewnątrz, żądają oni zniesienia udogodnień kredytowych, przyznawanych kupcom przy opłacie cła, zmiany taryf kolejowych, ustanawiających niższe stawki dla przewozu zboża z państwa rosyjskiego do portów niemieckich.

Tak np. przy rozprawach budżetowych w sejmie pruskim hr. Klinckönströn, poparły przez hr. Kanitza i całe stronnictwo zachowawcze, wniósł, aby przy nowych traktach handlowych zmieniono paragraf 19 traktatu, zawartego w 1894 r. pomiędzy Rosyą a Niemcami; aby w następstwie tej zmiany zniesiono zniżone stawki kolejowe na przewóz zboża, lnu i konopi od granicy rosyjskiej do

portów w Gdańsku, Królewcu i Memlu. W zniżonych tych taryfach, umożliwiających współzawodnictwo zboża zagranicznego, widzi wnioskodawca wielką szkodą dla rolnictwa wschodnio-pruskiego, a utrzymanie tego przywileju jest, jego zdaniem, nie tylko niezgodne z konstytucyą, ale narusza nawet niezależność państwa niemieckiego. Oczywiście, wniosek na razie nie osiągnął praktycznego skutku i został pogrzebany w komisyi budżetowej, wystąpienie to jednak daje miarę, czem będą rozprawy w parlamencie niemieckim, gdy na porządku dziennym będą taryfy celne i traktaty handlowe, oraz jak wszechstronne i daleko idące są pożądania agraryuszów.

Z powodu traktatów handlowych wybuchnie wojna celna, jakiej przykładu jeszcze świat nie widział— powiedział prezydent niemieckiego „Związku rolników". I rzeczywiście, mamy prawo przypuszczać, że agraryusze, popierając uparcie zasadę podwójnej taryfy celnej, dążą konsekwentnie do wojny celnej, któraby zatamowała zupełnie dowóz zboża.

Wprowadzenie taryfy minimalnej, jako granicy ustępstw traktatowych, wiążąc ręce rządu przy układach, może okazać się niezwalczoną przeszkodą przy zawarciu traktatów i spowodować ogólne zapanowanie taryfy maksymalnej z wielką szkodą dla ekonomicznych stosunków międzynarodowych. Przy obecnym składzie parlamentu, dzięki współdziałaniu związku rolników i wielkich przemysłowców, taryfa minimalna może być oznaczona tak wysoko, że żadne z państw sąsiednich nie będzie widziało interesu wchodzenia w układy, skazane z góry na bezowocność.

W przeprowadzeniu swych zakusów agraryusze liczą wiele na pomoc znacznej części wielkich przemysłowców, a że liczą słusznie, najlepiej dowodzą obrady ostatniego Handelstagu w Berlinie, na którym rezolucya, oświadczająca się z całą stanowczością przeciw wszelkiemu podniesieniu ceł od przedmiotów żywności, przyjęta została tylko 147 głosami przeciwko 143.

To też pogłoski o zawarciu stanowczego układu pomiędzy agraryuszami a wielkimi przemysłowcami, o wzajemne poparcie w sprawach, dotyczących taryfy celnej, kursują od dość dawna w prasie niemieckiej, i, jak donosił „Hamb. Corresp.", przedstawiciele związku rolnego, pod warunkiem wprowadzenia cła od ziarna w stosunku 6 marek od 100 kilo, w minimalnej taryfie i 7½ marek w maksymalnej, zgodzili się wzamian na przyjęcie całego szeregu ceł protekcyjnych od wyrobów fabrycznych.

Mimowoli nasuwa się pytanie, jakim sposobem wpośród przedstawicieli przemysłu niemieckiego, których bądź co bądź bardzo ży

wo obchodzi wywóz ich wytworów zagranicę, mogą znaleźć się poplecznicy tak zaciekłej polityki protekcyjnej. Rzecz tę doskonale wyjaśnia znany ekonomista monachijski, prof. Lujo Brentano, w odczycie, wypowiedzianym w stowarzyszeniu: *Socialwissenschaftlicher Studentenverein*, pod tytułem: Przeszkody dla polityki wolno handlowej w Niemczech. W przemówieniu swym Brentano, jeden z wybitniejszych dzisiaj uczonych przeciwników zakusów agraryuszów niemieckich, zwraca uwagę na zasadniczą różnicę, zachodzącą pomiędzy zachowaniem się obecnym przedstawicieli przemysłu niemieckiego a stanowiskiem przemysłowców angielskich w czasach agitacyi Cobdena i Brighta za zniesieniem ceł od zboża. W Anglii wszyscy przedstawiciele wielkiego przemysłu stali po stronie ligi wolnego handlu, w Niemczech zaś silna grupa fabrykantów agituje za ustępstwami dla agraryuszów. Co powoduje tę różnicę? Na to Brentano odpowiada: różnica stosunku jednych i drugich do rynku wewnętrznego i gospodarstwa ogólno-państwowego.

Gdy w Anglii żądano taniego chleba, niektórzy przemysłowcy angielscy korzystali jeszcze z ceł ochronnych, ale nie byli to typowi przedstawiciele siły i potęgi przemysłu angielskiego. Na czele stała wytwórczość wełniana i bawełniana, a w gałęziach tych współzawodnictwo sprowadziło ceny do poziomu kosztów produkcyi, przy którym cła utraciły wszelkie znaczenie. W Niemczech przeciwnie główne stanowisko zajmuje przemysł żelazny, który wprawdzie musi liczyć się po części z wywozem za granicę, lecz któremu więcej jeszcze zależy na utrzymaniu wysokich cen na rynku wewnętrznym. Z chwilą, gdy koleje żelazne przeszły w ręce państwa, skarb stał się jednym z głównych nabywców wytworów przemysłu żelaznego. Tak samo rzecz się ma i z całym materyałem wojennym.

Interesem więc fabrykantów mostów żelaznych, rels, lokomotyw, armat, broni, pancerników i t. p. jest utrzymanie jak najwyższych cen żelaza i wytworów żelaznych na rynku wewnętrznym, co oczywiście możliwe jest jedynie przy ustanowieniu wysokich ceł protekcyjnych, usuwających zupełnie współzawodnictwo zagraniczne. Główne gałęzie przemysłu niemieckiego, wysoko rozwinięte technicznie, w rzeczywistości nie potrzebują protekcyi, przemysłowcy zaś żądają jej tylko dlatego, że chcą otrzymywać wysokie ceny od rządu i konsumentów krajowych, aby módz sprzedawać tanio zagranicę i dawać przytem wysokie dywidendy, co oczywiście jest możliwe jedynie dzięki coraz większemu rozwielmożnianiu się syndykatów i karteli przemysłowych, wyrastających, jak grzyby po deszczu, pod ochroną wysokich ceł.

Połączenie się agraryuszów i wielkich przemysłowców pozwala przewidywać wytworzenie polityki celnej, obiecującej obu grupom wielkie korzyści kosztem szerokich mas ludowych. Przytem polityka tego rodzaju jest na rękę i fiskalizmowi skarbowemu, gdyż zapewnia mu wielkie dochody celne. To też nic dziwnego, że przedstawiciele związku agraryuszów: baron Wangenheim i hr. Kanitz potrafili odrazu zjednać dla swych projektów poparcie ministrów: Mickela, Posadowskiego i Hammersteina, a prasa agrarna, doskonale informowana zawsze o rezultatach obrad w komisyi traktatowej, (aczkolwiek prawnie posiedzenia jej są tajne), doniosła z tryumfem, że większość członków komisyi oświadczyła się za systemem taryf podwójnych. Nominacya hr. Bülowa na kanclerza niemieckiego zaniepokoiła w pierwszej chwili agraryuszów: nie byli bowiem zbyt pewni jego poparcia.

W swych przemówieniach, poprzedzających nominacyę, Bülow nie zdeklarował się stanowczo w sprawie ceł zbożowych, lecz trzymał się ogólników, do niczego nie obowiązujących. Pamiętano nawet jego odezwanie się swego czasu w sprawie zatargu o dowóz wędlin amerykańskich, że nie myśli w obronie szynek westfalskich narażać dobrych stosunków Niemiec z zaprzyjaźnionem państwem Stanów Zjednoczonych. Pierwsze wystąpienie kanclerza w sejmie pruskim z powodu ponowienia projektu wielkiego kanału wewnętrznego także nacechowane było widoczną wstrzemięźliwością. Wiadomo, że budowie tego kanału sprzeciwia się silna partya agrarna. Opór jej złamać jedynie może nadzieja ustępstw ze strony rządu w sprawie, bliżej jeszcze obchodzącej to potężne stronnictwo,—w sprawie taryf celnych i traktatów handlowych. To też kanclerz, przemawiając w sprawie kanału, musiał unikać wszystkiego, coby mogło osłabić nadzieję zwolenników podwyższenia ceł, a chcąc ich zjednać, powiedział, że rolnictwo w Prusach Wschodnich ma prawo żądać zapewnienia obrony celnej. Z ogólnego jednak tonu mowy, w której kanclerz wyraża przekonanie: „że wszystkie gałęzie pracy narodowej" mają jednakowe prawa do opieki państwowej i że rząd jest obowiązany popierać zarówno rolnictwo, przemysł i handel, zdawało się, że hr. Bülow, stojąc na stanowisku interesów ogólno-państwowych, nie pójdzie zbyt daleko w popieraniu uroszczeń protekcyonistów i potrafi znaleźć ten złoty środek, na którym dałyby się pogodzić sprzeczne interesy. Nie mogło to oczywiście zadowolnić agraryuszów, i dążyli oni do otrzymania od kanclerza wyraźniejszych obietnic, czyniąc od nich zależnem poparcie projektów rządowych. Zbyt wiele zaś zależy rządowi niemieckiemu w danej chwili

na poparciu stronnictwa konserwatywno-agrarnego.—Ulubiony projekt cesarza Wilhelma kanału wewnętrznego, wyprawa do Chin, ciągłe zwiększanie wydatków na armię i flotę, wszystko to wymaga ogromnych pieniędzy, które rząd tylko przy poparciu stronnictwa konserwatywno-agrarnego uzyskać może. Nic więc dziwnego, że nowy kanclerz musiał wreszcie wyraźnie oświadczyć się za potrzebą poparcia żądań agrarnych.

Stało się to w ostatnich dniach stycznia r. b. wskutek wniosku, postawionego w sejmie pruskim przez hr. Limburg-Stiruma.—Hr. Bülow oznajmił, że rząd, uznając niepomyślne warunki rolnictwa, zdecydował się dążyć do odpowiedniego podwyższenia ceł od płodów rolnych. Wniosek hr. Limburg-Stiruma, wzywający rząd do podwyższenia ceł zbożowych, przeszedł większością 238 głosów przeciw 43. Jakkolwiek wniosek w sejmie pruskim nie rozstrzyga sprawy, bo o niej ostatecznie będzie stanowił parlament niemiecki, liczący o wiele więcej przeciwników podwyższenia ceł zbożowych, jednakże nie jest on bez znaczenia, wyraźnie bowiem określił stanowisko rządu i kanclerza Bülowa, który odtąd w przemówieniach swoich, jak np. w odpowiedzi na interpelacyę z powodu artykułu w sprawie ceł zbożowych „Torgowo-prom. gazety”, pół urzędowego organu rosyjskiego ministeryum finansów, występuje już stale, jako poplecznik uroszczeń agraryuszów.

Przechodząc obecnie do streszczenia agitacyi przeciwników podniesienia ceł zbożowych i wogóle systemu protekcyjnego, zaznaczyć należy, że nawet pośród rolników nie wszyscy obstają za programem protekcyjnym „Związku rolników”; szczególniej ze stron zachodnich państwa niemieckiego odzywają się raz po raz głosy, sceptycznie zapatrujące się na korzyści podwyższenia ceł zbożowych dla rolnictwa. Z wielu stron wskazują, że dla większości gospodarstw niemieckich, zboże nie stanowi wcale głównego źródła dochodu ani głównej gałęzi produkcyi. Tak np. podług statystyki, opracowanej przez cesarski departament spraw wewnętrznych, a opartej na kwestyonaryuszu, rozesłanym do gospodarstw wszystkich krajów i prowincyi państwa niemieckiego, zboże daje przeciętnie tylko 26, 4% dochodu, podczas gdy hodowla i mleczarstwo 40, 6%, inne produkty rolnicze 16, 3% a przemysł rolny 8, 9%.

Hodowla większą jeszcze odgrywa rolę w Wirtembergii, Hanowerze, Szlezwigu, Holsztynie, gdzie daje więcej, niż połowę czystego dochodu. W innych okolicach przemysł rolny i uprawa buraków występują na plan pierwszy; ta ostatnia np. w Koburg-Gotha,

Anhalt i Saksonii daje przeszło trzecią część dochodu. Oczywiście gospodarstwa takie, w których produkcya zboża schodzi na drugi plan i które często zmuszone są dokupywać znaczne ilości ziarna dla wypasania inwentarza, nie widzą wielkiego interesu w podwyższeniu ceł zbożowych. Nie dziw przeto, że wśród tych rolników budzi się wątpliwość co do pożytku prowadzonej przez „Związek rolników“ kampanii.

Jeden z takich sceptyków, podpisujący się, jako rolnik z lewego brzegu Elby, występuje w „Hamburger Correspond.“ przeciwko sojuszowi rolników z wielkimi przemysłowcami. Niektóre jego myśli wydają się paradoksalne, a jednak obudziły żywe zajęcie i obiegły całą prasę niemiecką.

Rolnicy niemieccy w okresie od 1883—1899 r. korzystali z ochrony celnej, pisze rolnik z lewego brzegu Elby, nie odnieśli jednak spodziewanych korzyści, gdyż jednocześnie tracili w inny sposób tyle, ile dawały im cła zbożowe; równolegle bowiem z podwyższeniem ceł zbożowych podnosiły się również cła protekcyjne na produkty przemysłu przetwórczego i zwiększały z konieczności koszta produkcyi rolniczej.

Rozwój przemysłu, zależącego jedynie od obfitości kapitału i ilości rąk roboczych, może być bez porównania szybszy i potężniejszy, aniżeli postęp rolnictwa, ograniczonego przestrzenią ziemi uprawnej. Gdy w okresie od 1878 do 1898 r. zdołano zwiększyć przestrzeń zasiewaną zaledwie o 100.000 hektarów, jednocześnie przemysł przetwórczy wzrastał prawdziwie w stosunku geometrycznym. Ten kolosalny wzrost przemysłu wywołuje przenoszenie się ludności wiejskiej do miast i wyludnienie się wsi, co podnosi na wsi cenę najmu i zmusza rolnika do powiększenia kapitału obrotowego i robienia znacznych nakładów na budowę mieszkań dla robotników, kupno maszyn i t. p. Wzrasta więc nie tylko cena najmu, lecz i koszta ogólne, a więc i obdłużenie rolników. Przesiedlenie ludności wiejskiej do miast w Niemczech może być obliczone z dostateczną ścisłością. W r. 1875 ludność miejska Niemiec wynosiła 16.657.000, a wiejska 26.063.000, w r. 1895 liczono w miastach 26.063.000 mieszkańców, na wsi 26.216.090. Normalny przyrost ludności miejskiej przez urodzenia mógł wynieść w tym okresie najwyżej 4.916.000, ponieważ zaś ludność miast zwiększyła się o 9.406.000, przeto co najmniej 4.490.000 przeniosło się ze wsi do miast.

Do tych wywodów rolnika z lewego brzegu Elby możnaby dodać, że miasta pozbawiają wieś przeważnie pracowników w całej

pełni sił, a pozostawiają na roli niedołęgów, starców i dzieci. Znakomitą illustracyę tego faktu daje spis ludności z r. 1895, który wykazuje, że dzieci do lat 14 i starców po nad 50 lat pracuje więcej w rolnictwie, niż w przemyśle; zupełnie inaczej wygląda statystyka robotników w wieku od 14—40 lat. Różnica ta na niekorzyść rolnictwa występuje szczególniej w wieku od 20—40 lat: wynosi podług niżej zamieszczonej tablicy dla robotników 20 — 30 letnich 550.035 i dla 30—40-letnich 403.727.

Liczba robotników w wieku.

	do lat 14	14—20	20—30	30—40	40—50	50—60	60—70	70 i wyżej
W rolnictwie	135125	1712911	1781104	1347206	1232989	1140404	702268	251685
W przemyśle	38267	1770316	2331139	1750933	1206624	750403	336256	98282
W rolnict. +—	+98858	—57405	—55005	—403727	+26365	+390001	366012	153403

Tak więc, zdaniem rolnika z lewego brzegu Elby, sojusz rolnictwa z przemysłem, jako oparty na fałszywych zasadach, okazał się dla rolnictwa szkodliwym, podczas bowiem, gdy przemysł, nieograniczony w swoim rozwoju, osiągał z ceł protekcyjnych olbrzymie korzyści, rolnicy przeciwnie nic nie zyskiwali, oddawali bowiem z nawiązką jedną ręką to, co otrzymywali drugą. Przedstawiciele przemysłu wiedzą dobrze, co robią, zgadzając się na podwyższenie ceł zbożowych do 6 lub 7½ marek, wiedzą, że to tylko pożyczka, dana rolnikom pod uciążliwymi warunkami i na krótki termin, a na wysoki procent. Rolnicy niemieccy nie o wysokie cła zbożowe dobijać się powinni, lecz o nizkie ceny wszystkich produktów przemysłu fabrycznego i dobre komunikacye, ułatwiające zbyt produktów rolnych.

Z punktu widzenia szerzej pojętych interesów rolnictwa przemawia również przeciwko cłom zbożowym Lujo Brentano we wspomnianym odczycie. Zdaniem jego, podwyższanie ceł zbożowych, podnosząc niepomiernie cenę ziemi, może być korzystne dla zadłużonych właścicieli, którzy zechcą skorzystać z chwili, aby pozbyć się swego kawałka ziemi, ale nie przyniesie żadnego pożytku prawdziwym rolnikom, chcącym pracować na zagonie. Z podniesieniem cen zboża podniosą się znacznie koszta produkcyi, a czysty dochód nie będzie w stanie zapewnić renty od wyśrubowanej nadmiernie ceny ziemi, położenie rolnictwa nie tylko nie poprawi się, lecz przeciwnie nawet pogorszy, i w krótkim znowu czasie usłyszymy rozpaczliwe krzyki, żądające nowego podwyższenia ceł. Wpływ

ceł zbożowych, kończy Brentano, wzmacnia tylko i utrwala przyczyny braku sił niemieckiego rolnictwa wobec współzawodnictwa Ameryki. Cła zbożowe są środkiem zupełnie niestosownym dla podniesienia rolnictwa, ich istnienie bowiem wytwarza dążność do ciągłego podwyższania. Poglądy te podziela wielu uczonych ekonomistów niemieckich jak np. Conrad, W. Lotz i inni.

Zasadniczą opozycyę przeciw dążeniom agraryuszów z „*Bund der Landwirte*" podjęło pomiędzy rolnikami liberalne towarzystwo włościańskie Nordost, reprezentujące interesa drobnych właścicieli.

Na odbytym w Gryfii dorocznym zjeździe prezes towarzystwa „*Nordost*", deputowany Steinhauer, wystąpił z referatem pod tytułem: „Rolnictwo i traktaty handlowe," w którym dowodzi, że traktaty handlowe, wbrew twierdzeniom agraryuszów, spowodowały kwitnący stan Niemiec. Bo komu — zapytuje mówca — przynoszą korzyść wysokie cła? Wszakże nie stanowi średniemu: urzędnikom, kupcom, rzemieślnikom, a tem mniej robotnikom lub drobnym rolnikom, posiadającym poniżej 60 morgów gruntu, którzy potrzebują dokupywać zboża, jeżeli nie dla swego wyżywienia, to na paszę dla bydła, na którem opiera się główny ich dochód. Ale nawet większi właściciele, opierający gospodarstwa na hodowli, potrzebują dokupywać zboże, i oni więc nie mają interesu w podwyższeniu cła. Mowę swą zakończył Steinhauer hasłem: „w imię interesów rolnictwa i dobra społecznego— przeciw agraryuszom." Po licznych mowach zjazd olbrzymią większością głosów (przeciw trzem) przyjął rezolucyę zgodną z wywodami swego prezesa.

W obronie polityki traktatów handlowych i przeciw podwyższeniu ceł zbożowych energiczną działalność rozwija również znany wolnomyślny deputowany i redaktor dziennika „Die Nation" Teodor Barth, wydając przy swoim dzienniku specyalny dodatek (Flügblatt), którego zadaniem jest oddziaływanie na szerokie masy ludowe. W jednym z tych dodatków autor zbija na podstawie cyfr ulubiony argument agraryuszów, jakoby traktaty handlowe, zawarte dzięki polityce Capriviego, zalawszy Niemcy zbożem zagranicznem, miały w rezultacie pociągnąć za sobą gorsze skutki, aniżeli przegrana wojna.—Przegrana wojna—mówi autor—kosztuje wiele istnień ludzkich, przegrana zaś wojna ekonomiczna wyraża się w tendencyi zniżkowej, w zwiększeniu emigracyi, w zmniejszeniu liczby urodzeń i w zwiększonej śmiertelności. Czy taki jednak jest rezultat obowiązujących obecnie traktatów handlowych? Podczas gdy w ciągu ostatnich dwu lat przed zawarciem traktatów handlowych na 100.000 mieszkańców Niemiec emigrowało za ocean 219, w r. 1898/9

cyfra ta spadła do 42, czyli zmniejszyła się przeszło pięciokrotnie. W 1890 r. liczba urodzeń w Niemczech przewyższała liczbę wypadków śmierci o 560247, w 1898 r. o 846871, tak więc przewaga urodzeń wzrosła przeszło o 51%. Jeżeli w 1890 r. na 10.000 mieszkańców umierało 256, to w roku 1898 liczba ta spadła do 218—najlepszy to dowód polepszenia się bytu szerokich warstw ludności.

Podczas okresu, który agraryusze uważają za przegraną wojnę ekonomiczną, ludność Niemiec wzrosła już o 6.735.000 dusz, a wzrośnie niezawodnie przed upływem terminu traktatów handlowych przynajmniej o 10 milionów. W epoce obowiązujących traktatów wywóz niemiecki zagranicę wzrósł prawie o miliard marek, a wytworzenie tej przewyżki dało wprost lub pośrednio zajęcie i zarobek 1.800.000 robotników, utrzymujących około 2½ miliona członków swoich rodzin, traktaty więc handlowe, które agraryusze tak zaciekle zwalczają, dały utrzymanie 4 milionom ludzi.

Oczywiście potężna ta logika cyfr wywierać musi silne wrażenie na zagrożone w swym bycie masy ludowe i ułatwiać naturalną bardzo, a gorącą agitacyę demokratów socyalnych, którzy na licznych mityngach i w tysiącach ulotnych świstków nawołują do walki z „lichwiarzami zboża, wyrywającymi z ust ludu ostatni kęs chleba.”

Powyżej zaznaczyliśmy, że pewna grupa wielkich przemysłowców gotowa jest poprzeć żądania „Związku rolników.” Oczywiście jednak gotowość ta zależy od własnej osobistej korzyści. Przemysłowcy zgadzają się na podwyższenie ceł, jednak tylko o tyle, o ile to nie uniemożliwi zawarcia korzystnych dla nich traktatów handlowych. Wyjaśniliśmy, już dlaczego za najważniejszą przeszkodę przy przyszłych układach o traktat handlowy uważać należy system taryf maksymalnych i minimalnych. To też sfery przemysłowe i handlowe, dla których możność dojścia do skutku traktatów handlowych jest sprawą pierwszorzędnej wagi, występują zacięcie przeciwko systemowi taryf podwójnych. Nawet skupione w związku *Bund der Industriellen* sfery wielkich przemysłowców, skłonne w interesie własnym do wielkich ustępstw dla agraryuszów, oświadczyły się wyraźnie przeciwko taryfom podwójnym, jak tego dowodzi rezolucya powyższego związku, zapadła na skutek przemówienia sekretarza generalnego towarzystwa, dr. Wendlandta.

W podobnym duchu przeciw taryfom maksymalnym i minimalnym wypowiedzieli się również przedstawiciele kupiectwa berlińskiego na nadzwyczajnie licznem zebraniu w sali Kaiserhofu, odbytem przy udziale najwybitniejszych działaczy świata finansowe-

go i przemysłowego. Z inicyatywy tego zebrania zwołano do stolicy ogólny zjazd przedstawicieli przemysłu i handlu dla podjęcia walki w celu obrony traktatów handlowych. Na zjeździe tym na wniosek Siemensa, znanego posła i kierownika banku niemieckiego, uznano, że dla skutecznego oddziaływania przeciw uroszczeniom „Związku rolników" potrzebna jest systematyczna agitacya, któraby paraliżowała agitacyę agraryuszów, wyjaśniała narodowi niemieckiemu całe niebezpieczeństwo wojny celnej i do czasu zawarcia traktatów stała na straży interesów przemysłu i handlu. Bez różnicy partyi sfery miejskie przemysłowe i handlowe powinny się połączyć—mówił Siemens—w celu obrony istniejących traktatów handlowych, którym Niemcy zawdzięczają potężny rozwój przemysłu i podniesienie dobrobytu ogólnego.

Zjazd na posiedzeniu w dniu 11 listopada 1900 r. jednomyślnie podzielił poglądy mówcy i przyjął następującą uchwałę:

1) Obowiązujące obecnie traktaty handlowe są niezbędne dla rozwoju ekonomicznego Niemiec.

2) Znaczniejsze zmiany w obowiązujących traktatach zagrażałyby poważnemi niebezpieczeństwami dla szerokich warstw ludności.

3) Związanie umawiających się stron taryfą minimalną byłoby szkodliwe.

4) Dla utrzymania istniejącej polityki handlowej konieczne jest utworzenie czasowego związku zainteresowanych, który, wyłączając wszelką agitacyę partyjno-polityczną, dążyłby do zamierzonego celu środkami fachowymi.

Budżet nowo-zawiązanego „towarzystwa traktatów handlowych" (Handelsvertragsverein) oznaczono na 200.000 marek, a do komitetu, kierującego jego działalnością, powołano 30 najwybitniejszych kupców i przemysłowców.

Pierwsze zebranie nowego towarzystwa odbyło się w Berlinie dnia 8 stycznia r. b. W obecności bardzo wielu kupców i przemysłowców i przedstawicieli większości izb handlowych referował prof. Dietzel o znaczeniu traktatów handlowych, jasno wykazując, że zawarcie traktatów handlowych jest pożądane dla przemysłu, obliczonego na wywóz, jak i dla pracującego, dla rynków wewnętrznych. Wysokie cła na zboże to, zdaniem referenta, „nóż, krający własne ciało Niemiec", a nie narzędzie walki z konkurencyą zagraniczną. Zebranie wywody mówcy przyjęło gorącemi oznakami jednomyślnego uznania.

Mniej wyraźne są orzeczenia „niemieckiego sejmiku handlowego“ (Deutscher Handelstag), który odbywał posiedzenia jednocześnie prawie z zebraniem towarzystwa traktatów handlowych. Sejmik ten, jako urzędowe zebranie delegatów kół handlowych i przemysłowych, uważany jest za najpoważniejszą reprezentacyę przemysłu i handlu. Posiedzenie otworzył minister hr. Posadowsky, wzywając zebranych, aby dążyli do pogodzenia sprzecznych interesów ekonomicznych, co w ustach ministra, znanego stronnika agraryuszów, oznaczało oczywiście zgodzenie się na podwyższenie ceł zbożowych. Wezwanie to znalazło odgłos w sercach przedstawicieli wielkiego przemysłu, skłonnych, jak wyżej wskazano, do ustępstw dla agraryuszów, a wniosek przedstawiciela izby handlowej z Metz podwyższenia ceł zbożowych do 6 marek znalazł poparcie w przedstawicielach okręgów wielkiego przemysłu z Bochum, Düsseldorfu i t. p.

To też, aczkolwiek zaprojektowane przez urzędowego sprawozdawcę sejmiku hr. Soetbera uchwały: 1) wytrwania w interesie dobrobytu silnie wzrastającej ludności przy polityce traktatów handlowych, zapewniających wywóz wyrobów niemieckich, 2) utrzymania zasady państw najwięcej uprzywilejowanych, 3) przeciwko systemowi taryf podwójnych, cłu od wartości i zniesieniu kredytów celnych, przyjęte zostały prawie jednomyślnie, — jednak już rezolucya, oświadczająca się przeciw wygórowanym żądaniom podniesienia ceł od produktów, służących do pożywienia ludności, wywołała dość żywą opozycyę i przyjęta została tylko 219 głosami przeciw 79, bardziej stanowcza zaś rezolucya, potępiająca wszelkie podwyższenie ceł zbożowych, została zagłosowana, jak to już wyżej wspomnieliśmy, tylko 147 głosami przeciw 143.

Jak widzimy, w Niemczech zarówno rolnicy, jak przemysłowcy i kupcy, gorąco się zajmują sprawą odnowienia traktatów handlowych, a wysadzona przez rząd specyalna delegacya przygotowuje gruntowne i wyczerpujące materyały.

W Rosyi właściwe władze, jak o tem poucza „Torg. prom. gazeta“, czynią również w spokoju odpowiednie przygotowania, w społeczeństwie jednak zainteresowanie się tą sprawą w ostatnich dopiero czasach budzić się zaczyna, szczególniej po komunikacie w „Torg. prom. gazecie“ i „Wiestn. finansów“, który tak silne wrażenie wywarł zagranicą, a w którym zaznaczono wyraźnie, że traktaty handlowe mogą być zawierane jedynie na podstawie równouprawnienia i wzajemności ustępstw umawiających się stron, i że w razie podniesienia ceł niemieckich na zboże i inne produkty rolne,

Rosya nie zawaha się zastosować nawzajem różnych środków, które dotkliwie uczuć się dadzą życiu ekonomicznemu Niemiec. Nie mówiąc już o podniesieniu ceł na wytwory przemysłu niemieckiego, ograniczenie przywilejów, z których korzysta marynarka handlowa, kapitały i przemysłowcy niemieccy w Rosyi, może dotkliwie zaważyć na szali w razie podjęcia przez Niemcy wojny celnej. Ograniczenie chociażby czasowe wychodźtwa naszych robotników do Niemiec to również skuteczny środek represyjny, który szczególniej da się we znaki najzacieklejszym agraryuszom i przemówi dobitnie do ich głów i kieszeni.

We wspomnianym powyżej komunikacie przeciwstawiono położenie rządu niemieckiego, zmuszonego naginać się do sprzecznych interesów stronnictw, nurtujących społeczeństwo niemieckie, ze stanowiskiem rządu rosyjskiego, stojącego ponad interesami klasowymi i uprawnionego w imię dobra ogólno-społecznego do decyzyi samodzielnej, niezależnej od opinii stronnictwa. Nie wypływa stąd jednak wcale, aby rząd rosyjski przed powzięciem stanowczej decyzyi w tak ważnej sprawie nie zechciał zbadać dokładnie interesów różnych klas społecznych, związanych z polityką celną i nie życzył sobie wysłuchać opinii rzeczoznawców. Przeciwnie, sądząc z coraz szerszego zastosowania przez władzę systemu zjazdów specyalistów, wzywanych przez ministeryum w charakterze rzeczoznawców, przy rozpatrywaniu każdej ważniejszej sprawy ekonomiczno-społecznej, wątpić prawie nie można, że we właściwej chwili przedstawiciele rolnictwa, przemysłu i handlu będą zawezwani przez ministeryum, a dobrze umotywowane ich opinie zaważą niewątpliwie przy decydowaniu tej pierwszorzędnej sprawy.

Potrzeba więc, aby odpowiednie klasy społeczne przygotowały się dość wcześnie i wyczerpująco, aby zaproszenie na zjazd nie zastało ich nieprzygotowanemi. Potrzeba z jednej strony uprzytomnić sobie dokładnie, jak na nasze stosunki ekonomiczne wpłynąć może mniej lub więcej protekcyjna polityka celna Niemiec, z drugiej strony, jakie interesy krajowe przy dojściu do skutku traktatu handlowego—winny być uwzględnione i zasługują na pomoc i obronę, i jakie wreszcie środki represyjne w razie walki celnej mogą znaleźć zastosowanie z najmniejszą względnie szkodą ogółu interesów społecznych.

Dla całego olbrzymiego państwa rosyjskiego sprawa traktatu handlowego z Niemcami jest rzeczą niezmiernie doniosłą, dla kraju jednak naszego jest to może sprawa życia lub śmierci rolnictwa lub przemysłu naszego, i dlatego tem goręcej zabrać się powinniśmy

do pracy, do wystudyowania zagmatwanej tkanki sprzecznych naszych interesów. A do pracy tej nie powinno nas zniechęcać nawet przekonanie, że głosy nasze zbyt mało zaważą na szali interesów ogólno-państwowych. W rzeczy tak ważnej już samo jasne zdanie sobie sprawy z położenia, zbadanie i sformułowanie prawdziwych naszych potrzeb jest rzeczą wielkiej doniosłości i pożytku. W kraju naszym, który z czysto-rolniczego zamienia się coraz bardziej w przemysłowo-rolniczy, a z wywożącego zboże w konsumenta ziarna i mąki, dowożonych z odległych gubernii Cesarstwa, interesy rolnictwa i przemysłu coraz więcej zachodzą na siebie, coraz silniej wikłają się i wzajemnie uzależniają, a dobrobyt naszego rolnictwa coraz bardziej zależy od rynku wewnętrznego, uwarunkowanego stanem przemysłu. Badając więc jakikolwiek postulat ekonomiczno-rolny, nie można u nas stać na ciasnem, wyłącznem stanowisku agrarnem, lecz należy koniecznie uwzględnić wszechstronne oddziaływanie każdej projektowanej reformy, aby, według przysłowia, nie zabić czasem kury, która złote jaja niesie. Nieraz napewno z korzyścią dla rolników będzie iść ręka w rękę z przedstawicielami przemysłu.

Dodatnim objawem rozumnego zapatrywania się rolników na tę sprawę jest postawiony przez sekcyę rolną wniosek wysadzenia przez warszawski oddział towarzystwa popierania ros. przem. i handlu specyalnej delegacyi, złożonej z przedstawicieli wszystkich sekcyi dla specyalnych studyów nad potrzebami rolnictwa, przemysłu i handlu, które przy odnowieniu traktatów handlowych lub w razie wybuchu walki celnej uwzględnione być winny. Myśl ta, przyjęta przychylnie przez prezydyum oddziału, niebawem zapewne urzeczywistnioną zostanie, tymczasem zaś odpowiednią pracę przedwstępną, przygotowawczą podjęto w sekcyi rolnej i w towarzystwach rolniczych gubernialnych.

Półtrzecia przeszło roku dzieli nas od terminu 31 grudnia 1903 r., w którym przestaje obowiązywać zawarty w 1894 r. traktat handlowy z Niemcami, niepodobna więc dzisiaj napewno przepowiadać, jak się ostatecznie stosunki ułożą, trudno jednak podzielać nadzieje optymistów, którzy twierdzą, że cała agitacya agraryuszów niemieckich ma w rzeczywistości na celu nie podniesienie ceł zbożowych, lecz jedynie utrzymanie obecnie istniejących, i że pod naciskiem konieczności Niemcy zgodzą się nawet na pewną ich obniżkę.

Badając cały przebieg ruchu niemieckiego w sprawie traktatów handlowych, trudno oprzeć się wrażeniu, że pomimo całej siły opozycyi silna partya rolników niemieckich, wsparta przez potężne

stronnictwo centrum, zdoła przeprowadzić znaczną część swego programu, co oczywiście doprowadziłoby do walki celnej dotkliwej bardzo dla stron obu. W przekonaniu tem utwierdza nas to, że przeciwnicy agraryuszów w rzeczywistości godzą się z istniejącym stanem rzeczy, a występując jedynie przeciw podwyżce ceł zbożowych, nie żądają ani ich zniesienia, ani, co ważniejsza, nie protestują prawie wcale przeciwko nadmiernemu podniesieniu cen mięsa, spowodowanemu przez zatamowanie dowozu inwentarza ze wschodu pod pozorem panującej jakoby stale w Rosyi epizootyi.

To niezgodne z duchem traktatu 1894 tamowanie pod pozorem zarządzeń weterynaryjnych wywozu naszego inwentarza do Niemiec jest typowym przykładem wiarołomstwa niemieckiego przy wykonywaniu umów.

Traktat 1894 r. ma ułatwić wzajemne stosunki handlowe, obniża cło od bydła, trzody i owiec; rolnicy nasi cieszą się, że otwierający się szeroki zbyt na inwentarz pozwoli postawić gospodarstwo na racyonalniejszej stopie, tymczasem rzeczywistość rozwiewa szybko ich nadzieje, gdyż granica niemiecka nie tylko zupełnie nie otwiera się dla bydła rogatego, ale dozwolony poprzednio tranzyt owiec do Francyi zostaje zatamowany, a trzodę chlewną dopuszczają jedynie od czasu do czasu w ograniczonej liczbie sztuk. A wszystko to dzięki wygodnej redakcyi § 20 czwartej części końcowego protokułu traktatu, który nieokreślone żadnym terminem zamknięcie granicy ze względów kwarantannowych lub weterynaryjnych czyni zależnem jedynie od zawiadomienia drugiej umawiającej się strony.

W ten sposób zamknięcie granicy, które z ducha traktatu winno było być jedynie czasowe i rzeczywistymi względami zdrowotnemi spowodowane, stało się nieustającem i samowolnem. Zapewnienie w przyszłym traktacie handlowym swobodnego wywozu inwentarza, ściśle określenie i ujęcie zarządzeń weterynaryjnych, aby nie stały się one znowu wygodną pokrywką zupełnego zamknięcia granicy, to zdaje się *condicio sine qua non*, warunek, który w imię ogólnych interesów rolnictwa uwzględniony być musi.

Dla rolnictwa naszego kraju specyalnie sprawa ta ma bez porównania większe znaczenie, aniżeli zniżenie lub podwyższenie ceł zbożowych, które na ceny zboża na wewnętrznych naszych rynkach mniej może wpłynąć, aniżeli nieznaczne względnie zmiany w systemie taryf kolejowych. W ogóle rolnictwo nasze wobec polityki naszych najserdeczniejszych, zwiększenia ludności i rozwoju przemysłu, coraz mniej opierać może swoją pomyślność na wywozie zboża zagranicę, a coraz więcej musi dbać o rozwój i ochronę rynku

wewnętrznych, przedstawiających coraz szerszy zbyt dla zboża i podrzędnych do niedawna produktów gospodarczych. Zmieniające się warunki ekonomiczne coraz szybciej popychają nasze rolnictwo do niedawna wyłącznie prawie zbożowe w kierunku więcej gospodarstwa przemysłowego. Dochód ze zboża coraz bardziej schodzi na drugi plan w budżetach naszych gospodarstw, ustępując mleczarstwu, burakom, nasiennictwu, hodowli, ogrodnictwu, gorzelnictwu i t. p. Te to gałęzie opieki i poparcia potrzebują. Tak np. do dzisiaj Niemcy zasypują nas różnemi nasionami, za których szumnobrzmiące nazwy drogo płacimy, chociaż większość ich możemy, jak tego dowodzą coraz pomyślniejsze próby, produkować nie tylko na własną, lecz i na Cesarstwa potrzebę.

W tych warunkach traktat handlowy, który utrzymałby w dzisiejszej mierze lub nawet obniżył cła od zboża, ale osiągnąłby ten rezultat kosztem braku opieki rozwijających się nowych gałęzi produkcyi rolniczej, pominięcia sprawy otwarcia granicy dla inwentarza żywego lub zbyt wielkich ofiar, rujnujących nasz przemysł krajowy, nie mógłby być przez naszych rolników uważany za korzystny—nietylko nie wpłynąłby on bowiem na podniesienie cen zboża u nas i rozwój gospodarstw, ale przeciwnie poderwałby niejedną pomyślnie dzisiaj rozwijającą się gałąź gospodarczą.

St. Dzierzbicki.



Opieka nad umysłowo-chorymi w Europie

XIX wieku.

Opieka nad umysłowo - chorymi wsród wielu potrzeb społec nych jeszcze niezaspokojonych, zajmuje niemał pierwsze miejsc Zaniedbanie, w którem żyją umysłowo-chorzy i upośledzeni na um śle, znacząc swe kroki nieraz krwią lub pożogą, a zawsze łzą i ut pieniem tych, którzy mają nieszczęście mieć w gronie swej rodzi obłąkanego, — stanowczo wymaga prędkiego usunięcia. Szaleni niegroźny pod względem zaraźliwości, lecz często zbyt groźny względu na klęskę i zniszczenie, na które naraża swe otoczen w każdem dobrze rządzącem się społeczeństwie znajduje pom i opiekę. U nas zbyt mało dotąd w tym kierunku zdziałano. U samopas spacerujący po ulicach miasta obłąkany, oblegany pr tłumy naigrawających się uliczników, stanowi prawie codzien zjawisko. A poza tym smutnym obrazem życia ulicy kryją się s ny niemej rozpaczy, w jaką wpada biedna rodzina, próżno kołac ca do przepełnionych wrót nielicznych szpitalów; poza tym obraz kryje się częstokroć głód i nędza, gdyż w osobie chorego rodz nie tylko utraciła dzielnego pracownika, lecz, co ważniejsza, znala przeszkodę, która nie pozwala zdrowym jednostkom pracować; p

tym obrazem kryje się wreszcie częstokroć rozpusta i zły nałóg, który niewidocznie, lecz niewątpliwie, oddziaływa na niezdające sobie sprawy, mniej krytyczne jednostki.

Położenie krytyczne, w jakiem znajduje się u nas opieka nad umysłowo-chorymi, skłoniła mnie do podjęcia niniejszej pracy w nadziei, że wywoła przedmiotową krytykę, która niejedno zapewno sprostuje, niejedno uzupełni i przez to przyczyni się do wszechstronnego rozpatrzenia kwestyi. Drobiazgowe wnikanie w każdy szczegół, zawarty w niniejszej pracy, tem jest niezbędniejsze, że materyały, tu zawarte, mogą posłużyć zapunkt wyjścia do pierwszego czynnego wystąpienia Warsz. Towarzystwa Hygienicznego w sprawach gospodarki szpitalnej.

Zawarte w niniejszej pracy materyały, zbierane przeze mnie z poważnych źródeł, oparte na licznych sprawozdaniach urzędowych, podzieliłem na 3 części.

W części pierwszej pragnęłem przedstawić krótki rys historyczny opieki nad umysłowo-chorymi w państwie rosyjskiem oraz zestawić postępy, jakie uczyniły inne narody w sprawie opieki nad obłąkanymi, i przytoczyłem wytyczne punkty z prawodawstw zagranicznych.

W części drugiej przedstawiam stan obecny opieki u nas oraz, na zasadzie zestawień cyfrowych, pragnę wyprowadzić odpowiednie wnioski.

W części trzeciej starałem się w bardzo krótkich słowach uwydatnić potrzebę opieki nad głuptasami i epileptykami.

Rzut oka na historyczny rozwój pielęgnowania obłąkanych.

„Jeżeli istnieje jaka poważniejsza różnica w sposobie rozwijania się psychiatryi w Polsce w porównaniu z Zachodem, to chyba ta, że prześladowanie czarownic wystąpiło u nas daleko później i że stosy płonęły mniej licznie, częściej podpalane rękami sprawiedliwości świeckiej, niżeli duchownej. Lecz z drugiej strony i racyonalna opieka nad obłąkanymi również o wiele później się rozwinęła, chociaż już w końcu zeszłego wieku dr. Perzyna, bonifrater, głosił podobne zasady, jak Pinel we Francyi". Tak mówi dr. Rothe w cennej swej pracy: „Rys dziejów psychiatryi w Polsce" (Pam. Tow. Lek. r. 1892).

W dawnej Polsce, jak zresztą wszędzie, opieka nad chorymi i niedołężnymi wchodziła w zakres obowiązków bogato uposażonych

klasztorów i probostw. Od r. 1519, kiedy wyszło prawo Zygmunta I wprowadzono jaką taką kontrolę nad spełnianiem włożonego na klasztory obowiązku, a lubo kontrola ta wydawać się nam może zby błahą i do celu nieprowadzącą, jednak przypuszczać należy, że w li cznych ówczesnnych klasztorach obłąkani znajdowali nie pomoc lecz opiekę.

Sprawa opieki nad chorymi wogóle poszła raźniej, gdy do Pol ski sprowadzono siostry miłosierdzia z zakonu Ś-go Wincentegi à Paulo, które dzięki hojności i opiece Maryi Ludwiki bardzo prędk rozwinęły swą działalność i zajęły wkrótce miejsce dozorczyn w ówczesnych klasztornych oddziałach szpitalnych.

Pomiędzy licznymi zakonami, które w regule swej miały obc wiązek opiekowania się chorymi, był zakon braci bonifratrów (Boni Fratelli), których w roku 1609 sprowadził do Krakowa Valesius Mon telupi de Mari; w roku 1650 założyli swój konwikt w Warszawie n Lesznie. Zakon bonifratrów należał do bardzo gorliwie zajmują cych się opieką nad chorymi i, o ile prawdę mówi podanie, najch tniej przyjmował chorych umysłowych. Bracia bonifratrzy, zmie niając w roku 1664 miejsce dla swego konwiktu (w miejscu dzisie szego Ogrodu Saskiego), utrzymywali stale 8 miejsc dla choryc I następne przenosiny zakonu, w roku 1728 na ulicę Bonifratersk nie wpłynęły jeszcze na powiększenie liczby łóżek szpitalnych, i d piero w r. 1760 dzięki ofiarności ks. Augusta Aleksandra Czartor skiego liczba łóżek wzrosła do 34.

W r. 1832 „Komisya Spraw Wewnętrznych" utworzyła „Rad główne opiekuńcze" dla całego Królestwa Polskiego i tym sposobe szpitale z pod opieki zakonów usunęła i wyznaczyła zarząd świeck który tworzył „Radę opiekuńczą szczegółową".

Szpital bonifraterski, zapewne w myśl projektu brata Perzy (od 1790 — 1793), skończonego lekarza, w r. 1795 wyłącznie zost przeznaczony dla chorych umysłowych. W roku 1830 liczbę łóż w szpitalu bonifraterskim powiększono do 80, i od tego czasu licz ta wzrastała stale: już w r. 1867 wynosiła 166, a po r. 1870 dosięg 200 miejsc, to jest tylu, a nawet więcej, niż obecnie szpital ten p mieścić może.

Szpital Ś-go Jana Bożego był zawsze wyłącznie przeznaczo dla obłąkanych mężczyzn, o opiece zaś nad obłąkanemi kobieta znajdujemy wzmiankę dopiero w r. 1754, gdy położono kamień w gielny pod budowę ogólnego szpitala Dzieciątka Jezus. Szpital te będący aż do r. 1839 pod zarządem zakonu OO. Misyonarzy, w r. 1775 miał cele i pokoje dla „głupich". W r. 1804 istniał pr

tym szpitalu oddział dla obłąkanych, w którym, jak wykazują dawne dokumenty, w roku 1805 pielęgnowano 19 obłąkanych (6 mężczyzn i 13 kobiet). Już w roku 1837 liczba kobiet obłąkanych w oddziale Szpitala Dzieciątka Jezus przechodziła setkę, a po r. 1870 dosięgła 200 miejsc etatowych, i stale przepełniony oddział ten istniał aż do zupełnego zniesienia z chwilą otwarcia szpitalu w Tworkach, gdzie umieszczono wszystkie obłąkane kobiety (220), dla nagłych zaś potrzeb Warszawy otworzono mały oddziałek (10 łóżek) dla chorych kobiet w szpitalu Ś-go Jana Bożego; oddział ten jednak skasowano, i obecnie mieszkańcy Warszawy w gwałtownych wypadkach nie mają możności pomieszczenia umysłowo-chorej kobiety.

W Warszawie nadto gmina żydowska w roku 1835 utworzyła w ogólnym swym szpitalu oddział dla obłąkanych dla 50 chorych (25 męż. i 25 kob.). Oddział ten, wiecznie przepełniony i nie odpowiadający elementarnym wymaganiom lecznictwa, także został zniesiony, a chorych umieszczono w nowowzniesionym oddziale na Czystem. Powiększonemu nieco (100 chorych) oddziałowi dla obłąkanych gmina żydowska zapewniła warunki dobre i obecnie drogą dobrowolnych ofiar stara się o wzniesienie obszernego oddziału dla idyotów i nieuleczalnych.

* * *

W guberniach Cesarstwa opieka nad umysłowo-chorymi pod wielu względami pozostawia wiele do życzenia; pomimo to w ostatniem dwudziestoleciu robi tak kolosalne postępy, że za wzór służyć mogą gubernie samorządne pod względem pojmowania obowiązków obywatelskich wobec chorych wogóle, a obłąkanych w szczególności.

W Rosyi od niepamiętnych czasów opieka nad chorymi i żebrakami należała do klasztorów; dopiero w XVII wieku car Teodor Aleksiejewicz rozkazał zborowi wyższego duchowieństwa dokonać po miastach segregacyi żebraków i chorych; dla pierwszych rozkazano utworzyć przytułki, dla drugich — szpitale. Niewypłacenie przez rząd przyobiecanych przez cara zapomóg rządowych stanęło, zdaje się, na przeszkodzie do urzeczywistnienia powyższego podziału.

Wzmiankę o obłąkanych znajdujemy dopiero w ukazie Piotra Wielkiego. Ukaz ten omawia tylko sposób opiekowania się majątkami „głupich” i sposób czerpania środków na utrzymanie „niezdolnych ani do nauki, ani służby”. Drugi (ukaz 6 gru-

dnia 1723 roku „o głuptasach") omawia sposób określania stopnia „niezdolności" w senacie, a dopiero ukaz z dnia 12 maja 1725 roku wyraźnie mówi: „furyatów odsyłać do klasztorów". Zdaje się jednak, że uszczuplone przez Piotra Wielkiego dochody klasztorne nie dały urzeczywistnić się poprzedniemu rozkazowi, i dopiero za panowania Piotra III myśl wielkiego reformatora wyraźniejszą przybrała postać. Piotr III, gdy przedstawiono mu raport w sprawie obłąkanych książąt Kozłowskich, własnoręcznie napisał: „obłąkanych nie do klasztorów odsyłać, lecz zbudować w tym celu specyalny budynek,—jak to zwykle w obcych państwach są zbudowane dołghauzy,— a zresztą niech tak będzie, jak ja chcę". Senat natychmiast zwrócił się do Akademii z zapytaniem, co to są za *dołghauzy*, a gdy się nie znalazł ani jeden członek akademii, któryby znał urządzenia zagraniczne, rozkazał Senat tymczasem kilku klasztorom przyjmować obłąkanych, jednego zaś członka Akademii wysłał zagranicę dla zbadania urządzeń. *Schletzer*, jego to bowiem wysłano, po powrocie przygotował projekt urządzenia oddziałów dla obłąkanych przy klasztorach, sprawa jednak dla różnych powodów poszła w odwłokę.

Nową erę w rozwoju opieki nad obłąkanymi stanowią dopiero czasy reformy gubernialnej, którą w roku 1775 zaprowadziła Katarzyna II. W rozkazie, dotyczącym obłąkanych, wyraźnie zaznaczono, że Prikazy Obszczestwiennago Prizrienija (Rady dobroczynności publicznej) „powinny w każdej gubernii wybudować „obszerny i ze wszech stron mocny dom dla obłąkanych, aby ucieczka z tego domu była niemożliwa". Wkrótce po wydaniu powyższego ukazu powstał w Nowgorodzie dom dla waryatów, a za nim zaczęły powstawać domy i w innych miejscach, tak, że w r. 1810 było już 14, a w drugiej połowie szóstego dziesiątka lat 43. Te „domy dla waryatów", będące pod bezpośrednim zarządem Rad gubernialnych dobroczynności publicznej, zyskały sobie smutną sławę, inaczej jednak być nie mogło, skoro i władze, i ogół patrzały na obłąkanych, jak na ludzi, do tego stopnia niebezpiecznych, że należało „domy dla waryatów" otaczać wartą wojskową. Dopiero Mikołaj rozkazał w roku 1832 straże wewnętrzne usunąć, zewnętrzne jednak pozostały aż do roku 1859, kiedy to wyszedł rozkaz cesarski, aby straże z ogrodów, podwórz i t. p. miejsc, otaczających domy dla chorych umysłowych, usunąć zupełnie. Dr. Schultz[1]) mówi, że rząd, do

[1]) Prizrienije pomieszannych w Rossii (Archiw sudiebnoj med. i obszczestw. gigieny, 1865, I).

konawszy w roku 1842 rewizyi domów dla obłąkanych, uznał je za wysoce nieodpowiednie i postanowił urządzić centralne domy zdrowia (jeden na kilka gubernii). Szczere jednak zamiary rządu nie mogły się ziścić wobec ciągłych nieporozumień i nadmiernych kosztów, jakie potrzebne były na ten cel, i jedynie szpital centralny dla obłąkanych w Kazaniu na 200 łóżek powstał w tej epoce.

I długo zapewne pędziliby obłąkani marny swój żywot w zakładach, utrzymywanych przez Rady gubernialne, gdyby nie reforma, nadająca samorząd ziemstwom gubernii wewnętrznych. Z chwilą wprowadzenia ziemstwa rozpoczyna się w Rosyi nowa epoka w życiu obłąkanych, epoka, zdaniem mojem, jeszcze nie zakończona i tem jaśniejsza, że na tem polu pracy społecznej widnieje taki postęp, że śmiało rzec można, iż, jeżeli nie zajdą nieprzewidziane przeszkody, jeżeli dotychczasowem tempem iść będzie staranie o zdrowie ludności, to gubernie samorządne za lat 50 staną na wysokości zadania, szczególniej, gdy wprowadzą pewne ulepszenia, o których poniżej pomówimy.

Nim jednak przejdziemy do naszkicowania rysu rozwojowego urządzeń, przedsiębranych przez ziemstwa, niech wolno nam będzie za Archangielskim przytoczyć kilka nader charakterystycznych zdań, które wypowiedziały organy samorządne o „domach dla waryatów”, utrzymywanych przez Rady gubernialne. W roku 1871 na zebraniu Ziemstwa twerskiego jeden z członków powiedział: „Prędzej zgodziłbym się, by chorzy umysłowo trzymani byli w klatkach, niż w tych warunkach, w jakich są obecnie”. Zjazd zaś lekarzy w r. 1873 „dom dla waryatów” ochrzcił mianem „zwierzyńca, w którym zwierzęta zamknięte i pozostawione są losowi”. Uprawa nowgorodzka przed zebraniem ziemskiem w roku 1865 wypowiedziała zdanie, że „obłąkani mieszczą się w takiej ciasnocie, iż pojęcia o tem nie może mieć ten, kto tego nie widział”; pokoje zaś dla chorych nazwano klatkami. Komisya Ziemstwa rjazańskiego nazywała pomieszczenie dla obłąkanych „aresztanckiem”. Główny lekarz szpitala tulskiego w roku 1872 skarży się, „że niema możności wykorzenienia bijatyk i kłótni wśród chorych, gdyż oprócz kaftana i rękawiczek innych urządzeń w zakładzie niema”. Spokojni rekonwalescenci i furyaci trzymani byli w jednym budynku na wspólnych salach. Jeszcze jaskrawiej maluje położenie obłąkanych w pierwszym roku swych rządów Ziemstwo pułtawskie: „Służba, zdaniem komisyi, obchodzi się z chorymi, jak ze stadem zwierząt, używając dla uspokojenia siły pięści. W zakładzie często słyszeć się daje: „chcę jeść”. Główny lekarz tego szpitala w raporcie swym wyra-

ził się, że „opieka dla obłąkanych jest haniebna”. Ziemstwo jednak określenie to uznało za zbyt delikatne. Ziemstwo taurychie uważało, że z obłąkanymi obchodziła się Rada gubernialna gorzej, niż z więźniami, o opiece zaś dla obłąkanych mówilo, że „obraża ono ludzkie uczucie”. Lekarze, którzy z entuzyazmem powitali czasy ziemskie, skarżyli się na to drugorzędne znaczenie, jakie posiadali za czasów gospodarki Rad gubernialnych: „główną osobą w szpitalu—mówi dr. Schultz—był intendent, lekarz mógł tylko zapisać receptę i wyjść”; dr. zaś Archangielskij dodaje: „Być może, iż utworzone przez Katarzynę II Rady dobroczynności publicznej osiągnęły zakreślony sobie cel, „by ucieczka z zakładu była uniemożliwiona”, posądzać je jednak o to, by się starały o wyleczenie chorych, w żaden sposób nie można”.

Z umysłu przytoczyliśmy te smutne głosy, które się obijały o uszy pierwszych wybrańców ziemskich, gdyż mimowoli na myśl przychodzi, że wiele z tych głosów moglibyśmy powtórzyć jeszcze teraz na widok urządzeń w szpitalu Ś-go Jana Bożego lub w oddziałach lubelskich.

W guberniach Cesarstwa, które do dziś dnia nie mają samorządu, skargi na straszne położenie obłąkanych słyszeć się dają bardzo często, jak o tem może się każdy przekonać z korespondencyi, zamieszczanych w pismach lekarskich (ob. np. list prof. M. Popowa z Tomska, „Obozrienije Psichiatrii”, 1900), a często i w prasie. Prawda, że narzekania pod adresem zakładów ziemskich dla umysłowo-chorych również nie są zjawiskiem rzadkiem, zachodzi jednak ta różnica, że tam gwałt podnoszą o złą opiekę, tu — o brak miejsca.

Ziemstwo, otrzymawszy w spadku po Radach gubernialnych dobroczynności publicznej „żółte domy”, jak ironicznie ludność zwała szpitale dla obłąkanych, przedewszystkiem musiały się zająć reformą istniejących zakładów w duchu humanitarnym. Pierwsze kroki ziemstwa skierowane być musiały nie ku powiększaniu lecznic, lecz ku zmianie bytu nieszczęśliwych chorych. Powiększanie zakładów specyalnych stało się koniecznością samo przez się, gdyż, jak widać ze ścisłego wykazu z całego szeregu lat, na 100 świeżo przyjętych chorych pozostaje w różnych zakładach od 3% do 24,3%, czyli każdy zakład po pewnym przeciągu czasu musi się koniecznie zapełnić przewlekłemi postaciami chorób. Z zestawienia wypada, że średni przyrost zapełniania się szpitalów dla obłąkanych wynosi —w ziemstwach: twerskiem — 21,8%, nowogrodzkiem—10,0, saratowskiem— 8,7, tambowskiem — 4,7, riazańskiem — 20,0, tulskiem, — 8,6, charkowskiem — 17,6, połtawskiem — 9,8, chersońskiem — 36,7, sym-

feropolskiem — 11,8, w okręgowym szpitalu kazańskim — 14,1, w szpitalu preobrażeńskim — 11,5, w przytułku dla obłąkanych pod Petersburgiem — 15,8.

Cyfry powyższe (z roku 1887) dają zaledwie przebłysk tego, co powinno być, gdyż wzięte są z lat najtrudniejszej reformy ziemskiej, gdy z jednej strony przyjmowanie chorych do przebudowywanych zaledwie lecznic było albo zupełnie wstrzymane, albo do *minimum* ograniczone. Wobec przepełnienia i ciężkich warunków materyalnych nic dziwnego, że w wielu ziemstwach niejednokrotnie pytano, „czy ziemstwo jest obowiązane leczyć swoich umysłowo-chorych, czy też powinno tylko dbać o opiekę nad nimi". Zdania były i są poniekąd do dziś dnia jeszcze podzielone, gdyż typu jednolitego w ziemskich zakładach dla umysłowo-chorych niema: obok wzorowych lecznic z przytułkami i koloniami roboczemi spotykamy zakłady, które o przyzwoite tylko utrzymanie nieszczęśliwców dbają, kładąc na drugim planie zabiegi lecznicze. Sprawiedliwość jednak wyznać każe, że typ drugi coraz więcej zanika, że ziemstwa w należytem zrozumieniu zadań nowoczesnej psychiatryi zamierzają i leczyć ostrych chorych i przytulać nieuleczalnych. Jak zwykle bywa, tak i w ziemstwach mniej lub więcej ociągano się z budową nowych zakładów, ociągano się zaś dlatego, że środków materyalnych brakło. Przypominania gubernatorów o rozkazie Senatu z roku 1878, by wszystkim umysłowo-chorym ziemstwa zabezpieczyły opiekę, miały ten skutek, że rząd musiał przyjść wielu ziemstwom z pieniężną pomocą. W r. 1879 rząd ogłosił, że 50% wydatków na urządzenie zakładów dla obłąkanych weźmie na własny rachunek, o ile ziemstwa będą wznosiły zakłady według zatwierdzonych przez rząd planów. Przynęta powyższa sprawiła wprawdzie, że ziemstwa z musu wykazywać zaczęły większą ruchliwość w opiece nad obłąkanymi, z drugiej jednak strony wprowadziła pewien szablon w sposobie wznoszenia budynków i w sposobie opiekowania się obłąkanymi. Przynęta owa, zdaniem naszem, miała ten jeszcze ujemny skutek, że wiele ziemstw, zamiast o własnych siłach dźwigać potrzebne urządzenia, długo bardzo prowadziły, a nawet jeszcze prowadzą, rokowania co do wysokości zapomogi rządowej. Szybkie przepełnianie się zakładów dla obłąkanych w wielu ziemstwach wysunęło na pierwszy plan pytanie, czy gubernialne, czy też powiatowe zarządy ziemskie winny się opiekować nieuleczalnymi; po długich debatach w większości ziemstw postanowiono, by dla każdego ziemstwa był jeden zakład centralny, któryby, oprócz ściśle leczniczego oddziału, posiadał oddział dla chorych, wymagających opieki, jak również ko-

lonie robocze dla tych, którzy, pomimo choroby, mogą pracować.

Myśl o koloniach roboczych powstała dopiero po roku 1875; początek tej nowej formie opieki dało Ziemstwo nowgorodzkie, za niem poszło twerskie i riazańskie, dzisiaj zaś niemal wszystkie ziemstwa są przekonane, że system kolonii jest najodpowiedniejszy i stosunkowo najtańszy. Za przykładem Ziemstwa twerskiego, które drogą spisu zapomocą organów samorządnych określiło, że mniej więcej jeden umysłowo-chory wypada na 1000 zdrowych, że na 1500 chorych należy mieć przynajmniej jeden zakład leczniczy o 400 miejscach, inne ziemstwa, zdaje się, dążą lub dążyć będą w tym kierunku.

Debaty nad pytaniem, czy nad nieuleczalnymi mają roztoczyć opiekę powiatowe urzędy samorządne, wyświetliły, że przytułki powiatowe, nie dające wybitnych korzyści, pociągnęłyby znaczne wydatki, których obecnie należy unikać tem bardziej, że opieka nad obłąkanymi nie dosięgła jeszcze wyżyn, do których zmierza. Nie dosięgła zaś wyżyn 1) dlatego, że dotąd głównie myśl w ziemstwach kierowano ku możliwemu zadośćuczynieniu licznym zapotrzebowaniom, przyczem popytu podaż nie pokrywa; 2) dlatego, że dotąd myślano tylko o obłąkanych, t. j. o ludziach z nabytem cierpieniem, o upośledzonych zaś od urodzenia na umyśle i o epileptykach jeszcze nie bardzo myślano. Troska o tę ostatnią kategoryę biedaków zaczyna już nurtować, jak to widać z nawoływań wielu lekarzy, gdyż tam, gdzie żywą polemikę toczą ludzie nauki o nader humanitarny system opieki nad obłąkanymi (patronage familial), miejmy nadzieję, że znajdą się ludzie, którzy gorąco w obronę wziąć potrafią ciężką dolę idyotów i epileptyków.

Nie mając pod ręką innych danych, musimy przytoczyć cyfry z roku 1886; sądzimy jednak, że dadzą one przybliżone przynajmniej wyobrażenie o tym postępie, jakie ziemstwa uczyniły w dziele opieki nad umysłowo-chorymi od czasu przejęcia zakładów z rąk Rad gubernialnych: w ciągu lat 20 powiększyło liczbę łóżek ziemstwo

twerskie	z 40	do	309,	co wynosi	7,7	razy	więcej
nowgorodzkie	„ 24	„	162	„	6.8		„
saratowskie	„ 50	„	145	„	2,9		„
tambowskie	„ 70	„	251	„	3,6		„
rjazańskie	„ 35	„	332	„	9.5		„
tulskie	„ 56	„	219	„	3,9		„
charkowskie	„ 60	„	288	„	4,8		„
połtawskie	„ 65	„	347	„	5,3		„
chersońskie	„ 32	„	278	„	8,7		„
symferopolskie	„ 19	„	251	„	13,2		„

Jak widać z powyższego zestawienia, ani jedno ziemstwo nie stanęło naówczas tak, by mogło zadośćuczynić najistotniejszym potrzebom, skoro nawet najbardziej troskliwe o zabezpieczenie leczenia swych obłąkanych w zakładzie Ziemstwo twerskie nie doszło do najmniejszej liczby miejsc, których ludność wymagała. Obecnie stosunki te znacznie się poprawiły, i wiele ziemstw dopięło przynajmniej tego celu, że każdy nowy kandydat znajduje opiekę zakładową.

Jeżeli porównamy wzrost miejsc szpitalnych u nas w tym samym okresie, to zobaczymy, że liczba łóżek etatowych od r. 1865 do 1886, a nawet 1900 wzrosła co najwyżej dla wszystkich 10 gubernii Królestwa Polskiego o 120 — 130 łóżek. Dopiero w roku 1891 otworzono szpital w Tworkach o 420 łóżkach etatowych, a że jednocześnie zniesiono oddział dla umysłowo-chorych kobiet przy Szpitalu Dzieciątka Jezus o 200 łóżkach etatowych i zamierzano znieść mały oddziałek przy szpitalu Ś-go Jana Bożego, liczba więc łóżek w rzeczywistości zwiększyła się o 220 czyli, że, zamiast 500 etatowo - posiadanych miejsc w szpitalach dla obłąkanych do roku 1891, od tego czasu mamy 720. Liczba ta dzięki dokonanym w Tworkach przeróbkom od r. 1895 zwiększyła się do 800.

Do roku 1890 posiadało Królestwo Polskie etatowych miejsc:

w Szpitalu Ś-go Jana Bożego.	200
w oddziale dla kobiet przy szpitalu D-tka Jezus	200
w szpitalu Żydowskim	50
w 2-ch oddziałach lubelskich.	50
Razem . .	500

Od roku zaś 1891 do 1895 posiadało:

w szpitalu w Tworkach	420
w szpitalu Ś-go Jana Bożego.	200
w szpitalu Żydowskim	50
w 2-ch oddziałach lubelskich.	50
Razem . .	720

Od roku 1895 do 1898 było o 80 miejsc więcej czyli 800;

od roku zaś 1898 o 50 miejsc więcej w szpitalu żydowskim, czyli 850.

Tak więc widzimy, że w ciągu ostatnich 20 lat liczba etatowych łóżek w szpitalach dla obłąkanych dla 10 gubernii Królestwa Polskiego wzrosła o 350 miejsc, t. j. powiększyła się zaledwie 1,7 razy, czyli nie powiększyła się nawet o tyle, by dorównać najwięcej

opieszałemu pod względem opieki nad umysłowo-chorymi Ziemstwu saratowskiemu.

Wszędzie używaliśmy dotąd wyrażenia „etatowa liczba łóżek”, to jest taka liczba, która odpowiadała najelementarniejszym wymaganiom hygienicznym, jakie przez władze były nakreślone dla szczególnego szpitala; przez to jednak nie chcieliśmy powiedzieć, żeby w każdym ze szpitali naszych tylko taka liczba była chorych, jaką etat przewidywał, gdyż, według urzędowych sprawozdań dnia 1 stycznia 1893 roku, w szpitalu w Tworkach pozostało chorych z poprzedniego roku 453, podczas gdy etat obejmował tylko 42 miejsc, w d. zaś 1 stycznia 1896 r. pozostawało w tym samym szpitalu z roku poprzedniego 546 chorych, a etatowych miejsc było tylko 500. Potrzeba zmusiła naturalnie do szukania dróg zbytu dla przepełniających specyalne szpitale chorych; postanowiono więc znaczną część chorych bezpłatnych ze szpitala Ś-go Jana Bożego odesłać do przytułku, przeznaczonego dla opuszczonych starców i kalek w Górze Kalwaryi. W tym celu przytułek ten małym nakładem rozszerzono i bezpłatnych spokojnych obłąkanych z Warszawy od r. 1895 zaczęto wysyłać do Góry Kalwaryi.

Drugim czynnikiem, który rozszerzał sztucznie ciasne mury specyalnych szpitalów, był rozkaz Rady miejskiej, by spokojnych chorych, wymagających tylko opieki, o ile można, oddawano rodzinom lub gminom. Dzięki tym zarządzeniom można było w szpitalu np. Ś-go Jana Bożego obok pozostałych z roku 1898 224 chorych przyjąć w ciągu r. 1899 jeszcze 173 nowych chorych, przy średnio przez jednego chorego przebytych 230 dniach szpitalnych. Gdyby zbytu chorych nie było, wtedyby wypadło, że w roku np. 1896 3.. chorych, przy średnim pobycie jednego chorego 230-dniowym, przebyć powinno 82,000 dni szpitalnych, przebyli zaś tylko około 73,000, t. j. o 3,000 dni więcej, niż etat przewidywał. Pomimo wypisywania chorych ze szpitali specyalnych już obecnie jest takie położenie, że na jedno miejsce, mające się opróżnić, czeka kilku kandydatów. Inaczej jednak być nie może wobec prostego rachunku, wynikającego z zestawienia cyfr sprawozdań urzędowych. I tak w roku 1892 w szpitalu w Tworkach było wszystkich chorych przez cały rok 631, wypisało się zaś tylko 132, zmarło 46; czyli tylko 28,.. ogólnej liczby chorych opuściło mury szpitalne, w r. 1895 procent wynosił 30,2, w r. 1896 — 26,9. Szpital zaś Ś-go Jana Bożego dzięki zwiększonemu zbytowi chorych i śmiertelności w tych samych latach dawał następujące odsetki: w r. 1892—30,5, w r. 1895—44,.. w r. 1896—44,6.

Przy obecnych przeto warunkach 2 główne szpitale, obsługujące niemal całe Królestwo Polskie, muszą się zapełniać przewlekłemi postaciami chorych i, jeżeli nawet przyjmują nowo-zgłaszających się, często robią to kosztem upośledzenia warunków bytu dla wszystkich pensyonarzów szpitala.

Dowodzić stałego braku miejsc w szpitalach dla obłąkanych nie mamy, zdaje się, potrzeby, o tem bowiem przekonywa każdego ta niepomierna liczba nieszczęśliwców, którzy, włócząc się po ulicach miast, po zaściankach miasteczek i osad, są przedmiotem naigrawania się bezmyślnej gawiedzi, o tem przekonywa smutny widok powiązanego powrozami biedaka, który z odmową tak często odchodzi od wrót szpitalnych, wreszcie ta wielka liczba przestępców, którzy dostają się do szpitala, ale już po wyroku, gdyż brak miejsca uniemożliwił rodzinie ochronić swoich od nieszczęścia, samego zaś osądzonego waryata od długiej i przykrej procedury sądowej.

Lecz nie tylko rodzaj cierpienia umysłowego z jego tendencyą do przejścia w stan przewlekły zmusza narody do zakładania coraz większej ilości nowych szpitalów, ale także nader szybki wzrost chorób i ustrój ekonomiczny. Że liczba obłąkanych wzmaga się stosunkowo bardzo widocznie, świadczy np. ten fakt, że we Francyi [1]) w ciągu 15 lat (od 1874 — 1889) liczba obłąkanych, a raczej liczba potrzebujących opieki w specyalnych zakładach, powiększyła się o 34,275 osób, czyli rok rocznie przybywało 2,285 chorych. We Włoszech stosunek przyrostu obłąkanych do przyrostu ludności wyraża się w cyfrach 15,14—1,84 : 100. W Niemczech potrzeba tworzenia nowych zakładów odczuwać się dawała oddawna, i dlatego państwa Rzeszy Niemieckiej nie szczędziły ani środków, ani starań, by sprawę opieki nad chorymi i upośledzonymi na umyśle doprowadzić do możliwej doskonałości. Poniższa tablica, wykazująca, na jaką liczbę ludności przypadało miejsce w specyalnych zakładach, najlepiej poucza o tym postępie, jaki Niemcy od roku 1852 uczyniły na tem polu.

Państwo Niemieckie	1852	1864	1874	1881	1890	1898
w Królestwie Pruskiem.	5350	2419	1803	1406	905	744
w prowincyi Brandeburskiej	3245	1758	1218	1070	600	695
„ Hannowerskiej	3181	1542	1201	1029	718	672

[1]) Ob. Rochard. Encyclopedie d'hygiène, 1897.

Państwo Niemieckie	1852	1864	1874	1881	1890	1898
w prowincyi Hessen-Nassauskiej . .	2829	1374	1330	994	683	496
„ Hohenzollernskiej . . .	6000	1219	1219	1185	940	707
„ Pomeranii	10235	6396	4589	1846	1188	719
w Księstwie Poznańskiem	12182	9791	7843	4263	2437	1218
Wschodnich Prusach. .	16021	4403	4152	3316	1775	731
Zachodnich Prusach . .				3813	1461	1076
Ziemi Reńskiej	3216	2713	1245	1104	754	701
Ziemi Saskiej	5365	3462	2596	1754	1220	823
Śląsku	6593	3298	2605	1887	1121	707
Szlezwig-Holsteinie . .	1895	1373	1039	1051	876	729
Westfalii	5385	2152	1894	1072	737	517
w Królestwie Bawarskiem	6019	1855	1663	1285	966	817
„ Saskiem	2519	1053	983	883	740	613
„ Wirtemberskiem . . .	6527	2427	1393	946	719	538
w W. Księstwie Badeńskiem	2316	1540	1540	1407	663	526
„ Hesseńskiem. . . .	2361	1280	1211	1064	920	693
„ Meklemburg-Szwerin	2017	1074	1075	876	704	656
„ Meklemburg-Strelitz .	10480	1253	1267	1453	974	883
„ Oldenburskiem . . .	3375	1146	1146	1429	1064	757
„ Sasko-Weimarskiem.	4266	1682	1536	1373	887	743
w Księstwie Szwarzburg-Sonderhausen	4833					
w Hrabstwie Sasko-Meiningen . .	5104					
„ Sasko-Koburg-Gotha .	7764	2363	2198	1579	1126	1000
w Księstwie Schwarzburg-Rudolstadt.	2413					
w Hrabstwie Sasko-Altenburg . . .						
w Księstwie Reuss młodsz. lin. . . .	1828	1309	1308	1077	1038	1228
„ „ starsz. lin. . . .						
w Hrabstwie Anhalt.	3083	1407	1407	965	501	754
„ Brunszweig	4427	1857	1187	801	622	579
w Księstwie Lippe	1472	915	910	1045	578	517
w Hamburgu	339	511	427	348	310	318
w Bremie	3576	1110	930	1291	546	677
w Lubece	1376	532	532	662	525	596
w Alzacyi i Lotaryngii	—	1825	1299	850	683	628
Jedno miejsce szpitalne wypadało na.	—	1934	1561	1308	843	688

Jeszcze większe postępy czyni Szwajcarya, gdyż, jak widać z poniżej przytoczonego wykazu, miejsce zakładowe wypadało

w kantonie	1864	1874	1881	1890	1898
Aargau.	795	795	464	349	234
Bazel	567	568	516	545	442
Bazylea (miasto)	604	472	623	295	273
Bern.	1354	1019	1172	977	503
Freiburg	—	—	1030	781	687

w kantonie	1864	1874	1881	1890	1898
St. Gallen	798	750	704	679	367
Genewa.	678	686	949	667	512
Graubünden	2803	2834	2878	2092	374
Lucerna	—	—	474	353	330
Neuchatel	788	789	810	886	378
Solura	374	374	414	389	226
Thurgau	341	294	275	272	186
Waad	906	804	643	556	468
Zurich	476	465	344	270	192

I sąsiednia Austrya, jak widać z zestawienia Laehr'a i Sewald'a [1]), skąd czerpałem i powyższe dane, stosunkowo znaczne robi postępy, gdyż tam jedno miejsce zakładowe wypadało w roku:

	1852	1864	1874	1881	1890	1898
Czechy	9311	4356	4183	3597	2137	1653
Karyntya . . .	10625	8786	8786	2117	1469	1328
Austr. Küstenland	4166	4166	4166	6785	6360	6658
Morawy	19584	4748	4748	4612	2963	1809
Dolna Austrya .	2163	1492	1304	1244	1191	989
Górna Austrya .	6316	2750	2750	2211	1665	1721
Salzburg. . . .	9506	3291	3291	3591	4306	1911
Śląsk	—	9682	9682	9016	4773	1614
Styrya	5815	4198	4198	2113	1241	905
Tyrol	6250	3104	3103	2432	1423	1440

Jeżeli uczucie humanitarne w sprawie urządzenia racyonalnej opieki nad umysłowo-chorymi i upośledzonymi na umyśle ma wielkie znaczenie w powiększaniu liczby i doskonaleniu zakładów specyalnych, nie mniej ważnym czynnikiem jest wzgląd ekonomiczny, który powinien być brany w rachubę, gdy mowa o dźwignięciu nowych zakładów. Opieka nad umysłowo-chorymi należy do tych zagadnień, które wymagają, oprócz poświęcenia, wielkiej znajomości psychologii ludzkiej. Każdy widział zapewne ten paniczny strach na obliczu otoczenia, który maluje się na widok bezmyślnych, często nawet niewinnych czynów chorego, każdy, bo nawet najwytrawniejszy psychiatra, uczuwa lęk, zbliżając się do opanowanego wi-

[1]) Die Heil und Pflege-Anstalten für psychisch Kranke des deutschen Sprachgebietes. Berlin, 1899.

dziadłami furyata, gdyż przewidzieć nie może, co go czeka ze strony człowieka, który poczytalnym nie jest. Ten, kto musiał spędzić jedną noc w jednem z obłąkanym pomieszkaniu, wie dobrze, ile sił fizycznych i moralnych noc taka pochłania, wie dobrze, że produkcyjność pracy jego następnych dni zmniejsza tę o połowę, jeżeli nie o więcej. Świadomy moralnej odpowiedzialności za czyny chorego syna w pocie czoła pracujący rzemieślnik może ocenić, ile stracił pod względem materyalnym, zanim mógł umieścić obłąkanego w szpitalu.

Nawet najspokojniejszy chory w domu to wieczna troska dla otoczenia, które, bądź co bądź, pomimo przeświadczenia o nieszkodliwości obłędu drżeć musi, by jakiś wybryk nie nastąpił. Znając trudne warunki, w jakich odbywać się musi opieka nad obłąkanym w warunkach domowych, śmiało rzec możemy, że więcej, niż drugie tyle, ilu jest obłąkanych poza zakładem, ludzi zdrowych pracować nie może. Społeczeństwo, które nie myśli o pielęgnowaniu obłąkanych, traci ekonomicznie nie tylko tyle, ile warta byłaby praca jednostek zdrowych, lecz traci jeszcze dwa razy więcej, odciągając od pracy liczbę zdrowych osobników, które dozorowaniem chorego zająć się muszą. Jeżeli bowiem dozoru tego brak, zagrody całe z dobytkiem martwym i żywym idą częstokroć z dymem pożaru, życie ludzi pełnych energii często skazane jest na zagładę. Z braku należytej opieki nad obłąkanym wypływa i inna jeszcze strata materyalna; wiadomo, że często bardzo chory przechodzi w stan przewlekły dlatego tylko, że od początku cierpienia nie był leczony. Przewlekły zaś stan choroby umysłowej to perspektywa długich lat utrzymywania chorego w zakładzie. Obliczając na pieniądze tę okoliczność, należy przypuścić, że społeczeństwo zbyt drogo płaci za niezaradność na polu opieki nad swymi obłąkanymi.

Powyższe względy (moralne i ekonomiczne) wpłynęły, że w rodzinnym kraju Pinel'a, skąd wyszło hasło oswobodzenia obłąkanych z oków, o racyonalnej opiece nad umysłowo-chorymi zaczęto przemyśliwać w pierwszej połowie zeszłego stulecia. Prawo z roku 1838 postawiło we Francyi opiekę nad umysłowo-chorymi na tej wysokości, na jakiej z małemi zmianami trzyma się ona dotąd.

Prawo to orzekło, że każdy departament powinien mieć albo swój własny zakład dla chorych umysłowych, albo też powinien się porozumieć z zakładem prywatnym w sprawie przyjmowania chorych. Komisya, wyznaczona do przejrzenia prawodawstwa z roku 1838, uznała zakłady prywatne za nieodpowiednie do przyjmowania chorych danego departamentu i poleciła w r. 1882 tym departamen-

tom, które swoich zakładów nie posiadały, niezwłoczne przystąpienie do wzniesienia odpowiednich lecznic. Wyżej przytoczona komisya orzekła również, że wznoszenie oddziałów psychiatrycznych przy szpitalach ogólnych uważane być winno za nieodpowiednie i dla lecznictwa obłąkanych szkodliwe. Dzięki materyalnemu poparciu rządu najbiedniejsze nawet departamenty mają już dziś swoje zakłady, i w obecnej chwili we Francyi jest 51 zakładów dla chorych umysłowych o 35,022 miejscach (na 55 departamentów); niezależnie od tego istnieje jeden szpital narodowy (Charenton) o 610 miejscach, 15 oddziałów psychiatrycznych przy ogólnych szpitalach, 17 przytułków prywatnych, przyjmujących chorych ogólnych i 28 prywatnych domów zdrowia. W 112 przeto zakładach, wyłącznie dla chorych umysłowych przeznaczonych, w roku 1888 we Francyi znalazło pomieszczenie 55,713 obłąkanych. Nie wszyscy jednak obłąkani mogą i we Francyi znaleźć pomieszczenie w szpitalach i przytułkach, gdyż, jak wykazuje ścisła statystyka, w r. 1876 przy ogólnej ludności Francyi, wynoszącej 36,905,788 osób, było obłąkanych 82,873, — z tej liczby w zakładach było 42,986 osób, w domach zaś prywatnych 39,887 osób. Obłąkani ostatniej kategoryi składają się przeważnie z głuptasów (31,956) i są albo pod opieką rodziny, albo też pod opieką t. zw. „Sociétés de patronage", których zadaniem jest roztaczać opiekę z jednej strony nad chorymi zdrowiejącymi, z drugiej zaś utrzymywać kontrolę nad bytem tych chorych spokojnych, którzy są oddawani za pewną opłatą po wsiach rodzinom włościańskim.

Nowe prawodawstwo francuskie wprawdzie dość niejasno orzeka, że do zakładów dla umysłowo-chorych powinni być przyjmowani tylko ci chorzy, których leczyć potrzeba, chorzy zaś nieuleczalni, głuptasi i epileptycy powinni być umieszczani w *ad hoc* urządzanych przytułkach i koloniach, a wreszcie wśród rodzin wiejskich. Niezależnie od tego prawodawstwo to orzeka, że podsądni, podlegający badaniu psychiatrycznemu, powinni mieć zakłady specyalne, ci zaś, którzy uwolnieni zostali od kary wskutek popełnienia przestępstwa w napadzie choroby umysłowej, trzymani być winni również w specyalnym domu zdrowia.

Na innem miejscu rozpatrywane będą szczegóły prawodawstwa francuskiego, określające kontrolę nad sprawnością urządzeń dla umysłowo-chorych; dodać winienem, że, chociaż nie wszystkie te urządzenia znalazły już zastosowanie, to jednak koszt utrzymania obłąkanych we Francyi jest bardzo znaczny, wynosił

bowiem w r. 1885 bez mała 20,000,000 franków. Na pokrycie tych kosztów składały się następujące pozycye:

Rząd płacił	97,073	franków
Rodziny za leczenie chorych . . .	1.403,398	„
Gminy za swych chorych	5,722,735	„
Dochód za wyroby chorych . . .	344.562	„
	12,185,265	„

zaś pokrywały z funduszów własnych departamenty.

W Anglii, gdzie troskliwość o obłąkanych dochodzi do tego stopnia, że prawodawstwo pozwala organom rządu, do tego celu wyznaczonym, wglądać w prywatne życie swych obywateli, opieka nad chorymi umysłowo sięga czasów dawnych i w obecnej chwili przedstawia się pod postacią organizacyi następującej: każde hrabstwo i miasto samorządne posiada swój własny zakład; w zakładach tych znajduje miejsce więcej, niż połowa, wszystkich obłąkanych. Wielkie znaczenie w dziele opieki nad obłąkanymi odgrywają w Anglii t. zw. „Workhouses" czyli towarzystwa zarobkowe, które posiadają swe własne przytułki dla chorych spokojnych. Oprócz tego istnieją dwa zakłady rządowe i wiele szpitali prywatnych i domów zdrowia, gdzie przyjmowani są wyłącznie chorzy umysłowi. Wielkie również zastosowanie, szczególniej w Szkocyi, znalazły t. zw. „Patronage familiale".

W r. 1876 w Anglii było 71,399 obłąkanych; z tej liczby:

40,088	znalazło miejsce	w przytułkach hrabstw i miast (41);
2,831	„ „	w szpitalach prywatnych (4);
4,549	„ „	w domach zdrowia (99);
811	„ „	w zakładach rządowych (2);
16,464	„ „	w przytułkach Tow. zarobkowych (580);
468	obłąkanych	znalazło opiekę w domach prywatnych (patronage);
5,980	„	biednych leczyło się w domu pod opieką Tow. opieki nad biednymi (Poor Law Board);
208	ubezwłasnowolnionych	chorych było pod opieką swych krewnych.
71,399		

Jak widać z powyższego zestawienia, wszyscy bez wyjątku chorzy w Anglii znajdują odpowiednie pomieszczenie, o wszystkich bez wyjątku myśli społeczeństwo i państwo. Aby dojść do takiej doskonałości, trzeba było wytworzyć organy, kontrolujące i opiekujące się, trzeba było poświęcić znaczne fundusze na to, by chorym było dobrze. Anglia nie poskąpiła na ten cel grosza, wyposażając swych urzędników, których zadaniem jest roztaczać opiekę nad by-

tem i majątkiem obłąkanych, nader szczodrze, gdyż lekarze i prawnicy w liczbie 6-ciu, wchodzący w skład głównego biura, pobierają pensyę od 37,500 do 50,000 franków każdy. W Anglii, podobnie jak i we Francyi, dla epileptyków i głuptasów istnieją odrębne zakłady. W Anglii samej „Patronage familial" nie dosięgnął wielkich rozmiarów, w Szkocyi zato znalazł szerokie zastosowanie.

W cesarstwie niemieckiem, gdzie prawodawstwo co do obłąkanych nie jest tak szczegółowe, opieka nad chorymi jest rozwinięta bardzo znacznie. Każda prowincya posiada tam jeden wielki zakład, wzniesiony dużym kosztem, że wspomnę np. o fakcie: po 1870 roku wzniesiono w prowincyach nadreńskich 5 dużych zakładów, które kosztowały przeszło 12,000,000 marek. Obecnie prowincye te na powiększenie i wzniesienie nowych zakładów wyznaczyły 8,500,000 marek.

Poniższe tablice*) najlepiej uwidoczniają, jak stoi sprawa opieki nad umysłowo chorymi w Niemczech, w prowincyach państwa austryackiego (gdzie język niemiecki panuje), wreszcie w większej części kantonów szwajcarskich. Zestawienie poniższe odnosi się do r. 1898, jest przeto pod wielu względami bardzo pouczające.

Taki stan opieki nad umysłowo chorymi, który my nazwalibyśmy świetnym, nie zadawalnia Niemców, gdyż w prasie niemieckiej specyalnej często zdarza się czytać narzekania na brak miejsca w zakładach. Podobne narzekania nam wydać się muszą ironią, gdyż trudno mówić o niedostatecznej opiece np. w królestwach Saskiem i Bawarskiem, gdzie przy 9½ miliona ludność posiada 42 zakłady specyalne, obsługiwane przez 100 lekarzy i mogące pomieścić 12,457 chorych. Jakże mizernie my wyglądać musimy, skoro przy 9-cio przeszło milionowej ludności posiadamy 12 tylko zakładów i przytułków (wliczone są w to wszystkie prywatne domy zdrowia), obsługiwanych przez 24 lekarzy i mogących pomieścić co najwyżej 1,274 chorych.

Statystyki, podającej dokładną liczbę obłąkanych lub na umyśle upośledzonych, w państwie rosyjskiem niema. Próby, dokonywane przez urzędy ziemskie, wykazały, że 1 chory wypada na 1,000 zdrowych mieszkańców (Ziemstwo twerskie). Powyższe jednak dane należy brać z pewnem zastrzeżeniem, 1) dlatego, że, wogóle mówiąc, statystyka lekarska, nie przez lekarzy zbierana, zawsze posiada wiele braków, 2) dlatego, że do powyższej statystyki niewiadomo, czy są wliczeni epileptycy i idyoci, nad którymi przecie należy

*) Patrz niżej.

PAŃSTWO NIEMIECKIE.

Składowe części RZESZY NIEMIECKIEJ	Liczba mieszkańców	Zakłady publiczne			Zakłady prywatne			Publiczn. i pryw. zakł.			Na 100,000 mieszkańców wypada chor. w zakł.
		Ilość	Lekarzy	Miejsc dla chorych	Ilość	Lekarzy	Miejsc dla chorych	Ilość	Lekarzy	Miejsc dla chorych	
Królestwo Pruskie	31,855,470	77	308	30,026	79	132	12,743	156	440	42,769	129
Brandenburg	2,821,695	6	24	3,211	10	249	844	16	53	4,055	144
Hannower	2,422,020	5	21	2,225	6	8	1,374	11	29	3,599	149
Hessen-Nassau	1,756,802	6	25	2,878	6	7	668	12	32	3,546	196
Hohenzollern	65,752	1	2	93	—	—	—	1	2	93	140
Pomorze	1,574,147	5	16	1,293	2	6	894	7	22	2,197	330
Poznańskie	1,828,658	4	13	1,483	1	1	18	5	14	1,501	81
Prusy Wschodnie	2,006,689	3	15	1,882	2	3	860	5	18	2,742	137
Prusy Zachodnie	1,494,360	4	13	1,396	—	—	—	4	13	1,396	82
Prowincya Reńska	5,106,002	12	37	4,229	24	38	3,033	36	75	7,262	142
Prowincya Saska	2,698,549	5	28	2,699	3	5	566	8	33	3,265	121
Śląsk	4,415,309	13	42	4,923	11	19	1,319	24	61	6,242	141
Szlezwig-Holstein	1,286,416	4	11	1,468	7	8	297	11	19	1,765	136
Westfalia	2,701,420	5	17	2,242	7	18	2,880	12	35	5,220	189
Królestwo Bawarskie	5,818,544	13	53	5,973	8	12	1,264	21	65	7,237	124
Królestwo Saskie	3,787,688	12	54	5,913	9	8	263	21	62	6,176	163
Württemberg	2,081,151	5	25	1,703	10	16	2,133	15	41	3,866	185
W. Księstwo Badeńskie	1,725,464	7	31	2,769	3	4	508	10	35	3,277	189
Hessen	1,039,020	4	19	1,497	—	—	—	4	19	1,497	134
Mecklemburg-Schwerin	597,436	4	9	910	—	—	—	4	9	910	169
Mecklemburg-Strelitz	101,540	1	1	117	—	—	—	1	1	117	115
Oldenburg	373,739	2	3	422	1	1	73	3	4	495	132
Sachsen-Weimar.	339,217	2	7	524	2	2	37	4	9	561	134
Schwarzb.-Sondershausen	78,074										
Sachsen-Meiningen	234,005	1	4	538	—	—	—	1	4	538	99
Sachsen-Koburg-Gotha	216,003										
Ks. Schwarzb.-Rudofstadt	88,685										
Sachsen-Altenburg	180,313	1	3	309	—	—	—	1	3	309	81
Reuss (starsza linia)	132,130										
Reuss (młodsza linia)	67,468										

Składowe części RZESZY NIEMIECKIEJ	Liczba mieszkańców	Zakłady publiczne			Zakłady prywatne			Publiczn. i pryw. zakł.			Na 100,000 mieszkańców wypada chor. w zakł.
		Ilość	Le-karzy	Miejsc dla chorych	Ilość	Le-karzy	Miejsc dla chorych	Ilość	Le-karzy	Miejsc dla chorych	
Anhalt	293,298	2	4	389	—	—	—	2	4	389	132
Brunświk	434,213	1	4	471	2	2	278	3	6	749	172
Ks. Lippe	134,854	1	2	162	1	1	99	2	3	261	195
Hamburg	681,632	2	8	1,550	2	2	587	4	10	2,137	313
Brema	196,404	1	2	230	2	2	60	3	4	290	148
Lubeka	83,324	1	2	138	—	—	—	1	2	138	166
Alzacya i Lotaryngia	1,640,986	5	20	2,446	1	1	165	6	21	2,611	159
Miasto Berlin	1,667,304	4	43	3,254	—	—	—	4	43	3,254	191
Ogółem w Rzeszy Niemieckiej .	**52,279,901**	**142**	**559**	**55,877**	**120**	**182**	**18,210**	**262**	**741**	**74,087**	**154**

KANTONY **SZWAJCARYA.**

KANTONY	Liczba mieszkańców	Zakłady publiczne Ilość	Le-karzy	Miejsc dla chorych	Zakłady prywatne Ilość	Le-karzy	Miejsc dla chorych	Publiczn. i pryw. zakł. Ilość	Le-karzy	Miejsc dla chorych	Na 100,000 mieszkańców wypada chor. w zakł.
Aargau	193,560	1	4	617	2	2	209	3	5	826	422
Appenzell	66,997	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
Bazylea (kanton)	61,941	1	2	140	—	—	—	1	2	140	227
Bazylea (miasto).	73,749	1	4	248	1	1	22	2	5	270	366
Bern	536,679	2	8	906	5	5	159	7	13	1,065	200
Freiburg	119,155	1	2	173	—	—	—	1	2	173	145
St. Gallen	228,174	2	5	620	—	—	—	2	5	620	271
Genewa	105,509	1	2	186	1	1	20	2	3	206	196
Glarus	33,825	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
Graubünden	94,810	2	2	253	—	—	—	2	2	253	268
Lucerna	135,360	1	2	407	—	—	—	1	2	407	301
Neuchâtel	108,153	2	5	270	1	1	16	3	6	286	250
Schaffhausen	37,783	1	2	155	—	—	—	1	2	155	418
Schwyc	50,307	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
Solura	85,621	1	2	285	1	1	50	2	3	335	394
Tessin	126,751	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—

KANTONY	Liczba mieszkańców	Zakłady publiczne			Zakłady prywatne			Publiczn. i pryw. zakł.			Na 100,000 mieszkańców wypada chor. w zakł.
		Ilość	Lekarzy	Miejsc dla chorych	Ilość	Lekarzy	Miejsc dla chorych	Ilość	Lekarzy	Miejsc dla chorych	
Thurgau	104,678	2	3	433	2	2	133	4	5	566	544
Uri	17,249	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
Oberwalden	15,043	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
Niederwalden	12,538	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
Waad	247,655	1	3	467	2	2	61	3	5	528	213
Zurich	337,183	3	7	1,252	5	5	454	8	12	1,708	507
Wallis	105,509	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
Zug	23,029	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
Ogółem w Szwajcaryi	**2,917,754**	**22**	**52**	**6,364**	**20**	**20**	**1,124**	**42**	**72**	**7,488**	**201**

AUSTRYA.

PROWINCYE	Liczba mieszkańców	Ilość	Lekarzy	Miejsc dla chorych	Ilość	Lekarzy	Miejsc dla chorych	Ilość	Lekarzy	Miejsc dla chorych	Na 100,000
Czechy	6,021,639	4	26	3,571	1	1	72	5	27	3,643	60
Karyntya	368,255	1	2	247	—	—	—	1	2	247	67
Küstenland	719,073	1	3	108	—	—	—	1	3	108	15
Austrya niższa	2,860,889	6	44	2,666	4	12	226	10	56	2,892	108
Salzburg	179,713	1	2	94	—	—	—	1	2	94	52
Śląsk	634,324	1	3	393	—	—	—	1	3	393	62
Styrya	1,324,009	3	11	1,303	1	1	160	4	12	1,463	110
Tyrol	938,677	3	8	651	—	—	—	3	8	651	61
Morawy	2,352,470	2	14	1,303	—	—	—	2	14	1,303	55
Austrya wyższa	810,601	1	3	529	—	—	—	1	3	529	64
Ogółem w powyższych prowinc.	**16,109,650**	**23**	**116**	**10,865**	**6**	**14**	**458**	**29**	**122**	**11,323**	**64**

roztoczyć opiekę. Do jakiego stopnia statystyka, przez pisarzów gminnych podawana, jest bałamutna, świadczy np. taki fakt: na szematach, rozesłanych do wójtów gmin z zapytaniem, ilu jest w gminie obłąkanych, ilu epileptyków, ilu głuptasów (terminologia użyta była, o ile można, dostępna do pojęć włościan), bywały takie odpowiedzi: w rubryce — ile gmina posiada mieszkańców — odpowiedź 1,562 — ilu jest głuptasów — odpowiedź — 1,284.

Wobec takiej statystyki o liczbie ludzi, którzy wymyagają specyalnej opieki, sądzić możemy tylko w przybliżeniu przez porównanie ze statystycznemi danemi zagranicy.

We Francyi [1]	1 obł.	lub	uposl.	na um.	wypada	na 444	zdrow.
W Ces. Niemieckiem [2] .	1	„	„	„	„	na 448	„
W Belgii [3]	1	„	„	„	„	na 676	„
W St. Zjednoczonych [4].	1	„	„	„	„	na 540	„
W Szkocyi	1	„	„	„	„	na 542	„
W Anglii wraz z Irland.[5]	1	„	„	„	„	na 526	„
W Szwajcaryi [6] . . .	1	„	„	„	„	na 300	„

Dr. Rothe [7]) drogą porównania z innemi państwami dochodzi do wniosku, że w Królestwie Polskiem 1 obłąkany wypada na 1000 zdrowych i że wszystkich umysłowo-chorych jest około 7,500.

Pasternackij [8]), czerpiąc swe wiadomości ze sprawozdań inspektorów urzędów lekarskich, podaje następujące cyfry:

W GUBERNII	Przybliżona liczba umysłowo chorych	Jaka część chorych znajduje opiekę zakł.
Warszawskiej	1,300	$^1/_3$
Kaliskiej	774	0
Kieleckiej	622	0
Łomżyńskiej	538	0
Lubelskiej.	860	$^1/_{19}$
Piotrkowskiej	837	0
Płockiej	538	0
Radomskiej	644	0
Siedleckiej	622	0
Suwalskiej	603	0

[1]) Według wyliczenia Luniera w r. 1876. [2]) w r. 1871. [3]) w r. 1881. [4]) w r. 1880. [5]) w r. 1880. [6]) w r. 1898.

[7]) K istorii i statistikie duszewno-bolnych w Carstwie Polskom (Trudy I-o sjezda otieczestwiennych psichijatrow, 1887).

[8]) K woprosu o domach liszonnych w Rossii (Trudy etc.).

Według Pasternackiego przeto przed rokiem 1886 było w Kró lestwie Polskiem 7,338 umysłowo - chorych, a zaledwie 0,35% mogli znaleźć jaką taką opiekę zakładową. Gdybyśmy przypuścili, że cy- fry, podane w sprawozdaniu Pasternackiego są zupełnie dokładne i gdybyśmy przyjęli, że normalny przyróst ludności Królestwa Pol skiego wynosi tylko 2,2 (patrz prace Warsz. Komitetu Statystycz nego), wtedy należałoby przypuścić, że w roku 1899 ludność 10 gub Królestwa Polskiego wynosiła 9,810,000 osób. Ponieważ w tym czasie mieliśmy wszystkich miejsc zakładowych 1,274, przeto % cho rych, którzy znaleźli opiekę zakładową, mógł wynosić mniej więcej 6,4%.

Według zestawienia Pasternackiego, wszystkie gub. Króle stwa Polskiego razem wzięte w r. 1887 zajmowały ostatnie miejsce pod względem opieki nad umysłowo - chorymi w porównaniu z po szczególnemi guberniami Cesarstwa rosyjskiego (w sprawozdaniu Pasternackiego pominięto tylko Finlandyę, Kaukaz i Azyę). Od tego czasu sprawa opieki nad obłąkanymi u nas posunęła się coko wiek, nie dorównała jednak nawet $^{1}/_{10}$ części tego, co pod tym względem zdziałano w ziemskich, a nawet nieziemskich guberniach Cesarstwa.

O ile mamy prawo wnosić z zestawień, które porobiły zacho dnio-europejskie państwa, wyliczenia Rothe'go i Pasternackiego (obłąkany na 1,000 zdrowych) o tyle są w przybliżeniu słuszne, o ile wyżej wymienieni badacze mieli na myśli wyłącznie tylko umysło wo-chorych, upośledzonych zaś na umyśle i epileptyków do swe statystyki nie wliczali. Mówimy: w przybliżeniu, gdyż w rzeczywi stości $1^{0}/_{00}$ stanowi odsetkę zbyt umiarkowaną, nawet gdybyśmy ze stawili więcej do prawdy zbliżone dane statystyczne, które były ju przedsiębrane w niektórych guberniach Cesarstwa. I tak, zapomocą ściśle zorganizowanej ankiety dr. Bażenow, zasłużony pionier no wych idei na polu pieczy o obłąkanych, przychodzi do wniosku, ż

w ziemstwie Riazań.	na 1,000	zdrowych	wypada	3	obłąk.
w gub. Kurland. .	. na 400	,,	,,	1	,,
w gub. Lifland. .	. na 884	,,	,,	1	,,
w gub. Perms. .	. na 1,085	,,	,,	1	,,
w gub. Ufim. . .	. na 788	,,	,,	1	,,
w gub. Estland. .	. na 530	,,	,,	1	,,

W Królestwie Polskiem, gdzie ludność żydowska, która, ja wiadomo, daje znacznie większą, niż inne narody, odsetkę umysłowo chorych lub na umyśle upośledzonych, wynosi 13,9% ogółu ludności

liczba obłąkanych musi być dosyć znaczna i daje conajmniej stosunek 1 : 800.

Zamierzając w niniejszej pracy przedstawić obraz opieki nie tylko nad umysłowo-chorymi, lecz i nad upośledzonymi na umyśle i nad epileptykami, których liczba jest dosyć pokaźna, sądzę, że nie bardzo się omylimy, jeżeli przypuszczać będziemy, że w Królestwie Polskiem 1 chory lub upośledzony na umyśle wypada na 500 zdrowych mieszkańców. Trzymając się tego stosunku i chcąc być ścisłym, należałoby dla gubernii, gdzie ludności żydowskiej skupia się więcej, wyliczyć i większy % chorych, wymagających specyalnej opieki, nie będziemy jednak tego czynili, gdyż wglądanie w te szczegóły nie może mieć wielkiego wpływu na ostateczne nasze wnioski. Pominąć musimy i drugi szczegół, polegający na tem, że, jak wykazuje statystyka zagraniczna, liczba obłąkanych w miastach jest większa, niż we wsiach. Według statystyki urzędowej w Królestwie Polskiem są

2 miasta	liczące więcej, niż	300.000	mieszkańców
4 ,,	,, od	20.000 — 50.000	,,
22 ,,	,, od	10.000 — 20,000	,,
60 miast i 13 os.	od	5,000 — 10.000	,,
19 miast i 72 os.	od	3.000 — 5,000	,,
7 miast i 218 os.	od	1,000 — 3,000	,,
i 50 osad	mniej. niż	1.000	,,

Życie ludności mniejszych miast i osad mało się różni od warunków bytu wiejskiego, przeto przypisywać temu bytowi więcej momentów przyczynowych nie mamy prawa. Z tych względów przeto w wyliczeniach swoich uwzględniać będziemy tylko wielkie miasta i większe ogniska przemysłowe, które mogą mieć wpływ na powstawanie większej liczby zachorzenia. W miejscowościach 2 pierwszych kategoryi nie popełnimy błędu, jeżeli przypuścimy, że % obłąkanych jest nieco większy i zamiast 0,125% wynosi 0,15%. Za to w miejscowościach ostatniej kategoryi musi być mniej upośledzonych na umyśle i epileptyków, którzy w ogniskach wzmożonego zarobkowania nie mieliby co robić. Przyjmując przeto, że % obłąkanych wynosi średnio 0,125% (1 na 800 zdrowych), a umysłowo upośledzonych i epileptyków 0,075% (1 na 1,400 zdrowych), przypuścić mamy prawo, że przybliżona liczba osób 1-ej i 2-ej kategoryi, zgodnie ze spisem ludności, zawartym w XI zeszycie prac Warsz. Komitetu Statystycznego, po doliczeniu naturalnego przyrostu ludności wynosić będzie w guberniach:

	Ludność w r. 1893 według XI zesz. prac Warsz. K. St	Przyrost naturalny roczny	Ludność w roku 1899	% obłąkanych według którego obliczano	Ogółem obłąkanych	% upośl. i epil. według którego obliczano	Ogółem upo-śled. [illegible]
miasto Warszawa . .	501,021	4,3	522.764	0,15	784	0,05	261
gub. Warsz. bez Warsz.	1,066,745	2,7	1,268,340	0,125	1,585	0,075	951
„ Kaliska	871,866	2.0	976,490	„	1,220	„	73[illegible]
„ Kielecka	720.502	1.0	763.732	„	954	„	57[illegible]
„ Łomżyńska . . .	630,400	1.5	687.136	„	858	„	51[illegible]
„ Lubelska	1,067.165	2,4	1.220,836	0.15	1,526	„	91[illegible]
gub. Piotrk. pow. Będziński .	186.684	3.0	220,287	0,15	330	0.05	11[illegible]
gub. Piotrk. „ Łódzki . .	294.153	7,7	430,041	0,125	645	0.075	32[illegible]
gub. Piotrk. reszta powiatów .	728,543	3,5	881.537	„	1,102	0,075	66[illegible]
gub. Płocka.	633.607	1,0	671,623	„	839	0,075	47[illegible]
„ Radomska . . .	776,700	2,5	893,205	„	1,116	„	60[illegible]
„ Suwalska	610,958	0,7	626.618	„	784	„	46[illegible]
„ Siedlecka. . . .	720.626	2,3	820,072	„	1.025	„	61[illegible]
Ogółem	**8.808,969**	**2,6**	**9,982.481**	—	**12,768**	—	**7,26[illegible]**

Przytoczone powyżej wyliczenia mogą podlegać krytyce, s dzimy jednak, że krytyka owa wielkiego wpływu na samą istot omawianej sprawy mieć nie może. Omyłka w granicach 100—1 chorych nie może się stać punktem spornym, gdyż przewodn myśl — wykazanie, że w dzisiejszych warunkach zaledwie 1/10 cz ścią obłąkanych zaopiekować się możemy, nie ucierpi na tem, j żeli 100 mniej lub 100 więcej chorych będzie pozbawiona t opieki.

Najważniejszą sprawą w danej chwili jest pytanie, kto się m zająć opieką tak licznej rzeszy umysłowo-chorych, jak ma być urzą dzona ta opieka, i wreszcie, jakie są postanowienia prawne (do pielęgnowania i wogóle postępowania z umysłowo-chorymi. W dług prawa, u nas obowiązującego, szeroko rozgałęzionej opieki na umysłowo-chorymi i nad upośledzonymi w ścisłem znaczeniu teg słowa niema. Paragrafy prawa określają tylko: 1) sposób badań i uznawania niepoczytalności osobników obłąkanych; 2) sposób p stępowania z obłąkanymi, będącymi na służbie państwowej; 3) pr cedurę z przestępcami, którzy czyn karygodny popełnili w niep czytalności. Co do określenia poczytalności prawodawstwo, u na obowiązujące, jest niepełne i nie odpowiada wymaganiom obecnyc pojęć nauki, na co zresztą w bardzo obszernem wypracowaniu i wy gotowaniu odpowiedniego projektu zwróciło już uwagę Moskiewsk Towarzystwo Psychiatryczne. Roztaczanie opieki prawnej na

mieniem chorego osobnika należy do sądu okręgowego, który jednak z inicyatywą w tym kierunku występuje tylko w razie podania, przez kogoś z członków rodziny przedstawionego. Przyjęcie chorego osobnika do zakładu specyalnego związane jest z pewnemi niezbędnemi formalnościami prawnemi, które w krótkości przedstawiają się w sposób następujący: rodzina, pragnąc umieścić chorego lub chorą w zakładzie, musi się zwrócić przedewszystkiem do lekarza powiatowego lub miejskiego z żądaniem wystawienia świadectwa lekarskiego. Świadectwo takie, w Warszawie przynajmniej, powinno być wystawione w obecności członka policyi, który swój podpis na świadectwie kładzie. Wymagana obecność członka policyi wprowadzona została od kilku lat, przedtem bowiem wystarczało poświadczenie podpisu lekarza cyrkułowego przez Urząd lekarski. Zestawienie widocznej chwiejności pod tym względem świadczy, że stosowne paragrafy prawa muszą być niejasno zredagowane, skoro wywołują różną interpretacyę. Prawo orzeka, że bez powyższego świadectwa żaden chory przyjętym być do szpitala nie może, i robi w ustawie szpitalnej z roku 1842 jeden jedyny wyjątek, omówiony w § 317, ktory opiewa, że w wypadkach nagłych, gdy chory przedstawia niebezpieczeństwo dla siebie lub otoczenia, lekarz danego szpitala chorego przyjąć może, obowiązany jest jednak stosowny protokuł z motywami przyjęcia spisać i takowy, zaopatrzony 3-ma podpisami lekarzy, Radzie miejskiej dobroczynności publicznej niezwłocznie przesłać. Drugi wyjątek pod tym względem przewiduje ustawa, obowiązująca w Tworkach, która pozwala przyjąć chorego na zasadzie świadectwa, podpisanego nawet przez lekarza jednego. Jeżeli przypadkiem rodzina pragnie chorego umieścić w prywatnym zakładzie leczniczym, wtedy również wymagane jest świadectwo lekarza policyjnego, poświadczonego przez policyę. Wymaganie to jednak niezupełnie się zgadza z uwagą do § 375, t. X, cz. I. Uwaga ta brzmi: „głuptasi i obłąkani, którzy nie popełnili przestępstwa i których rodzina oddaje do zakładu prywatnego, mogą być poddani przepisanemu prawem badaniu tylko na wyraźne żądanie krewnych, opiekunów, kuratorów lub sukcesorów. Jeżeli ci głuptasi i obłąkani będą oddani do zakładu prywatnego, bez przedwstępnego formalnego badania, to utrzymujący zakład obowiązany niezwłocznie zawiadomić o tem miejscowe władze lekarskie, które ze swej strony bezzwłocznie raportują o tem naczelnikowi gubernii".

O każdym wogóle świeżo przyjętym chorym czy to do szpitala, czy do zakładu prywatnego, zarządy obowiązane są niezwłocznie zawiadamiać władze administracyjne i policyjne. Dzieje się to

w myśl § 566, t. II, cz. I z roku 1876, który brzmi: „Gubernator po otrzymaniu zawiadomienia o umieszczeniu chorego w prywatnym zakładzie leczniczym zbiera natychmiast drogą prywatną i cichą wiadomości: czy nie było jakich nadużyć co do chorych, i niezależnie od tego zawiadamia z prośbą o zbieranie tych samych wiadomości albo naczelnika szlachty, albo przewodniczącego miasta. Jeżeli zebrane wiadomości wykryją okoliczności, wymagające jakichkolwiek specyalnych zarządzeń, wtedy gubernator mocen postąpić, względnie do okoliczności, na zasadzie § 564 i 565”.

Ustawa szpitalna z r. 1842, obowiązująca wszystkie nasze specyalne szpitale z wyjątkiem szpitala w Tworkach, obok bardzo szczegółowych przepisów, które normują w sposób należyty byt szpitalny chorych, posiada niektóre paragrafy, które wprost paraliżują działalność lekarzów szpitalnych. Ustawa np. orzeka, że cała niższa służba szpitalna z wyjątkiem felczerów zależną jest od intendenta szpitala, który obok czynności, związanych z żywieniem, odzieniem i porządkiem szpitalnym, ma prawo przyjmować, zmieniać i oddalać służbę. Prawo to, nadające zbyt wielkie atrybucye człowiekowi, który nie wie, czy dany służący odpowiedni będzie dla tego lub innego chorego, który może zmienić służącego w chwili, gdy dany człowiek najlepiej obeznany jest z duchowem życiem chorego, oddanego mu pod opiekę, częstokroć w praktyce paraliżuje wszystkie usiłowania lekarza, skierowane ku uzdrowieniu chorego. Omawiana ustawa szpitalna, świadcząca chlubnie pod wielu względami o zdolnościach projektodawcy, jako układana w owe czasy, gdy myślano tylko o pielęgnowaniu, a nie o leczeniu obłąkanych, pod niektórymi względami trąci już anachronizmem i dla dobra sprawy powinna być przejrzana i zmieniona. Zmiany szczególniej wymagają wszystkie te paragrafy, które gospodarkę szpitalną oddają w ręce intendenta bez wyraźnego udziału lekarzy w sprawach tej gospodarki.

Do jakiego stopnia obowiązująca ustawa szpitalna pod niektórymi względami paraliżuje leczniczą czynność lekarza, niech posłuży za przykład następujący fakt, który miał miejsce przed rokiem. Ordynator oddziału, porozumiawszy się uprzednio z p. inspektorem szpitali i ze starszym lekarzem, pozwolił zupełnie spokojnemu i w danej chwili nie zdradzającemu żadnych objawów patologicznych choremu wyjść bez dozoru na miasto. Intendent jednak pozwolenia tego nie zaakceptował i choremu wzbronił wyjść, a oprócz tego uzyskał od pana naczelnika Rady miejskiej piśmienne zaświadczenie, że ma prawo

wzbraniać dawania podobnych urlopów, gdy zajdzie tego potrzeba. Fakt ten, do którego motywy znalazły się w stosownych paragrafach ustawy, niejasno zredagowanej, służy za jaskrawy dowód, że w szpitalach naszych kołacze się jeszcze duch prawodawstwa z tych czasów, które opiekę nad umysłowo-chorymi sprowadzały do dewizy: „budować obszerny i ze wszech stron mocny dom dla obłąkanych, aby ucieczka z tego domu była niemożliwa".

Oprócz świadectwa lekarza policyjnego przy przyjmowaniu chorego do szpitala wymagana jest deklaracya, przez osobę umieszczającą podpisana i przez policyę poświadczona, głosząca, że podpisany obowiązuje się regularnie za chorego należną (9 rb., 45 rb. lub 75 miesięcznie stosownie do klasy) kwotę płacić. Brak podobnej deklaracyi, słusznej zresztą z punktu widzenia finansowego, decyduje częstokroć o nieprzyjęciu chorego, gdyż, według instrukcyi, obowiązującej intendenta, temu ostatniemu chorego bez deklaracyi przyjąć nie wolno. Od dobrej woli ostatniego częstokroć zależy, czy ma być uwzględnione wstawiennictwo lekarza, który świadczy, że stan zdrowia chorego wymaga bezzwłocznej opieki szpitalnej i że deklaracyę może rodzina złożyć za dni kilka.

Podstęp i matactwo, jakie musiały się rozwinąć ze strony mało umoralnionego tłumu, w którego oczach dostanie się do szpitala równa się losowi, wygranemu na loteryi, musiały, ma się rozumieć, powołać do życia okólniki Rady miejskiej, które w ostry sposób warunkują przyjęcie chorego. Do ciężkich warunków takich zaliczyć np. należy rozkaz Rady miejskiej, by w poświadczeniach deklaracyi przez policyę wyraźnie było zaznaczone, że podpisana osoba posiada nieruchomość i płacić za oddanego do szpitala może i będzie. Warunek ten, z formalnej strony ciężki i przez nieświadomość wielu pociągający odmowę w przyjęciu, znaczenia istotnego nie ma, gdyż 1) posiadanie nieruchomości, która bez wiedzy policyi może być obdłużona powyżej szacunku, nie może świadczyć o regularnem płaceniu za chorego; 2) daje możność do nieprawnych wykrętów i nadużyć, a tem samem umoralniająco na ogół nie wpływa.

Przed kilkoma laty szeroko był praktykowany sposób najłatwiejszego umieszczania chorego w szpitalu za pośrednictwem organów policyi wykonawczej. Rodzina chorego, próżno kołacząc do wrót szpitala o umieszczenie chorego i nie mogąc tego dopiąć, albo wchodziła w porozumienie z niższymi organami policyi w celu pośredniczenia, albo wręcz porzucała chorego na bruku miejskim. I w jednym, i w drugim przypadku policya zazwyczaj umieszczała chorego, gdyż istniał okólnik, by na żądanie policyi nie odmawiano

przyjęcia chorego. Obecnie okólnik ten zmieniono na inne rozpor dzenie, które głosi, że przyjmować chorego, przez policyę prz prowadzonego, wolno tylko wtedy, gdy istnieje wyraźny rozk naczelnika Rady miejskiej. Zmiana dawnego rozporządzenia prz nowe wywołana, zdaje się, została tą okolicznością, że w szp talu gromadziło się coraz więcej chorych, za których nikt n obowiązywał się płacić, przez co rosły deficyty w gospodarce szp talnej.

Na mocy prawa obowiązującego policya ma prawo umieszcz nia w szpitalu obłąkanego tylko w razach wyjątkowych, a mian wicie, gdy chory, będący w furyi, zagraża sobie lub otoczeniu, i przy każdorazowem poświadczeniu groźnego stanu przez lekar Obecnie, gdy procedura umieszczenia takiego chorego związa jest z formalnościami, furyaci zazwyczaj, zamiast do szpitala, dost ją się do aresztu policyjnego, skąd dopiero po kilkutygodnio zwłoce dostają się do właściwych sobie siedzib. Ograniczenia prz to, czynione przez Radę miejską, jak widać z tego, z jedn strony słuszne, z drugiej jednak pociągają za sobą krzywdę, jak się dzieje choremu, i wymagają, zdaniem naszem, rychłego prze rzenia i unormowania w drodze prawodawczej. Za rychłem prze rzeniem i unormowaniem prawodawstwa przemawia i inna jeszc okoliczność. Stosowne paragrafy ustawy szpitalnej orzekają, rodzina chorego, a szczególniej ten, kto umieszczał chorego, ma pr wo w każdej chwili zabrać obłąkanego ze szpitala, musi jedna podpisać deklaracyę, której końcowy ustęp brzmi: „za jego (chor go) postępowanie po wyjściu ze szpitala i za wyniknąć stąd mogą następstwa biorę na się odpowiedzialność". Tylko chorzy, co których zupełnego wyzdrowienia niema wątpliwości, wypisywani bez takiego certyfikatu. Wskutek stałego przepełnienia szpitala o czasu do czasu wychodzi rozkaz z Rady miejskiej, by spokojny chorych, nie przedstawiających niebezpieczeństwa dla siebie i ot czających, odsyłać do miejsc rodzinnych dla oddania rodzinie d dalszego opiekowania się chorym. I dzieje się często, co się dzia musi, że chory, który przez cały szereg lat nie zdradzał nicze objawów, któreby pozwalały przypuszczać jakiekolwiek niebezpi czeństwo dla niego samego lub otoczenia, w domowym bycie, p zbawionym należytego traktowania i opieki, mści się w gwałtown sposób za winy niepopełnione. Kto ma odpowiadać wtedy wobe prawa? czy Rada miejska, która poleciła odesłać chorego, opierają się na zdaniu specyalistów o nieszkodliwości chorego; czy lekarz którzy z całem przeświadczeniem wydawali podobne zaświadczeni

czy wreszcie ta biedna rodzina, której bez jej woli narzucono chorego, z którym nie umieli się obejść, albo też nie mieli czasu w pogoni za kawałkiem codziennego chleba otoczyć go należytą opieką? Wprawdzie § 321 ustawy szpitalnej głosi, że do wypisania się z zakładu kwalifikują się:

a) wyleczeni zupełnie z obłąkania po pewnym przeciągu czasu obserwacyi w oddziale rekonwalescentów;

b) niewyleczeni, lecz nieszkodliwi i mający odpowiednie utrzymanie lub przytułek.

Prawo, zastrzegając, że wypisanym być może chory nieszkodliwy, nie przewiduje, czy ci, którzy biorą chorego na swoją odpowiedzialność, rozumieją dobrze, w jakich warunkach dany chory może być nieszkodliwy, i, o ile jest jasne i zrozumiałe wobec podpisujących deklaracyę wypisową, o tyle wymaga uzupełnień względem tych, którym często wbrew ich woli chory jest odesłany. Zapominać nie należy, że ten sam chory, który w zakładzie nie zdradzał żadnych objawów niebezpiecznych, w domowych warunkach przy nadarzonej sposobności może stać się groźnym dla otoczenia.

Prawodawstwo, nas obowiązujące, określając sposób opiekowania się chorym w murach szpitala, zabezpieczając w mniej lub więcej pewny sposób opiekę nad mieniem chorego, gdy tego zażądają zainteresowani, nie troszczy się zupełnie o tych, którzy pozostają na opiece rodziny, krewnych lub obcych ludzi. Bo, chociaż istnieje punkt b) § 283, który głosi, że zakłady dla obłąkanych są przeznaczone: „do dania przytułku ludziom ubogim, obłąkaniem umysłu dotkniętym, chociażby już uznani zostali za niemogących być wyleczonymi", jednak rzadko który chory ubogi wobec wprowadzonych ograniczeń przytułek w murach zakładu znaleźć może.

Nie będziemy wspominali, że niektóre paragrafy obowiązującej ustawy szpitalnej, jako niezgodne z duchem nowoczesnych pojęć naukowych, powinny być coprędzej usunięte; do takich należy naprzykład § 359, który brzmi: dla uspokojenia chorych gwałtownych zaleca się: 1) pomieszczenie w zupełnie ciemnej izdebce, której podłoga i ściana na sążeń wysokości wysłane są siennikami; 2) zaciemnianie izdebki zwyczajnej, w której się obłąkany znajduje; 3) koszula krępująca; 4) narękawki skórza-

ne; 5) pas z pętlicami z boków (pas Rejla); 6) stołek z pasa do uśmierzania obłąkanych; 7) kąpiele strumieniowe.

Wskazując na niektóre braki ustawy obowiązującej w spr wie opieki nad umysłowo chorymi, mamy głównie na my ten fakt, że prawodawstwo nie obejmuje całokształtu tej opie wskutek czego ta ostatnia musi chromać. W Europie zachodni opieka jest ujęta w ściśle określone paragrafy kodeksu, dzię czemu rozwija się pomyślniej.

(*dok. nast.*)

Dr. Karol Rychliński.



HANDEL I PRZEMYSŁ

w wieku XIX *).

W takich warunkach przetrwało Królestwo do r. 1850, kiedy zniesiono taryfę celną. Dlatego czasy od stłumienia powstania listopadowego do połowy wieku rozpatrywać trzeba, jako okres odrębny. Wielkiej żywotności społecznej dowodzi (a bodźców do tego szukać należy w zasługach Banku Polskiego), że w tej epoce właśnie ruch przemysłowy i handlowy nie tylko nie zanikł, lecz owszem czynił postępy. Owoce nie zawsze były pomyślne, lecz rozmach i ówczesne wysiłki energii nie poszły na marne. Tu uchwycić można nici, które potem powiązały naszą działalność ekonomiczną z korzystniejszymi warunkami przemysłowymi. Zwrot ten tak charakteryzuje prof. Janżułł: „Od czasu rewolucyi 1830 r. polityka handlowa Rosyi względem Polski zmieniła się nie do poznania; działania rządu rewolucyjnego zerwały wszelkie stosunki z Cesarstwem, a tem samem wszelkie obietnice i zobowiązania, jakie Cesarstwo miało względem Królestwa, uznano za nieobowiązujące".

W każdym razie wątpliwości nie ulega, że wytworzenie uciążliwej taryfy celnej było i miało być środkiem kary za stoczoną wojnę. Tak samo nie ulega kwestyi, że środek ten był w swych skutkach dotkliwy, bo zniszczył odrazu handel zagraniczny Króle-

*) Ob. „Ateneum", marzec 1901 r.

stwa. Wiele wtedy zrujnowanych fabryk zwinięto, wiele zakładó
i wielu majstrów przeniosło się do Cesarstwa (stąd też powstały no
we ogniska fabryczne w Białymstoku, w Berdyczowie i t. p.), a znacz
ny zastęp fabryk przystosowano do zmienionych warunków. Praw
dziwem też dobrodziejstwem w tej epoce była pomoc i opieka Ban
ku Polskiego, który nie tylko część przemysłu uratował, lecz nadto
w tak fatalnych warunkach zdołał pchnąć naprzód zamierający ju
rozwój przemysłowy.

Przechodzimy z kolei do szczegółów.

Dnia 1 lutego 1833 r. górnictwo krajowe przeszło pod admin
stracyę Banku Polskiego, który zarządza niem do r. 1843. Ban
w krótkim czasie powiększył ilość pieców wielkich o kilkanaści
sześć zbudował w Hucie Bankowej, trzy w Starachowicach, dw
w Niwce, dwa w Blachowni, jeden w Pradłach, jeden w Rejowc
Fabrykę stali założył w Berezowie; odlewnię w Parczewie; warszt
ty mechaniczne w Białogoniu, Bobrze i Suchedniowie, huty cynl
w Niemcach, Niwce i Dąbrowie; walcownię cynku w Sławkowi
kopalnie węgla w Dąbrowie i t. p., i t. p. Bank wskrzesił wted
wiele zakładów górniczych z czasów Stanisławowskich i zwiększ
ogólną wydajność kopalni; podczas gdy w poprzednim okresie gó
nictwo potrzebowało pomocy rządowej w kwocie około 400,000 zł
rocznie, Bank już osiągał z tej gospodarki korzyści. Był on jeszc
właścicielem fabryki żelaza w Ostrowcu, walcowni w Irenie, a na
to w opiekę wziął i odbudował z gruzów popadłą w ruinę fabry
Girarda i prowadził ję ze zmiennem powodzeniem do r. 1856.

Do Banku należał także młyn na Solcu oraz z czasów Stan
sławowskich wskrzeszona papiernia w Jeziornie. Nadto związan
on był szeregiem pożytecznych i śmiałych operacyi ze Steinkell
rem, który, jak to poniżej wykażemy, ze swej strony niema
przyczynił się do rozwoju przemysłu w tym okresie; Bank z
warł kontrakt spółkowy o budowę kolei Warszawsko-Wiedeńsk
z Łubieńskim i Steinkellerem, dzięki czemu, kosztem zresztą do
dużych ofiar pieniężnych, budowa pierwszej drogi żelaznej w Pols
weszła tak wcześnie w fazę czynu. Owe czasem ryzykowne, le
zawsze obywatelskiemi dążnościami nacechowane przedsiębiorstw
Banku Polskiego ostatecznie na straty go nie narażały, bo zaledw
raz jeden (w r. 1831 ze zrozumiałych powodów) nie miał zysk
a poza tem przez cały czas swego istnienia wykazywał czysty zy
od 5% do 13%. Ogół zysków Banku Polskiego w ciągu lat 50
r. 1878 uczynił poważną sumę 28.6 mil. rub.

Postacią, która wtedy wysunęła się na pierwszy plan ży

ekonomicznego, był Piotr Steinkeller. Oceny całej jego działalności nie możemy pomieścić w szczupłych ramach naszego szkicu. Krótki tylko pragniemy ułożyć spis faktów z jego działalności.

Firma Steinkellera powstała w Warszawie w r. 1829. Pierwszym, wydatniejszym obrotem handlowym, którym założyciel, niedawno przybyły z Krakowa, odrazu zwrócił na siebie uwagę, był przywóz soli angielskiej do Królestwa, mający na celu współzawodnictwo z drogą solą austryacką. Ta ostatnia bowiem kosztowała wówczas 1.20 rub. za centnar skutkiem wysokich taryf wywozowych w Austryi. Import soli angielskiej po cenach tańszych, przez Steinkellera zainicyowany, skłonił potem rząd austryacki (w 1832 r.) do zawarcia traktatu, dzięki któremu cena obniżyła się na 52 kop., czyli blizko o $^2/_3$ części. W 1835 r. Steinkeller nabywa na Solcu młyn parowy, wystawiony na licytacyę przez Bank Polski, a przy młynie buduje pierwsze w Warszawie wielkie i ulepszone śpichrze na zboże. Tutaj też założył później fabrykę powozów, z czego wyłoniło się znaczne jego przedsiębiorstwo — pierwsze w kraju dyliżanse pocztowe, które od jego nazwiska „Steinkellerkami" zwano. Zarazem wytworzył zaczątki żeglugi na Wiśle — puścił bowiem w ruch dwa statki, wykończone w Anglii, które miały podwójne znaczenie: służyły do holowania i do przewożenia pasażerów na Bielany. Przy młynie na Solcu założył jeszcze fabrykę kafli ozdobnych i wielką olejarnię. W r. 1836 wydzierżawił od Banku Polskiego na lat 25 kopalnie cynku i założył własną walcownię cynku w Londynie. Przedsiębiorstwo to oparte było na rozumnem wyrachowaniu, że tym sposobem znajdzie się doskonały odbyt dla zdeprecyonowanego cynku polskiego, co też nie zawiodło; produkcya, taki mając odpływ, znacznie się powiększyła, a ceny podniosły się z 2.25 rub. do blizko 14 rub. za pud. Gdy z końcem r. 1835 Bank Polski ogłosił licytacyę na dzierżawę części nowo-założonych zakładów górniczych, przy dzierżawie utrzymali się Koniar i Steinkeller. Jednocześnie ten ostatni zbudował fabrykę maszyn w Żarkach oraz tartak drzewny tamże i próbował zaprowadzić w. Warszawie nowość, która przyjęła się dopiero w 50 lat później, mianowicie — bruk drewniany. Nadto puścił w ruch piec wielki w Masłońsku, fryszerkę w Czarnej-Strudze, dystylarnię i browar w Jaworniku i t. p. Wreszcie na swoich gruntach rozwijał racyonalne gospodarstwo rolne, stosował pługi nowe, brony żelazne, siewniki i t. p. oraz założył na folwarku Jawornik fabrykę nawozów sztucznych z mielonych kości. Słowem, Steinkeller był propagatorem wszystkich nowych przemysłów, krzewicielem reform ekonomicznych, człowiekiem nieustającego czynu.

Ta działalność jego pozostawała w stałej harmonii z pracą Banku Polskiego około rozbudzenia gospodarczości narodowej. Bank widział też w Steinkellerze doskonałego wyobraziciela swoich dążeń i dlatego gorliwie go popierał. I oto, gdy weszła na porządek dzienny sprawa pierwszej kolei żelaznej w Królestwie Polskiem, inicyatywę jej skojarzono znowu z przedsiębiorczością Steinkellera. O losach tego planu i o całej budowie kolei pomówimy później, tu tylko zaznaczymy, że układ o kolej ze Steinkellerem stanął już w 1838; lecz w r. 1842 towarzystwo kolejowe z powodu niepowodzeń rozwiązać się musiało. Odtąd rozpoczyna się szereg klęsk, które dotykają naszego krzewiciela przemysłu. Były to czasy znowu burzliwe i przełomowe. Na zachodzie Europy z przesileniami politycznemi splotły się ekonomiczne. Firmy, z któremi Steinkeller był w stosunkach, bankrutują; w Wiedniu zawiesza wypłaty Steiner i Sp., bankier zagraniczny, przedsiębiorca kolei Warsz.-Wiedeńskiej, w Londynie ogłasza niewypłacalność dom bankierski d'Allemont, wspólnik Steinkellera w obrotach cynkiem. Tymczasem dług Steinkellera w Banku Polskim czynił już około 3 mil. rub. Bank, chcąc nie chcąc, musiał przystąpić do likwidacyi jego interesów, a z kolei inni wierzyciele ogłosili mu upadłość. W r. 1853 Steinkeller stał się niewypłacalnym, a w rok później zmarł w Krakowie.

Jeżeli przebiegniemy myślą tę działalność ruchliwą i wielostronną i uświadomimy sobie, że wzięła początek w okresie jałowości ekonomicznej, wśród warunków polityki gospodarczej najmniej sprzyjających takiej inicyatywie, to przyznać musimy, że tylko bogato od natury wyposażona jednostka, osobistość wyjątkowa i ożywiona obywatelskiemi dążnościami mogła wziąć na się tak wielkie zadania. Że ostatecznie nie powiodły się one, to zasług Steinkellera nie zmniejsza. Rzucił ziarno, które nie zginęło, lecz zapłodniło niwę ekonomiczną i potem z pożytkiem dla kraju na wielu polach bujnie wyrosło.

Ostatecznie utrzymały się prawie wszystkie jego przedsiębiorstwa, a znaczna ich większość po przekształceniu przetrwała długie lata.

Jeżeli zaś w konkluzyi stwierdzimy, że w pracy tej było dużo pierwiastków romantyzmu ekonomicznego, to takiem określeniem nie tylko nie chcemy osłabić znaczenia działalności Steinkellera i hołdu dla jego pamięci, lecz owszem, pragniemy wykazać, że typ wielkiego przemysłowca tej epoki mógł być tylko typem romantycznym. Kapitalizm nie rozrósł się i nie rozpanoszył jeszcze, nie stworzył więc tego silnego gruntu, na którym wspiera

się bezwględne i zimne wyrachowanie finansisty kapitalistycznego— finansisty, który czasami, uniesiony szałem hazardu, ślizga się po zewnętrznej powłoce tego gruntu, lecz w zasadzie zawsze oblicza szanse własnych tylko zysków. Romantyk-finansista czerpał natchnienie w wyobraźni, daleko go unoszącej, w całej atmosferze otoczenia w ideałach obywatelskich. Mierzył więc siły na zamiary, dążył prawie do ogarnięcia całokształtu stosunków, do produkcyjnego zużytkowania wszystkich bogactw narodowych, do wzniesienia odrazu stanu gospodarczego na wysoki szczebel kultury handlowej, zagranicą już wówczas istniejącej. W każdym razie w historyi handlu polskiego należy się Steinkellerowi wydatna i zaszczytna karta.

Inny był jeszcze w tej epoce człowiek, który miał silnie rozwinięty zmysł ekonomiczny i poczucie obywatelskie. Był nim Henryk hr. Łubieński, wiceprezes Banku Polskiego, naczelnik górnictwa rządowego w kraju, a nadto wraz ze swoim bratem Romanem organizator różnych przedsięwzięć użyteczności publicznej i nakoniec założyciel drugiej dopiero w Królestwie Polskiem cukrowni Guzów. Jemu to przypada zasługa nakreślenia pierwszego planu budowy kolei warszawsko-wiedeńskiej. Szkic z jego zapoczątkowania powstał w r. 1834, t. j. w cztery lata po wybudowaniu pierwszej kolei na świecie. Gdy w Europie zachodniej jeszcze spierano się o korzyści tego nowego środka lokomocyi, gdy nawet Thiers po powrocie z Anglii, gdzie przyjrzał się pierwszej kolei z Liwerpoolu do Manchester, oznajmił parlamentowi, „że kolej służyć może za zabawkę dla ciekawej gawiedzi wielkich stolic", Łubieński w gabinecie swoim kreślił już plan techniczny przyszłej kolei warszawsko-wiedeńskiej. Rozumiał on, jak wielkie korzyści taka droga przewozowa oddać może przedewszystkiem górnictwu krajowemu, które on właśnie otaczał szczególną pieczą. Kopalnie węgla były zupełnie zaniedbane, gdyż przewóz utrudniony stał na przeszkodzie prawidłowemu dobywaniu węgla. To też Łubieński z początku marzył tylko o stworzeniu kolei szynowej, mającej połączyć Warszawę z obecnem zagłębiem dąbrowskiem. (Tu nawiasowo zaznaczyć warto, że w okresie od 1831—1840 r. cała produkcya węgla w zagłębiu dąbrowskiem wynosiła rocznie około $4\frac{1}{2}$ mil. pud., w następnem zaś dziesięcioleciu podwoiła się, poczem do r. 1880 podniosła się do 36 mil., podczas gdy obecnie wynosi około 250 mil. pudów). Łubieński plany swoje przedstawił rządowi i wyjednał pozwolenie na studya. Mając już do tego upoważnienie, wysłał za granicę inżyniera Wysockiego, a umocniony owocami tych badań, w przeświadczeniu o pożytku

swych planów, rozpoczął układy o stronę finansową projektu. Wykonanie kosztorysu powierzył Steinkellerowi. Wkrótce (w r. 1838) Steinkeller przy współudziale Henryka, Romana i Tomasza Łubieńskich zawarł z Bankiem Polskim kontrakt, na mocy którego należało zgromadzić 21 mil. złp., podzielonych na 5,000 akcyi. Bank poręczył 5% prowizyi od zgromadzonego funduszu budowlanego. W roku 1840 Steinkeller znalazł w Wiedniu w domu bankierskim Steinera poparcie dla swoich operacyi, które w kraju napotykały trudności. Steinkeller zgodził się nabyć 1,500 akcyi i obiecywał drugie tyle zakupić później. Ale i to poparcie nie pomogło. W 1842 r. towarzystwo budowy kolei Warszawsko-Wiedeńskiej rozwiązało się, przyprawiwszy o wielkie straty Łubieńskich i Steinkellera. Samą budowę wziął na siebie wtedy skarb, lecz dopiero po dwu i pół latach zarząd skarbowy pod przewodnictwem gen. Dehna i pułkownika Gersfelda przystąpił do budowy.

Droga żelazna Warszawsko-Wiedeńska na przestrzeń od Warszawy do Grodziska oddana została do użytku publicznego dnia 5 czerwca roku 1845, a do Granicy w r. 1846. (Później dopiero zbudowano linię do Aleksandrowa, mianowicie w r. 1863). Tu dla ciągłości dodać jeszcze należy, że w r. 1857 zarząd skarbowy zdecydował się oddać kolej wiedeńską w długoletnią dzierżawę prywatną, i wówczas koncesyę otrzymał bankier warszawski Herman Epstein, który, zawarłszy spółkę z kapitalistami zagranicznymi, zaprowadził wielce niekorzystną dla kraju administracyę niemiecką. Dopiero w kilka lat później Kronenberg stoczył zwycięskę kampanię z akcyonaryuszami niemieckimi i wyzwolił drogę Warsz.-Wiedeńską z pod ucisku obcej administracyi.

Zamykając kronikę tego okresu, musimy jeszcze uwydatnić dotkliwą klęskę, która nawiedziła kraj w r. 1846. Był to rok głodowy. Ulewne deszcze zniszczyły nie tylko zboże, ale i ziemniaki. Nędza i głód w dosłownem znaczeniu — głód, wywołujący nawet tyfus głodowy, zajrzały w oczy szerokim masom ludu. Władze były bezradne wobec klęski żywiołowej, w społeczeństwie nie było żadnych instytucyi, któreby z jakowąś zbiorową akcyą stanąć mogły do walki z tą przeciwnością losu. Pomoc ograniczyła się też do nieznacznych rozmiarów miłosierdzia prywatnego, niezdolnego nasycić ust głodnych. Energiczny ratunek nadszedł z tej strony, skąd go najmniej spodziewać się było można — zorganizował go handel. Kupcy zbożowi, wiedząc, że na Węgrzech tego roku przy urodzajach wogóle dobrych proso obrodziło doskonale, a obliczywszy się zarazem, że korzystniej będzie sprowadzać proso nie w ziarnie, lecz

jako kaszę jaglaną, zmobilizowali całą falangę agentów i bezzwłocznie puścili w ruch umiejętnie zorganizowaną machinę handlu. Jedna grupa agentów udała się na Węgry po zakup prosa, druga zaczęła wydzierżawiać młyny, trzecia przygotowywała furmanki do przewozu. Wkrótce we wszystkich miejscowościach Królestwa poczęły się ukazywać ładunki kaszy, opatrujące głodną ludność w tanie pożywienie. Oczywiście była to kalkulacya handlowa, która kupcom dobrze się opłaciła, lecz ten praktyczny zmysł kupiecki znacznie też złagodził rozmiary klęski.

Epidemia cholery w latach 1847, 1848 i 1849 niemało też przyczyniła się do upadku ekonomicznego kraju.

Nowy okres rozpoczyna się dla Królestwa w 1850 r., gdy nastąpiło zniesienie granicy celnej pomiędzy Cesarstwem a naszym krajem. Okres ten otwiera pole rozwojowi przemysłu, którego płody mają odtąd szerokie ujście na rozległych rynkach Cesarstwa. Królestwo, jak mówi p. Janżułł, weszło wtedy w ogólny prąd rosyjskiej polityki ekonomicznej, a dzięki swemu położeniu i warunkom przyrodzonym udoskonaliło i rozszerzyło swój przemysł. Ale zarazem dodać trzeba, że taryfa z r. 1850, wydana dla całej Rosyi, i poraz pierwszy wspólna dla Królestwa miała dążność bardzo liberalną względem przywozu zagranicznego. Uchylono w niej wszelkie zakazy, dawniej istniejące, a o 50% obniżono opłaty od całego szeregu towarów (artykułów żywności, farb, wyrobów bawełnianych, jedwabnych, szklanych, metalowych i towarów galanteryjnych).

W siedem lat później (w r. 1857) zaprowadzono taryfę jeszcze niższą, w której wyraził się panujący wówczas w Europie kierunek handlu wolnego, a dopiero w r. 1869 wchodzi w życie taryfa umiarkowanie opiekuńcza, choć roztaczająca ochronę swą tylko na fabryki maszyn, wyrobów metalowych, chemicznych i t. p. Nareszcie nowe prawodawstwo celne, zaprowadzone w r. 1877, a zarządzające pobór cła w złocie, było pierwszym etapem na polu wydatnie protekcyjnego systematu celnego.

Tym więc sposobem lata od 1850 do 1877 r. tworzą dla Królestwa okres odrębny — pierwszy okres wspólności ekonomicznej z Cesarstwem, dodatnio oddziaływającej na wymianę wzajemnych artykułów handlu, lecz nie dającej jeszcze ochrony celnej w stosunku do zagranicy.

Tu jednak cofnąć się należy w przeszłość i zauważyć, że kiedy w r. 1831 polityka rządu rosyjskiego względem Królestwa zmieniła się, w Cesarstwie już zaprowadzono system cła protekcyjnego, a w Królestwie utrzymywały się nizkie opłaty celne. Wtedy, jak

to już zaznaczyliśmy, upadł nasz wywóz do Cesarstwa, lecz zato zaczął się ujawniać zwrot w przemyśle, mianowicie fabryki sukna poczęły się przetwarzać na fabryki wyrobów bawełnianych, a zarazem utrwalił się sam proces produkcyi przez stosowanie udoskonaleń technicznych. Okres ten (t. j. okres do r. 1850) miał dla kraju ważne znaczenie pedagogiczne, i dlatego nowy zwrot, kiedy Królestwo weszło w prąd polityki ekonomicznej Cesarstwa, zastał nas przygotowanych do rozszerzonej działalności przemysłowej i zdolnych do zasilania rynków rosyjskich swymi fabrykatami, chociaż w cłach przywozowych nie było jeszcze pierwiastków ochronnych.

W tym nowym okresie uwydatnił się wzmożony już przemysł łódzki.

Łódź, w r. 1820 jeszcze biedna mieścina, mająca 749 mieszkańców, przypadkowo zaliczona przez księcia Namiestnika do rzędu miast fabrycznych, bardzo powoli z początku rozwija swój przemysł. W r. 1840 obliczono wartość przemysłu Łodzi na około 340,000 rub. Pierwszą machinę parową wprowadzono tam w r. 1839, a dopiero w osiem lat później — drugą. W r. 1850 fabryki tamtejsze posiłkowały się zaledwie czterema machinami parowemi o sile 150 koni, a liczba mieszkańców wynosiła 18,000. Zawsze jednak był tu już zaszczepiony przemysł bawełniany i wełniany, który niebawem miał się wzmódz znakomicie pod wpływem wspólności celnej z całem państwem rosyjskiem. Pierwsze większe fabryki w Łodzi około r. 1860 były następujące: Ludwika Geyera, produkująca 540,000 f. bawełny ze 162 robotnikami; Karola Scheiblera z 458,000 f. bawełny i 115 robotnikami; Fryderyka Moesa z 171,000 f. bawełny i 85 robotnikami i Jakóba Petersa z 76,000 f. bawełny i 145 robotnikami. Zbudowanie kolei Łódzkiej (w r. 1866), a terespolskiej (w r. 1866—69), która połączyła ze środkowemi guberniami Cesarstwa, oraz spadek waluty rosyjskiej, zwłaszcza podczas wojny francusko-pruskiej, wywołały imponujący rozkwit przemysłu. W r. 1878 było już w naszym Manchesterze 500 fabryk bawełnianych z produkcyą 18,750,000 rub. oraz 80 fabryk wełnianych z produkcyą z $8\frac{1}{2}$ mil. rub. W porównanin z r. 1860 wartość tkackiej produkcyi wzrosła dziesięćkroć.

Aby ciągłość utrzymać i nie powracać już do statystyki przemysłu łódzkiego, zauważymy, że około r. 1895 produkcyi tkackiej wartość obliczono na 65 mil. rub., a wraz z t. z. zakładami przemysłowymi (t. j. fabrykami nie w ścisłem znaczeniu) na 90 mil. — przyczem od tego czasu ogólna wartość wzrosła przynajmniej na 100 mil. rub.

Przechodząc do ogólnych wskazówek o tym okresie (1850 — 1877 r.) zaznaczymy, że podług zebranych przez p. Światłowskiego danych o czasie założenia fabryk w Królestwie na 166 większych fabryk, istniejących w 1887 r., powstało 18.1% przed r. 1850, 10.8% pomiędzy 1850 — 60 r., 12.7% pomiędzy 1860 — 70 r., a 31% pomiędzy 1870 — 80, reszta zaś (27.1%) po r. 1880. Z tego wynika, że do czasu wydatnej ochrony celnej (t. j. do r. 1877) liczba znacznych fabryk prawie się potroiła, choć więcej, niż 58%, powstało dopiero po 1870 r., a w tem większość po r. 1877. Dodajmy, że w tym okresie założono w Królestwie stosunkowo znaczną ilość cukrowni, bo już w 1867 r. było ich 44, a ta sama liczba, później chwiejąc się nieco w kierunku zniżkowym, ostatecznie ukazuje się znowu około r. 1877 i utrzymuje prawie do końca stulecia.

W tym okresie, jak to już poczęści wskazaliśmy, powstają w Królestwie nowe drogi żelazne: Petersburska aż do Warszawy w 1862 r., bydgoska w 1863 r., łódzka w 1866 r., terespolska na całej swej przestrzeni w 1869 r. i nadwiślańska w 1877 r.

Nowa ustawa giełdowa, nadająca giełdzie warszawskiej ustrój prawidłowy i bardziej zastosowany do potrzeb handlu bankierskiego i wekslowego, które się tymczasem znacznie rozwinęły, została zatwierdzona także w tym okresie, bo w r. 1872. Jest to ta sama ustawa, która do tej chwili obowiązuje i która oprócz zgromadzeń giełdowych, t. j. targów pieniężnych, zaprowadziła komitet giełdowy ze znacznemi atrybucyami w zakresie ochrony interesów ekonomicznych. Pierwszy komitet giełdowy, wybrany przy wprowadzeniu nowej ustawy, stanowili: Leopold Kronenberg, Jan Bloch, Mieczysław Epstein, Henryk Natanson, Juliusz Wertheim, Stanisław Ludwik Kronenberg, Lesser Levy, Julian Wieniawski, Stanisław Brun, Józef Bergson i Emanuel Wolff. Przewodnictwo objął Leopold Kronenberg. W 1876 r. zainicyowano budowę własnego gmachu giełdy, która poprzednio wiodła żywot tułaczy pomiędzy lokalem na ulicy Długiej, różnemi salami Banku Polskiego, rotundą tego banku, pomieszczeniem w sąsiednim domu na ulicy Rymarskiej, lokalem na ulicy Miodowej i wreszcie znowu rotundą bankową. W tym też okresie powstał szereg ważnych instytucyi kredytowych. W 1870 r. otrzymała zatwierdzenie ustawa Towarzystwa kredytowego m. Warszawy. Starania o instytucyę kredytu miejskiego trwały już od r. 1861, kiedy nanowo powołano do życia radę stanu. Usiłowania jednak pozostały bezskuteczne, dopóki ks. Tadeusz Lubomirski i hr. Józef Zamoyski, poparci przez przedstawicieli ówczesnego świata handlowego, nie podjęli energicznych kroków w tej sprawie w Pe-

tersburgu w pierwszej połowie 1869 r. Na czele pierwszych władz gotowego już towarzystwa stanęli: ks. Lubomirski, jako prezes komitetu (dotychczas pełniący te obowiązki), i hr. Józef Zamoyski, jako prezes dyrekcyi. Publiczność nabrała zaufania do listów towarzystwa i chętnie składała kaucye na żądane pożyczki, kiedy, jak to zaznacza p. A. Bardzki w „Zarysie 25-letniej działalności Tow. kredytowego m. Warszawy", Leopold Kronenberg, dobrze już wtedy zasłużony krajowi, zgodził się, aby je składano do jego kasy i kasę swoją uczynił kasą młodego towarzystwa. Pierwsze jednak kursy listów nie były korzystne, wynosiły 83 — 86 rub. za 100 (przez lata 1871—1872). Wewnętrzna organizacya oraz ułożenie zasad i działań, ujętych w prawidłowe instrukcye i przepisy, były prawie niepodzielną zasługą mecenasa Dominika Zielińskiego. W dwa lata później Łódź poszła za przykładem Warszawy, pozyskawszy podobną ustawę Towarzystwa kredytowego miejskiego; Bank Handlowy w Warszawie został powołany do życia w r. 1870, Bank Dyskontowy w r. 1872. W tym czasie powstają także: Warszawskie Towarzystwo Wzajemnego Kredytu i Kasy przemysłowców.

Aby w najogólniejszych chociaż zarysach wyczerpać charakterystykę tego okresu, należy jeszcze uwydatnić działalność energicznego pracownika na polu handlu i przemysłu, który w tym czasie płodną swą inicyatywą pchnął naprzód cały ruch gospodarczy kraju. Takim wybitnie uzdolnionym i obywatelskiemi dążnościami ożywionym finansistą był Leopold Kronenberg. Był on twórcą nowych kolei żelaznych, założycielem szeregu instytucyi kredytowych, organizatorem przemysłu cukrowniczego i górniczego, a nadto kupcem i bankierem na szeroką skalę, zawsze wspierającym wszystkie pożyteczne przedsiębiorstwa finansowe, przemysłowe i handlowe. Bank Handlowy jemu zawdzięcza swoje istnienie, a bank ten odrazu w pierwszym roku swej działalności wykazał obrót, dochodzący do znacznej na owe czasy sumy 271 mil. rub. Towarzystwo kredytowe miasta Warszawy powstało, jak już zaznaczyliśmy, przy finansowem współdziałaniu Kronenberga. Tak samo kasa przemysłowców, Towarzystwo Wzajemnego Kredytu, Warszawskie Towarzystwo Ubezpieczeń były w znacznej części jego dziełem. Giełda warszawska rozwijała się z początku pod jego przewodnictwem, a urząd starszych kupców swój pomyślny kierunek prac w tym okresie jemu zawdzięczał. Zakładając cukrownie, tworzy on Warszawskie Towarzystwo fabryk cukru; organizując przemysł górniczy, powołuje do życia Warszawskie towarzystwo kopalni węgla i zakładów hutniczych. Zarazem prowadzi własny dom bankowy, uskute-

cznia olbrzymie i rozgałęzione obroty, zasila kredytem kupiectwo i podaje dłoń pomocną wszystkim, którzy ujawniają zdolności kupieckie i rękojmię moralną. Mając na uwadze potrzebę podniesienia poziomu wykształcenia kupców, zakłada szkołę handlową i szkoły techniczne przy kolejach żelaznych. Działalność Kronenberga była pod wielu względami podobna do inicyatywy Steinkellera, a choć została uwieńczona znacznem powodzeniem materyalnem, nie można nawet powiedzieć, że tak było tylko dlatego, że różniła się od usiłowań Steinkellerowskich większą trzeźwością i ściślejszem liczeniem się z samemi tylko prawami gospodarczemi. I Kronenberg miał porywy idealistyczne. W całej jego pracy wielostronnej, przechodzącej, jakby się zdawać mogło, siły jednostki, tkwił także jeszcze pewien pierwiastek romantyzmu. Ta była jednak różnica między obu najwybitniejszymi przedstawicielami przemysłu krajowego, że Kronenberg działał w innej epoce — w epoce, która sprzyjała bardziej rozwojowi życia gospodarczego, w której były już zaczątki stanowczego zwrotu ku ustrojowi kapitalistycznemu. W samym gruncie życia zawierały się już większe rękojmie powodzenia dla szeroko zapoczątkowanej przedsiębiorczości i pracy przemysłowej.

Zamykając charakterystykę tego okresu, należy jeszcze nadmienić, że na początku siódmego dziesięciolecia zaznaczył się on wypadkami, które nie mogły pozostać bez wpływu na stan gospodarczy kraju. Umysły licznej rzeszy odwróciły się wtedy od mozołu handlowego. Oczywiście, nie tylko na przeciąg lat paru nadwerężyło to cały stan ekonomiczny kraju, ale na czas dłuższy przerwała się ciągłość pracy. Gdy jednak później około r. 1870 w szerokich kołach ówczesnej młodzieży obudziło się hasło pracy organicznej, która miała ukoić rany i pokrzepić siły materyalne i moralne, hasło to, choć poczęści jednostronne, przyczyniło się do wzmocnionej działalności handlowo-przemysłowej.

Nakoniec pominąć tu nie można bardzo ważnej zmiany ekonomicznej, zaszłej w tej epoce, mianowicie uwłaszczenia włościan. Ale przy tej sposobności musimy cofnąć się jeszcze i przypomnieć, że już za Księstwa Warszawskiego zniesiono poddaństwo chłopów, a mianowicie art. 47 konstytucyi Księstwa Warszawskiego w r. 1807 uchylił poddaństwo, stanowiąc, że wszyscy obywatele są równi wobec prawa. Usamowolnienie to było ze stanowiska ideowego i humanitarnego doniosłą deklaracyą człowieka, co się jednak tyczy jego następstw gospodarczych, mogło nastręczać dużo zarzutów. Chłop, nie uzyskawszy obok wolności ani gruntu, ani zwolnienia z pańszczyzny, istotnej poprawy bytu nie uzyskał. Odrabiając pańszczyznę,

właściwego skrępowania swej woli się nie pozbył ani oszczędzaniem nie miał możności nabycia sobie ziemi.

Uwłaszczenie włościan (nad którem poprzednio pracowało już Towarzystwo Rolnicze), ogłoszone Ukazem z dnia 2 marca 1864 r., było przewrotem ekonomicznym nadzwyczajnej doniosłości, bo odrazu zasadniczo zmieniło warunki rolne kraju, który wtedy jeszcze na rolnictwie główny byt swój opierał. Chłopi otrzymali na własność wszystko, co posiadali w chwili ogłoszenia ukazu marcowego, a wzamian za oddane im grunta i zabudowania przyznano szlachcie wynagrodzenie w listach likwidacyjnych podług oszacowania urzędowego. Oprócz własności gruntów przyznane zostały włościanom służebności pastwiskowe i leśne. Na całą dalszą przyszłość miały już wpływ skutki tego przewrotu, który z jednej strony zmienił warunki robocizny we własności szlacheckiej, a z drugiej powołał do samodzielnego życia ekonomicznego na roli nowe siły, tworzące drobną własność włościańską.

Przechodzimy do końcowego okresu naszych dziejów handlowych, obejmującego ostatnie dwadzieścia lat minionego stulecia. Jest to okres najbogatszy w fakty, epoka, ujawniająca największy rozwój i wzrost życia ekonomicznego, zwrot tego życia ku wydatnie kapitalistycznej reorganizacyi i ku wielko-przemysłowym formom przemysłu. Na taki kierunek gospodarczy złożyły się liczne czynniki, a wśród nich naczelne miejsce przypada następującym: sile rozpędu, nabytej już w poprzednim okresie, wzmożonej i systematycznie uprawianej ochronie celnej, do której w zakresie przemysłu przyłączyły się przypadkowe korzyści ze zniżki kursu rubli kredytowych w początkowych latach tego okresu; rozszerzeniu się rynków zbytu na targowiskach handlowych Cesarstwa i stopniowemu przenikaniu wytworów produkcyi polskiej coraz dalej na rynki wschodu; udoskonalonym środkom techniki handlu i bankowości oraz rozgałęzionej sieci komunikacyjnej; udziałowi obcych kapitałów w naszych przedsiębiorstwach przemysłowych oraz wyrobionemu zmysłowi przedsiębiorczości spekulacyjnej, wspieranej kredytem spekulacyjnym i sprawnością obrotów giełdowych. Oczywiście poza tem wszystkiem wchodziły tu w grę coraz szerzej i głębiej przenikające do nas prądy kierunków międzynarodowych handlu i przemysłu. Aby rozstrząsnąć cały splot tych pierwiastków ściślej, potrzebaby samodzielnego badania, które rozsadziłoby ramy tego ogólnikowego tylko wykazu faktów i przejawów znamiennych. Zresztą, jest to epoka, tak blizka naszych czasów, tak ściśle z dziejami doby bieżącej zespolona, że może byłoby trudno dla głębszego jej

rozbioru znaleźć dość przedmiotowe stanowisko krytyczne. Ograniczamy się więc tylko do najogólniejszego szkicu oraz do próby zbilansowania cyfrowego zasobów i sił przemysłowych.

Zaznaczyliśmy już, że w r. 1877 weszło po raz pierwszy w życie cło, pobierane złotem. Była to podwyżka taryfy blizko o 50%. Taryfa później parokrotnie podnosi się jeszcze, mianowicie w latach 1882, 1885, 1887 i 1891. Przytem taryfa tak już reguluje opłaty celne, aby one stanowiły trwałą i systematyczną ochronę produkcyi. Nareszcie taryfa z 1894 r., oparta na systemie układów handlowych, lubo przy bądź co bądź wysokiej protekcyi zawierała pewne ulgi celne dla państw traktatowych, hamująco na rozwój wielkiego przemysłu oddziałać nie mogła. Warunki tak sprzyjały temu wzrostowi, że okręgi i ogniska fabryczne w naszym kraju spotężniały, iż Łódź rozwijała się coraz wydatniej w swej tkacko-przędzalniczej specyalności, że okręg sosnowiecki ze swoim przemysłem, przeważnie metalurgicznym i węglowym wzbijał się na coraz wyższy szczebel rozwoju, że Warszawa stała się wielkim ośrodkiem wielo i różnostronnej produkcyi, i że potworzyły się nowe punkty przemysłowe: w Częstochowie, dokoła Łodzi i t. p. Pierwszy główny bodziec tkwił w taryfie celnej, a obok niego działały wpływy, o których już pokrótce wzmiankowaliśmy. Stwierdzamy jeszcze, że cały ten związek faktów, które skulminowały się w przyśpieszonym prądzie rozwoju wielko-kapitalistycznego, wywoływać też musiał liczne ujemne zwroty i że właśnie u schyłku stulecia wybuchła groźna burza przesilenia ekonomicznego, o którem kilka słów wypadnie nam jeszcze w dalszym ciągu powiedzieć. Tu zarazem stwierdzić trzeba, że ten okres rozwoju wielko-przemysłowego był współcześnie epoką dotkliwych klęsk dla rolnictwa, które zarówno u nas, jak we wszystkich krajach rolnych, ucierpiało skutkiem współzawodnictwa amerykańskiego, skutkiem wydatnej zniżki cen przy powiększonych kosztach produkcyi, a u nas w szczególności jeszcze, najprzód skutkiem uwłaszczenia włościan, następnie przez zaprowadzenie od r. 1879 ceł zbożowych w Niemczech, a nakoniec z powodu współzawodnictwa zboża, dowożonego w znacznych ilościach z odległych okręgów rosyjskich o nizkiej kulturze i tanich cenach ziemi. Rolnictwo znalazło się wogóle pod naporem zależności od potężnych ustrojów handlu, który wprawdzie u nas w zakresie obrotów zbożowych nie przybierał tych form wielkokapitalistycznych i raczej brakiem organizacyi, niż jej potęgą grzeszy, lecz który ma na rynkach międzynarodowych taką siłę, że pośrednio odbija się na powodzeniu wszystkich rolników.

Silny spadek cen zboża ujawnia się dopiero w drugiej połowie dziewiątego dziesięciolecia, kiedy cena pszenicy, poprzednio (od roku 1877) trzymająca się na wysokości $8^1/_2$ — $9^1/_2$ rub., spada do poziomu 6 — 7, a cena żyta, trzymająca się dawniej na $5^1/_2$ — $7^1/_2$, spada do $3^1/_4$ — $4^1/_2$.

Przechodząc do innych cech znamiennych tego ostatniego okresu, zanotować należy zaszczepienie się na tutejszym gruncie nieznanej poprzednio spekulacyi giełdowej na polu akcyi przemysłowych. Spekulacya ta wzięła początek około 1893 r. i dość długo zbierała świetne owoce swoich wysiłków zwyżkowych, lecz od lat paru poczęła doznawać niepowodzeń, aż pod wpływem przesilenia uległa zupełnemu prawie rozbiciu. Ażyoterstwo akcyami przyjęło się u nas wtedy, gdy podbijaniu kursów akcyi oraz rozpowszechnieniu ich wśród szerokiej publiczności zdawały się sprzyjać świetne konjunktury przemysłowe; było ono tem zwykłem pod kapitalistycznym porządkiem narzędziem, które z jednej strony wyzyskuje na swą korzyść zwroty produkcyjne, a z drugiej ułatwia dalsze rozwijanie się przemysłu przez podsycanie jego wzrostu dopływem kapitałów z zewnątrz. Jest to jednak zawsze narzędzie obosieczne, zwracające się w końcu tak samo przeciw jego twórcom, jakoteż przeciw przemysłowi, który z usług jego także korzysta.

Chcąc po tych paru ułamkowych przyczynkach do charakterystyki ostatniego okresu przejść z kolei do statystycznego zobrazowania naszych sił produkcyjnych u schyłku stulecia, winniśmy się znowu zastrzedz, że nie kusimy się o wyczerpujący bilans cyfrowy, do którego brak nam zresztą dokładnych pierwiastków. Wprawdzie w ostatnim zwłaszcza czasie są do zaznaczenia postępy w zakresie opracowań statystycznych, lecz prace te, acz bardzo skrzętnie i starannie ułożone, oparte być mogły tylko na materyale danych urzędowych, przedstawiających różną wartość i w szeregu lat, zbieranych podług niejednolitych zasad. W każdym razie jednak zdobyliśmy już przybliżone rachunki naszej produkcyi, które zawarte są w trzech pożytecznych dziełach, w r. z. wydanych. P. Witold Załęski, w swojem dwutomowem dziele p. n. „Królestwo Polskie pod względem statystycznym"; p. Radziszewski w „Zarysie rozwoju przemysłu w Królestwie Polskiem", p. Koszutski w „Rozwoju przemysłu wielkiego w Królestwie Polskiem" [1]) zgromadzili,

---

[1]) O tych trzech dziełach pomieści „Ateneum" niebawem szczegółowe sprawozdanie (*przyp. Red.)*.

zgrupowali i ujęli w systemat prawie to wszystko, co zgromadzić się dało. Po szczegóły więc odsyłamy do tych książek, tu zaś sprobujemy oświetlić wskazówkami statystycznemi kilka najważniejszych przejawów ekonomicznych.

Na początku godzi się przytoczyć, że, podług rezultatów spisu jednodniowego w r. 1897, Królestwo liczyło 9,455,943 mieszkańców, czyli na wiorstę □ 84,9 mieszk. Podług danych z r. 1872 Królestwo liczyło $6^1/_2$ mil. mieszkańców, czyli wzrost w ciągu lat 25-ciu uczynił prawie 45%, co daje roczne powiększenie 1.5%, a więc większe, niż przyrost ludności w Niemczech (1,1%), w Anglii (0.86%), w Austryi (0.79%), we Francyi (0.06), a mniejsze, niż w Stanach Zjednoczonych (2.56%). Zaludnienie Królestwa Kongresowego po jego ustanowieniu w r. 1816 obliczono na 2,732,324, zatem od tego czasu ludność wzrosła o 6.8 mil. Do r. 1830 ludność szybko wzrastała; w r. 1827 wynosiła już 4,032,335, a w 1829 r. 4,137,034. Wypadki r. 1830 i 31 nie tylko powstrzymały wzrost, lecz nawet spowodowały upadek, bo w końcu 1831 r. liczono 3,762,000 mieszkańców. W r. 1846 ludność dosięgła 4,867,000 lecz wydarzenia polityczne i epidemie cholery w latach 1847, 1848, 1849, 1852, 1854 i w 1855 powstrzymały ten postęp i sprowadziły ubytek, tak, że w r. 1855 było tylko 4,673,869 mieszk. W r. 1860 liczono 4,840,000, a w r. 1865 ujawnia się wzrost do 5,336,000.

Zanim przejdziemy do przybliżonego obliczania wartości produkcyi przemysłowej Królestwa, brałaby pokusa obliczenia produkcyi rolnej. Obrachunek to jednak trudny, i można się opierać tu tylko na domniemaniach. Józef Poznański w książce swej, wydanej w r. 1880 p. n. „Proizwoditelnyja siły Carstwa Polskago” oblicza za lata 1874—76 wartość produkcyi zbóż i kartofli na 200—231 mil. rub., a wraz z burakami, innymi płodami i sianem na 238 mil. Statystyka Poznańskiego, choć w niektórych punktach nie budzi zaufania (bo np. oblicza on wartość inwentarza żywego na 261,177,619 rubli, a sam dochód z niego na 126,059,000, czyli na połowę wartości), jest jednak co do zboża i innych płodów starannie obrachowana, o ile naturalnie zsumowanie zbiorów było ścisłe. Gdyby można tak dowolnie oszacowany dochód z bydła uważać za ścisły pierwiastek ogólnej produkcyi, to cała suma uczyniłaby około 360 mil. rub. P. Załęski („Encyklopedya Handlowa”) szacuje produkcyę rolną Królestwa (zboże, kartofle, buraki, bez inwentarza) za r. 1880 na 221 mil. rub. P. Koszutski podaje za okres od r. 1888 — 1892 wartość tej produkcyi wraz z hodowlą bydła na 300 mil. rub. Liczb tych bez zastrzeżeń przyjąć nie można, w każdym jednak ra-

zie przypuścić wolno, że cyfry pomiędzy 250 a 300 mil. są poniekąd zbliżone do prawdy i że dziś jeszcze wyobrażają prawdopodobną wartość produkcyi rolnej, której ilościowy wzrost, wartościowo zneutralizowany został nizkiemi cenami. Otóż z tą liczbą zestawić teraz należy wartość produkcyi fabrycznej u schyłku stulecia. Przemysł fabryczny Królestwa za r. 1892 obliczały źródła urzędowe („Zbiór danych o przemyśle fabrycznym Rosyi") na 228,307,000 rub. wobec 1,638,400,000 rub. takiejże produkcyi całego państwa. Za r. 1895 zestawił p. Koszutski dane, podług których wartość całej wielkiej produkcyi wraz z górnictwem czynić miała podług statystyki urzędowej 350 mil. rub. Uznając nie bez słuszności dane o produkcyi za zbyt małe, gdyż ułożone zostały podług statystyki fiskalnej, (a więc z pierwiastków, na których zmniejszenie wpływa chęć przemysłowców ukrycia swej produkcyi przed dozorem podatkowym), p. Koszutski podniósł liczby te o $^1/_4$ i doszedł do wniosku, że wartość całej produkcyi dochodzi mniej więcej do $^1/_2$ miliarda. Tym sposobem wszedł do tego rachunku nowy pierwiastek dowolności. Tymczasem obecnie nie potrzebujemy się już opierać na takich domniemaniach. Prof. Załęski w świeżo ogłoszonym tomie II-m swego dzieła p. n. „Królestwo Polskie pod względem statystycznym" podaje cyfry z najnowszych badań statystycznych, a mianowicie z materyałów, ujawnionych przez Departament przemysłu i handlu w r. 1900, a odnoszących się do r. 1897. Wiadomości te pochodzą z szematów, zapełnianych przez właścicieli zakładów przemysłowych i dostarczanych przez naczelników gubernii, oraz z materyałów, zebranych przez izby skarbowe. Te ostatnie służyły za sprawdzian pierwszych. Prof. Załęski wyosobnił z tych wskazówek dane, odnoszące się do Królestwa. Ostateczne wyniki tak się przedstawiają: wartość produkcyi fabrycznej Królestwa czyni 505,307,000 rub., ogólna liczba zakładów wynosi 4,890 głównych i 5,050 dodatkowych, a liczba robotników 243,733. Dodamy, że do podobnych rezultatów doszliśmy też na podstawie własnych prób poszukiwań statystycznych, opartych na wykazach z ostatnich lat paru. Rachunek ten, oczywiście także tylko przybliżony, dał nam rezultaty następujące: przemysł tkacki i przędzalniczy 250 mil. rub., metalurgiczny 70 mil., inne produkcye 170 mil., razem cały przemysł fabryczny 490 mil. Z różnych więc źródeł wynika już cyfra $^1/_2$ miliarda rubli, jako suma wartości całej naszej produkcyi fabrycznej. Dla porównania stwierdzić należy (posiłkując się nowo ujawnionemi wskazówkami), że wartość produkcyi za rok 1857 podawana była na $42^1/_2$ mil. rub., za r. 1871 na 66.7 mil., za r. 1880 na 171.8 mil.,

a za rok 1892 na 229 mil. Wzrost ten trzebaby uważać za nadzwyczajny, gdyby nie zastrzeżenie, jakie się tu z konieczności nastręcza, że statystyka za lata poprzednie była prowadzona mniej ściśle i składała się z niejednolitych pierwiastków, które do obliczeń wchodziły. Obecnie obliczono wszystkie zakłady przemysłowe, zatrudniające więcej, niż 15 robotników, a nadto wszystkie, używające do pracy motorów lub machin. Ze względu na to liczby z szeregu lat nie są współmierne.

Dowodzi tego i zestawienie cyfr robotników fabrycznych. W 1857 r. liczono 56,364 robotników, w r. 1871—75,616, w r. 1893—128,715, a w r. 1897 — 243,733. Jeszcze bardziej rażące różnice występują przy porównaniu ilości fabryk, choć tutaj ukazują się ilości, coraz zmniejszające się. Pochodzi to stąd, że dawniej zaliczano do fabryk każdy warsztat pojedynczy. Tak więc w r. 1857 liczono fabryk 12,542, w r. 1871 — 20,595, w 1893 — 2,916, a w r. 1897 — 4,890. Niemniej jednak zaznaczyć tu trzeba, że skupienie przemysłu w wielkich zakładach wpłynęło na zmniejszenie liczby zakładów.

W stosunku do całego państwa fabryki Królestwa wynosiły: co do liczby 12½%, co do wartości produkcyi 17.8%, co do liczby robotników 11.62%. W całem państwie rosyjskiem (prócz Finlandyi) wartość produkcyi fabrycznej w 1897 r. wynosiła 2,839 mil. rub.

Ze względu na wysokość wartości produkcyi na pierwszem miejscu przemysłu Królestwa stoją fabryki, opracowywujące materyały włókniste; wartość ich wyrobów równa się prawie połowie (49.7%) całej produkcyi, a mianowicie 251 mil. rub. Drugie miejsce pod względem wysokości produkcyi zajmują w Król. Polskiem fabryki wyrobów metalowych z 73 mil. rub. (14.4%). Trzecie miejsce zajmuje przemysł górniczy z produkcyą 56 mil. rub. (11.11%). Z kolei idą: fabryki wyrobów spożywczych z produkcyą 57.7 mil. rub. (11.42%); fabryki ceramiczne z produkcyą 16 mil. rub. (3.17%); fabryki, przerabiające produkty zwierzęce, z 15 mil. rub. produkcyi (2.44%); fabryki wyrobów chemicznych z produkcyą 13 mil. rub. (2.58); fabryki wyrobów drzewnych z produkcyą 12.5 mil. rub. (2.48%) i nakoniec fabryki wyrobów papierowych z produkcyą 6.5 mil. rub. (1.28%). Kategorye fabryk podług ilości robotników idą w tym samym prawie porządku; na pierwszem miejscu stoją fabryki, przerabiające materyały włókniste, z 115,181 robotnikami, na drugiem zakłady górnicze z 32,393 robotnikami, na ostatniem — przedsiębiorstwa wyrobów chemicznych z 3,331 robotnikami.

Pod względem wartości produkcyi pojedyńcze gubernie przedstawiają znaczne zróżniczkowania: piotrkowska miała 300,400,000

rub., a więc więcej, niż połowę ($^3/_5$), warszawska 139,800,000 rub., radomska 20,762,000 rub., kaliska 13,505,000 rub., lubelska 12,316,000 rub., kielecka 7,406,000 rub., siedlecka 3,616,000 rub., płocka 3,055,000 rub., łomżyńska 2,248,000 rub., suwalska 2,169,000 rubli.

Co do wysokości wypłaconych robotnikom zarobków wiadomości są niedokładne. Za r. 1897 są tylko dane, dotyczące 188,664 robotników. Tej ilości robotników wypłacono 42,284,820 rub., wypada zatem przecięciowo na robotnika 224 rub. Największy przecięciowo zarobek przypada na fabryki, przerabiające produkty zwierzęce, mianowicie 309 rub., najmniejszy w różnych przedsiębiorstwach wynosi 152 rub.

Tym sposobom produkcya rolna cofnęła się już w porównaniu z przemysłową, mielibyśmy bowiem taki ich stosunek: wartość produkcyi rolnictwa 250—300 mil. rub., a wartość produkcyi wielkoprzemysłowej 490 — 505 mil. rub.

Znajdujemy także w innych objawach potwierdzenie faktu, że nasze rolnictwo u schyłku stulecia zostało znacznie zdystansowane przez rozwój przemysłu fabrycznego. Świadczą o tem dane o bilansie handlowym Królestwa.

Z obliczeń tych okazało się, że Królestwo Polskie w ostatnich latach więcej zboża i mąki przywozi, aniżeli wywozi, o 15 mil. rub., a wogóle płodów rolnych około 20 mil. rub., czyli, że tyle już uczynił u schyłku stulecia nasz niedobór rolniczy (t. j. nadmiar przywozu, oczywiście prawie wyłącznie z Cesarstwa na potrzeby spożycia miejscowego). Podczas więc gdy w końcu XVIII w. Polska była krajem wydatnie rolnym, i eksport zbóż, jak wyrachował Korzon, czynił 40—80 mil. złp. (6—12 mil. rub.), a w dalszym ciągu prawdopodobnie w czasach Królestwa Kongresowego wywóz jeszcze się zwiększył, wiek miniony wywołał zupełny pod tym względem przewrót, bo zakończył się niedoborem, dochodzącym do 20 mil. rub. Nie jest to ani ujemną wskazówką ekonomiczną, ani dowodem, że rolnictwo u nas upadło; dowód to raczej, że ludność i jej spożycie zbożowe wzrosły w znaczniejszym stopniu, aniżeli podniosła się produkcya. W każdym razie jednak kraj utracił swój dawny charakter przeważnie rolniczy i przetwarza się w przemysłowy.

Tymczasem znakomite postępy uczynił nasz wywóz fabryczny, mający naturalnie główny odpływ do Cesarstwa. Nie posiadamy pod tym względem dokładnych danych, wykazujących sumy wartości przywozu — gotowe obliczenia dotyczą tylko wagi ładunków. Lecz i te wskazówki rzucają światło na położenie ekonomiczne. Okazuje się więc, że wprawdzie w ogólnej wymianie towarów po-

między Cesarswem a Królestwem (za r. 1897) pierwsze dominuje, bo przywozi do nas 104$^1/_2$ mil. pud. towarów, gdy otrzymuje od nas niespełna 53 mil. pud., a więc blizko o połowę mniej; zato jednak na nasz przeważający wywóz, t. j. na korzystne dla nas saldo bilansu handlowego, składają się ładunki wyrobów tkackich i metalicznych. Różne tkaniny wychodzą od nas do Cesarstwa w sumie 4,875,000 pud., gdy wzamian z Cesarstwa przychodzi tylko 1,137,000 pud. Wyroby żelazne i inne metaliczne wychodzą od nas do Cesarstwa w sumie 8,439,000 pud., przychodzą z Cesarstwa w sumie niespełna 1$^1/_2$ mil. pudów.

Aby dać pewną wskazówkę co do wzrostu handlu, zaznaczymy, jak nadzwyczajnie powiększyły się rozmiary skupu weksli przez Warszawski Kantor Banku Państwa. W r. 1886, t. j. w pierwszym istnienia u nas tego Banku, skup weksli uczynił 17$^1/_4$ mil. rub., w r. 1887 — 14 mil., w r. 1897 już 49$^1/_3$ rub., w 1898 — 68.8 mil. a w r. 1899 — 91 mil. rub., czyli w ciągu lat 13-tu skup ten powiększył się prawie 7-krotnie. Zyski na swych operacyach Bank Państwa osiąga znaczne, skoro w r. z., tak niepomyślnym pod względem ekonomicznym, miał czystego zysku 970,000 rub., a w r. poprzednim 914,000 rub.

Na tem kończymy pobieżną charakterystykę stanu ekonomicznego kraju u schyłku zeszłego wieku.

W konkluzyi stwierdzić trzeba, że te same prądy, które owładnęły wszechświatowymi rynkami wytwarzania i wymiany, zapanowały w XIX w. na rynkach naszych. Mechaniczna forma produkcyi, skojarzona z ustrojem kapitalistycznym handlu i przedsiębiorczości — oto też główne cechy najnowszego naszego rozwoju ekonomicznego. Proces przeobrażeń, powściągamy z początku warunkami politycznymi, niedojrzałą kulturą handlową i słabymi środkami materyalnymi, posuwał się powoli, lecz stopniowo, z coraz już większą siłą naginając nasze stosunki do powszechnego rozwoju społeczno-gospodarczego. Naturalnie, nie doszliśmy jeszcze do tej mety, u której wielki przemysł i wyćwiczona technika handlu stanęły w Europie zachodniej przy schyłku wieku: atoli w tym pochodzie stuletnich dziejów ekonomicznych przebyliśmy już długą, niezmierzoną drogę, zbliżającą nas do krajów wielko-przemysłowych i kapitalistycznych. Cokolwiek o takiem przeobrażeniu sądzić można, było ono nieuniknione tak wobec prądów wszechświatowych, jako też czynników przemysłowych, bezpośrednio na kraj nasz oddziaływających. Musieliśmy przyjąć i dodatnie,

i ujemne strony ogólnej kultury społeczno-gospodarczej XIX wieku.

Jak ujemne pod wielu względami jest działanie tych nowych prądów, o tem zaświadczyły w sposób wymowny i dotkliwy ostatnie chwile minionego stulecia, które były okresem niweczącego równowagę handlową przesilenia.

Po kilku latach pomyślnego rozwoju gospodarczego, a nawet wyjątkowo świetnego rozrostu, nastał okres przełomu, którego pustoszący proces jeszcze się nie ukończył. Przesilenie przybrało rozmiary tak groźne, że dawno nie pamiętano podobnie fatalnego przewrotu w handlu i przemyśle. Wszystkie wartości, które uprzednio stale się podnosiły, obecnie spadają coraz dotkliwiej, popyt się kurczy, a konjunktury przemysłowe doznają stopniowo pogorszenia. We wszystkich krajach, na całej linii panuje reakcya.

Jakie są powody tych opłakanych przejawów?

Przesilenie wywołane zostało szeregiem przyczyn, wśród których pierwszą były przeszkody obiegowe, t. j. brak współmierności między potrzebami pieniężnemi a rozrostem życia ekonomicznego. Później wszelako pokazało się, że głębsze przyczyny przesilenia tkwiły w nadmiarze produkcyi, w zbyt nagłym i ryzykownym wzroście ruchu handlowego, a nakoniec powikłania polityczne i związane z niemi wydatki wojenne zaostrzyły trudności. Ponad tem wszystkiem jednak górował pierwiastek spotęgowanej spekulacyi, która opanowała cały ustrój przemysłowo-handlowy. Spekulacya tworzyła sztuczne zwyżki i nieusprawiedliwiony istotną potrzebą spożycia rozwój przemysłu. Nadwytwórczość i czynniki spekulacyjne we wszystkich dziedzinach życia gospodarczego: w przemyśle, na giełdzie, na rynku pieniężnym, w kredycie i w handlu wywołały anormalne warunki pozorów rozkwitu, którego kresem musiało znowu być przesilenie.

Najsmutniejszą stroną tego stanu jest to, że trzeba uważać go za zasadę naszego ustroju gospodarczego. Pod takim porządkiem przesilenia tworzą nieuniknione fazy stopniowań w ruchu gospodarczym. Rozwój posuwa się naprzód poprzez te zwroty od przesilenia do przesilenia, które stanowią jakby słupy graniczne w całym rozwoju handlu i przemysłu. Przesilenie to proces, wyrównywający anomalie wytwórczości, proces samoczyszczący — regulujący zwichniętą uprzednio równowagę podaży i popytu.

Ale dalekim od ideałów społeczno-gospodarczych [musi być porządek ekonomiczny, w którym rozwój naturalny zależy od tak

bolesnych i wstrząsających całym ustrojem przewrotów. Niedoskonałą stworzyła sobie ludzkość organizacyę handlową, skoro każdy postęp wyrasta na cmentarzysku uprzedniego rozwoju i znowu prowadzi do zniszczenia pomyślności.

Przesilenie, pod którego znakiem weszliśmy w wiek XX, jest nowym dowodem ułomności ustroju. Lecz zasobni tem bolesnem doświadczeniem nie powinniśmy tracić wiary, że siła ducha ludzkiego zdoła i te przeciwności przezwyciężyć. Ludzkość dąży już do skrępowania spekulacyi, do świadomego uregulowania popytu i podaży, do równowagi w produkcyi i w podziale dóbr gospodarczych, do uetycznienia organizacyi gospodarczej. Jest to wielkie zadanie społeczne, które, jako trudny, lecz ważny obowiązek, spada na wiek XX-ty.

St. A. Kempner.



KRONIKA EKONOMICZNA

(ZAGRANICZNA).



Ogólna sytuacya ekonomiczna i zniżkowa tendencya giełdy; spadek cen; bezrobocie przymusowe. — Przesilenie a polityka związków przemysłowych. — Wielki *trust* amerykański. — Premia wywozowe na cukier i zatarg pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Rosyą. — Grożąca wojna handlowa i cła zbożowe niemieckie.

Sprawozdania z giełd (prócz amerykańskich, na których dotąd wre szalony ażyotaż) były nastrojone w ostatnich trzech miesiącach stale na nutę minorową. Sakramentalne „usposobienie słabe — bez obrotów" zagaja stereotypowo telegramy giełdowe, a gdy się zajrzy do ceduły, widzi się prawie nieprzerwany spadek kursu, zwłaszcza walorów spekulacyjnych i prawie wszystkich akcyi zakładów przemysłowych. Zola w swojej epopei giełdowej opisuje, jak w dnie krytyczne pojawia się na trybunie giełdy, niby kruk, zwabiony padliną, stara baba, Méchain, z wielkim workiem skórzanym, do którego pakuje walory, pozbawione wartości, zakupywane po cenie minimalnej, w nadziei, że ten lub ów papier niespodzianie podskoczy jeszcze w kursie. Widmo tej Méchain zdaje się tedy krążyć teraz stale nad giełdą; to tu, to tam zawala się gmach sztucznie podtrzymywanej spekulacyi, ze wszystkich stron nadchodzą wieści hiobowe. Dziś rozdzierają szaty spekulanci francuscy na wieść o bankru-

ctwie zakładów metalurgicznych na Uralu; w Londynie — płacz i zgrzytanie zębów, gdyż okazuje się, że to lub owo przedsiębiorstwo poszukiwania złota w Australii, o którem do niedawna „prospekty" dziwy opowiadały, okazuje się wierutnym szwindlem; to znów w Berlinie powstaje panika, gdy nadchodzą wieści, że wielkie przedsiębiorstwa fabryczne zmniejszają produkcyę, że Krupp w jednym dniu wyrzuca na bruk 1500 ludzi, albo wieści o bankructwach przedsiębiorstw lanych, które walą się, jak domki z kart, wskutek utrudnień, jakie sprowadził krach banków hypotecznych.

Już pod koniec roku 1900 zakładanie nowych towarzystw akcyjnych było znacznie utrudnione, i ruch w tym kierunku osłabł znacznie. Tak np. w Niemczech powstało nowych towarzystw:

w roku 1897 —	245	z kapitałem zakładowym	380,468,000 marek
„ 1898 —	329	„ „ „	463,620,000 „
„ 1899 —	364	„ „ „	544,393,000 „
„ 1900 —	261	„ „ „	340,458,000 „

W ostatnich zaś miesiącach nastrój giełdy jest taki, że o nowych projektach nie może być mowy. Natomiast publiczność szersza, która dotąd była aż nadto pochopna do przedsiębiorstw spekulacyjnych, wycofuje z nich pośpiesznie kapitały, a lokuje je w papierach pewnych pożyczek państwowych, miejskich i t. p. Naprężenie na rynku zatem minęło właściwie, czego dowodem właśnie to poszukiwanie pewnej lokaty; z tem wszystkiem przedsiębiorstwa przemysłowe, które teraz więcej, niż kiedykolwiek, potrzebują kredytu, nie znajdują go, przez co położenie ich pogarsza się jeszcze.

Najdobitniej wszakże wypowiada się zmiana konjunktury na rynku towarowym, i zjawisko to wyraźnie świadczy, że zachodzi tu przesilenie już nie spekulacyjne, lecz przemysłowe w całem słowa tego znaczeniu. Oto kilka faktów znamiennych. Przed kilku jeszcze miesiącami rynek towarów żelaznych w Niemczech, Anglii Belgii przedstawiał się świetnie: ceny szły w górę bez przerwy, a pomimo to dobijano się wprost o towar. Obecnie zaś w Niemczech dzieją się takie np. rzeczy: zakłady metalurgiczne nad Renem w grudniu napróżno wzywały firmy, które były skontraktowały żelazo, by odebrały zamówiony towar; ceny bowiem skontraktowane były tak wysokie, a ceny wyrobów żelaznych tak bardzo spadły, że dla owych firm, po większej części fabrycznych, powstać musiały straty krociowe; i oto żelazo, o które dawniej dobijali się odbiorcy, teraz sprzedają przez licytacyę na rachunek owych odbiorców, a ceny,

osiągane przy tych licytacyach, są niepomiernie nizkie. Wielkie gałęzie przemysłu, zużywając stale ogromne ilości żelaza (elektrotechnika, budownictwo) ograniczyły już znacznie produkcyę. Zbyt na głównym rynku zewnętrznym niemieckiego przemysłu żelaznego w Rosyi został zupełnie niemal zatamowany. Dla Anglii „Ironmonger", najdokładniej poinformowane pismo fachowe, pod koniec lutego kreśli taki obraz: konkurencya wzmogła się do tego stopnia, że ceny żelaza i stali zostały doprowadzone do poziomu niesłychanie nizkiego. Już obecnie niektóre zakłady metalurgiczne sprzedają pewne gatunki stali i żelaza po cenie, nie pokrywającej kosztów, byle utrzymać zakład w biegu; inne zakłady wprost zawiesiły produkcyę. W Belgii gaszenie wielkich pieców jest na porządku dziennym.

W innych gałęziach produkcyi rzeczy przedstawiają się nie lepiej. W przemyśle tkackim podwyższenie cen bawełny surowej, a jednocześnie zmniejszenie popytu na tkaniny spowodowało ciężkie przesilenie na całej linii. Przesilenie w budownictwie odbija się złowrogo na licznych gałęziach przemysłu.

To też ogólna dążność zniżkowa uwydatnia się dosadnie w ogólnych cyfrach indeksowych. Najbardziej znane są cyfry statystyka angielskiego Sauerbecka. W tablicach swoich podaje on ceny towarów 45 gatunków, zebrane z notowań urzędowych w 50 różnych miejscach. Z tych cyfr oblicza on cenę przeciętną miesięczną i roczną, przyczem ceny przeciętne, otrzymane dla lat 1867 — 1877, są brane za 100, i do tego indeksu sprowadzają się cyfry za każdy rok i miesiąc. Za ostatnie dziesięciolecie owej *index numbers* przedstawiają się tak:

1891 — 72	1896 — 61
1892 — 68	1897 — 62
1893 — 68	1898 — 64
1894 — 63	1899 — 68
1895 — 62	1900 — 75

A zatem ceny w roku 1900 podniosły się znacznie w porównaniu z rokiem poprzedzającym i dosięgły wysokości niebywałej od roku 1884. Jednakże inaczej rzecz się przedstawia, jeżeli weźmiemy pod uwagę cyfry miesięczne z roku 1900, które wynoszą:

w styczniu	74,0	w maju	75,5
„ lutym	75,1	„ czerwcu	75,7
„ marcu	75,7	„ lipcu	76,2
„ kwietniu	75,6	„ sierpniu	76,0

w wrześniu	75,5	w listopadzie	73,9
„ październiku	74,7	„ grudniu	73,4

Za styczeń roku bieżącego cyfra obniżyła się do 72,2. Tendencya w ruchu cen występuje tu wyraźnie. W połowie roku 1900 ceny były wyśrubowane do *maximum*, odtąd zaś stale spadają. Dokładnego wszakże obrazu takie cyfry przeciętne dać nie mogą właśnie dlatego, że są przeciętne. W cyfrach Sauerbecka zwłaszcza główną rolę grają produkty spożywcze i materyały surowe. A obecny stan rynku jest taki, że właśnie te towary utrzymały się przy cenach wysokich, podczas gdy ceny fabrykatów spadły. Tak np. pismo angielskie „Economist", zestawiając ceny z końca grudnia 1899 i 1900, podaje cyfry takie:

	1900	1899	
żelazo surowe	61,0	65,9	szylingów.
stal w sztabach	120,0	140,0	„
węgiel	22,0	20,6	„
miedź	71,5	72,5	funtów sterlingów.
cyna	116,5	103	„
ołów	16,5	16,7	„
pszenica	26,9	25	szylingów
cukier	12,9	12,9	„
kawa	70	178	„
bawełna	$5^{13}/_{32}$	$4^{15}/_{16}$	pensów
dżuta	16	15	funtów sterlingów
len	40	31	„
tkaniny bawełniane	15	16	szylingów.

Sauerbeck również zaznacza podrożenie węgli, pszenicy, mięsa. W gospodarstwie społecznem jednakże taki stan rzeczy jest najmniej pożądany. Popierwsze bowiem, fabrykant traci podwójnie: na wzroście cen materyałów surowych i na zniżeniu cen fabrykatów; podrugie, wielka masa ludności robotniczej nie tylko traci możność zarobkowania wskutek ograniczenia produkcyi, lecz jeszcze musi płacić ceny wysokie za środki spożywcze, węgiel i t. d.

Do jakiego zaś stopnia podrożały zwłaszcza w Niemczech produkty spożywcze w latach ostatnich, niech zaświadczą o tem cyfry dla Monachium, zaczerpnięte z ostatniego sprawozdania inspektoryatu fabrycznego. Ceny te wynosiły w markach:

	1900	1893		1900	1893
Kilogram wołowiny	1,58	1,45	kilogram mąki żytniej	0,28	0,24
„ wieprzowiny	1,49	1,37	„ mąki pszennej	0,38	0,34
„ cielęciny	1,55	1,18	„ grochu	0,49	0,36
„ baraniny	1,40	1,06	„ tłuszczu wołowego	1,00	0,90

	1900	1893		1900	1893
Kilogram szmalcu	1,70	1,64	litr mleka	0,18	0,16
„ cukru	0,70	0,60	„ nafty	0,30	0,24
„ kawy	3,30	3,20	100 sztuk jaj	5,38	5,23
„ soli	0,24	0,20	centnar węgli	1,60	1,37
„ mydła	0,80	0,60	„ koksu	2,40	1,85

Widmo zaś bezrobocia przymusowego coraz groźniej ciężу na tej ludzkości robotniczej. Oto kilka cyfr dla Niemiec. Istnieją tu biura stręczeń pracy pod kierunkiem bądź gmin miejskich, bądź korporacyi przedsiębiorców i robotników. Prowadzą one statystykę mniej lub więcej dokładną popytu i podaży pracy. Cyfry te zestawia co miesiąc w tablicy odpowiedniej czasopismo specyalne „Der Arbeitsmarkt”, i oto wynik tej statystyki. Na 100 miejsc wolnych przypadało poszukujących pracy:

	styczeń	luty	marzec	kwiecień	maj	czerwiec	lipiec	sierpień	wrzesień	październik	listopad	grudzień
rok 1898	149,9	134,2	103,5	108,6	114,1	113,0	112,5	108,5	98,3	114,8	135,9	139,9
„ 1899	131,6	111,1	89,3	95,5	98,9	93,6	100,7	92,5	94,9	109,0	130,8	144,0
„ 1900	125,3	111.9	94.8	96.7	101,2	103,4	111,2	107,2	100,6	120,8	158,1	161,9
„ 1901	165.8	146.8										

Pogorszenie sytuacyi dla ludzi, poszukujących pracy, uwydatnia się tu zupełnie wyraźnie. Lecz i tu znów cyfry nie mogą odzwierciedlić dokładnie położenia, gdyż owych biur stręczeń jest dziś jeszcze niewiele, a istniejące nie zdołały dotąd odegrać roli takiej, by w nich skupiały się podaż i popyt; przeważna część robotników zawsze jeszcze poszukuje pracy, wędrując od fabryki do fabryki, od warsztatu do warsztatu. Wiadomości, które dochodzą do pism o wydalaniach masowych robotników, o redukowaniu ilości godzin i t. p., każą się domyślać, że w Niemczech klęska przymusowego bezrobocia przybrała już obecnie rozmiary ogromne.

Nie inaczej dzieje się w innych krajach. Zarządy *trade union*'ów angielskich donoszą, że od lat wielu kasy ich nie musiały wydatkować tak znacznych sum na wsparcia dla członków, pozbawionych pracy. W Wiedniu i Budapeszcie, w miastach włoskich i hiszpańskich nagromadza się lud, pozbawiony pracy i środków egzystencyi.

*

* *

Zjawiska, zachodzące obecnie na rynku wszechświatowym, nie pozostawiają już wątpliwości co do roli, jaką odegrały w czasie rozkwitu i przesilenia *trusty i syndykaty*. „Normowanie produkcyi" ogranicza się na tem, że w czasie rozkwitu starały się one wyzyskać do ostatnich granic konjunkturę przez podwyższanie cen, hyperprodukcyi jednaknigdzie nie zapobiegły. Kiedy zaś nastąpiła zmiana konjunktury, usiłowały one wszystkimi środkami podtrzymać ceny wysokie, lecz tem przyczyniały się właśnie do zaostrzenia sytuacyi. Oto np. co pisze w połowie marca sprawozdawca z rynku żelaznego nadreńsko-westfalskiego do „Frankfurter Zeitung":

„Popyt na gotowe fabrykaty żelazne wzrósł cokolwiek, jest jednakże niedostateczny, jednocześnie zaś stosunek pomiędzy cenami na fabrykaty a cenami materyału surowego jest taki, że uniemożliwia produkcyę. Producenci surowca dotąd ustąpić nie chcą... Tak samo istnieje stosunek anormalny pomiędzy ceną pół-fabrykatów a produktu gotowego; te same zakłady, które sprzedają bloki po 82 marki, materyał do połowy walcowany po 102, a płyty po 112 marek, sprzedają gotowe żelazo sztabowe w kraju po 120 marek, blachę po 125, za granicą zaś sprzedają sztaby i blachy cienkie po 115 marek za tonnę".

Z tego więc wynika: zakłady metalurgiczne, związane w syndykat, obstają przy olbrzymio wygórowanych cenach na materyał surowy i półfabrykat; ich odbiorcy (walcownie i inne zakłady żelazne) w czasie gorączkowego popytu musiały godzić się na umowy długoterminowe i zastrzegające bardzo wysokie ceny. Teraz, kiedy konjunktura się zmieniła, syndykat obstaje, jak Schyllock, przy „swoim kwicie", podczas gdy jego odbiorcy są zmuszeni obniżać ceny. Dalej: zakłady, należące do syndykatu, same wyrabiają nietylko półfabrykat, lecz i fabrykat gotowy (sztaby i blachy) i sprzedają go po cenach, nie odpowiadających cenom półfabrykatu, a zagranicę sprzedają jeszcze taniej; mogą zaś to czynić, ponieważ ten półfabrykat faktycznie nie kosztuje tyle, ile żądają i otrzymują na mocy owych umów. W rzeczy samej kosztuje on ich zaledwie połowę tej ceny! Cena bowiem żelaza surowego, w kontraktach na rok 1901 zastrzeżona, jest wyższa od ceny z roku 1899 o 48%, wynosi bowiem 91,83 marek zamiast 61,87 marek. Ponieważ zaś przy cenach z roku 1899 zakłady metalurgiczne miały zyski bardzo obfite (wypłacały 10—20% i więcej dywidendy), a więc koszta produkcyi dla zakładu metalurgicznego są oczywiście o wiele niższe od owej ceny z roku 1899. Syndykat powołuje się na to, że koszta produkcyi wzrosły. Jednakże jest to wykręt, nie wytrzymujący krytyki.

Płaca robocza w roku 1899 i 1900 wzrosła była cokolwiek. Inspektorowie fabryczni w prowincyi nadreńskiej i Westfalii, gdzie mieszczą się zakłady zsyndykowane, konstatują wzrost płacy roboczej o 3,5%. Wzrosły znacznie ceny węgla i koksu, lecz zakłady zsyndykowane dziś po największej części posiadają własne kopalnie węgla i koksownie, przeto wchodzą dla nich w rachubę nie ceny rynkowe, wyśrubowane sztucznie przez inny syndykat, lecz ceny, określone kosztami produkcyi. Słowem, syndykat metalurgiczny, tak samo jak syndykat węglowy, wyzyskały do ostatnich granic faktyczny monopol, podniosły ceny potwornie, a nie odstępując od tych cen nawet wtedy, kiedy nastąpiła zmiana konjunktury, przyczyniły się do zaostrzenia przesilenia. Jakie będą wyniki tej praktyki, przewidzieć nietrudno: część przedsiębiorstw upadnie, pozostałe zostaną związane w nowy syndykat zakładów, wyrabiających produkt gotowy, ale w tym nowym syndykacie będą rej wiodły wielkie przedsiębiorstwa, które już dziś produkują wszystko, począwszy od surowca do żelaza użytkowego. To też gazety niemieckie donoszą obecnie ciągle o rokowaniach, odbywających się pomiędzy kierownikami walcowni i innych zakładów w kierunku wspomnianym. W ten sposób syndykat tworzy nowy syndykat, i dochodzimy do bezwzględnie wszechwładnych monopolów prywatnych.

Przykład urzeczywistnienia tego planu mieliśmy w ostatnich tygodniach w powstaniu niebywałych dotąd rozmiarów *trustu* pod nazwą *United States Steel Corporation*. Chodzi tu właściwie o połączenie kilku istniejących już dotąd trustów w jeden wielki. Historya tego połączenia tak się przedstawia.

Największym producentem stali w Stanach była dotąd *Carnegie-Company*, powstała z połączenia kilku wielkich przedsiębiorstw. Towarzystwo to posiada olbrzymie kopalnie rudy żelaznej, położone w pobliżu wielkich Jezior, i zakłady hutnicze, wyrabiające z tej rudy, należącej jakościowo do najlepszych w świecie, stal. Nad jeziorem Erie towarzystwo posiada własną przystań olbrzymich rozmiarów, skąd na własnych statkach zwozi swój produkt do Connaut na jeziorze Górnem; posiada również własną kolej żelazną od jeziora Erie do Pittsburga. Słowem produkuje w wyjątkowo dogodnych warunkach. Niedawno towarzystwo postanowiło wznieść w Connaut wielki zakład do wyrobu rur żelaznych i stalowych walcowanych. Wyrób zaś rur był dotąd monopolem niemal towarzystwa *National-Tube Company*, które również powstało z połączenia rozmaitych przedsiębiorstw. Monopol swój to towarzystwo wyzyskiwało oczywiście bezwzględnie, o czem najlepiej świadczy to, że otrzyma-

ło w roku 1899 przy kapitale zakładowym 80 milionów dolarów (kapitał nominalny faktyczny jest prawdopodobnie o wiele mniejszy, gdyż oceniano zapewne wartość łączących się w jedną całość zakładów zbyt wysoko) 13 milionów dolarów zysku. Zanosiło się tedy na walkę zażartą: *Tube-Company* groziła, że założy zakłady wyrobu stali i będzie obniżała ceny, *Carnegie-Company* groziła redukcyą cen rur do *minimum*. Wtedy wmieszał się w sprawę jeden z miliarderów, bankier i przedsiębiorca kolejowy, Morgan, i doprowadził do zgody pomiędzy współzawodnikami, lecz jednocześnie zaproponował przystąpienie do sojuszu innym współzawodnikom, a zwłaszcza zakładom, zostającym pod wpływem miliardera Rockefellera. W znacznej części zgoda została tu wymuszona groźbą, gdyż dwa wspomniane towarzystwa rzeczywiście mogły podkopać byt każdego współzawodnika, który by śmiał stawić opór. Nowy trust tedy składają:

Carnegie-Company	z kapitałem	320	mil.	dolarów,	produkcyą	roczną	3	mil. tonn
Federal-Steel-Company	„	326	„	„	„	„	2,2	„ „
National-Tube-Company	„	80	„	„	„	„	1,1	„ „
Amer. Steel and Ware Comp.	„	105	„	„	„	„	1,5	„ „
National Steel Comp.	„	62	„	„	„	„	1,7	„ „
Republ. - Iron and Sheel Comp.	„	55	„	„	„	„	1,2	„ „
U. S. Cast Iron Pipe and Foundy	„	60	„	„	„	„	1,0	„ „

Prócz tego 13 mniejszych zakładów. Ogółem nowy trust reprezentuje tedy kapitał około 1,5 miliardów dolarów i produkcyę 21 milionów ton żelaza i stali. Jest to więcej, niż połowa całkowitej produkcyi, jeżeli zaś wziąć pod uwagę tylko stal, to syndykat dysponuje niemal produkcyą całkowitą. Będzie on zatem stanowił samowolnie o cenach, na czem konsumenci zapewne dobrze nie wyjdą. Konsumentem zaś jest tu przedewszystkiem przemysł maszynowy amerykański, który tak świetnie począł się w ostatnich czasach rozwijać. Na Europie zaś utworzenie tego trustu miliardowego może się odbić bardzo złowrogo. Jak bowiem donosiliśmy w swoim czasie, już w roku zeszłym żelazo i stal amerykańska poczęły ukazywać się na rynkach Europy. Ruch ten został przerwany wskutek zmniejszenia popytu i spadku cen fabrykatów. Po utworzeniu nowego trustu niebezpieczeństwo tego współzawodnictwa wzmaga się znacznie. Popierwsze bowiem trust będzie musiał dążyć do „regulowania rynku wewnętrznego”, t. j. będzie starał się stale wywozić część produkcyi zagranicę, aby módz utrzymać w Stanach ceny wysokie, a zyski z tych cen pozwolą mu sprzeda-

wać zagranicą poniżej cen produkcyi. Bronić się zaś przeciw tej konkurencyi za pomocą cen wwozowych państwa europejskie nie będą w stanie, jak nie ochroniły się od konkurencyi zboża amerykańskiego, gdyż — i to stanowi punkt drugi — trust ma możność zredukowania kosztów produkcyi, zamykając zakłady, które, pracują w warunkach niedogodnych, a rozwijając produkcyę zakładów, posiadających najdogodniejsze warunki, więc takie, które jak zakłady *Carnegie*, mają rudę żelazną, położoną w pobliżu pokładów węglowych, posiadają dogodne warunki przewozu. Prócz tego trzeba brać w rachubę potęgę osobistości, biorących udział w owym truście: p. Morgan, jak wspomnieliśmy, jest jednym z głównych macherów kolejowych, dalej zaś bank na którego czele stoi ten pan, *National-City-Bank*, jest ściśle skoalizowany z *Standard - Oil - Company*, t. j. z wielkim trustem naftowym, na którego czele stoi pan Rockefeller. Ten mocarz znów rachuje się z kilku towarzystwami, które weszły w skład nowego trustu, a z drugiej strony wywiera wpływ potężny na rozmaite towarzystwa kolejowe oraz na wielkie stowarzyszenia żeglugi morskiej. Z tej więc „unii osobistej" wynikają dla trustu bardzo poważne korzyści. Powstaje mianowicie solidarność interesów pomiędzy *pool'ami* dróg żelaznych i towarzystwami żeglugi a trustem; ta zaś solidarność będzie polegała na tem, że owe towarzystwa transportowe zaprowadzą dla trustu wyjątkowo nizkie taryfy, odbijając straty na innych pozycyach taryfy, jak się to dzieje teraz przy przewozie nafty. Dalej zaś panowie Morgan, Carnegie i Rockefeller znaczą nieco na giełdzie, co także wchodzi w rachubę przy interesach trustu. Słowem wielki ten polip kapitalistyczny rozpoczyna żywot w warunkach, bardzo sprzyjających dalszemu rozwojowi.

Czy wszakże naród amerykański nie położy kresu tego rodzaju monopolom? Podczas kampanii wyborczej sprawa trustów odgrywała niejaką rolę; partya demokratyczna starała się wyzyskać niechęć ku monopolistom wielko-kapitalistycznym, a wtedy i partya republikańska zajęła względem trustów stanowisko nieprzychylne. Jednakże jedynym rezultatem tego manewru politycznego, jak dotąd, jest ankieta, której wyniki ogłoszono w dwu wielkich tomach pod tytułem „Preliminary Report on Trusts and Industrial Combinations". Nowych faktów ankieta nie wiele dostarczyła, a wywody swoje streszcza tak. Korzyści ekonomiczne, wynikające z powstawania trustów, są następujące: 1) przez zjednoczenie trusty dochodzą do znacznego oszczędzenia kapitału i pracy, gdyż zamykają systematycznie przedsiębiorstwa, pracujące w warunkach mniej do-

godnych, a przytem zmniejszają wydatki, spowodowane przez konkurencyę; 2) zmniejszają koszta przewozu, gdyż utrzymują przy życiu tylko zakłady, położone w miejscach dogodnych ze względu na dostawę materyałów surowych i zbyt wyrobu; 3) mają one przy obfitości kapitału możność wyzyskiwania nowych wynalazków technicznych; 4) dzięki zjednoczeniu zmniejszają się znakomicie koszta administracyi; 5) mają one również możność posiłkowania się najzdolniejszymi kierownikami i pracownikami; 6) koncentracya kapitału zapewnia im korzyści, gdyż są mniej zależne od rynku pieniężnego. Natomiast na niekorzyść trustów przemawiają czynniki następujące: 1) w skutek takiej koncentracyi wielu ludzi, a zwłaszcza oficyalistów fabrycznych i kupieckich, traci zarobek; 2) podkopują one byt znacznej liczby drobniejszych producentów, przyczem posługują się częstokroć środkami nieetycznymi; 3) podwyższają niepomiernie ceny towarów; 4) podżegają spekulacyę i w skutek swego dominującego stanowiska na giełdach wyzyskują publiczność przez nadmierne podwyższenie kursów akcyi; 5) uzyskując wpływ decydujący na zarządy dróg żelaznych, kierownicy trustów uzyskują niczem nie usprawiedliwione ulgi przy przewozie; 6) kierunek monopolowy wogóle może doprowadzić do zatamowania rozwoju przemysłowego.

Są to rzeczy nie nowe; na pytanie, czy i jak należy przeciwdziałać tym zgubnym skutkom, komisya nie odpowiada; dlaczego, łatwo się domyślić: przeciwdziałać gospodarce monopolowej można jedynie przez zniesienie lub przynajmniej znaczną redukcyę ceł wwozowych; takiego zaś środka wyrzeka się zarówno partya demokratyczna, jak republikańska.

* * *

Tymczasem sprawa, będąca w związku bezpośrednim z praktykami syndykatów i trustów, mianowicie premia wywozowe ukryte, stała się powodem trudności w międzynarodowej polityce ekonomicznej. Mówimy o zatargu pomiędzy Rosyą a Stanami Zjednoczonymi z powodu cła wyjątkowego, nałożonego na cukier, przywożony do Stanów.

Sprawa premii wywozowych, płaconych producentom cukru, już oddawna jest palącą, lecz dotąd daremnie starano się rozwiązać ją na konferencyach międzynarodowych.

Premia na wywóz cukru powstały w skutek chęci popierania przemysłu cukrowniczego ze względu na wielki pożytek dla rolnic-

twa, jaki przypisywano uprawie buraków cukrowych. Chodziło tedy o dostarczenie producentom możności sprzedawania cukru na rynkach zagranicznych, i, aby ułatwić im współzawodniczenie z innymi krajami, wypłacano bądź jawne premia wywozowe, bądź też zaprowadzano osobny system podatkowania, przy którym cukier, wywożony zagranicę, był nie tylko wolny od podatku, lecz dostarczał producentowi nadwyżkę; powstawało premium utajone. Za przykład służyć może system, stosowany dawniej w Niemczech. Podatek pobierano nie od produktu gotowego, lecz od ilości zużytych przy fabrykacyi buraków, mianowicie pobierano 1,60 marek centnara (100 kilogramów buraków; przy wywozie ten podatek zwracano, przyczem liczono, że na wytworzenie centnara cukru zużywa się 12,5 centnarów buraków), i zgodnie z tym rachunkiem wypłacano za każdy wywieziony centnar cukru 1,60 × 12,5 = 20 marek. Fabrykanci wszakże wyrabiali centnar cukru nie z 12,5, ale z 8,8 centnarów buraków, co było skutkiem ulepszeń technicznych, pozwalających lepiej wyzyskiwać cukier, zawarty w burakach. W ten sposób fabrykanci płacili podatku 1,60 × 8,8 = 14,08 marek, przy wywozie zaś pobierali 20 marek, czyli pozostawało im w kieszeni 5,92 marki od centnara jako utajone premium wywozowe. Podobne premium wywozowe utajone pozostało dotąd we Francyi i Austryi. W obu krajach prócz tego istnieje premium jawne, W Niemczech wskutek zmiany systemu podatkowego premium utajone znikło. W Rosyi również od roku 1895 podatek jest pobierany od produktu gotowego, a przy wywozie cukru zostaje zwrócony tylko podatek opłacony, i tu więc premium utajonego niema.

Jednakże zarówno w Niemczech, jak i w Rosyi, istnieje nowa forma utajonego premium, wskutek „unormowania produkcyi". W Niemczech rzecz przedstawia się zupełnie jasno. Na mocy prawa z roku 1896 produkcya cukru uległa „unormowaniu" w ten sposób, że każdej fabryce jest wyznaczona ilość produkcyi, w razie jej przekroczenia fabryka opłaca za nadwyżkę powiększony podatek; za cukier zaś, wywożony zagranicę, zwraca się podatek oraz dopłaca się premium jawne w wysokości 2,5 marek za centnar. W roku jednakże ubiegłym fabrykanci niemieccy utworzyli syndykat, podnieśli znacznie ceny na rynku wewnętrznym, a część zysków, stąd osiągniętych, używa syndykat na wypłacanie swoim członkom premium wywozowego, w wysokości, zależnej od cen na rynku wszechświatowym; to premium wywozowe w roku ubiegłym wynosiło od 1,50 do 1,75 marek na centnarze. A więc obok premium rządowego istnieje bardzo pokaźne premium syndykalne, umożliwiające sprzedaż na rynkach zagranicznych po cenie zredukowanej.

Nieco inaczej przedstawia się sprawa w Rosyi. Tu unormowanie produkcyi odbywa się w ten sposób, że jest wyznaczony wymiar produkcyi cukru dla potrzeb krajowych oraz zapas nietykalny. Produkować ponad ten wymiar fabrykom wolno, lecz niewolno nadmiaru sprzedawać w kraju. Kontygnent zaś krajowy dzieli się pomiędzy fabryki na zasadach następujących: każdej fabryce wyznacza się 60,000 pudów, pozostała zaś ilość jest podzielona pomiędzy wszystkie fabryki proporcyonalnie do wyprodukowanej przez każdą z nich ogólną ilość cukru, a więc bierze się w rachubę przy tym podziale zarówno ilość, wytworzoną dla rynku krajowego, jak również wywiezioną zagranicę. Cena maksymalna sprzedaży na rynku wewnętrznym również ulega zatwierdzeniu urzędowemu. Ponieważ zaś ta cena jest względnie wysoka, a faktycznie cena rynkowa nigdy nie jest niższa od owej maksymalnej, każdej z fabryk zależeć musi na tem, by otrzymać możliwie wielki kontyngent dla sprzedaży w kraju. Dopiąć zaś tego może, produkując możliwie dużo na wywóz zagranicę, przyczem możliwe straty będą pokryte na rok przyszły w skutek zwiększonego kontyngentu, który będzie sprzedany po cenach wysokich na rynku wewnętrznym. Że tak jest istotnie, świadczą cyfry urzędowe. Według „Wiestnika finansów, promyszlennosti i torgowli“, produkcya cukru w Rosyi przedstawia się tak:

Kampania w roku	Ilość zakładów	Produkcya ogólna	Produkcya dla rynku wewnętrznego	Ceny maksymalne do 1 styczn.	Ceny maksymalne po 1 styczn.
1895/6	231	42.5 mil. pud.	25,5 mil. pud.	4,75 rub.	5,00 rub.
1896/7	236	44,4 „ „	30,0 „ „	4,65 „	4,90 „
1897/8	239	46,1 „ „	33.0 „ „	4.60 „	4,80 „
1898/9	244	45,4 „ „	35.5 „ „	4,50 „	4,70 „
1899/900	268	53,4 „ „	36,5 „ „	4,45 „	4,60 „

Produkcya dla rynku wewnętrznego wzrasta, lecz jeszcze szybciej wzrasta ilość produktu, wywożonego za granicę. Wywóz wynosił w latach 1895/6—1890/900 w milionach pudów 17,0—14,4—13,1—9,9—17,9. Ten wywóz wszakże odbywa się w warunkach nadzwyczajnych. Cena bowiem na rynku londyńskim, odpowiadająca cenie na rynku wszechświatowym, wynosiła w latach 1896/7 do 1899/900, obliczywszy na ruble, za pud— 1,61 — 1,71 — 1,75 — 1,69. Lecz od tych cen potrącić jeszcze należy koszta przewozu, licząc je po 40 kopiejek tylko więcej, niż koszta transportu do rynku wewnętrznego, a więc producent otrzymywał za pud sprzedanego zagranicą cukru w latach wskazanych—1,21—1,31—1,35—1,29 rubli.

Jest to cena, nie pokrywająca kosztów produkcyi. Według bowiem danych urzędowych koszta produkcyi wynosiły w roku 1894/95 — 2,16 rub. za pud, w roku 1895/96 — 1,90 rub. Lecz przy tem obliczeniu uwzględniano tylko większe cukrownie, w których koszta produkcyi są mniejsze. Nie o wiele omylimy się, przyjmując, jako koszta produkcyi przeciętne, 2 ruble za pud. Straty więc przy wywozie wynosiły na pudzie 65 do 75 kop., pomimo to wywóz wzrastał! Straty pokryli konsumenci krajowi. Potrąciwszy bowiem od cen maksymalnych, wyżej podanych, podatek krajowy w wysokości 1,75 rubla za pud, otrzymamy 3,0 — 2,90 — 2,85 — 2,75 — 2,80 rubli do 1 stycznia i 3,25—3,15, 3,04 — 2,95 — 2,85 — 2,75 rb do 1 stycznia, a więc ceny, zapewniające, po potrąceniu kosztów produkcyi i transportu, bardzo wysoki zysk.

Korzyści takiego systemu spływały dotąd na kraje importujące, przedewszystkiem na Anglię i Stany Zjednoczone. Anglicy dotąd nie mają nic przeciwko temu, aby producenci słodzili im życie, sprzedając cukier poniżej kosztów produkcyi, czy to z powodu premiów bezpośrednich, czy utajonych, czy wskutek polityki handlowej syndykatów w krajach, gdzie unormowano produkcyę. Spożywają oni radzi 37,4 kilogramów na głowę, podczas gdy w krajach, produkujących cukier, konsumcya wynosi — we Francyi 15,2, w Niemczech 12,0, we Francyi 8,0 a w Rosyi 4,5 kilograma. W Stanach Zjednoczonych natomiast powstała nadspodziewanie opozycya przeciw dobrodziejstwu taniego cukru. Zrobili mianowicie huczek farmerzy, którzy w miarę wyczerpania się ziemi dziewiczej wobec gospodarki ekstensywnej postanowili przejść do gospodarstwa intensywnego i zaprowadzać plantacye buraków. Sojuszników zaś znaleźli w truście fabrykantów rafineryi cukrowych (American Sugar Refining Company), którzy wyrabiają cukier z mączki cukrowej krajowej i przywożonej. Pod wpływem agitacyi rząd Unii postanowił obłożyć cłem związkowem cukier, przywożony z krajów, w których producenci pobierają premia wywozowe, bądź jawne, bądź ukryte, i to cłem, odpowiadającem co do wysokości owym premiom.

Kiedy więc w roku ubiegłym kartel, zawiązany w Niemczech, począł płacić członkom premium wywozowe ponad premium państwowe, podwyższono w Stanach Zjednoczonych cło wwozowe; reklamacye tu nie pomogły, i rząd niemiecki uznał, że nie był to krok nieprzyjazny względem handlu niemieckiego.

Cukier rosyjski do ostatnich czasów wwożono bez cła dodatkowego. W lutym r. b. nagle oświadczył rząd Unii, że zmuszony jest nałożyć cło kompensacyjne na ten cukier, gdyż producenci rosyjscy

wytworzyli sobie ukryte premium wywozowe. Wersya dosyć prawdopodobna głosi, że krok ten był spowodowany machinacyami eksporterów niemieckich, którym groziło współzawodnictwo cukru rosyjskiego, nie opłacającego cła kompensacyjnego na rynku amerykańskim.

Co do strony formalnej, sprawa jest prosta: według brzmienia prawa amerykańskiego rząd Unii w rzeczy samej był zmuszony zastosować w danym wypadku to prawo, a co najmniej oddać sprawę na sąd najwyższej instancyi, co też uczyniono. Lecz sama zasada doprowadza do bardzo ciekawych wyników: o „premium wywozowem" ani jawnem, ani tajnem, w zwykłem znaczeniu tego słowa nie może tu być mowy; chodzi tu o politykę handlową producentów, którzy sprzedają taniej zagranicą, ponieważ mają możność sprzedać drożej w kraju, a więc politykę, jaką prowadzi każdy syndykat, trust lub kartel. Różnica formalna polega na tem tylko, że producenci mają możność ciągnięcia wysokich zysków na rynku krajowym w skutek urzędowego normowania produkcyi, członkowie zaś związków przemysłowców w innych gałęziach normują produkcyę na własną rękę. Różnica to, powiadamy, formalna tylko, bo w rzeczywistości te ostatnie związki również korzystają przy swojej polityce wywozowej z pośredniego współudziału rządów: bez cen wwozowych bowiem praktyka podwyższania cen na rynku wewnętrznym, by sprzedawać taniej zagranicą, byłaby niemożliwą.

Zupełnie więc słusznie rozumuje „Wiestnik finansow": „Stosując zasady o cłach kompensacyjnych ogólnie, każde państwo będzie miało prawo bez względu na obowiązujące umowy handlowe stosować je do wszystkich towarów, których produkcya jest w ręku stowarzyszonych przedsiębiorców, o ile kartel taki, eksploatując ludność krajową, stara się pobić swych współzawodników na rynkach zewnętrznych".

Istotnie. Jeżeli system ceł protekcyjnych ma istnieć nadal, to wymaga on, jako dopełnienia, takich ceł kompensacyjnych. Toż zadaniem głównem cła protekcyjnego jest ochrona danej gałęzi przemysłu krajowego od konkurencyi przemożnej producentów zagranicznych. Jeżeli jednakże ci konkurenci zagraniczni, złączywszy się w kartel lub trust, mają możność sprzedawania zagranicą produktu poniżej kosztów produkcyi, tem samem mają możność osłabiania a nawet zupełnego zniesienia ceł w kraju, do którego wywożą swój produkt. I niewątpliwie w miarę rozwoju organizacyi przedsiębiorców niebezpieczeństwo to grozi naprawdę. Lecz tem samem cła protekcyjne zatracają zupełnie swój charakter, stają się one wtedy

tylko środkiem, dozwalającym przedsiębiorcom wyzyskiwać ludność kraju, albo muszą przybrać charakter ceł prohibicyjnych, t. j. ceł tak wysokich, że przywóz towarów z zagranicy jest wogóle niemożliwy. W dodatku zaś przy takim systemie stosunki handlowe muszą tracić na stałości: każda umowa handlowa musiałaby ulegać zmianie, jeżeli w jednym ze związanych nią krajów powstaje nowy kartel. Ponieważ zaś świeży przykład poucza, jak łatwo cła kompensacyjne mogą stać się powodem nieporozumień, oparcie na nich całego systemu ceł znaczyłoby ni mniej, ni więcej tylko uwiecznienie wojen handlowych. Ładna przyszłość dla produkcyi i handlu wszechświatowego!...

* * *

Tymczasem zaś widmo wojny handlowej naprawdę zawisło nad Europą. Zbliża się termin odnowienia traktatów handlowych Niemiec z rozmaitemi państwami, to zaś pociągnąć za sobą może całkowitą rewizyę polityki handlowej, a dotychczasowe zajścia świadczą o nastroju raczej wojowniczym, niż pokojowym. Przedewszystkiem chodzi tu o żądanie niemieckich agrarczyków, domagających się podwyższenia ceł na wszelkie wogóle produkty rolnicze; rząd staje po stronie tych żądań wygórowanych.

Obrońcy tej polityki posługują się, jak zwykle, utartymi ogólnikami: rolnictwo jest podstawą bytu państwa i gospodarstwa narodowego; należy się mu zatem opieka; dla rolnictwa krajowego podwyższenie cen krajowego zboża jest korzystne, *ergo* trzeba podwyższyć cła na przywóz zboża. Całe wszakże to rozumowanie jest świadomym sofizmatem. Ze stanowiska ekonomicznego produkty rolnicze mają dziś nie inne znaczenie, jak wyroby przemysłu, i trudno zrozumieć, na czem polegać ma owo mityczne znaczenie rolnictwa dla kraju. Argument, że państwo musi pozostać samodzielne w produkcyi żywności, bo na wypadek wojny może ludności grozić głód, traci znaczenie, ponieważ wistocie żadne państwo zachodnio-europejskie nie może już dziś wyżywić ludności produktami własnego rolnictwa i żadna „ochrona krajowego rolnictwa" tego położenia nie zmieni. Wojna, w której państwo będzie osaczone do tego stopnia, że przewóz jest odcięty, kładzie kres jego bytowi bez względu na zapasy żywności, gdyż sprowadza ruinę ekonomiczną, przy której opór zbrojny staje się niemożliwy. Argument, jakoby ludność rolnicza była zbiorowiskiem sił, z którego czerpie naród, kiedy tymczasem praca przemysłowa wyniszcza siły żywotne lu-

dności, stoi na bardzo słabych nogach. Dla Niemiec specyalnie dowiódł niedawno Brentano, że ludność rolnicza nie ma już dziś pod względem sprawności fizycznej przewagi nad ludnością miejską. Brzmi to na pierwszy rzut oka paradoksalnie, lecz jest to wynik naturalny zmienionych warunków. Ludność rolnicza mogła przedstawiać zapas niespożytych sił życiowych, dopóki gospodarstwo wiejskie było oparte na zasadach „gospodarstwa naturalistycznego”, t. j. dopóki praca przedewszystkiem miała na celu wytworzenie produktów, służących do zaspokojenia potrzeb własnych, na rynek zaś szły jedynie produkty zbywające. Ten charakter utraciło już dawno gospodarstwo rolnicze w krajach zachodu; stało się ono kapitalistycznem, wytwarza dla rynku. Dla ludności, pracującej na roli, miało to ten skutek, że żywienie się jej wogóle uległo zmianie na gorsze. Włościanin niemiecki dziś tak samo, jak robotnik miejski, kupuje prawie całą żywność swoją za gotówkę; pieczenie chleba w domu należy do przeszłości, kupuje się chleb w piekarni wiejskiej; nawet nabiału od czasu rozpowszechnienia spółek mleczarskich używa ludność w ilościach minimalnych, gdyż cały produkt bywa spieniężany; o mięsie niema co mówić: konsumcya miejska przewyższa tu o wiele wiejską. Słowem, na ogół ludność wiejska żywi się gorzej od miejskiej. Ogólne warunki pracy są bez wątpienia zdrowsze przy pracy rolnej, lecz i tu zaszła zmiana na gorsze zwłaszcza dla ludności włościańskiej: praca stała się ogromnie intensywna, podrywająca siły ludzkie. Nasz Krzysztof Opaliński stwierdza w wieku XVII zmianę w pracy poddanych: „Gdzie bywało dwadzieścia kmieci abo więcej, tam ich osiem abo dziesięć, a przecię to zrobić każą dziesiąci, co ich dwadzieścia robiło”. („Na ciężary i oppresyą chłopską w Polszcze”). Był to skutek kolonizowania coraz to większych obszarów, leżących przedtem odłogiem, na których osadzano poddanych, przerzedzając ludność starych wsi. Podobne sprowadziła skutki gospodarka kapitalistyczna: i tu mniejsza ilość ludzi dokonywa pracy, którą dawniej wykonywała ilość większa, i tylko stosunek liczebny jest może gorszy, i należałoby zapewne powiedzieć: co dawniej 30 robiło, dziś 10 robi. Jest to skutek konieczny: praca stała się cenna, utrzymanie człowieka droższe; poczęto tedy zmniejszać ilość parobków i dziewek; część członków rodziny włościańskiej poszła w świat za chlebem, a pozostali na roli pracują nadmiernie, gdyż w dodatku gospodarstwo poczęło wymagać zwiększonego, a nie mniejszego nakładu pracy. Dodajmy ciemnotę i gnuśność umysłową, która powoduje zachowanie zgubnych pod względem hygienicznych stosunków — przebywanie całą zimę w izbach nie-

przewietrzanych, niechlujstwo etc. — a otrzymamy wynik, że warunki bytu ludności miejskiej ulegają zmianie, jakkolwiek bardzo a bardzo powolnej ku lepszemu, warunki zaś bytu ludności wiejskiej zmieniają się na gorsze. Na czem wobec tego opiera się twierdzenie o owej wyższej roli, jaką odgrywa rolnictwo w życiu społecznem, odgadnąć trudno.

O ile chodzi o znaczenie ekonomiczne w ścisłem znaczeniu, to niewątpliwie w Niemczech, jak wogóle w krajach zachodniej Europy, z pracy przemysłowej żyje większa ilość ludzi, i produkcya przemysłowa jest podstawą bytu dla społeczeństwa w wyższym stopniu, niż rolnictwo. Nieurodzaj mniejszą byłby klęską dla społeczeństwa niemieckiego, niż zatamowanie produkcyi przemysłowej. W pierwszym bowiem wypadku zasoby, jakie ciągnie społeczeństwo ze sprzedaży na rynku wszechświatowym produktów przemysłowych, pozwoliłyby na zaopatrzenie ludności w żywność z krajów innych, w drugim — ludność nie mogłaby istnieć, gdyż rezultaty produkcyi rolniczej na utrzymanie jej nie wystarczą, a tém mniej może być mowa o nadwyżce tej produkcyi ponad potrzeby własnego społeczeństwa.

Jeżeli agrarczycy chcą (lub udają, że chcą), aby stosunki powróciły do przewagi rolnictwa nad przemysłem, to łudzą siebie i innych. Życie samo odpowiada: „wy nie cofniecie życia fal” — zapóźno! Ów upadek rolnictwa jest rzeczą „nienaturalną” albo, jak trafniej należałoby wyrazić tę myśl, rzeczą niezgodną z prawdziwymi interesami żywotnymi społeczeństw, lecz zmiana nastąpić może nie przez brutalne środki reakcyjne, lecz przez rozwój ku nowym formom wytwarzania.

Stąd właśnie twierdzenie powyższe jest w założeniu samem mylne, oparte na błędnem zrozumieniu rzeczy: podwyższenie cen zboża stanie się ciężarem nieznośnym dla ogółu społeczeństwa, ale nie naprawi stosunków produkcyi rolniczej. Jaki bowiem będzie skutek? Na to nauka dała odpowiedź wyczerpującą już przed stu laty niemal w teoryi renty gruntowej: w miarę wzrastających dochodów z gospodarstwa rolnego wzrasta renta gruntowa, a znów renta ta bywa skapitalizowana w cenie sprzedażnej ziemi. W miarę więc wzrostu cen zboża wzrasta cena ziemi, nadmiernie zaś wygórowana cena ziemi jest właśnie największą przeszkodą dla rozwoju rolnictwa w krajach kapitalistycznych. Rzecz ma się tak: przypuśćmy, że podwyższenie ceł zbożowych zwiększy dochody pewnej kategoryi gospodarstw rolniczych—zaraz zobaczymy, jak względnie nieliczna jest ta kategorya—wówczas nastąpi odpowiednie podwyż-

szenie cen ziemi, a raczej, jak uczy doświadczenie, podwyższenie stosunkowo znaczniejsze od skapitalizowanej zwyżki dochodów. To podwyższenie ceny ziemi dla jednych może być źródłem zbogacenia, dla innych, zmuszonych kupować po tej cenie wygórowanej lub dla dziedziczących majątki, z których muszą spłacać współdziedziczących, a więc tych, którzy mają podtrzymać przyszłość rolnictwa, będzie ono ze szkodą; wypracowanie odsetek od kapitału, ciążącego na roli, będzie jeszcze trudniejsze. Na podwyższeniu cen zboża zależy tedy pewnej kategoryi właścicieli ziemskich, lecz nie rolnictwa.

Że podwyższenie cen nie przynosi korzyści drobnym gospodarstwom rolniczym, świadczą nie tylko teoretycy agronomii, lecz i znawcy praktyczni stosunków rolniczych, jak np. były kanclerz ks. Hohenlohe. Oświadczył on w swoim czasie, że gospodarstwa poniżej 10 hektarów (około 17,8 mórg polskich) wogóle nie sprzedają zboża. Z liczby zaś ogólnej 5,558,317 gospodarstw rolniczych posiada mniej, niż 10 hektarów, 4,868,499, czyli 87,4%. Niedawno znany ten wśród ekonomistów fakt potwierdził jeden z rzeczników agrarczyków, i to wśród okoliczności nadzwyczajnych. Stowarzyszenie ekonomistów „Verein für Socialpolitik" wydaje obecnie zbiór monografii w sprawie polityki handlowej („Beiträge zur neuesten Handelspolitik Deutschlands"); w jednej z nich prof. I. Conrad zwalczał podwyższenie ceł zbożowych, w innej dr. Dade, sekretarz „niemieckiej rady rolniczej" przemawia za niemi i tu właśnie stwierdza fakt wspomniany. Oświadcza on mianowicie, że gospodarstwa rolnicze rozmaitej wielkości w bardzo rozmaitym stopniu zużywają żyto własnej produkcyi na paszę; a mianowicie: gospodarstwa wielkie (ponad 100 hektarów) — 15% krescencyi, duże włościańskie 50—100 hekt.) około 15%, gospodarstwa średnie włościańskie (10 — 50 hekt.) około 25%, gospodarstwa drobne około 50%. Dalej przyznaje Dade, że wiele gospodarstw drobnych nie sprzedaje żyta wcale; mógł zaś dodać śmiało, że jest sporo gospodarstw, które dokupują stale zarówno żyto, jak owies i jęczmień na paszę. Dade wprawdzie potępia taki sposób gospodarowania, natomiast inni agronomowie uznają go za najracyonalniejszy. Na polu produkcyi zboża drobne gospodarstwo nie może współzawodniczyć z wielkiem, które właśnie tu będzie wytwarzało taniej; słusznie więc będzie ograniczyć tę gałąź gospodarstwa do *minimum*, a zużywać siły gospodarcze na wytwarzanie produktów cenniejszych: ogrodowizn, lnu, chmielu, tytuniu etc. etc., gdzie tylko można, oraz rozwijać gospodarstwo nabiałowe i hodowlę bydła. To też włościanie niemieccy

oddawna już trzymają się tej zasady. Jeżeli zaś tak jest, jeżeli gospodarstwa drobne sprzedają stosunkowo mniejszą część swego zboża, to korzyści, płynące z podwyższenia ceł, będą nader rozmaite dla rozmaitych typów gospodarstw, jak wykazuje bardzo poglądowo następujący rachunek, podany przez „Frankfurter Zeitung". Przypuśćmy, że cło wynosi 6 marek za centnar żyta i cena podniosła się w tymże stosunku, wtedy korzyści, płynące stąd dla rozmaitych gospodarstw, będą następujące:

	ilość sprzedana	dochód zwiększony w skutek cła	dochód z cła, przypadający na centnar krescencyi
przy produkcyi 100 cetnarów . . .	10	60 marek	0,60 marek
„ 1,000 „ . . .	800	4,800 „	4,80 „
„ 10,000 „ . . .	9,000	54,000 „	5,40 „

A więc w każdym razie lwia część zysków, płynących z ceł zbożowych dla przedsiębiorców rolniczych, spływa na przedstawicieli wielkich posiadłości ziemskich, i żadna demagoga agrarczyków, rozwodzących się nad niedolą biednego kmiotka, któremu trzeba koniecznie nieść pomoc, nie obali tego pewnika.

Wprawdzie mają zostać podwyższone nie tylko cła na zboże, lecz i na bydło, konie, drób i t. d., a w ten sposób podniesie się cena tych produktów gospodarstwa włościańskiego. Lecz i tu rachunek niezupełnie odpowiada rzeczywistości: mnóstwo gospodarstw, zwłaszcza drobnych, kupuje bydło, wieprze, gęsi od handlarzy, sprowadzających te zwierzęta z zagranicy, zwłaszcza z Rosyi i Austryi, i tuczy je na swojem gospodarstwie. Cło więc podniesie koszta produkcyi, i zyski nie zmienią się.

Tak przedstawia się sprawa dla rolnictwa, dla ogromnej zaś większości ludności niemieckiej, dla ludności, żyjącej z handlu i przemysłu, oraz dla robotników wiejskich, którzy pobierają płacę w gotówce i za gotówkę nabywają żywność, powiększenie ceł jest uciążliwym podatkiem. Profesor C o n r a d podaje następujący rachunek, wykazujący, jak bardzo pogorszyło się w skutek polityki celnej położenie konsumenta niemieckiego w porównaniu z konsumentem angielskim, korzystającym z wolnego handlu. Tonna pszenicy kosztowała marek:

lata	w Anglii	w Prusach	w Prusach mniej (—) lub więcej (+)
1821/40	260	130	— 130
1841/60	245	190	— 55
1861/80	350	325	— 25
1881/90	147	174	+ 27
1891/98	130	165	+ 35

W innych dzielnicach Niemiec stosunek jest jeszcze niekorzystniejszy; w Lindau np., jednym z rynków zbożowych południowych Niemiec, cena była wyższa od londyńskiej w latach 1879 — 85 o 47 marek, w latach 1891 — 95 o 93, w 1898 o 86. Konsumcya roczna żyta w latach 1890 — 1899 wynosiła przeciętnie w Niemczech 8,221,000 tonn, przenicy — 4,848,000. Część krescencyi krajowej, jak wspomniano, nie dostaje się na rynek, lecz zostaje spożyta w gospodarstwie wytwórców; odliczywszy więc 25% wskazanej ilości żyta i 5% pszenicy, otrzymamy 6,168,750 tonn żyta i 4,606,400 pszenicy, jako przypuszczalną ilość sprzedanego na rynku niemieckim zboża. Bez ceł wwozowych zboże to byłoby sprzedane po cenie rynku wszechświatowego, przypuściwszy, że cło podniesie cenę właśnie o tyle, ile wynosi taryfa celna, otrzymamy, że przy cle, wynoszącem 60 marek na centnar pszenicy i żyta (jakiego domagają się minimalnie agrarczycy), ludność Niemiec zapłaci w przybliżeniu za zboże drożej, niż powinna płacić (6,168,750+46,065,150)×60=646,590,000 marek; licząc zaś na rodzinę po 4,5 głów, otrzymamy około 12 milionów rodzin, z których każda zapłaci haraczu, okrągło licząc około 53,5 marek rocznie. Haracz ten oczywiście jest tem dotkliwszy, im mniejszy jest budżet rodziny.

Słusznie więc można rzucić niemieckim zwolennikom ceł zbożowych groźne oskarżenie Skargi: „To złodziejskie serce, które z szkodą drugich chce być bogate!"

Pan hrabia Bülow i pełni ducha chrześcijańskiego posłowie centrum znaleźli przecież zbawcze słowo: dochody, płynące z ceł dla państwa, będą obrócone nie na cele państwowe, lecz na wypłatę pensyi wdowom i dzieciom po robotnikach. Wielka wspaniałomyślność! Lecz, przyjrzawszy się bliżej pięknemu planowi, spostrzeżemy w nim porządną dozę demagogii: w skutek cła podwyższa się cena wszystkiego sprzedanego w kraju zboża, krajowego i zagranicznego; na ów fundusz emerytalny zaś pójdą tylko sumy, powstające z podrożenia zboża zagranicznego. Ponieważ zaś ilość przywiezionego zboża ma się do zboża krajowego, sprzedanego na rynku, jak 1 : 6, więc na każde 6 marek haraczu, które społeczeństwo zapłaci

producentom rolniczym, wdowy i sieroty otrzymają jedną markę. W dodatku zaś owe wdowy i sieroty przy każdym spożytym kęsie chleba nieznośnie drogiego, będą płaciły grosz wdowi na ów haracz. Język niemiecki na określenie tego rodzaju środeczków ma wyraz dosadny: *Bauernfang*.

Lecz na podwyższeniu sztucznem chleba nie kończą się jeszcze szkody, które poniesie społeczeństwo niemieckie: byt jego ekonomiczny otrzyma cios dotkliwy z chwilą, gdy kraje, wywożące zboże do Niemiec, odpowiedzą na podwyższenie ceł zbożowych represaliami, utrudniającemi przywóz towarów niemieckich. Pozornie zdawaćby się mogło, że kraje, wywożące zboże do Niemiec, mogą pozostać obojętne na taką politykę handlową tego państwa, dopóki podwyższenie dotyczy zboża bez względu na kraj, z którego pochodzi. Tak jednakże nie jest. Podrożenie zboża w Niemczech odbije się przedewszystkiem na konsumentach niemieckich, lecz w skutek zmniejszenia konsumcyi w tym kraju odbije się ono na producentach krajów, które dotąd wywoziły zboże na rynek niemiecki. Stąd kraje, eksportujące zboże, bezwarunkowo odpowiedzą na podwyższenie ceł niemieckich represaliami. Tymczasem właśnie te kraje są głównymi odbiorcami towarów niemieckich. Pierwsze miejsce co do wywozu niemieckiego zajmuje Anglia, a dalej idą Austro-Węgry, Rosya i Stany Zjednoczone; wywóz do tych trzech państw wynosi 29,3% ogólnego wywozu Niemiec. Znaleźć inne rynki zbytu będzie dla handlu niemieckiego zadaniem prawie niemożliwem; skutek więc byłby ten, że rozwój przemysłu niemieckiego będzie zatamowany, milionom robotników przemysłowych grozi nie tylko podrożenie chleba, lecz jeszcze uszczuplenie zarobków przez zmniejszenie popytu na pracę.

Można słusznie zapytać, skąd kierownicy polityki niemieckiej biorą śmiałość na krok, prowadzący do urzeczywistnienia względem społeczeństwa niemieckiego groźby biblijnej: „I będą wam oddawać chleb wasz pod wagą, i będziecie jeść, a nie najecie się (3 Mojżeszowe, 26. 26)"? Odpowiedź łatwa: polityka Niemiec—to polityka Prus, w Prusach zaś rej dotąd wodzi junkier, trzymający się zasady: *Und der König absolut, wenn er unsern Willen thut*. Przeciw interesom junkrów wszakże powinni byli powstać przemysłowcy, którym taka polityka handlowa grozi utrudnieniem zbytu towarów. Jednakże przy mało wyrobionem życiu politycznem w Niemczech nawet klasa, ekonomicznie tak potężna, jak przemysłowcy, nie ma możności obrony swoich interesów przeciw błędom sfer rządowych, w dodatku zaś najbardziej wpływowy odłam przemysłowców, magnaci przemy-

słu, stojący na czele związków, dążą do podwyższenia ceł protekcyjnych przemysłowych, gdyż bez wysokich ceł praktyki monopolowe są niemożliwe. Ci zatem magnaci przemysłu złączyli się z junkrami na zasadzie bismarckowskiego *do, ut des* — daję, abyś dał: cła zbożowe za cła przemysłowe!

W ostatnich czasach przeciw tej „polityce głodu" wszczęła się żywa agitacya, ogarniająca coraz szersze koła ludności. Czy wszakże wpłynie ona na uchwałę parlamentu, przewidzieć trudno.

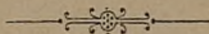
Tak więc obawa, że dojdzie do wojny celnej pomiędzy Niemcami a krajami, wywożącymi zboże, jest bardzo uzasadniona; to zaś wpłynie na wzmocnienie dążności protekcyonistycznych, a zawikłania, które stąd powstaną, w każdym razie odbiją się złowrogo na rynku wszechświatowym.

J. B. M.



ŻYCIE I MARZENIE,

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA *).



VIII.

Pewnego ranka, zobaczywszy ze swego okna Julka z Francuzem, idących w stronę cieplarni, Mirecki poszedł za nimi. Niebawem dostrzegł zdaleka na ławce Francuzą, pogrążonego, jak się domyślił, w *Figaro* wczorajszem, które mu odsyłali po przeczytaniu Jesiołowscy. Julka nie było widać, ale dolatywał jego gniewny głos. W chwili, kiedy, wyszedłszy z za drzew, Mirecki go zobaczył, dziewczyna jakaś mówiła do niego:

— Kiedy nie mam czasu, proszę jaśnie panicza, bo mi pani gospodyni kazała iść do pana ogrodnika i duchem wracać, bo pilno...

W tej chwili szpicruta Julka spadła na ramię dziewczynie, która ledwo zdążyła głowę umknąć.

— Julek! — krzyknął Mirecki tak, że aż Francuz zerwał się z ławki.

Chłopiec obrócił się, jak na sprężynie, i stanął widocznie bardzo zmieszany.

— Chodź tu!

W tym rozkazie była taka gwałtowność stanowczości, że Julek nie zdążył się nawet oburzyć, jak już cała jego dusza znalazła się

---

*) Ob. „Ateneum“, styczeń, luty — marzec 1901 r.

pod mocą poczucia, że, gdyby nie usłuchał, stałoby się coś niesłychanego.

Przez czas zbliżania się malca Mireckiemu myśli przemykały, jak błyskawice. Powiedzieć mu tuż na miejscu wszystko, co powiedzieć trzeba? Obecność dziewczyny, która stała wciąż w osłupieniu, czyniąc upokorzenie dla Julka zbyt nieznośnem, mogłaby go doprowadzić do wybuchu... Obecność Francuza, któremu Julek przywykł stawiać się ostro, uspasabiałaby go też buntowniczo...

Malec szedł ze spuszczonemi oczyma, ale widocznie po drodze dodawał sobie odwagi, bo nagle, zatrzymawszy się o parę kroków, podniósł oczy wyzywająco i już otworzył usta, lecz na frazes brutalny: „czego pan chce?" zabrakło głosu, a wzrok jego wnet znów się zwrócił do ziemi, bo oczy Mireckiego z dobrodusznej zwykle, a teraz kurczowo ściągniętej bladej twarzy patrzały tak, że przez głowę Julka przeleciała przerażona myśl: „czy on nie oszalał?"

Żaden odcień w ruchach i wyrazie twarzy Julka nie uszedł uwagi Mireckiego; zrozumiał, że, gdyby go było stać na bunt, byłby się zbuntował odrazu, zaś to zatrzymanie się nakazał mu właściwie strach, którego nie udało się malcowi ani opanować, ani zamaskować. To też w tej samej chwili, kiedy Julek, zaledwo zatrzymawszy się, spuszczał znów oczy, Mirecki, rzuciwszy rozkazujące: „chodź za mną", obrócił się szybko i poszedł ku domowi, nie oglądając się poza siebie.

Czuł, że, gdyby w tym wypadku przegrał, nie miałby już co robić w Jesiołowie, i czuł też, że najdrobniejsza niezręczność czy nieszczerość mogłaby wszystko popsuć. Pamiętał, że wypadało przeprosić pana Savigny, ponieważ pod jego właściwie opieką znajdował się teraz Julek, ale rozumiał zarazem, że mowa o tem, zmieniając nastrój, mogłaby wyrwać z pod uroku malca, który, choć może przypomniał sobie, że nieraz już tą samą szpicrutą taką samą lub nawet tę samą dziewczynę chłosnął, ale musiał czuć jednocześnie, że, uderzając ją tym razem, popełnił coś niesłychanego.

Weszli do klasy, ale Julek pomimo największych wysiłków woli nie mógł, jak chciał, niby ze zdziwieniem zapytać Mireckiego: „o co właściwie chodzi?"

— Zamknij drzwi.

Chłopak blady i zmieniony spełnił rozkaz i wrócił na dawne miejsce.

— Więc ty po to się szczycisz krwią rycerza, który samotrzeć na wojsko uderzał, by się pastwić nad biedną dziewczyną, co się tak samo bronić nie może, jak związana albo małe dziecko? Nie boisz

się tego, że ona, choć kobieta, mogłaby cię porwać za kark i cisnąć od siebie precz, jak kota, bo ona wie, że, gdyby tak zrobiła, ukaranoby ją i wygnano. To mi dopiero mężny potomek Zawiszy Czarnego!... Dżekabyś nie uderzył, bo wiesz, że, nie bacząc na twoje hrabstwo, takby cię potarmosił, jak ścierkę, na której zębami uczepionego można nosić, niby worek. I to z głupiej złości, że dziewczyna nie mogła spełnić jakiegoś kaprysu, bo jej co innego robić kazała gospodyni, której powinna słuchać, bo za to właśnie ją żywią i płacą.

Nastała chwila milczenia. Mirecki odszedł, położył kapelusz i laskę na stole i, wróciwszy do Julka, odezwał się już prawie spokojnym głosem:

— Stoisz blady i z głową spuszczoną. Wstyd ci i żal może. Nie zastanowiłeś się. Ot tak, jak przyjdzie kaprys. Smagasz, kogo możesz, jakeś smagał małem dzieckiem, nie mając jeszcze żadnej siły ani w mózgu, ani w rączce. To tak bywa ze szczeniętami, co, przyzwyczaiwszy się do tego, że złość ich nieszkodliwa, a gryzienie bawi gryzionych, potem gryzą do krwi. Ale pora ci już zrozumieć... Zdejm paltocik i siadaj: pogadamy.

— Przedwczoraj czytaliśmy o polowaniu. Pamiętasz, jak tam pan Wojski mówił, że nie robi żadnego honoru bić zwierza, co, nie mając „kłów, rogów, pazurów", bronić się nie może. Ale, jeżeli honoru nie przynosi mordowanie zająca, który może choć uciec, to cóżbyś powiedział o polowaniu na owce? Słyszałeś napewno, jak są szanowani myśliwi na psy domowe, a kata, choć na rozkaz sprawiedliwości męki zadawał, zawsze w większej miano wzgardzie niż zbója, co, choć wbrew sprawiedliwości, ale z narażeniem własnego życia mordował. Pastwienie się nad żywą istotą tem jest głupsze, im mniej z tego pożytku, tem potworniejsze, im bardziej prześladowana istota cierpi, tem podlejsze, im bardziej niesprawiedliwe, i tem haniebniejsze, im bezpieczniejsze. Oburzałeś się wczoraj na kuchcika, że kopnięciem psa wygnał z kuchni, choć może przekonał się on był o nieskuteczności grzecznego wypraszania... Powiedzże mi teraz, czy uderzenie tej dziewczyny groziło ci niebezpieczeństwem?

— Nie — odrzekł zapytany.

— Czy mogła ona porzucić pilną robotę, nakazaną przez gospodynię?

— Nie.

— Gdyby tak Maryś Gorzycki wybrał cię na sędziego, czy skazałbyś taką dziewczynę z Gorzyc na dostanie szpicrutą za tę samą grzeczną odpowiedź, która ciebie tak rozzłościła?

— Nie.

— Na twoje usprawiedliwienie można powiedzieć, że nic z te-

go wszystkiego wtedy do głowy ci nie przyszło. Potem, choć sobie samemu wstydby ci się było do takiego głupstwa przyznać, ale ci się zdawało, że niema na świecie większej zbrodni, niż sprzeciwienie się twojemu kaprysowi. Wreszcie, co najważniejsza, nie wyobrażałeś sobie wcale bólu, który sprawić chciałeś, a przecie, gdyby się była nie uchyliła, mogłeś oko wybić. Jednem słowem, postąpiłeś nie jak człowiek zupełnie podły, tylko jak zwierzątko, które nie myśli o niczem, o czem człowiek pamiętać powinien. To też teraz, kiedy zrozumiałeś, jakie to wszystko smutne, jeżeli chcesz być człowiekiem prawdziwym, powiedz nie tylko sobie, lecz i tej małej, żeś postąpił źle i postarasz się tego więcej nie robić, i wynagródź ją — choćby jakimś prezentem. Dopiero, gdybyś tego nie uczynił, uważałbym sobie za hańbę, że jestem twoim nauczycielem.

I, wstawszy nagle, odezwał się prawie wesoło:

— A teraz biegnij prędko przeprosić ode mnie pana Savigny, żem go sam nie przeprosił, zabierając ciebie.

I, widząc, że Julek, prawie nieprzytomny od nawału wrażeń i wysiłku panowania nad płaczem, zabiera się do włożenia paltocika, dorzucił, jakby nigdy nic:

— Nie będzie ci za gorąco? Przecie to prawie letni dzień. Powiedz panu Savigny, żem ci pozwolił wyjść tak... A czy wiesz, że przed dwunastu laty... nie, przed trzynastu, bo byłem wtedy w twoim wieku — robiłem raz o tej samej porze roku bałwana ze śniegu i oczywiście nie w Norwegii... Ale idź już, idź...

— No, teraz cię mam — aż półgłosem po jego wyjściu zawołał Mirecki, idąc do siebie, i z laską i kapeluszem w ręce skoczył przez krzesło, stojące na drodze do jego pokoju.

— Nie, idyotyczne jest takie chełpienie się przed sobą samym, już szeptem zaczął siebie trzeźwić z zachwytu „sokół sekretarz”. Lepiejby sobie wytłómaczyć naprzykład, czegoś się właściwie naprawdę gniewał? Bom przecie był w takiej pasyi, jakby chodziło o najrodzeńszego brata. Czyżbym się naprawdę nie oszukiwał, wyobrażając sobie, że mam życzliwość dla tego hrabiątka szalonego? Piękne umieszczenie uczuć demokratycznych. Ale żem przy tem wszystkiem komedyant — to też pewne...

I to był ostatni frazes, wymówiony szeptem, rwącym się z radości, bo Mirecki zaczął z niepokojem zastanawiać się nad słusznością tego zarzutu żartobliwego.

Zapewne, gniew był prawdziwy i dość go było na wypełnienie szczerością każdego wyrazu.

Bo słowa — to pęcherz, a szczerość uczuć — to dech, co im daje moc dźwigania ciężaru czyjejś duszy na powierzchni życia.

Ale on z gniewem tym postępował, jak maszynista z parą... Wołanie dzwonka zmąciło mu tę analizę, ale poszedł o tyle więcej rad, niż smutny, że nie zauważył nawet lekkiego, smętnie-znudzonego skrzywienia się hrabiny na jego widok, nie wiedział bowiem, że hrabia, zawsze używający spaceru przed obiadem, słyszał jego napaść na Julka w ogrodzie i zdał z niej sprawę żonie w taki sposób.

— Ładniebyśmy się wybrali, *chère Julie*, gdybyśmy chcieli temu Mireckiemu zwracać uwagę za zbytnią słabość dla Julka i poufalenie się z nim. Czy to nie na pokaz właśnie bawi się on z nim sam, niby chłopczyk, bo jak wrzasnął dziś na niego, to ażem się sam przestraszył. Źle się może stało, żem go nie ostrzegł, że z Julkiem nie można tak szorstko... Niby za to, że dziewczynę którąś uderzył... Kto wie, czy nie wypadnie znów skarg słuchać... Ale trudno mu było na wstępie powiedzieć...

...Że uczeń policzkował swoich guwernerów i wyrywał włosy nauczycielkom i siostrom — mogłoby brzmieć dokończenie okresu.

— Jeżeli go Mirecki tknie palcem, odpraw go zaraz.

— Czy mam też odprawić Julka, jeżeli będzie odwrotnie, czego się bardziej boję?

Mirecki z Julkiem ani się domyślali, że ich badają, choć zawsze niby mimochodem, oczy rodzicielskie — ze zdziwieniem, że Julek tylko zmieszany, a jego nauczyciel całkiem spokojny. Dostrzegł Mirecki tylko spojrzenia pana Savigny, który nań spoglądał z powątpiewaniem i podziwem bardzo zabawnym. Jesiołowski taki był rozciekawiony, że, kiedy po obiedzie Mirecki wedle zwyczaju chciał uciec do siebie, zawołał:

— Panie Mirecki, na kawę i pogawędkę! Ale, ale, czy pan nie będzie miał nic przeciw temu, żeby jutro Maryś Gorzycki przyjechał do Julka, bo to sobota i pytali...

Julek sponsowiał i zbladł, ale Mirecki wesoło odpowiedział:

— Nic a nic nie mamy przeciw temu ani ja, ani, jak przypuszczam, osoba głównie interesowana...

I uśmiechnął się do Julka.

Kiedy nazajutrz wracał do siebie z obiadu, nucąc coś z cicha, jakaś dziewczyna w półciemnym kurytarzu tuż u drzwi pochwyciła go za rękę, którą już od ust jej wyrwał.

— A to co? Jak się masz, alem nie ksiądz — rzekł wesoło

i chciał przejść, ale go zatrzymał głosik młody i dźwięczny odpowiedzią na pierwsze pytanie.

— Chciałam podziękować panu profesorowi.

— Za co? Jak się nazywasz?

— Kasia garderobiana, proszę łaski pana, za Julka... za jaśnie panicza.

— Jakto? czyżem ci go darował?

— Nie, tylko...

— Ach, to ciebie on wczoraj szpicrutą?... Czy to pierwszy raz? A przeprosił cię?

— Obiecał, że więcej nie będzie, a to nieraz...

— No, chwała Bogu — rzucił na zakończenie Mirecki, chcąc znów przejść.

— I dał mi pudełko ładne i pewno drogie—zatrzymała go znów Kasia. — Nie chciałam brać, ale mówił, że „pan profesor pozwolił, to dosyć"! Tylko się boję, żeby jaśnie hrabini...

— Nie bój się nic: gdyby pytali, powiesz, że on ci tak powiedział, i będzie dobrze.

Chciała go znów pocałować w rękę, ale przywykłe do półmroku oczy jego nie tylko zauważyły w porę ten ruch, ale dobrze widziały ładną i świeżą twarzyczkę i niewielkie żywe oczka i trochę grube, ale ładne usta.

Około piątej przyjechał Maryś z guwernerem. Przy zabawie Julek odrzucił propozycyę gry w konie, jako „dziecinną", a na przypomnienie, że zeszłej soboty w Gorzycach „były konie", odrzekł, że przecie kiedyś trzeba przestać. Goniono się więc poprostu: niby wojsko wojsko ściga. W grze wziął udział Mirecki, który przyszedł poznać swego kolegę i przyjrzeć się zabawie. Kiedy ku zachodowi pomęczeni chłopcy usiedli na ganku, Mirecki zaczął rozmawiać z eleganckim, pewnym siebie i z lekka protekcyonalnym guwernerem Marysia, nadstawiając zarazem ucha na rozmowę w drugim kącie. Ale tam zaczęto mówić tak cicho, spoglądając co chwila w ich stronę, że go zaczęło niepokoić.

Wtem Maryś wstał i śmiało podszedł do niego...

Julek, jakby się do zbrodni poczuwał, zaczerwienił się i spuścił oczy.

— Julek mówi, że pan ładnie opowiada ładne bajki o prawdziwych rycerzach. Niech nam pan opowie jeszcze raz to, co pan jemu mówił.

Wobec formy tej pewnej siebie prośby Mirecki przez chwilę

zawahał się, ale wygląd Julka go zdecydował. „Chwalił się mną, nie należy mu robić zawodu", pomyślał i głośno rzekł:

— Wolę już wam coś nowego powiedzieć.

I malcy aż do kolacyi siedzieli zasłuchani w opromieniony świętym Graalem średniowieczny romans rycerski, którego charakter stylowy Mirecki starał się zachować jak najwierniej.

Guwerner Marysia, pan Zaniewski, uchodził w okolicy za ostatni wyraz dystynkcyi oraz powagi nauczycielskiej, to też po zniknięciu Mireckiego pani Jesiołowska natychmiast go zapytała, jak mu się podobał nowy nauczyciel syna.

— Bardzo — odparł zapytany — bo nie miałem z nim żadnego kłopotu: bawili się bardzo grzecznie wszystko troje.

Pani Gorzycka roześmiała się z dowcipu wielbionego guwernera wielbionego syna, guwernera, który był zarazem *un vrai homme du monde* i którego jej zazdrościła niejedna z matek w okolicy, przytem nie tylko dla jego domniemanych talentów pedagogicznych.

— To doskonały towarzysz dla syna pani hrabiny — dorzucił Zaniewski — dobrze biega i pysznie opowiada bajki: sam słuchałem z przyjemnością.

— Na szczęście ten „towarzysz" potrafi być poważnym i stanowczym, kiedy trzeba — wystąpiła w obronie honoru domu Jesiołowska.

— Ach, stryjenko — zawołała ze śmiechem Marynia — czyż być może, bo on naprawdę robi wrażenie takiego dziecinnego. Pewna tylko jestem, że mógłby nauczyć Julka skakać, bo widzieliśmy z okna jego susy.

— Moja droga, Tyndall był też bardzo wygimnastykowany...

— I skakał przez klomby, bawiąc się z dziećmi w zająca? — zapytała Maniusia.

Jesiołowska zrobiła znak, zwracający uwagę na to, że chłopcy są w sąsiednim pokoju, ale było już zapóźno: nauczyciel był ośmieszony nie tylko w oczach sąsiedztwa, lecz nawet własnego ucznia, jak pomyśleli wszyscy. To też ci wszyscy nie odrazu zrozumieli, dlaczego ten uczeń stanął we drzwiach taki zaperzony. Zrozumieli dopiero wtedy, kiedy ten najgrubszym głosem, na jaki mógł się zdobyć, zawołał:

— Choć on bawi się w zająca, ale ma więcej rozumu w małym palcu, niż Maniusia...

— *Jules, mais qu'est ce que c'est que ça?* — przerwała mu matka.

— ...w głowie razem z Marynią i...—jeszcze głośniej i szybciej chciał dokończyć.

— Julek! — zawołała tak rozpaczliwie surowo matka, że udało się jej zatrzymać potok wymowy synowskiej.

„Jeżeli słyszał wszystko — pomyślała —gotów wspomnieć pana Zaniewskiego, co mogłoby nawet wpłynąć na rozchwianie się małżeństwa syna”.

— Jak śmiesz...—zaczęła groźnie w rozpaczy, że, jak na złość, męża niema, ale Julka niepodobna już było opamiętać.

— A czego one wtrącają się do mnie? — przerwał malec.— Ja im nie daruję — dokończył i, pokazując pięść z płaczem, zapytał jeszcze:

— Czy one wiedzą chociażby, co to jest liczba?

Mireckiemu tego wieczora panny Jesiołowskie nie mąciły snu snami, chociaż dużo o nim mówiły. Nie wątpiły one, że ten „nowy” rozpuszcza Julka i bałamuci zabawami, zamiast uczyć... I bez tego nigdy sukni ani uczesania nie były one pewne, a teraz groźba Julka niepokoiła je bardzo. Zapewne, od paru dni mniej dawał się we znaki, ale niechybnie sobie to powetuje teraz.

Nazajutrz Jesiołowski przyjściem na lekcyę uszczęśliwił Mireckiego, który był pewny, że to jego wyraźna prośba i kilkakrotne przymawianie się odniosły nareszcie skutek. Jesiołowski dotychczas nie śpieszył, bo najprzód, tyle miał spraw ważniejszych, powtóre zaś, był pewny, że chodziło tu o wyzyskanie jego powagi ojcowskiej: nauczyciel chciał widocznie, żeby mu nakręcano ucznia. Ale teraz trzeba się było ostatecznie przekonać choć dla formy, czy Julek naprawdę uczy się tylko skakania. Po powrocie Jesiołowskiego rodzice poważnie do późna debatowali, czy usunąć Mireckiego odrazu, czy czekać pretekstu? czy zapłacić za kwartał, czy za miesiąc tylko? Dobrze byłoby profesora Kosowskiego nie obrazić, ale właściwie to oni mogliby mieć żal do niego...

Mirecki był już pewny tego, że stosunek jego do ucznia jest na dobrej drodze pod wszystkimi względami, na widok więc Jesiołowskiego nie uczuł ani cienia tego skrępowania, jakie go opanowywało w salonie wobec całej tej rodziny. Zdawało mu się przytem, że temat lekcyi, na którą trafił Jesiołowski, uwydatni doskonale wartość tej metody uczenia, którą zwał dumnie sokratyczną.

Jesiołowski z tem zdziwieniem, na które już był przygotowany, słuchał szeregu pytań, które, zaczynając od najprostszych pytań (gra w piłkę, uprawa ogródka) aż do najzłożeńszych (wznoszenie gmachów, budowanie dróg żelaznych, wielki przemysł) zmuszały wszędzie dostrzedz ruch, zbliżający i oddalający przedmioty jedne od drugich.

Tymczasem malec był roztargniony, jak nigdy: denerwowała go widocznie obecność ojca na lekcyi — po raz pierwszy w życiu.

Mirecki co chwila musiał powtarzać pytania, bo ich nie słyszał uczeń, pogrążony w nerwowe kręcenie w palcach ołóweczka, który wciąż składał i rozsuwał.

— Schowajno ten ołówek — rzekł wreszcie Mirecki.

— Przecieżem i w sobotę, i w piątek, i we czwartek bawił się tym ołówkiem, a pan nic nie mówił.

W tej chwili Jesiołowski uczuł nieodwołalność postanowienia wydalenia Mireckiego, to też tylko myśl okazania mu ostatniej wspaniałomyślności i obronienia zarazem zasad podyktowała mu surowe skarcenie:

— Za takie pytanie impertynenckie dziś nie przyjdziesz do stołu.

— Panie — odezwał się żywo i wesoło Mirecki — niech pan nas za to nie karze, przynajmniej za Julkiem się wstawiam stanowczo, ponieważ, pytając mnie, spełnił tylko moją wolę, która naturalnie decydować musi o wszystkiem na lekcyach, dopokąd je daję. Zapewne — zwrócił się do Julka — mógłbyś nie tak szorstko, grzecznie pytać, ale to pewno pochodzi ztąd, że samo takie zapytywanie zdaje ci się jeszcze czemś nadzwyczajnem... Ale on się przyzwyczai, proszę pana, tymczasem zaś jest to tylko za wielki rozmach siekiery dla rozrąbania cienkiej gałązki.

I, nie dając przyjść do słowa Jesiołowskiemu, zwrócił się znów do Julka:

— Ale we wtorek, czy w poniedziałek kazałem ci też schować ten sam ołówek. Bo widzisz, ja ciebie jeszcze dobrze nie znam i nie wiem, czy ci takie kręcenie czegoś w palcach przeszkadza, czy nie, więc próbuję. Nauczycielowi na lekcyi musi chodzić najbardziej o to, żeby uczeń uważał na to, o czem mowa. Miałem kiedyś takiego, któremu się tak chciało kręcić coś w palcach, że, kiedy mu broniłem, robił się roztargniony, bo całą uwagę musiał wytężać na to, żeby znów czegoś nie pochwycić. Przeciwnie zaś, kiedy mu nie przeszkadzałem, poruszał palcami machinalnie, nie myśląc wcale o tem, i słyszał i rozumiał wszystko doskonale. Dziś źle uważałeś, pomyślałem więc: może to dlatego, że oczu od ołówka nie odrywasz? A teraz pytam cię raz jeszcze, na czemże polega moc człowieka na ziemi, skoro, jakeś już powiedział, nie może on stworzyć nic, czego niema, ani...

— Do zbliżania i oddalania rzeczy....

— ...jedna do — lub od drugiej, do łączenia i rozłączania.

Przypuśćmy, że miałbyś kuca, którego złapać byłoby niepodobna, który jednak, byle tylko zobaczył chomąto, odpowiednio przyładowane, zarazby przybiegał i tam wsuwał głowę i ciągnął. Wiesz już, jakbyś go zaprzęgał? Otóż człowiek tak właśnie zaprzęga przeróżne stworzone przez Pana Boga widzialne czy niewidzialne kuce. Powiada on: „dmiesz, wietrze, bez sensu na moją szkodę; poczekajże, ja się na ciebie zasadzę.” I zbliża, i oddala rozmaite przedmioty, aż stanie wiatrak, gdzie wiatr mu miele. Pobuduje sobie chytry człowiek statek i rozpostrze żagiel, a wiatr zaraz się zaprzęga i ciągnie. Ale zbrzydł taki koń narowisty, co raz uprze się ciągnąć w tę stronę, a w inną za nic w świecie, to znów zmieni swój kaprys, albo, co jak zaczął dąć w jedną stronę, tak dmie od początku aż do końca świata, więc sobie człowiek pomyślał: złapię sobie lepszego.

W tem miejscu przerwał dzwonek na obiad.

— No, jutro ci opowiem, jak się człowiek zasadza na inne kuce: parę, elektryczność. Powiadam ci, że są to takie niemądre stworzenia! — głupsze od ptaków i myszy. Bo naprzykład ptak, jeżeli mu się raz udało wymknąć z sideł, na drugi raz nad rozsypanem najniewinniej po drodze ziarnem będzie medytował, a taka elektryczność... Weź na sukno trochę amalgamatu z kawałka lustra, potrzyj szkłem, a zaraz masz iskrę: przyszła i przyjdzie, ile chcesz razy. A są oczywiście lepsze pułapki, gdzie się nie tylko mysz - elektryczność złowi, ale i lew - elektryczność: piorun, co na wolności kościoły pali i burzy, morduje ludzi i zwierzęta, złapawszy się w zastawioną przez człowieka pułapkę, myśli ludzkie przenosi z jednego krańca ziemi w drugi, roznieca lampy po ulicach i w teatrach, porusza maszyny... Ale, prawda, lada chwila uderzy drugi dzwonek. Prędko, ruszaj ręce umyć. Spóźnimy się. Szczęście, że ojciec twój był z nami: unikniemy może bury... Nieprawdaż, pan już nie ma za złe Julkowi jego pytania? Myśmy się tak umówili, że on ma mnie pytać o wszystko, czego nie rozumie, ja zaś mam odpowiadać, jeżeli tylko sam rozumiem — i odwrotnie... No, śpiesz, Julku!...

— *Eh bien?* — zapytała cicho pani Jesiołowska męża przy stole, zdziwiona dobrą miną nauczyciela.

— Albo ja wiem? — pomówimy potem.

IX.

Kiedy Mirecki nazajutrz po nużącej lekcyi zaproponował malcowi, żeby odszedł do połowy alei naprzód i uciekał od niego, Julek, odbiegłszy parę kroków, nagle zatrzymał się i, spojrzawszy na okna pałacu, rzekł krótko i szorstko:

— Nie chcę.

— A toż dlaczego? — zapytał ze zdziwieniem Mirecki.

— Bo cóż dla pana może być za przyjemność bawić się ze mną w zająca?

— Bardzo duża. Takeśmy się zasiedzieli, że dobrze jest się rozruszać, a bądź pewien, że mi ogromną satysfakcyę robi złapać ciebie albo wymknąć się od ciebie jaką sztuką, naprzykład przeskoczyć jakiś klomb lub ławkę właśnie w chwili, kiedy mnie już — już trzymasz. Najwięcej mi jednak sprawia przyjemności widzieć, jak ty się zarumienisz zdrowo i śmiejesz. Skoro jednak w tej chwili nie jesteś usposobiony do biegania, chodźmy, jak prawdziwie poważni ludzie. Albo wiesz co? Ty sobie rób, co chcesz, a ja przeczytam list.

I z pewnym wyrzutem sumienia, że w jego wyrzeczeniu się biegania grało bądź co bądź wielką rolę pochwycone spojrzenie Julka na okna pałacu, zabrał się do czytania dziś rano otrzymanego listu od siostry.

„Zwrócone przez ciebie pieniądze — nie pierwszyzna"—zaczął czytać po raz trzeci, ale przerwała mu w tem miejscu na chwilę przykra i niespokojna myśl: „kto mógł drwić z dziecinności mojej, i czy w obecności Julka, czy ten tylko podsłuchał?" „...ale z odesłania ich bez słówka widzę, żeś się obraził".

„Co za domyślność!... Ale ten chłopak zaczyna dbać o moją godność" — (przyszła z kolei myśl, pełna dumy i radości).

„...Za co?" — — czytał dalej.

(„Co za naiwność!").

„...Że się boję dla ciebie nowych zawodów, zniechęceń i biedy?"

(„Kto jej powiedział, żem się zniechęcił do któregokolwiek z dawnych celów czy marzeń, że żałuję pracy dla nich? Skąd przypuszczenie, że mnie bieda tak przeraża?").

„...Przecież wiesz, jak wierzę w twoje zdolności..."

(„Czytaj, co inni napisali dla ciebie zamiast pisać dla innych")

„...tylko wiem jeszcze lepiej, żeś straszliwie niedowarzony".

(„Więc to było dogotowywaniem mnie, niby ziemniaka? Nie dowarzyły zawody i bieda, więc dowarzy frazes dowcipny").

„Żałuję już teraz, żem ci doradzała tę pedagogię na wyjazd, ale myślałam, że, zaoszczędziwszy sobie w ciągu roku czy dwu kilkaset rubli, mógłbyś pojechać do Zurychu czy Genewy i tam skończyć uniwersytet.

(„Czy to dyplom uniwersytecki wytwarza temperaturę, dowarzającą duchowo. Widziałem niejeden kartofel, co był surowy pod przypaloną w ogniu skórką").

„...Wuj Warzycki niechby cię tylko zobaczył na dobrej drodze..."

(„...Więc jestem na złej? Ani łyczka nikomu nie skradłem, a tak się to podobno zaczyna").

„...samby ci się narzucił z pomocą ukończenia studyów".

(„Więc mam go po komedyancku czynem przebłagać dla wyzyskania jego wspaniałomyślności, chociażem raz powiedział, że z niej drwię").

„Masz-że mi za złe, że się tak boję, żebyś nie zmarnował tych sił, któremi cię Bóg obdarzył".

(„Czytaj, co inni...").

„Nad pieniędzmi zwróconymi spłakałam się..."

Tym razem serce Mireckiego nie drgnęło współczuciem i czułością, bo wiedział, co dalej.

„...ale pocieszyła mnie myśl, że na złość mnie gotóweś się teraz trzymać, żeby awantury w Jesiołowie nie zrobić. W takim razie daj ci Boże tej złości na mnie jak najwięcej".

Julek, doszedłszy do końca alei, wracał, a spojrzawszy na Mireckiego, pomyślał, że to musi być jakiś niesłychanie przykry list, kiedy czytający go aż bladł i zęby zaciskał. A Mireckiego najwięcej gniewało to, że Janka istotnie odgadła jego postanowienie „trzymania się", ponieważ nie mógł nawet zmienić postanowienia tego na nową złość siostrze.

I, poruszając wargami bez głosu, mówił, mnąc list w ręce:

— Skoro tak pragniesz „mojej złości", to kochającej siostrze nie mam nic do odmówienia. Tylko dajcie mi pokój z waszemi naukami moralnemi i opiekami, zapomnijcie o mnie!...

W tej chwili spostrzegł, że Julek wrócił i patrzał nań zdziwionemi oczyma. Starając się więc zapanować nad zmieszaniem, zawołał:

Julku, przeleć teraz w skok do końca alei, potem dokoła

klombu i wracaj, bo zaraz będzie dzwonek... Już dzwonią. Zapóźno. Wracajmy".

Ze spuszczoną głową, zawstydzony dostrzeżonym przez Julka cichym monologiem szedł Mirecki, a przy obiedzie silił się znów na odgadnięcie, czyje drwiny przeszkodziły dziś Julkowi biegać. Kiedy pani Jesiołowska o coś go zapytała, miał wielką pokusę odpowiedzieć:

„Julek dziś tak spoważniał, że mnie nawet dał przykład powagi: nie chciał się ze mną ścigać".

Wyrzucał sobie potem przez chwilę, że stracił tę okazyę: nożyceby się odezwały, bo Julek wskazałby wnet wzrokiem winowajcę, lub winowajca samby się zdradził spojrzeniem na Julka, rumieńcem lub opuszczeniem oczu. Już postanowił sobie czatować na nową okazyę, kiedy przyszła mu myśl, że Julek właśnie mógłby oczy spuścić, a każdy tu tak jest wytresowany, że nic twarzą nie zdradzi.

Przy trzeciem daniu pan Jesiołowski odezwał się:

— Ale—ale—panie Mirecki, nasz wspólny przyjaciel przyjeżdża jutro... profesorzysko kochane...

Ta poufałość z przedmiotem jego kultu tak dotknęła Mireckiego, że bez cienia radości zapytał?

— Profesor Kosowski?

— Naturalnie.

— Żałuję, że nigdy nie będę miał dość wiedzy, talentu i zasługi, żebym się mógł za jego przyjaciela uważać. Przyjaźń —to równość, a oczywiście taka tylko wartość może z takim człowiekiem równać.

Mówił, nie patrząc na Jesiołowskiego, jak czynił zawsze instynktownie w rozdrażnieniu, żeby nie podsycać gniewu widokiem przyczyny jego, i tym razem wygrał na tem i stracił zarazem: nie widział ledwo uchwytnego, pobłażliwie ironicznego uśmieszku Jesiołowskiego i nie pochwycił po drodze bardzo zdziwionego spojrzenia „czarnych dyamentów", w których wyczytałby pytanie:

„Czy naprawdę ten sam jesteś, co bawisz się w zająca dla przypodobania się uczniowi?"

I kiedy Mirecki wyrzucał sobie słabość, że nie powiedział czegoś wyraźnego o bogactwie, jeśli już nie o tytułach, siedząca obok stryja Marynia zauważyła, że pamięta tylko imię nowego nauczyciela Julkowego, myśląc zarazem, że ten jego frazes, który jemu samemu zdawał się aktem pokory, jest bardzo dumny.

Po powrocie do swego pokoju Mirecki uczuł wyraźnie, że po-

nad wszystkiemi wrażeniami dnia tego góruje radość z zapowiedzianego przyjazdu. W radości zaś tej nad myślą, że pobyt profesora choćby najkrótszy wzmocni niechybnie jego własną pozycyę w Jesiołowie, górowała znów myśl o zobaczeniu tego dziwnego człowieka, któremu zawdzięczać coś nawet było mu przyjemnie. Zresztą głos wewnętrzny mówił mu, że w znacznym stopniu dla niego właśnie wybierający się na kuracyę profesor odwiedzi Jesiołów.

Dziwny bo wpływ miał na niego ten człowiek, pod którego spokojem i pogodą ukrywał się ogrom skupionej siły duchowej. Mirecki był mu wdzięczny nie tylko za długie rozmowy, w których ten mędrzec wszechstronny wygłaszał mu nieraz dysertacye całe ściśle naukowe, tak osobliwie przystosowane do rozrzuconego, a żądnego syntezy umysłu słuchacza, lecz jeszcze za to, że umiał łagodzić jego sądy namiętne i bunty przeciw światu i ludziom swojem rozumieniem wszystkiego bezwzględnie prostem w wyrazie, a bezdennie filozoficznem w treści i jeszcze za to, że wobec nikogo i niczego Mirecki nie widział tak jasno własnych swoich myśli i nie czuł takiej swobody w ich wypowiadaniu.

Labruyère charakteryzuje szczyt daru „rozmowy”, jako zdolność wydobywania z innych wszystkiego, co oni mają najciekawszego do powiedzenia. Otóż profesor Kosowski posiadał dar ów w stopniu nie już towarzyskim, lecz głęboko naukowym. Często sposobem postawienia kwestyi, a potem kilkoma prostemi uwagami i spokojnym wzrokiem zmuszał go do odnalezienia w sobie samym myśli, o których przedtem świadomość jego własna nic nie wiedziała. Dziwną rozkosz sprawiały zawsze Mireckiemu te rozmowy z człowiekiem, który nie przygniatał go ogromną wiedzą wszechstronną i niezmierną bystrością umysłu, tylko podnosił.

I Mirecki zaczął się doszukiwać tajemnicy tego. W dyspucie profesor Kosowski nie tylko nie usiłował nigdy rzucić potłuczonego i skrępowanego umysłu przeciwnika do stóp swojemu własnemu poglądowi, lecz przeciwnie, zwalczając najpotężniej, ułatwiał zarazem dowóz dla przeciwnika wszelkich potrzebnych do walki zapasów lub sam ich użyczał. Czasem Mirecki, nie chcąc się zgodzić na jakąś myśl profesora, występował z zarzutem, dyktowanym tylko przez uczucie lub temperament, ale potężny przeciwnik zaczynał walczyć nie przeciw temu dziecku argumentami, lecz przeciw całemu narodowi pojęć, których on był echem nieświadomem, tłómacząc to prawo ducha ludzkiego wogóle i ducha danego w szczególności, które się w ten sposób zdradziło. Mimochodem i niby mimowiednie zawsze rozplątał splątaną myśl przeciwnika. I często Mirecki, prze-

konawszy się, że ta prawda, co ożywiała myśl profesora, w gruncie rzeczy lepiej pasuje do jego własnej duszy, niż ta, której się stał echem mimowolnem, przechodził na jego wiarę bez żadnego uczucia upokorzenia.

Niekiedy jednak, szczególnie w rzeczach społecznych, taka rozmowa ugruntowywała w nim zbijaną przez profesora zasadę, użyczając jej właśnie mimochodem wszelkich możliwych podstaw, na jakich mogła ona stać w najsilniejszym umyśle, i Mirecki wychodził niesłusznie czasem dumny z odgadnięcia prawdy, która oto stała się dlań nareszcie równie wyraźną, jak wszystko, co przeciw niej mówiło.

Po kolacyi, przy której Jesiołowski opowiedział parę anegdotek z czasów swego koleżeństwa z profesorem Kosowskim na ławie szkolnej, Mirecki długo rozmyślał znów, przypominając sobie niektóre momenty ze swoich częstych z nim rozmów. Wreszcie, żeby lepiej widzieć wyobraźnią bardzo nieregularne rysy jego aż do piękności rozumnej i dobrej twarzy, zgasił lampę i zamknął oczy.

Otworzywszy je po chwili, dostrzegł, że na świecie jest bardzo jasno: widocznie z boku zaglądał do ogrodu księżyc. Chcąc zobaczyć jego twarz, Mirecki otworzył okno i wychylił się. Patrzał długo, aż wreszcie uczuł, że mu zdrętwiało ramię, na którem się opierał całem ciałem. Wtedy zauważył, że księżyc byłby też widny bez wychylania się: już się zakradł do pokoju wązką, ukośną smugą, oświetlając skraj wzorzystej portyery w przeciwległym rogu. Mrok po obu stronach jasnej drogi stał się głębszym i bardziej tajemniczym.

Mirecki zaczął chodzić po pokoju, mimowoli tak dopasowując kroki, żeby nie zmącić stopą strugi światła. Chwilami zdawało mu się, że to ona szemrze, niby wiatr w gałęziach nagich. A ona tymczasem, ześlizgnąwszy się z portyery na próg drzwi, wciąż się rozszerzała. Przykląkł na chwilę na srebrzystym szlaku tak, żeby z głębi pokoju w ramach otwartego okna zobaczyć księżyc: powódź już prawie białego światła wdzierała się z taką gwałtownością do pokoju, jak przez oczy do duszy, którą zalewała upojeniem. Zerwał się i szedł w świetle do okna: płuca jego z taką nienaturalną chciwością piły wilgotny i chłodny dech nocy wiosennej, jakby to było też zimne światło. Zaczął znów chodzić, prawie biegać po pokoju.

Nagle zauważył, że owa struga jasności na podłodze przyćmiła się nieco. Podbiegł do okna i stanął: księżyc przezierał przez wierzchołek najbliższej topoli piramidalnej, który chwiał się, jakby mu

drogę zagradzając. Po chwili cała tarcza srebrna wyjrzała, ale tuż, tuż groził nowy wróg — bardzo biały obłoczek i księżyc, zaledwo się wyrwawszy z sieci gęstych nagich gałązek, jak kula armatnia, poleciał wprost na niego.

Szalone natarcie! Dopadł i pogrążył się w ciało obłoczka, którego lewy skraj osrebrzył się nagle tak, że aż prawy poszarzał. Kula wyraźnie znaczyła swą szybką drogę: rana zlekka się mieniła, niby perła różowa. Wreszcie srebrzystość i szarość zamieniły się miejscami, kula wychynęła, by znów z wielkim pędem pomknąć ku nowemu zabiegającemu drogę wrogowi, zostawiając za sobą przeszytego na wylot potwora niebieskiego, którego rany wnet się czarodziejsko wygoiły.

Chwilami bez tchu patrzał Mirecki na te zapasy ormuzdowego pachołka ze służkami uroczymi Arymana, aż wreszcie księżyc przedarł się przez nacierającą nań zgraję ku pełnemu morzu bladego błękitu, co mroczył się tylko zlekka dokoła jego tarczy. Po chwili, zdawało się, zwolnił biegu, jakby wypoczywając po trudzie; Mirecki wciąż stał, jak urzeczony, nie odrywając od niego oczu, i powoli dusza jego zaczęła czuć to, co czuje toń morza, kiedy jej łono podnosi zachwyt na widok tuż nad nią pochylonej twarzy jasnego kochanka: zaczęła rozkosznie wzbierać. Zapamiętywał się.

Jakieś stuknięcie niby gdzieś za ścianą oprzytomniło go: obejrzał się mimowoli. Pokój zdał mu się czarną, tajemniczą otchłanią, z której szła jasna droga — rzeka w bezmiar: rzucić się i płynąć!...

Nowy stuk czy brzęk targnął na chwilę jego uwagę...

I nagle promienie zaczęły mu grać, zlewając się w coraz wyraźniejszą harmonię: wracała owa nieznana z imienia dziwna piosnka.

Nie wiedział sam, kiedy zaczął śpiewać, nie poznał wcale własnego głosu. Drżąca i wązka smuga cichych dźwięków rozlewała się, coraz szerzej potężniejąc. Jakaś niby wieszczka, niby dusza jego własnego serca, wiotka, wysmukła, spowita w białość gazy, utkanej z promieni, patrzała na niego z za lekkiej mgły świetlnej, mówiąc tymi dźwiękami, co się rozsypywały, jak włosy promienne po jej ramionach, mówiąc tak wyraźnie, że on nie potrzebował nic rozumieć, bo wszystko, wszystko — czuł, czuł tak, jak samą jej piękność bladą, jak jej urok bóstwa we wdzięku dziewiczym, jak kochanie bezdennie smutne jej oczu dużych i cichych.

Wieszczka mówiła o jakiejś niezmiernej, jak sam smutek, wierze w szczęście, dziwniejsze od tęsknoty i od tej nocy cudniejsze, co

jeszcze nie stworzone czeka gdzieś na zaklęcie... Jego? Jej?... tej piosnki?

I piosnka wypływała z mgły smutku, brzmiała rzeźkiem wołaniem, zachwytem się rwała ku górze i nagle opadła, niby omdlałe ręce, namiętnie wyciągnięte do bóstwa. Wytężała całą moc swoją, by uspokoić dźwigający się, niespokojny odmęt rozpaczy, „to nic! obietnica mistyczna nie zawiedzie!" Usiłowała nawet znów powtórzyć ów krzyk tryumfu — nadaremno: zgłuszyły go już podobne do szlochania szmery fal tego odmętu. By opanować zrywający się szał, piosnka zdobywała się na najwyższy wysiłek, ale ostatnim dźwiękiem wiary zachwyconej targnęło łkanie raz i drugi—i nie zostało nic prócz morza płaczu.

I Mirecki z zaciśniętemi pięściami, przytuloną do muru głowę objąwszy ramionami, szlochał, tracąc dech, pamięć, przytomność...

*
* *

Pełna niewyraźnego niepokoju Marynia tego wieczora otworzyła całe swoje okno, patrząc też na ogród szumiący i gonitwy obłoków i księżyca. Wychyliwszy się, usłyszała wyraźne kroki i mimowoli zaczęła się w nie wsłuchiwać. Dziwnie ją drażnił ten chód nerwowy, to szybki, jak bieganie, to powolny, jakby z rozmysłem ktoś stawiał stopy, to całkiem urywający się nagle. Kto mógł tak chodzić tam w dole o dwa okna w prawo? Oto zbliżył się do okna.

Spodziewała się, że wnet znów się porwie do latania po pokoju, ale było cicho: stał wciąż w oknie. Wyjrzała: było ono otwarte, jak jej. Po chwili spostrzegła, że wsłuchuje się właśnie w ciszę tam na dole, że czeka z niecierpliwością, że ją zaczyna drażnić, że ten ktoś robi jej zawód, bo przestał ją drażnić swojem bieganiem. Zaczęło ją to nareszcie tak niepokoić, że chciała zamknąć okno. Odrzuciła jedną po drugiej zaczepki, ale została przez chwilę jeszcze z wyciągniętemi i opartemi na ramach rękami, patrząc w księżyc, jakby się z nim żegnała wzrokiem. Już miała pociągnąć do siebie ramy, by zamknąć okno, kiedy w tem niby z innej narazie strony doleciał ją cichy a wciąż rosnący śpiew.

— To on — pomyślała, zgadując nagle, kto...

I słuchała melodyi, tak samo nie wiedząc, że duszy słucha, jak nie myślała o głosie ani umiejętności. Czuła tylko, że w każdym dźwięku brzmi cała pieśń, że żaden nie mógłby ani o milionową część mgnienia trwać dłużej ani krócej, ani o szelest skrzydeł moty-

lich mocniej ni słabiej, że każdemu tak właśnie przeznaczenie samo kazało mienić się w sobie i wśród innych. Zapomniała wreszcie, że to ktoś śpiewa, takiem wzruszeniem przejęła ją ta melodya, której wtórowały promienie księżyca, szemrzące wśród nagich, czarnych gałęzi. Tchowi jej zrobiło się coraz ciaśniej w piersi, oczy rozszerzały się z wysiłku, powstrzymującego płacz, by nie zgłuszył śpiewu.

Aż nagle sam śpiew ten wybuchnął takiem szalonem łkaniem, że jej własny płacz przestraszony zamarł, łzy odpłynęły od oczu, i Marynia blada, bez tchu, z oczami i ustami półotwartemi, szybko cofnąwszy się i bez szmeru odjąwszy ręce od ram, stanęła, patrząc bezmyślnie w księżyc i słuchając tych namiętnych łkań i gwałtownych, głuchych uderzeń własnego serca.

Czego on płakał? Nie myślała, że go jej żal, nie rozumiała, że ma trochę żalu do niego, bo właśnie jej łzy wypłakiwał, tylko cała jej dusza była w tem pytaniu pełnem niezmiernego niepokoju. Nie wiedziała sama, jak długo patrzała tak i słuchała. Wszystko ucichło, a ona wciąż jeszcze słuchała, czekając, aż on odejdzie od okna. Wielkie znużenie zaczęło ją ogarniać i wielki chłód przenikać, ale zdawało się jej, że musi czekać.

Kiedy wreszcie rozbudził ją z odrętwienia odgłos kroków na dole, które skierowały się wgłąb pokoju, wyjrzała, żeby się przekonać, czy jego okno naprawdę jeszcze otwarte. Zamknęła wreszcie swoje, ale — sama nie wiedząc, dlaczego — z największemi ostrożnościami, żeby nie stuknęło...

Mirecki zobaczył jeszcze wschód słońca.

X.

Nazajutrz w porze podwieczorku przyjechał profesor Kosowski. Już o siódmej przyszedł do Mireckiego, oczywiście żeby się z nim u niego przed kolacyą przywitać. Towarzyszył mu pasierb pana domu, Turowicki: tak więc dzięki gościowi po raz pierwszy osoba z wysokiej rodziny władców Jesiołowa uszczęśliwiała atmosferę apartamentu nowego nauczyciela Julkowego.

Gdyby profesor był zarazem arystokratą lub gdyby Mirecki był czemś poważniejszem, towarzyszyłby pewno sam Jesiołowski.

Z iście dziecinnem wzruszeniem Mirecki tak gwałtownie się zerwał od stolika, przy którym siedział pochylony, że krzesło się przewróciło, i nie wiedział narazie, co pierwej zrobić: uścisnąć wy-

ciągniętą dłoń, czy krzesło postawić. Wreszcie poskoczył wgłąb pokoju po drugie dla pana Turowieckiego, nie wiedząc, że ono stoi tuż.

— Można zobaczyć? — wskazując otwartą książkę, zapytał gość ze zwykłym swym dobrym uśmiechem i zwykłym formalizmem bezwzględnym delikatności.

— Ależ naturalnie.

— *De virtute*... I musi pan słownikiem się posiłkować, jak widzę. Czemuż pan do mnie nie napisał, byłbym panu przysłał przekład Saisset'a, któryby więcej, niż zadowolnił.

— Już skończyłem i przeglądam tylko — i książkę, i swoje notatki... Żałuję, bo często, szczególnie z początku drażniła mnie konieczność wysiłku dla utrzymania myśli w tem samem natężeniu i temperaturze, nim się słówko jakieś znajdzie...

Nagle instynkt ostrzegł Mireckiego, że jeszcze kilka słów dorzuconych wytworzyłoby prąd, któryby go porwał aż do zapomnienia o drugim gościu, więc, przypominając sobie obowiązki gospodarza, zwrócił się do pana Turowickiego:

— Ale muszę panu powiedzieć, jak Julek wychwala pańskie dziedzictwo: powiada, że Jesiołów jest brzydki w porównaniu z Życzynem.

— Może go pan kiedy odwiedzi z Julkiem — odrzekł Turowicki.

Mireckiemu aż krew uderzyła do głowy z oburzenia czy na własną niezręczność, czy na zrozumienie jej, jako przymówienia się o zaprosiny do Życzyna — w każdym zaś razie na ów dodatek: „z Julkiem" już miał na języku odpowiedź:

„Nie jestem tu w roli turysty, mającego obowiązek zwiedzania pięknych okolic, Julek zaś może z kim innym równie dobrze trafić do Życzyna".

Nie mając jednak czasu na rozważenie, czy to nie będzie pogwałcenie prawa gościnności we własnym pokoju, zmilczał, ale się stropił i zesztywniał. Rozmowę więc kleił tylko sam profesor, który dotrwał na stanowisku zadowolonego ze swej wizyty gościa—aż do pierwszego dzwonka na kolacyę.

Po ich odejściu w ciągu kwadransu wrażenie tej uprzejmości i delikatności coraz wyraźniej zwycięsko walczyło ze wspomnieniem o zaproszeniu do Życzyna. Zapanowało wreszcie prawie wszechwładnie w świadomości i nerwach Mireckiego. Przy kolacyi mógł już żywo i wesoło słuchać nowych i tych samych wspomnień Jesiołowskiego z czasów kolegowania na uniwersytecie z profesorem,

bawił się łatwo uchwytnym odcieniem popisywania się hrabiego przed nim, Mireckim, i swoją wiedzą i poufałością ze znakomitym uczonym: wyglądało to na wytworną odpowiedź na wczorajszą przymówkę... W popisach uczonością najwięcej niepokoił Jesiołowski nazwiska filozofów i myślicieli, jakby też przez pamięć na rzekomą specyalność Mireckiego. Oczywiście jedność ani epoki, ani idei nie wiązała tych imion i zdań. Wreszcie bezpośrednio od ostatniego artykułu Caro w *Revue des deux mondes* nagle przypomniał mu się Plato z jego nieśmiertelnością duszy i śmiercią Sokratesa, którego uległość względem praw swojej ojczyzny wywołała jego uznanie, zarówno jak dramatyzm całej tej sceny.

Profesor mówił tyle właśnie, ile wymagała zupełna uprzejmość i konieczność powiązania rozmowy jako tako, ale Mirecki, którego zaczęły coraz bardziej drażnić ciągłe jej skoki, zdołał się już przejąć tematem, na którym o minutę dłużej się zatrzymano, kiedy pani Jesiołowska się odezwała:

— Marynia w dzieciństwie nie mogła się żadną miarą pogodzić z tem, że uczniowie nie bronili Sokratesa do upadłego.

— I panna Marya miała dużo słuszności — odezwał się Mirecki.

Zmieszało go wewnętrznie na chwilę przypomnienie, że pierwszy swój nieszczęsny występ na polu rozmowy ogólnej przy tym stole rozpoczął on był całkiem podobnym frazesem, ale obecność profesora Kosowskiego dodawała mu tyle otuchy, że natychmiast zaczął myśleć tylko o tem, co miał powiedzieć, nie zastanawiając się nawet nad wyrazami twarzy towarzystwa.

— Dopóki czytam „Fedona”, rozumiem, że urzeczeni czarem woli, spokoju i myśli mistrza uczniowie zdobywają się tylko na łzy zachwytu czy rozpaczy, pojąć jednak nie mogę, jak po takiej śmierci, po takiej zbrodni mógł się nie zrodzić jakiś szalony wybuch przeciw ówczesnej karykaturze sprawiedliwości, porządku i prawa...

— Pan to bierze za gwałtownie — odezwał się Jesiołowski.

— Sam Sokrates — poparł go profesor Kosowski, jakby dostrzegłszy skrzywienie się Mireckiego na ten mdły frazes — co nie chciał słyszeć nawet o ucieczce, przez uczniów proponowanej, byłby oczywiście oburzony słowami pańskiemi. W społeczeństwach ówczesnych, nie ochranianych przez żadne prawo narodów, które zresztą dziś jeszcze jest przeważnie głosem, wołającym z katedr uniwersyteckich, stało tylko zwartością bezwzględną, opartą albo na despotyzmie, albo na wierze w nieomylność instynktu samozachowawczego jednostki zbiorowej, wobec zaś tego indywidualizm bun-

towniczy był rzetelną zbrodnią. Sokrates rozumiał oczywiście, że sprawiedliwość społeczna jest właśnie wyrazem tego instynktu, sprawdzonego empirycznie lub też nawet mniej lub więcej naukowo przez swego rodzaju teoryę prawdopodobieństw, rozumiał więc przez to samo, że — chociaż błędy w tem, jak we wszystkich rzeczach ludzkich, są nieuniknione — targać się na nią z powodu danego błędu, tylko dlatego, że on jego samego dotycze, byłoby rzeczą niegodną mędrca i obywatela.

— Gdyby więc ów obłęd chwilowy sprawiedliwości społecznej częstował go cykutą nie w drodze nagrody za już dokonane dzieło ofiarowania ojczyźnie przyszłych wielkich filozofów i obywateli i rzucenia zarodka nieśmiertelnego przyszłych wielkich dzieł, lecz o dwadzieścia pięć lat wcześniej, czy mądrość i prawość jego w poczuciu obowiązku względem ojczyzny i ludności nakazywałyby mu też uledz?

— Gdyby Sokrates był zdolny oprzeć się woli zbiorowej swego narodu, zgodnie z obyczajem wyrażonej, nie byłby tem samem mędrcem, a więc nie mógłby zapewne też natchnąć innych takiemi właśnie dziełami.

— To oczywiste — przyświadczył Jesiołowski.

— Niewątpliwie, sprawiedliwość ludzka może niekiedy sprawiać wrażenie ślepego żywiołu, wówczas jednak oburzenie tem mniej godne byłoby mędrca. Zapewne, trudno żądać od tonącego wyrazu miłości dla wody i uznania jej dobrodziejstw, trudno nawet mieć za złe matce lub żonie topielca przekleństwa, miotane zwilżanemi właśnie wodą ustami, jeszcze jednak trudniej uznać ich słuszność filozoficzną. Niekonsekwentnym byłby człowiek poczytalny, nie doprowadzony do szału bólem jakiegoś zęba własnej duszy, (mówiąc pańskim stylem) — któryby miotał się przeciw oceanowi za pochłonięcie chociażby tysiąców tysięcy ofiar, przeciw ziemi, że się pod ludźmi niekiedy niespodzianie rozwiera, przeciw chmurom, że stają się przyczyną chorób, przeciw elektryczności, że piorunem gdzieś bohatera zabiła, przeciw sprawiedliwości, że gdzieś kiedyś sprawiedliwe dusze na męki wydała, pomordowała sprawiedliwe...

Nastała chwila ciszy, którą przerwał Mirecki:

— Woda i powietrze same przez się nie stanowią przeszkody do rozwoju ducha ludzkiego, którego doskonalenie się w nieskończoność wszyscy wiodący ludzkość czuć muszą instynktowo, jako cel istnienia — nawet w granicach żywota jej na ziemi. Przeciwnie, nawet niezależnie od tego, kazano im być pobudką wieczną do owego doskonalenia się. Inaczej się rzecz ma ze sprawiedliwością lu-

dzką, której nie należy porównywać z wiecznym i niezmiennym żywiołem, jest ona bowiem tylko zmienną formą jakiejś myśli społecznej, doskonaloną wiecznie właśnie męką najlepszych.

Już z oczu profesora czytał Mirecki, jak dużo ten ma na to do powiedzenia, ale, jak kamień z góry, myśl jego toczyła się dalej.

— Ocean ni elektryczność nie wadzą wiedzy, ni moralności, na co jednak skazana byłaby społeczność, w naszem rozumieniu tego wyrazu, przeciętnie wiedząca i moralna, pod opieką opinii publicznej oraz sprawiedliwości dzikusów Oceanu Spokojnego? Miotam się przeciw sprawiedliwości ludzkiej, kiedy zdaje mi się ona strychulcem mieczowym, ścinającym wraz z chwastem, chorobliwie wybujałym, rośliny szlachetnie bujne i ponad zrozumiałą dla powszechności miarę pożyteczne, a nieznane czy niepoznane, czy zapoznane. Miotam się, choć... lepiej może powiedzieć: bo rozumiem, że jeden tylko sposób stępienia tego strychulca istnieje: na owych sterczących karkach. To też rozumiem tak dobrze tych, co drżąc przysiadają pod dachem ruchomym owego miecza, jak tych, co walczą z jego ostrością nadstawianiem szyi bezrozumnem i bezcelowem pozornie. Mówię: pozornie, bo niema większej mądrości nad przeczuwanie lepszych sposobów oddzielania kąkolu od pszenicy — chyba w ich odgadywaniu. Ręka losu znużyć się musi rąbaniem głów opornych i podniesie poziom owego młyńca.

Pałające oczy Mireckiego nie widziały nawet, że teraz wszystkie oczy ku niemu były skierowane, tak samo, jak nie wiedział, kiedy odmówił wzięcia jakiejś potrawy, a potem owoców.

— Panie, Pegaz pana trochę ponosił — odezwał się z pogodnym uśmiechem profesor.— Pyta pan, jak wyglądałaby społeczność nasza pod mocą sprawiedliwości wyspiarskiej z Oceanu Spokojnego czyli żywiołu, w zaczątkowy tylko sposób opanowanego przez rozum ludzki, ja zaś zapytam, jak wyglądałaby wiedza i moralność nasza przy odpowiednim stopniu opanowania przez ten rozum innych żywiołów: woda tylko się pije i dźwiga pierogi, ogień smaży tylko mięso, ziemia wydaje tylko owoce, całe panowanie nad powietrzem — szałas z liści...

„Czy nie to samoby się stało ze społecznością najdzikszej wyspy, gdyby tam zburzyć nawet tę właściwą jej zaczątkową sprawiedliwość? co stałoby się po bezwzględnem wyłamaniu się innych żywiołów z pod mocy rozumu ludzkiego" — przemknęło przez myśl Mireckiego, i cały zapał jego zgasł odrazu. Oczy, zwrócone do dołu, zdawały się patrzeć tylko w głąb własnej duszy. Nie widział dyskretnych wyrazów tryumfu na twarzach gospodarswa i zawodu na

twarzy Marynki. Hrabina tymczasem wstała, podając ramię profesorowi, hrabia poszedł z Angielką, która zaraz potem znikła, Turowicki — z Maniusią. Mirecki wstał i poszedł też machinalnie za wszystkimi, nie widząc, że Marynia szła sama, a więc wypadało podać jej rękę, na co na cześć jego protektora, a w przeddzień wydalenia jego samego zrezygnowana była widocznie sama pani domu. Szedł, całkowicie pogrążony w rozważanie sprzeczności pomiędzy własną sympatyą dla wypowiedzianych przez siebie poglądów a rozumieniem słuszności tych, które je zbijały. Wszedłszy za wszystkimi do saloniku błękitnego, gdzie wszyscy usiedli, nie zauważył nawet ruchu Jesiołowskiego, który mu też chciał wskazać krzesło. Doszedłszy do okna, wrócił do drzwi, wciąż myśląc, jak to wszystko pogodzić. Z chaosu zaczęła mu się już wyłaniać najprzód myśl, że ostatecznie o zupełnem obróceniu w nic ani jeszcze lotnej, ani też już skamieniałej w zwyczaje lub prawa opinii publicznej nie chodziło mu w gruncie rzeczy wcale, potem — inna myśl, że wyższe stopnie opanowywania żywiołów przez rozum ludzki osiągane bywają często drogą gwałtownych przewrotów, olbrzymimi wysiłkami gotowych na wszelkie poświęcenie się ludzi, poprzedzanymi przez męczeństwo niezliczonych nadaremnych pozornie wysiłków.

„Pomiędzy dwoma punktami setki wozów się połamie, nim je droga żelazna połączy, na której znów setki wagonów się potłucze, nim jakiś doskonalszy środek lokomocyi ją zastąpi...”

Tymczasem po kilku frazesach zdawkowych hrabina odezwała się do panien:

— Zagrałybyście może co panu profesorowi na cztery ręce, córeczki.

— Bardzo, bardzo proszę — dorzucił profesor, kłaniając się w stronę panien, które po konwencyonalnem uprzedzeniu, że muzyka ta nie warta prośby, zaraz przeszły do salonu. Nastała chwila milczenia, którą przerwał profesor, zwracając się do hrabiny.

— Powiedział ktoś o wielkości roli, jaką w tworzeniu się tak zwanych przekonań i zasad społecznych i etycznych gra — pomimo nawet świadomości często — instynktowe poczucie interesu własnego, ale zapomniał wspomnieć o temperamencie. Szybszy stosunkowo obrót krwi w młodszej połowie ludzkości czy też wyższa jej temperatura ciała dużo się jednak przyczynia do tego, że się te dwie połowy niezawsze rozumieją. Ot taki pan Mirecki gotów byłby może z całą szczerością uznać myśl swoją za niezwyciężoną w tej rozmowie, ale treść uczuciowa tej myśli cierpi w nim tylko, lecz nie umiera. Darmobyśmy mu przypominali, że dawniej wielki czło-

wiek, trochę zanadto wyprzedzający wiek swój, bywał najczęściej męczennikiem, a dziś bywa tylko niezrozumiany do czasu, doświadczenie bowiem najskuteczniej uczy ludzkość, iż, karząc doraźnie rzekomego dziwaka, można się stać katem dobroczyńcy. Mówię: darmo, bo jego puls uderza około 80 razy na minutę, albo też temperatura jego ciała jest przeszło 37%. Darmobyśmy mu dowodzili, że dojrzewanie społeczeństw, czyli postęp istotny, odbywa się wedle praw przyrodzonych, i żadne miotanie się go nie przyśpieszy: temperament może tylko do czasu będzie go również naturalnie popychał, żeby palcami pomódz pąkowi do rozkwitu.

Przy pierwszych słowach profesora Mirecki przystanął na środku pokoju i słuchał. Nie pierwszy to raz w podziw go wprawiało to, że ten dziwny człowiek odgadywał jego uczucia i myśli, ale tym razem zdało mu się to czemś tak osobliwem, że nie zdobył się ani na wypowiedzenie przerwanych mową profesora myśli, ani też tych, które mu ta mowa poddawała.

Ze skupieniem woli fakir-cudotwórca przyśpiesza naturalny wzrost rośliny — zdało mu się dziecinnie ciasnym argumentem wobec stosunku pomiędzy znaczeniem tak sztucznie wyhodowanej w ciągu kwadransa roślinności a tej świat pokrywającej, która tylko zwykłych praw przyrodzonych słucha. Gdyby powiedział, że nieskończenie małe w porównaniu z wszechświatem cząsteczki pyłu kosmicznego, spadając w słońce, podtrzymują tę temperaturę, dzięki której światy żyją jego promieńmi, a zaś wybuchy pojedyncze tak samo sycą ideał, w którego płomieniach dojrzewa dusza ludzkości— wyglądałoby to albo na jałowe porównanie niby - poetyckie, albo na przeniesienie kwestyi w dziedzinę mistyczną.

I wciąż zamyślony Mirecki zawrócił znów ku oknu, a profesor jakby mimowolnie zniżając głos, dodał zwracając się do hrabiego:

— I kto wie, przy ilu uderzeniach pulsu jest więcej słuszności.

I ciągnął dalej tonem już żartobliwym, kiedy Mirecki powolnie szedł od okna ku drzwiom, przy których siedziało całe towarzystwo:

— Goethe uważał, naprzykład, dla siebie Spinozę za źródło najpewniejsze rezygnacyi filozoficznej, pogody i zgody z naturą i ze sobą, a taki młody pan, wstawszy od traktatu „O cnocie", nawet w oryginale odczytanym, gotów się zżymać na żywioły.

— Masz zupełną słuszność, profesorze kochany—rzekł hrabia.

— Święta racya — przyświadczyła hrabina.

Oboje byli trochę zażenowani uporczywością rozmowy i treścią jej, do której tak uderzająco źle pasowały najdowcipniejsze i najwytworniejsze z ich powiedzeń, to też oboje mieli już gotowe frazesy na przeprowadzenie jej na inny temat, kiedy Mirecki tonem głębokiego skupienia i przekonania powiedział też:

— Tak, pan ma słuszność.

Zawodząc jednak następnie nadzieje gospodarzy, którzy już usta otwierali w mniemaniu, że to była ostateczna kropka po dyspucie, ciągnął dalej:

— Mnie Spinoza nie uspokoił wcale. Przeciwnie. Nigdy żaden dramat nie obudził we mnie takiego uczucia tragizmu.

Panny wybrały już właśnie nuty, ustawiły je i usiadły, i Maniusia chciała uderzyć pierwszy akord, ale wstrzymała ją gestem Marynia, wskazując drzwi saloniku.

— Co cię obchodzi Spinoza czy ten pan? — zapytała Maniusia, kiedy Mirecki mówił:

— W tem jest jakaś nadnaturalna namiętność, tylko skonsolidowana i ujęta w również nadnaturalnie potężną formę myśli. Tragizm to wieloraki, może wszechstronny, a wieczny ducha ludzkiego. Chwilami zdawało mi się, że patrzę na człowieka, co, nie wydając bólu żadnym skurczem odruchowym mięśni, unieruchomił wysiłkiem woli własną rękę i sam ją sobie odcina. Te sprzeczności potworne...

— Panie — przerwał profesor — mówi pan o filozofie, u którego niepodobna właśnie odkryć najmniejszej nielogiczności.

— Możem się źle wyraził: chodzi mi o sprzeczności nie wobec logiki formalnej.

— A wobec czego? — zapytał nieco żartobliwie Jesiołowski.

Ale Mirecki tym razem słyszał tylko pytanie.

— Zaraz wytłómaczę myśl swoją. Czy to, naprzykład, nie sprzeczność? Patrząc w nieruchomą doskonałość natury i duszy mędrca, sterylizowanej ze wszelkiego egoizmu i wszelkiej namiętności — rodzaju platońskich z prawzoru dusz — ujmować w dogmat filozoficzny i uprawniać walkę o byt...

— Ależ Spinoza żył przed Darwinem—rzucił wytwornie drwiąco Jesiołowski.

— Pan myśli?—zapytał tym samym tonem zły z przerwania Mirecki.

— Nie wiem, o jakim ustępie pan mówi?—zapytał prędko profesor.

— O teoremacie, stwierdzającym słuszność obracania przez ludzi na swój pożytek zwierząt, jako istot mniej mądrych, mniej silnych duchowo, czyli mniej cnotliwych.

— Można w tem widzieć darwinizm? — inaczej już nieco zapytał Jesiołowski, któremu skupiona twarz profesora mówiła, że go to uderzyło — czy samo przez się, czy też jako rys ciekawy umysłowości młodzieńca.

— Walkę o byt — poprawił Mirecki, zwracając się do Jesiołowskiego, a nie domyślając się, jak mu tem pochlebia. — Jeżeli bowiem silniejszy duchowo posiada metodą geometryczną dowiedzione prawo obracania bez żadnych ograniczeń na swój pożytek mniej od siebie silnych, to czyż życie pod takiem prawem nie musi wyglądać na wir pożerania się wzajemnego?

— To trafne — rzekł Jesiołowski do profesora.

— A przecie dla osiągnięcia tego wniosku nie trzeba tam sztukować łańcucha teorematów nowem kółkiem. Dość komentarza, w którym tę zasadę się stopi z genialnie wyprowadzonym determinizmem wogóle i w szczególności z teorematem, dowodzącym absolutnej niemądrości wyrzutu sumienia: jeżeliś stratował kogo czy zjadł lub wogóle na swój pożytek obrócił czyjś ból i krzywdę, to wiedz, że działało w tobie prawo naturalne, na które zgoda tylko, jako cząstka wielkiej i bezwzględnej zgody na wszystko stwarzające i stworzone, wieczne i mijające, będzie właśnie drogą do owej cnoty, utożsamionej z siłą duchową, mądrością. Czyli inaczej: patrząc w ideał nieruchomy obcej wzruszeniom dobroci i miłości wszystkich, nie oglądaj się za siebie na śmierć, męki i krzywdy, przez ciebie zdziałane, jakbyś nie ty tego dokonał. Zgadza się to logicznie z innymi teorematami traktatu „O cnocie", nie jestże jednak potwornością to dążenie do ideału bez poczucia odpowiedzialności za wykluczone przez niego postępki, poczucia, którego życie właśnie w wyrzutach sumienia się objawia, które w działaniu swem bezpośredniem i spadkowem na osobniki i społeczności jest głównym budowniczym cnoty, jako przedewszystkiem tryumfu uczuć społecznych nad uczuciami wyłącznie osobistemi... Przypomniały mi się te nowe teorye wychowawcze, doradzające tworzenie bezwzględnie dodatnich społecznie i etycznie automatów myślących i świadomych — bez walki wewnętrznej... I, określając absolut, wierząc, jak w aksyomat, we własne tłómaczenie stosunku mocy twórczej do stworzenia, udowodnić na zasadzie tego aksyomatu, że dusza ludzka jest czemś w rodzaju kropli, w której się wszechbyt mieni, i płomyka, chróstem zdarzeń syconego!... Porywa mnie to nadludzko po-

tężne skupienie pragnień przeniknienia zagadki bytu, ale czyż nie jest tu szczytem tragizmu myśl myśliciela? To ptak, co po wzlocie potężnym, ledwo widny nawet ze szczytu góry, gwałtownie bije skrzydłami powietrze rozrzedzone i pewny, że leci wciąż ku słońcu, tkwi na jednym poziomie, aż wreszcie olśniony i wyczerpany spada, pewny, że skrzydłem potrącił o jądro wszechrzeczy, kiedy naprawdę dotarł tylko wśród nieskończoności do granic własnej mocy i duszy...

(d. c. n.) *Józefat Nowiński.*



Ruch umysłowy w Paryżu.

I.

Tryumfy Sienkiewicza we Francyi. — Romans heroiczny: Maurice aindron. — Powieść historyczna: P. i V. Marguerite. — V. Radot: „La vie de Pasteur". — Komedya francuska: Rivollet, Abel Hermant, Richepin. — Wodewil: St. hr. Rzewuski. — Zanik prawdziwej poezyi.—Trzej zmarli: Karol Hermite, Albert de Broglie, Henryk de Bornier. — Berthelot o wieku XX. — Przyszłość.

Paryż posiada jedną wyższość nad wszystkiemi innemi ogniskami życia. Oto nie znam żadnego miasta w świecie, gdzieby pierwiastki wiedzy, sztuki, wszelkiego rodzaju idee ogólno-ludzkie krążyły tak w powietrzu i wsiąkały tak w owy ludzkie, jak tam. Człowiek nie tylko przyswaja sobie tam mimowoli to, co w dziedzinie umysłowości jest najnowszem, ale umysł jego traci zarazem jednostronność, staje się wyrozumiały i ucywilizowany".

Tak wyraża się Sienkiewicz o Paryżu, a jaka to głęboka, a zarazem trafna ocena, ten chyba najlepiej osądzić może, kto szereg lat przepędził w stolicy nadsekwańskiej. Lecz Paryż odwdzięcza się dziś Sienkiewiczowi. Sienkiewicz go zdobył, króluje w nim i, jako hetman i wódz, na niezdobytej dotąd twierdzy pierwszy wśród swoich zatknął zwycięski sztandar piśmiennictwa polskiego. Pisząc dziś o Paryżu, nie można nie pisać o Sienkiewiczu. „Quo vadis" rozeszło się w 200,000 przeszło egzemplarzy; „Ogniem i mieczem"

(w ciągu dwu miesięcy) w 30,000; „Potop” i „Rodzina Połanieckich” — w druku. Fala sienkiewiczowska wciąż się wzmaga, zalewa Paryż i całą Francyę. Warto posłuchać, co o Sienkiewiczu głoszą koryfeusze krytyki. Członek akademii, dyrektor pierwszej sceny paryskiej, wybitny powieściopisarz i belletrysta, tak się o nim wyraża:

Przyznajmy się, że Paryż coraz więcej przygarnia, oklaskuje egzotyków. Niepodobna nakreślić dzisiaj wiernego obrazu życia paryskiego bez zaznaczenia ogromnej wziętości Sienkiewicza na bulwarach (*l'éclatante vogue boulevardière*). Tak jest! co w tym roku najbardziej jest *parisien*, to powieściopisarz polski! Jakby radował się nasz kochany Charles Edmond (Chojecki), gdyby dotąd był przy życiu, tem rozbudzeniem duszy narodu przez książkę; powiedziałby nam, iż wybić musiała nieuchronna godzina zadosyćuczynienia i reakcyi,— reakcyi ideałów przeciw modnej, lecz sprosnej bezczelności, odwet myśli i ducha — na instynktach zwierzęcych. *Quo vadis?*: „Dokąd dążysz“! Do celów górnych, nie do błota! Z tem to hasłem Sienkiewicz zdobył świat; dlatego dzienniki i wydawcy pragną tylko Sienkiewicza, wołają: „Dawajcie nam Sienkiewicza!“ — tak jak w przedostatnim wieku wołano: *Donnes nous des lettres Persanes!* Zwrot ku „Męczennikom“ Chateaubrianda, — powiecie — ku przeszłości? Zapewne: Lygię wywołała Cymodocea! Ale także zwrot ku niedającemu się nigdy zgładzić idealizmowi, ku nieprzezwyciężonemu niczem łaknieniu ludzkości; bo człowiek podąża naprzód z czołem, do nieba wzniesionem. Ten Sienkiewicz, którego rysy przypominają mi znany typ oficera naszych strzelców pieszych, który podobny do Baffeta, z wąsem i bródką napoleońską; ten Sienkiewicz, którego imię nagle, jak huk armat, zabrzmiało po świecie, który całe lata przebywał w Rzymie, Rzym studyował, podczas gdyśmy nawet o jego istnieniu nie wiedzieli, — obchodził wczoraj pięćdziesięciolecie (*son cinquantenaire, sic!*). Polacy ofiarowali mu zamek o ścianach, zdobnych we freski, przedstawiające główne sceny jego dzieł, ogłuszyli go kantatami, udusili pod nawałem kwiatów...

...Zaprawdę wzruszająca uroczystość; szlachetny poryw uwielbienia! Wielbiciele Sienkiewicza we Francyi przyklasnęli tej manifestacyi. Pytam się atoli, jakby uczczono Sienkiewicza u nas, gdyby się Sienkiewicz był urodził Francuzem? Niech tylko się utworzy w Paryżu komitet, mający na celu zbieranie składek, na zakupienie zamku i posiadłości ziemskiej na własność jednego z najznakomitszych naszych powieściopisarzy (wszak posiadamy takich i my). a ujrzycie niebawem, jaki to alarm podniosą kochani koleżkowie, lilipuci współcześni, jak myśl zohydzą lub ośmieszą. Pisarzowi polskiemu kupują zamki i dedykują sonety; Francuza uraczą kupletami w teatrzyku na *Revue de fin d'année*.

Tyle Claretie, nie mówiąc o innych jego współziomkach, o sławie Sienkiewicza. Ciekawą byłoby jednak rzeczą stwierdzić na podstawie niezbitych dokumentów, jak długo i uporczywie ci sami Francuzi zamykali swe wrota przed zbliżającym się najazdem polskim, jakim gradem pocisków odpierali podsuwających się pod ich mury pierwszych trębaczów sienkiewiczowskich, jak potentat dziennikarski, dziś już nieżyjący, O. Magnard z „Figara” oznajmił

tonem dogmatycznym, że dzieła autora polskiego, jakkolwiek znakomite (*remarquables*), nie mają zgoła widoków powodzenia we Francyi; albo, jak kierownik najpoczytniejszego może na świecie przeglądu, ten sam, który ogłosił kiedyś „Bankructwo wiedzy", — nazwał jedno z arcydzieł Sienkiewicza „włosem roz̀ćwiertowanym" (*un cheveu coupé en quatre*), jak w pracy swej o literaturze powszechnej milczeniem pominął nazwisko Sienkiewicza, już wówczas głośne na obu półkulach, jak wreszcie ci sami wydawcy, wołający dzisiaj: *Donnez nous du Sienkiewicz!* jednocześnie zwracali tłómaczom ich rękopisy. *E pur si muove!* Ziemia się przecie obraca, każdemu słońce zaświeci... Pora naówczas nie była jeszcze nadeszła, prąd nie bił dość silny, by zerwać zapory, mur chiński przełamać. Wydawcy wprawdzie nie są krytykami, lecz jedynie handlarzami, nie kształcą smaku, nie kierują tłumem czytelników, lecz przeciwnie płyną tem samem, wyżłobionym przez rzesze czytających korytem.

Lecz cóż mówić o rzekomych kierownikach ruchu umysłowego? Odpowiedź łatwa: zbłądzili! Tak, ale ci książęta krytyki w wygórowanem pojęciu o swej nieomylności błądzić nie mogą!... W tem zrozumieniu, a raczej w tej zarozumiałości tkwi ich błąd i dotkliwa ich dzisiejsza porażka. A błądzą także i ci, którzy po odniesionem zwycięstwie na zdobytych murach chcą swoją jedynie zawiesić chorągiew, którzy sądzą, że uwolnili duszę ludzką z nizkich więzów bydlęcych, że wskazali im jedyną drogę, jedyny cel, że nawet we Francyi wpływ Sienkiewicza zapowiada ewolucyę trwałą nie tylko w upodobaniu chwilowem, ale w dążeniach i zasadach. Zwodnicze to, przesadne nadzieje! Prądy i formy są zmienne, uczucia i namiętności ludzkie pozostaną wiecznie, z ich równym przypływem i odpływem. Bezsprzecznie, po zatrutych wyziewach zgniliśmy, po powieściach Zoli, po wyuzdanej pornografii jego epigonów odurzona, obałamucona, przesycona wstrętem publiczność zapragnęła czystej wody krynicznej, nie kału: lecz to tylko chwilowe obrzydzenie, wywołane niestrawnością. Przyjdzie fala powrotna: powstanie potężny talent w kierunku wręcz krańcowym, porwie znów za sobą świat i masy. *E pur si muove!*

* * *

Cokolwiek bądź, ten wpływ w dzisiejszej beletrystyce francuskiej istnieje, sprawozdawca musi się z nim liczyć. Ujawnia się on nie tylko w powodzeniu tak zwanych dzieł cnotliwych (*genre vertu-*

eux), lecz i w zainteresowaniu się szerokich kół romansem heroicznym z zakresu historyi, bądź wierszem, bądź prozą.

P. Esparbès napisał nową „Henryadę", niewiele lepszą od tej, którą podpisał wielki jego poprzednik: *Voltaire fecit!*

P. Maurice Maindron przedstawia nam dolę i niedolę rycerza, czyli raczej obywatela świeżego powietrza z szesnastego wieku: „Blancador l'avantageux". Niestety! mimo przebrania z pod pióropuszu i kaftana altembasowego ów Blancador zanadto mi podobny do Bel-ami z powieści nieboszczyka Guy de Maupassanta, jak również do wszelkiego rodzaju „wiwerów" i „bulwardierów" chwili obecnej, występujących na scenie w komedyach Henryka Lavedan. Niedosyć szpady i jedwabnych amarantowych pończoch, i kryzy koronkowej, i kapelusza, z pod którego strusiego pióropusza przebłyskuje wizerunek Michała Archanioła w olśniewających od ognia drogich kamieni zamkach, — by wskrzesić ludzi danej epoki, ożywić ich jej duchem, wyrazić nam ich myśli i zdobyć sobie podziw lub uznanie. Bez wniknięcia w ducha czasu narysujemy tylko figurantów, a takich napotkamy setkami na balach opery, przebranych za rycerzy, Alfonsów i Don-Juanów z baryery. Talent p. Maindron, któremu nie odmówię pewnego wirtuozowstwa, ogranicza się na drobiazgowem opisywaniu szat i sprzętów. To nie wystarcza do scharakteryzowania odrębnych znamion i właściwych dążności epoki. Lepiej w takim razie zajrzeć do pałacu strojów Worth'a lub jak się tam inaczej nazywa *le grand coupeur*... Ten Blancador na to żyje na ziemi, by jednocześnie frontem prowadził dwie, trzy, cztery intrygi, a może i dziesięć, bo dla niego ilość już nic nie znaczy. A zatem bałamuci z równem powodzeniem i dostojną Dyanę de Formansin, dumną kasztelankę, w zielonym śpiczastym kapeluszu na podobieństwo głowy cukru, zdobnym u dołu w trójrzędny sznur pereł; — i sławetną Teresę Combarrou, ponętną właścicielkę gospody — „pod wykrochmalonym czepcem ukrywającą zwoje czarno-niebieskawych, jak u kruka, włosów, w lazurowym staniczku, o haftkach zwykle niedopiętych, jasnej spódniczce, sięgającej po kostki, obszytej szerokimi czarnymi aksamitnymi pasami, uwydatniającej zgrabne biodra"; — i Janinę Le Bro, piękną pokojówkę niemniej pięknej Dyany, „z trzosem srebrnych kluczy u srebrnego paska, tak barwnej, tak upstrzonej w dni świąteczne, iż rzekłbyś: to płonąca kolorowa świeca, jaką zapala się na uroczystość Trzech Króli", — i wreszcie, Małgorzatę de Trois-Mares, ciepłą wdówkę po wzbogaconym dzierżawcy dóbr królewskich, — „w złotej kryzie mimo żałobne szaty wdowie o spojrzeniu ognistem, rozbudzającem żądze". Oto i ro-

mans. A zdawałoby się, że ten wiek szesnasty, najwspanialsza chwila Odrodzenia, kiedy to wybujały indywidualizm doszedł do krańcowych przeciwieństw: zepsucia i ascetyzmu, męstwa i zniewieściałości, bohaterstwa i upodlenia, najwyuzdańszego samolubstwa i najzupełniejszego wyrzeczenia się samego siebie w poświęceniu i ofiarności; czasy, w których żyli Juliusz II-gi i Machiavel, Michał Anioł i Rafael, Luter i Loyola, Guizowie i Coligny, Ronsard i Cervantes, Montaigne i Rabelais, — że ten wiek nie mógł wydać i nie wydał samych wyrodków i samej szumowiny społecznej. A jednak, gdybyśmy uwierzyli p. Maindron na słowo, to na prześwietnej ziemi Gallów żyli naówczas jedynie oszuści, ździercy, tchórze, skrytobójcy — katolicy, protestanci, kalwini — bo rzecz dzieje się w okresie walk religijnych w okolicach, gdzie przeważali innowiercy — wszyscy w czambuł dyabła warci: p. de Martinglise — gracz i oszust, p. de Puydragan — ździerca, p. de Malapère — złodziej, p. de la Piroulette strzela do ludzi z za płota, pastor Müller wyłudza grosz wdowi i sierocy, pastor Momsen więcej obmawia, niż się modli, pastor Kaupfisch dla tem większego umartwienia grzesznego ciała obnaża dziewczęta, inscenizując sobie raj czy piekło przy blasku płonących stu świec woskowych, nad wszystkimi góruje łotr nad łotrami, „awantażowny Blancador”. To nowy Cyrano, ale — szelmostwa i podłości. Jak Cyrano, ozdobiony nosem potężnym, jasnym wąsem, zwycięsko zadartym, grozi i krzyczy zdaleka, w potrzebie zaś daje drapaka, tak „Blancador uznał za stosowne zmykać, co koń wyskoczy, przed naciskającym na niego ze szpadą w ręku panem de la Haussaye, obdarzającym go zarazem rozmaitemi grzecznościami, jako to *sale ruffian! lâche filon!* i t. p.; atoli p. Blancador postanowił wcale na te napomnienia uwagi nie zwracać, a nawet zgoła ich nie słyszeć, p. Blancador bowiem łączył roztropność z pogardą „przeciwnika”. No! jeżeli tak się ma ujawniać wpływ sienkiewiczowski i jeżeli tak ma się tworzyć powieści historyczne, to i z jednego i z drugiego chętnie Francuzów kwituję.

Lecz gdzież szukać przyczyny tego rozstroju i na czem, zapytajmy, — zachowując naturalnie przynależną miarę w ocenianiu talentów — polega kardynalna ich różnica? Oto w dzisiejszej twórczości literackiej — a nie tylko we Francyi — brak, naogół biorąc, prawdy i szczerości; za wiele pozy, zbyt widoczne ubieganie się o niepospolitość, o oryginalność! Powieściopisarz występuje między wierszami, jako trzeciorzędny aktor na skraju sceny, żądny podziwu i poklasków. Co stanowi potęgę Sienkiewicza, niezrównaną i nie dającą się naśladować (mimo tylu naśladownictw), to szczerość

i prostota, owo tchnienie, jak żar, bijące z piersi, miłujące piękno i dobro, a w nich i przez nich ludzkość. Ta prawda, ta twórcza iskra boża oto iście żywiołowa siła talentu, objawiająca się niemal bezwiednie, a o której béz bluźnierstwa powiedzieć można: Jest, bo jest,— *Sum qui sum.*

* * *

Nawiasem wspomnę tu o nowej powieści Bourgeta *Le fantôme* oraz o drugiej ewangelii *secundum Zola* (*Le Travail*), wygłaszanej w odcinku jednego z tysiącznych dzienników paryskich; wypadnie mi o nich na tem samem miejscu obszerniej pomówić. Teraz zaś wskażę na chaber wśród chwastów: ostatni utwór braci Paul i Victor Marguerite: „Le Tronçon du Glaive". Autorowie znanej epopei wojennej „Le Désastre", synowie generała, poległego w r. 1870, dla uczczenia drogiej im pamięci poświęcili siły i talent prawdziwy odtworzeniem tragicznej chwili pogromu. Piękny to cel — z przebytych cierpień, z doznanego upokorzenia wyciągnąć na przyszłość naukę, a zarazem wlać w młodociane serca nadzieję, rozżarzyć w nich miłość kraju, męstwo i poświęcenie. W *Le Désastre*—wśród chwiejności i skrytych zawiści wodzów ze schorzałej ręki Cezara wytrącono złamany miecz Francyi; odłam, *le tronçon*, podniósł mąż pełen wiary w ostateczne zwycięstwo; tym mężem był Gambetta. Książka więc to poniekąd apoteoza wielkiego trybuna. Może jest w niej przeładowanie, zbyt ciemne lub zbyt jaskrawe naprzemiany nagromadzenie barw i cieni, za wiele postaci, nie dość powstrzymywany i kierowany rozmach, rozdrabniający się w szczegółach, w jakiemś wirowaniu, w kalejdoskopie barw. Ale przyznać trzeba autorowi talent i cel szlachetny. Postać Gambetty potężnieje i promienieje, jak zresztą w rzeczywistości, z dnia na dzień przybiera imponujące rozmiary w pamięci nowych, wyrastających po sobie pokoleń: pozostał on dla nich symbolem nieśmiertelnych nadziei. On we wspomnieniach dzisiejszych o klęsce uosabia wiarę w byt i dawną sławę ojczyzny, on, nowy Tyrteusz, jak grom z nieba, z oblężonej stolicy spada w samo jądro żyznej Francyi, wymową rozpala ogień w zwątpiałych duszach, stwarza armie i tym strzaskanym mieczem dalej bój prowadzi. Thiers nazwał go szaleńcem, *le fou furieux*, ale potomność Gambettę pomściła i wyniosła go wysoko ponad Thiersa tym instynktem raczej, niż jasną świadomością wiedziona, że nie dobrobyt materyalny, nie utylitaryzm, lecz sława lub bohaterstwo, okupione ofiarnością, — zapewniają życie i utrwalają wielkość na-

rodów. Taki to pomnik, nie powiedziałbym zresztą *aere perennius*, wystawili bracia Marguerite byłemu dyktatorowi z Tours i Bordeaux.

* * *

Taki sam przykład pietyzmu, wzruszający nas do głębi duszy, dał Valery Radot w dziele, poświęconem pamięci teścia swego, wielkiego Pasteura („La vie de Pasteur"). Dawno już nie miałem w ręku tak pięknej, tak pouczającej zarazem książki. Pana Radot poznałem, pamiętam, kiedyś, gdy jeszcze pod zarządem drugiego Buloza, kierownika *Revue de deux mondes*, zawiadywał sekretaryatem tego przeglądu. Mówiono mi wówczas, że właściwe jego nazwisko brzmi nie Radot, ale Radau, że jest pochodzenia polskiego, wyznania mojżeszowego; nie ręczyłbym jednak za wiarogodność tych informacyi: w Paryżu tylu jest nieproszonych biografów! Do napisania dzieła natchnęły go wdzięczność, uwielbienie, możność długoletniego blizkiego obcowania z wielkim uczonym, który był zarazem najszlachetniejszym człowiekiem.

Ludwik Pasteur wyszedł z ludu. Potomek biednych pasterzy trzód jurajskich, stał się pasterzem, bo dobroczyńcą ludzkości. Dopiero pradziad jego uwolnił się z poddaństwa za cenę czterech grzywien złotych, *quatre livres d'or*. Akt był spisany w Dôle podług wszelkich formułek obowiązującego naówczas prawa, przed *Maître Jary*, rejentem jego królewskiej mości: „Filip Maciej Franciszek hr. d'Uresse, pan na Ecleux, Claman, Lemuy i innych miejscowościach, zezwala w drodze szczególnej łaski na uwolnienie poddanego, Klaudyusza Stefana Pasteura". Uwolniony kmieć z żoną założyli garbarnię. Z jednego z ich dziewięciu synów urodził się ojciec naszego uczonego, Józef Pasteur, żołnierz napoleoński. Odbył prawie wszystkie kampanie, odznaczył się w Hiszpanii, gdzie dziwnym zbiegiem wypadków dosłużył się stopnia sierżanta oraz krzyża pod komendą kapitana Hugo, późniejszego generała i hrabiego cesarstwa, a ojca największego poety francuskiego w XIX wieku. Józefa nazwano w pułku *le brave des braves*. Po upadku Napoleona młody żołnierz powrócił w strony rodzinne, ożenił się z Ludwiką Roqui i na wzór dziada w tym samym Dôle założył garbarnię. Tu 27 grudnia roku 1822 urodził się Ludwik Pasteur. Owe skromne pierwiastki odbiły się niezatartym śladem na jego naturze. Po rodzicach odziedziczył właściwe każdemu z nich odrębności. Lecz, jak mówi Radot, przeciwieństwa te były rękojmią ich miłości i domowego szczęścia;

ona — niezmordowana w pracowitości i skrzętności, przytem o wybujałej wyobraźni, o czułem sercu, skora do zapałów i szlachetnych uniesień. Z tego związku przyszła na świat jedna z najpiękniejszych żywych harmonii, jakiemi się rodzaj ludzki poszczycić może: duch refleksyi, połączony z uczciwością; zamiłowanie do badań naukowych, natchnione lotną wyobraźnią. Pracowitość cicha dawnych pokoleń uzbroiła ich potomka w niewyczerpaną cierpliwość, w nieprzepartą wytrwałość w raz powziętych postanowieniach; wyobraźnia matki obdarzyła syna nadzwyczajną przenikliwością, refleksyjność ojca dała mu siłę i wolę skupienia. Unoszony ogniem ducha panował nad nim, poskramiał i porządkował nadmiar myśli. Tak samo w życiu pozostał zawsze umiarkowanym, cichym i skromnym. Serce miał czułe, wrażliwe na cierpienie bliźniego. Jakże przejmujący jest opis pierwszej próby szczepienia wścieklizny *in anima vili*. Działo się to 6 lipca roku 1888. Do laboratoryum Pasteura zjawia się dziewięcioletni chłopiec, Józef Meister, Alzatczyk, przed dwoma dniami przez wściekłego psa pokąsany. Dziecko zaledwie ruszać się może. Wtenczas to Pasteur stoczył z sobą jedną z najstraszliwszych walk wewnętrznych, jakie się w duszy ludzkiej odbyć mogą: czy dokonać na tem dziecku doświadczeń, szczęśliwie dotąd na zwierzętach sprawdzonych. Bezsilny wobec tej rozterki, targany zwątpieniem, a przeczuciem, iż oto stoi przed celem całego życia, zasięga rady u znakomitości lekarskich doktorów Vulpian i Grancher. Ci poniekąd poczytują mu za obowiązek zastosowania odkrycia. Operacya dokonana. Przez dwa tygodnie kuracyi w miarę coraz silniejszej dozy zastrzykiwanego wirusu przechodzi Pasteur przez istne katusze: w nocy nie sypia, a czasem, gdy skleją mu się znużone powieki, widzi straszliwy obraz: dziecko, duszące się w kurczach śmiertelnego spazmu. Nareszcie, jak słońce po nocy, wchodzi w jego serce promień nadziei. „Mój drogi — pisze do zięcia — sądzę, że nadchodzi fakt niezmiernej w nauce doniosłości. Józef Meister opuszcza już laboratoryum. Trzy pierwsze zastrzyknięcia zostawiły trzy zaskórne plamki różowe, rozszerzające się, lecz nie sprawiające bólu przy dotykaniu. W miarę zbliżania się chwili ostatecznej inokulacyi coraz widoczniej spostrzegać się daje jakiś odruch, jakieś działanie wewnętrzne. Stoimy może przed jednem z największych odkryć lekarskich tego wieku". I stało się rzeczywiście „jedno z największych odkryć" i największych dobrodziejstw zarazem. Odtąd mnożą się doświadczenia. Każde z nich stwierdza zwycięstwo nauki. Rząd obsypuje Pasteura najwyższymi zaszczytami, miasto Dôle wznosi mu łuki tryumfalne. On zaś na napuszone powitanie mera

i władz odpowiada temi rzewnemi słowy: „O, ojcze! o matko! wy, drodzy moi, których już niema! Wy, którzy w tym skromnym domku tak skromny prowadziliście żywot, wam ja wszystko zawdzięczam. O, matko! tyś mi przekazała w spuściźnie swoje uniesienia szlachetne, swój święty zapał do niestrudzonej i nieustającej pracy, a jeśli wielkości nauki nie odłączałem nigdy od myśli o wielkości ojczyzny, to dlatego, że przejęły mnie uczucia, przez ciebie w młodocianej mej duszy zaszczepione, ojcze kochany! Życie twoje było tak twarde, jak twarde było rzemiosło. Pokazałeś mi cud, jaki może sprawić cierpliwość. Tobie to zawdzięczam upór i wytrwałość w codziennej pracy. A nie tylko posiadałeś ową wytrwałość, bez której niema pożytecznego żywota, ale żywiłeś także uwielbienie dla wielkich ludzi i wielkich czynów. Widzę, słyszę cię jeszcze, jak po znojnym całodziennym wysiłku rąk czytywałeś mi wieczorem opisy bitew i zwycięstw, przypominające ci owe czasy pełne chwały, których sam byłeś świadkiem i skromnym działaczem zarazem. Bądźcież oboje błogosławieni, rodzice moi najdrożsi!"

Na rok przed zgonem, na posiedzeniu akademii lekarskiej, wobec zgromadzonych kolegów zamknął swą karyerę tem uroczystem i publicznem wyznaniem wiary.

„W każdym z nas — mówił — mieszczą się dwie istoty: uczony, który naokoło siebie uczynił *tabula rasa*, który zapomocą badań, doświadczeń, rozumowań, wniosków usiłuje wniknąć w tajemnice przyrody, — i człowiek — człowiek tradycyi, czlowiek wiary, który odczuwa, opłakuje stratę osób drogich, który, aczkolwiek nie ma namacalnych dowodów, że się kiedyś z niemi połączy, jednak wierzy w to uporczywie i żywi nadzieję, że go śmierć nie zgładzi; człowiek, który przeczuwa, iż jego energia, jego duch dalej istnieć i działać będą, przetworzone w innem nieśmiertelnem życiu. Otóż ja wierzę! Otóż powiadam wam, że te dwie dziedziny ludzkie są i powinny zostać odrębne, a biada temu, któryby przy wciąż małym jeszcze poziomie wiedzy naszej chciał jedną z nich podporządkować drugiej".

* * *

Odbudowany na tem samem miejscu, na którem zniszczył go pożar, teatr francuski (*la Comédie Française*), owo ognisko sztuki dramatycznej i klasycyzmu, rozpoczął nowe swe istnienie od uroczystego przedstawienia. Oklasków nie szczędzono. Ale czy czasem ogień święty, ów znicz, nie zamarł pod pogorzeliskiem? Mimowoli przypomniał mi się okrzyk Bossueta, opłakującego zgon *Madame* Hen-

riette d'Angleterre: *Madame se meurt! madame est morte!* Wielka sztuka dramatyczna umiera! Wielka sztuka dramatyczna umarła! Gdzie Wiktor Hugo, gdzie Augier? gdzie Dumas? gdzie choćby nawet Pailleron? Ze starej gwardyi pozostał nam jej *l'enfant terrible*, Sardou, a o młodej powiedziećby wypadło raczej: *La garde se rend et ne meurt pas.* Z powodzi miernot, zalewających sceny paryskie, zaledwie dwa lub trzy utwory godzi się wyróżnić: „*Alkestis*", „*Sylvie ou la curieuse d'amour*" i „*la Cavalière*".

„Alkestis", z zachowaniem greckiego brzmienia, dla odróżnienia podobno od molierowskiej *Alceste* — wyciągnął p. Rivollet ze znanej tragedyi Eurypidesa. Wiersze piękne, akcyi zato mało, a raczej żadnej akcyi, gdyż jej i w pierwowzorze greckim nigdy nie było. Króla Admeta poświęcenie małżonki Alkestis ocala od grożącej mu śmierci. Zjawia się Herkules, wybawia królową z rąk ducha śmierci i zwraca ją Admetowi. To i wszystko! Ale jest tu jakieś tchnienie miłości i litości. Ta Alkestis czułością swą przejmuje serca widzów; młoda, piękna, kocha, ceni dary życia, a jednak woli poświęcić się, bo inaczej zginąłby umiłowany przez nią nad wszystko mąż i kochanek — a bez niego życie dla niej stokroć gorsze, niż śmierć.

O chambre nuptiale, o couche sainte et pure
Où vierge j'ai laissé dénoué ma ceinture.

Jest to prawie dosłowna parafraza greckiego oryginału: „O łoże, na którem ten, dla którego ginę, rozwiązał kiedyś me szaty dziewicze. Żegnaj! Kocham go, a jednak dla niego ginę! Umarła wiary mu dotrzymam; żyjąca musiałabym go zdradzić. O łoże! inna ciebie posiądzie niewiasta, nie cnotliwsza, lecz ode mnie szczęśliwsza!" Treny te wydają mi się logiczniejsze od owych: *O couche sainte et pure!* Trzebaby się porozumieć: jeżeli na tem łożu opadły szaty dziewicze, to jego niewinność bardzo problematyczna!...

Drugi utwór, „Sylvie ou la curieuse d'amour" przypomina mi me lata dziecinne, kiedy to *Mademoiselle* czytywała mi Berquina... Tak przynajmniej sądzićby można z tytułu, *nota bene*, odtrąciwszy jeden wyraz: „Sylvie la curieuse" to Berquin, „Sylvie la curieuse d'amour" to już p. Abel Hermant, ulubieniec i uprzywilejowany historyograf *du noble faubourg St. Germain*, jak niegdyś w swych jambach wyrażał się Jules Barbier. A kroniki skandaliczne, sceny buduarowe i obyczajowe p. Hermant nie mają nic wspólnego z Berquinem — proszę mi wierzyć na słowo. Ciekawa jest ta Sylvia; całe

cztery akty polegają na tem, że Sylvia ponawia doświadczenia miłości kolejno na przedstawicielach trzech epok, tak blizkich siebie, a przecież tak odmiennych — dawnej monarchii, rewolucyi i pierwszego cesarstwa. Zaczyna swe próby 14 lipca roku 1789, w pamiętny dzień wzięcia Bastylii. Do pałacyku, w którym oczekuje na nią rozwiązły i nieco brutalny małżonek, markiz de Beauvoisin, sprowadza Sylvia niespodziewanie swego brata mlecznego, niejakiego Henryka, dawnego poddanego. Chłopiec wyrósł, przybył do Paryża, został *sankulotem*, o co mu pewnie trudno nie było, a dzisiaj właśnie wraz z innymi „obywatelami" zdobył Bastylię. Zdobył i jednocześnie z rąk rozjuszonego motłochu wyratował biedną, ale arcyponętną Sylvię, niepotrzebnie się z takiem towarzystwem zadającą. Wdzięczna markiza wprowadza gorącego ze wszech miar patryotę do eleganckiego *Buen retiro* i przedstawia go małżonkowi. Henryk jest młody, Sylvia — ciekawa, wdzięczność bywa zawsze oznaką pięknej duszy, a piękna dusza może przyoblec również piękną szatę cielesną. Sceptyczny markiz z nonszalancyą, godną wielkiego pana, pobłażliwie patrzy na te porywy wdzięczności, a gdy mu się czas dłuży, wygrywa arye na flecie. Tymczasem Henryk, bohater Bastylii, znużony walką, wzruszeniami, no, i niejednokrotną libacyą na cześć wolności i miłości, zasypia. Ciekawość Sylvii niezupełnie zadowolona...

Cóż ma począć nieboga? Markiz ładnie gra na fujarce. Piękna noc letnia, słodka harmonia fletu tak ją czule nastrajają! Zwraca więc ku prawowitemu panu całą falą czułości. I od jednego do drugiego, od drugiego do trzeciego i czwartego, będzie tak unosiła, czyli raczej przenosiła naszą Sylvię jej gorliwa ciekawość — przez dwadzieścia lat z górą. W najgorszych czasach terroryzmu czerń oblega jej zamek z niejakim Ganon na czele — Ganon wzbogacił się na asygnatach; jest to chłop tęgi, w środkach nie przebierający. „Obywatelko, woła, wybieraj! albo ja, albo gilotyna!... (zapomniałem zaznaczyć, że w trakcie wypadków ciekawość jej względem markiza jest ostatecznie zaspokojona: Sylvia rozwiodła się z nim). W takiem położeniu rzeczy — z ciekawości także — zgadza się i na Ganona. Wszak łatwo uzyskać rozwód!... Mijają lata. Sylvia nie zaznała spokoju... serca. Ganon — cham, i z nim wypadło się rozłączyć. Potęga Napoleona kruszy, łamie i nanowo tworzy trony, jak i stadła małżeńskie. Pewnego dnia dostaje Sylvia rozkaz gabinetowy: „Jego cesarska mość przeznacza pani jego ekscelencyę, marszałka Francyi, księcia de Spalato, za małżonka!..." Dziwny zbieg okoliczności — dla tak ciekawej natury; ten książę de Spalato

to niejaki Taillefer, dobrze Sylvii znany, były dzierżawca dóbr markiza de Beauvoisin. Ex-margrabina, ex pani Ganon, posłuszna wszechwładnej woli, no, i zawsze równie ciekawa, zostaje panią marszałkową Spalato. Akt ostatni przenosi nas do Wenecyi. W ogrodzie, wśród połyskujących marmurów, szemrzących wodotrysków, odnajdujemy Sylvię w towarzystwie jej trzech mężów razem. Przyplątał się nawet do nich ów brat mleczny Henryk. Skąd i jak się tu wszyscy dostali, zadługo byłoby tłómaczyć, a zresztą nie podołałbym zadaniu. To spotkanie przypomniało mi trochę scenę z Candide'a Voltera, gdy w tejże Wenecyi trzech królów detronizowanych pociesza się wzajem wspomnieniami minionej wielkości. Powstaje *imbroglio*. Sylvia radaby z każdym z tych trzech ex-mężów zaspokoić nie gasnącą ciekawość, przeprowadzając porównania. Ostatecznie nawija się jej Henryk. Cierpliwość, niewinność wynagrodzone: „Dlaczego, pyta się Sylvia, nie miałabym naprawić w jedną noc tego, czego przez dwadzieścia lat nie udało mi się dokonać!” Komu, czy jej, czy Henrykowi, sentymentalnemu niezdarze! Za wiele aktów na jedne i te same doświadczenia choćby najciekawszej kobiety na świecie.

Za wiele także aktów (pięć!) posiada dramat wierszem „La cavalière” p. Jacques Richepin'a, by nam w teatrze Sary Bernard (choć bez udziału boskiej Sary) dać *pendant* sławnego Cyrana. Prawda, że ten Cyrano, jak już z tytułu odgadliście, jest kobietą; *comedia* żywcem wzięła ze starego repertuaru hiszpańskiego. *La cavalière* (po polsku dzisiaj mówimy: e m a n c y p a n t k a) zwie się donna Mira de Amescua. Piękna i bogata dziedziczka porzuca szaty niewieście, by w przebraniu męskiem i z szablą w ręku posiąść także serce męskie. Jest tu *qui pro quo*. Posiądzie serce męskie, bo jej własne serce w miłości do mężczyzny zapłonie. Donna Mira w nader zgrabnych i efektownych wierszach przedstawia nam swą teoryę.

„Tak, wiem ja, panowie, dla was kobieta równa się amforze. Prostą czy misterną trzymacie ją w kącie o chłodzie. Możecie ją rozbić, bo do was należy. A jednak szczęśliwi po dłuższej wycieczce, gdy dom swój ujrzycie wśród zielonej toni, wtedy przygarniacie wazon lub kobietę, zależnie od tego, czy miłość, czy pragnienie was pali.

Vous embrassez l'amphore ou la femme, yeux fermés.
Selon que vous avez soif, ou que vous aimez.

Atoli u pewnego *Figara* piękna donna (naturalnie w zwykłem przebraniu męskiem) spotyka młodego Christobal de Villaroël. Sprze-

czka, dobywanie szabel. Christobal, w gorącej wodzie kąpany, policzkuje nieszczęsną Mirę, biorąc ją za oficera w służbie jego królewskiej katolickiej mości. Pozornie nowy to, ale w gruncie rzeczy stary i doświadczony sposób wywoływania piorunującej miłości. Szekspir, a po nim Molière już orzekli, że kobiecie więcej przypada do smaku siła męskich ramion, niż czułe gruchania. Odtąd też Mira o Christobalu zapomnieć nie może; a Christobal ma swoją Lorenzę, narzeczoną, o tyle zgodną, łagodną, pokorną w pożyciu, o ile Mira jest dumna, namiętna, rozkazująca. Miłość, wiadomo, rodzi się z przeciwieństw, a więc *Senor* Christobal przy Mirze zapomina o Lorenzy. Szał to chwilowy. Niebawem wróci do pierwszej miłości, tak, jak w piosence, a Lorenza przyjmie nawróconego z uśmiechem szczęścia i przebaczenia. Wszystko się zmieniło. Owa wyzywająca niegdyś Cavalièra staje się biedną, opuszczoną. *Pauvre petite* mówi o niej poeta, bo zbłądziła, bo zadaniem kobiety, według starej zużytej formułki naszych prababek: „kochać i być kochaną". Tak, biedna Cavalièra, cóż jej po szpadzie, po pióropuszu, po spencerku wojskowym, po niezależności? Kiedy nie kochać, to umierać, i umierać dla ukochanego! Właśnie odkryła spisek. (O, łaskawa Opatrzności, która pana Richepin oraz wszelakich dramaturgów przeszłych i przyszłych w potrzebie na zawołanie ratujesz!), podsłuchała trzech czy czterech zbirów, sprzysięgających się na życie Christobala. Ciemno w lesie, — po czem go poznają? po błękitnym płaszczu rycerskim, w złociste wyszywany kwiaty. O cudo! Christobal podczas ostatniej schadzki pozostawił płaszcz — czyżby Józef? — w ręku Cavalièry. Cavalièra ten płaszcz przywdzieje i w wyznaczonem miejscu padnie pod sztyletami morderców, szczęśliwa, że ukochanemu, jeżeli nie miłość, to przynajmniej własne życie niesie w ofierze: „Stąd sens moralny taki się wywodzi, że życie się miłością słodzi"— powiedziałby ś. p. Rozbicki!!

Nie będę się już rozpisywał o dramacie „La petite paroisse", nieudanej przeróbce z ostatniej znanej powieści Alfonsa Daudet'a. Natomiast powiem, że Stanisław Rzewuski, jako *intermezzo* wśród swych poważniejszych prac, dał nam w Wodewilu wdzięczne bardzo *lever de rideau* pod poetycznym i nastrojowym tytułem: „Les Roses de Bellagio".

W Bellagio, *im wunderschönen Monat Mai, wenn alle Knospen prangen,* schodzą się dwa stadła małżeńskie, jedno już znużone i znudzone po dziesięcioletniem wspólnem pożyciu, drugie, tonące jeszcze w słodyczy pierwszego miodowego miesiąca, rozkochane, gruchają-

ce. Pierwsi, widzą i słyszą drugich, a widok ten sprawia to, czego nie mogły dokazać ni róże, ni lazury z Bellagio...

Ici bas tous les lilas meurent
Tous les chants d'oiseaux son courts
Je rêve aux amours qui demeurent
toujours!

*
* *

Tak śpiewał Sully Prudhomme, jeden z niewielu pozostałych dawnych bogów. Lecz, niestety, gdzież te szczęśliwe krainy? Ideały, powiadają, raczej idealizm wraca, ale miłość wiosny życia, ale poezya? Gdym tak się uskarżał przed przyjacielem, zawziętym sportsmanem, odrzekł mi, choć nie bez cienia litościwej pogardy: „Mój kochany, najpiękniejszą poezyą dwudziestego wieku bedą aerokaby (dorożki powietrzne), skąd zapomocą elektryczności zaprowadzimy wymianę sygnałów z mieszkańcami Marsa". Być może! Lecz nasi dawni poeci zaginą. Nie wskrzeszą ich ani aerokaby, ani prądy elektryczne, ani nawet dytyramby panów Bewer i Paul Léotard, wyśpiewywane na cześć parnasistów dzisiejszej doby (*Poètes d'aujourd'hui*, 1880—1900). Pierwsze uleciały orły i łabędzie: Hugo, Musset, Lamartine, za nimi orliki: Baudelaire, Leconte de Lisle, Barbier, Villiers de l'Isle Adam; po nich słowiki: Paul Verlaine, Mallarmé, a szczególnie Paul Verlaine, szczególnie tak wnikający w duszę swą rzewnością i prostotą (udaną, czy nie), śpiewak z bożej łaski, nawpół żebrak, nawpół mędrzec, nawpół Chilon, nawpół Franciszek z Assyżu, z rynsztoku wlokący się do stóp ołtarzy, rano upijający się absyntem, wieczorem odurzony myrrą i dymem z kadzielnic; dzisiaj tarzający się w rozpuście, a jutro, jak Hiob z barłogu, wołający błagalnie ku Bogu:

Tendez moi votre main que je puisse lever
Cette chair accroupie et cet esprit malade,

a po erotycznych sonetach do Marion wyśpiewujący pobożne hymny na cześć Maryi:

Je ne veux plus aimez que ma mère Marie...

Dziś go niema, dziś niema orłów ani orlików. W starych gniazdach słowiczych odezwą się jeszcze raz po raz Sully Prudhomme i Coppée. Pozostały nam tylko kraski i pawie: taki Rolli-

nat, którego sławę głoszą pani Réjane w Paryżu lub pani Yvette Guilbert w Berlinie, taki Catulle Mendès, siwiejący już parnasista, a z najmłodszych — Rodenbach, de Régnier, de Montesquiou, Laforgue, Moréas, szukający dróg i słów nowych, a częściej mistyfikacyi, to rzucający nam wiązankę barwnych kwiatów lub garść błyskotliwych perełek, to znów, i to częściej — nam i sobie samym — pył i piasek w oczy. Bo niech, naprzykład, odgadnie, kto chce:

L'enfant abdique son extase
Et docte déjà par chemins,
Elle dit ce mot, Anastase
Né pour d'éternels parchemins.

Albo też:

Mais ils disent le mot chouchou
Né pour du papier de Hollande,
Et les voilà seuls dans la lande.
Sous le trop petit caoutchou.

Jednak i oni nie miną bez śladu. W ich dziecinnej zarozumiałości, w tej bladze gawrosza paryskiego, kłębi się myśl, zwrot ku przeszłości, chęć odświeżenia zesztywniałych i zbutwiałych form klasycyzmu i romantyzmu prądem, zaczerpniętym u zdroju dawnych poetów plejady. Bo któż, proszę mi powiedzieć, z żyjących czy nieżyjących skreślił następującą zwrotkę?

Mignonne, allons voir si la rose
Qui le matin avait desclose
Sa robe de pourpre au soleil
A point perdu cette vêprée,
Les plis de sa robe pourprée
Et son teint au votre pareil.

Czy Ronsard? czy Villon? czy Mallarmé? czy nawet Rodenbach?

* * *

Z brzaskiem tego wieku trzech mężów wybitnych na polu nauki, literatury i poezyi ubyło Francyi. Zmarli: profesor, doktór nauk przyrodzonych, Karol Hermite, historyk i mąż stanu, książę Albert de Broglie, oraz poeta, wice-hrabia Henryk de Bornier.

Hermite był bez wątpienia najznakomitszym matematykiem francuskim ostatniej doby, na całym świecie znanym i powa-

żanym; należał nie tylko do akademii nauk ścisłych w Paryżu, ale do wszystkich niemal podobnych stowarzyszeń całego świata: był członkiem akademii berlińskiej, londyńskiej, petersburskiej, rzymskiej, madryckiej, upsalskiej i wielu innych. Urodził się w Dieux, miasteczku lotaryńskiem, w roku 1822. Kształcił się w szkole politechnicznej, poświęcił się głównie matematyce analitycznej. Przez trzydzieści lat przeszło pełnił obowiązki egzaminatora w tejże szkole. W roku 1892 obchodził pięćdziesięciolecie swej działalności naukowej. Jego prace o funkcyach tak zwanych *abéliennes*, o podzielności transcendentów i ich transformacyi, *de la division des transcendentes et de leurs transformations*, wytknęły nauce nowe drogi. On także pchnął naprzód kiełkującą zaledwie teoryę form algebraicznych. Jego ostatniem słowem było podobno: „Widzę!” Odsłoniły mu się wszechświaty, jako harmonijna w swej doskonałości liczba.

Wkrótce po nim zgasł pan wielkiej fortuny i wielkiego rodu, w osiemdziesiątym roku życia, wnuk po kądzieli pani de Staël, Albert książę de Broglie, historyk i mąż stanu. Pochodził z rodziny sabaudzkiej Broglio, osiadłej we Francyi za Ludwika XIV, w czasach, gdy księżniczka Sabaudyi, Adelaida, zaślubiła syna wielkiego Delfina, wnuka *du Roi-Soleil*, znanego w historyi pod nazwą księcia Burgundyi. Niebawem w nowej ojczyźnie doszła ta rodzina do największych zaszczytów. Trzech jej członków piastowało kolejno godność marszałków Francyi. Ludwik XV podniósł jedną z ich gałęzi do godności diuków i parów w osobie Franciszka de Broglie. Odtąd głowa rodu nosiła tytuł diuka, podczas gdy inni zadawalniać się musieli godnością książęcą, *prince*. Syn Franciszka, także marszałek, posłował w Warszawie. Świetne są zatem tradycye tego domu. Nieboszczyk w całej świetności je utrzymał. Urodził się w roku 1821. Z wychowania i zasad — ponad inne formy rządu wynosił monarchię parlamentarną, taką, jaka najwspanialszy swój wyraz przybrała w Anglii. Sam chętnie stałby przy boku takiego króla liberalnego i tradycyjnego zarazem, odgrywałby rolę „premiera”. Brakło mu sposobności, a może też zbrakłoby zdolności, rzutu oka, śmiałości, odwagi. Jednak miał i on w historyi ostatniego trzydziestolecia świetną chwilę. Wybrany jako poseł do *assemblée nationale* objął ministeryum spraw zagranicznych i był prezesem gabinetu. Przyczynił się znacznie do upadku Thiers'a. Wspierał reakcyjną politykę Mac-Mahona, służył jej w charakterze ministra spraw wewnętrznych. Po nieudanym zamachu 16 maja, gdy Gambetta, wracając do Izby na czele nowo-wybranych trzystu sześć-

dziesięciu trzech, zamknął marszałka w sławnym dylemacie *Se soumettre ou se démettre*, i gdy zwycięzca z pod Magenty w istocie, nie chcąc się poddać, wolał ustąpić, książę de Broglie bezpowrotnie pożegnał się z czynną polityką. Literatura, historya, piśmiennictwo osładzały mu gorycz rozczarowań. Po babce de Staël odziedziczył piękne, jasne, treściwe pióro. Styl jego tchnie kurtuazyą i spokojnym chłodem wielkiego pana. Pozostawił następujące historyczne prace, choć wątpię, aby go potomność miała do szeregu prawdziwych historyków zaliczyć. „L'église et l'empire romain au 4-me siècle", „Le secret du Roi", „Frédéric II et Louis XV", „Marie Thérèse, imperatrice et la paix d'Aix la Chapelle" i in.

Na przeciwległym krańcu stolicy w kilka dni po swym koledze z akademii, w bibliotece arsenału, której od lat wielu był kustoszem, czyli, jak tu mówią, konserwatorem, w tym samym prawie wieku zmarł wice-hrabia Henryk de Bornier. Należał do średniej rodziny szlacheckiej z południowej Francyi, wyrosłej na glebie (*noblesse terrienne*). Zachował on do ostatniej chwili czerstwość i przysadzistość dębu. Zdawało się, że długo w spokoju zażywać mu danem będzie tych świetlistych półmroków wieczornej doby życia, kiedy to słońce zeszło już z nieboskłonu, lecz na zachodzie czerwienieją jeszcze pogodne blaski. Smierć zabrała go nagle. Wraz tylu innymi w zaraniu młodości w pogoni za majątkiem, za sławą opuścił strony rodzinne i podążył do Paryża. Ojcowie jego sadzili w odziedziczonej ziemi młode szczepy wina, on chciał winem poezyi, ambrozyą bogów dusze i serca upoić. Czy mu się to udało? Odrzekłbym: tak! Ukochana przezeń poezya oddała mu się na chwilę. Hołdował starym wzorom. Corneille był mu mistrzem, i w części też posiadał jeżeli nie tchnienie, to przynajmniej wiersz, *le vers cornélien*, jak mówią do dziś dnia Francuzi. Czekał długo i cierpliwie, nim zabłysnął mu dzień, w którym doznał owego nawiedzenia muzy, i począł swe dzieło w bólu i miłości. Tak! z najczystszych zdrojów i nadziei po straszliwym niesłychanym pogromie wypłynęły mu te ogniste wiersze dramatu patryotycznego: „La fille de Roland". Zagrzmiały one jak trąby, zwiastujące odsiecz, rozniecały w sercach najszlachetniejsze porywy, wskazały dorastającym pokoleniom cel. Trzeba pamiętać, jakie przed dwudziestu laty wywołał wrażenie, trzeba widzieć, jakie po dziś dzień jeszcze rozbudza echa ten dramat mimo swej przestarzałej formy, aby odmierzyć tę wielką wdzięczność, która mu się od narodu należy.

Francya w owe czasy, miała dwie szablice,
Jedną zwano Joyeuse, a drugą Durandal,
Szybsze, niż błyskawice,
Groźniejsze od burz i fal [1]).

Brzmi, zdaje się, surma bojowa, z nią w sercach powstaje nadzieja. Więc ten, który w sercach ogień święty rozniecił, zasługuje na wieczną podziękę od potomności. Ostatni utwór poety „France d'abord" jedynie pamięć „Córki Rolanda" ocalić może od zapomnienia. Na dwa miesiące przed śmiercią odczytał Bornier na posiedzeniu akademii poemat na cześć „trzech Dumasów": dziada, generała napoleońskiego, syna, najpotężniejszego może twórcę w dziedzinie literatury, jakiego kiedykolwiek świat wydał, wreszcie wnuka, przenikliwego, choć zgorzkniałego nieraz analityka namiętności i przywar ludzkich. Był to ostatni jego śpiew, ale nie łabędzi. Gorliwy katolik, choć sercem należał do tak zwanej dzisiaj partyi narodowców, trzymał się zdala od wszelkich agitacyi politycznych, pełniąc swe obowiązki w zakresie winnej rządowi uległości, dlatego nad jego świeżą mogiłą nie słychać było ani jednego rozdźwięku, a zaniósł z sobą tę ostateczną pociechę do grobu, iż na chwilę nad jego zwłokami uciszyły się zbrodnicze swary synów jednej ziemi.

* *
*

E pur si muove. Ludzie mijają, ideały pozostają, ideały napozór sprzeczne nieraz, lecz w różnorodności swej dążące do uszczęśliwienia ludzkości. Któż nie słyszał o p. Berthelot, słynnym chemiku, a w chwilach wolnych ministrze spraw zewnętrznych. Otóż ten p. Berthelot, wróciwszy z *Quai d'Orsay* do swych retort i alembików, taki przed paru dniami (w interviewie) roztoczył przed nami obraz darów, których ludzkość po wieku XX spodziewać się może.

Podniesione — mówił on — rzekome zarzuty przeciw mojej teoryi wytwarzania środków żywności zapomocą przetworów chemicznych nie mają żadnej podstawy. W miarę tego, jak bezpośrednio w organizm ludzki i krążenie krwi zdołamy wprowadzić pokarmy sztuczne, musi nastąpić powolny, ale całkowity zanik niepotrzebnych już nadal funkcyi trawienia. Chleb składa się z mąki lub glutenu—zastąpimy go podobnym sztucznym wytworem. Dostarczymy wam także mięsa sztucznego. Już pół wieku minęło od czasu, jakem sporządził syntezę ciał tłustych. Wytworzymy również cukier oraz wszelkie produkty azotu, albuminę, fibrinę i t. d. Gdy wasz pokarm nie będzie zależał od wydajności ziemi, na cóż wam siać zboże, sadzić buraki i chować trzodę? Obyczaje złagodnieją. Zakwitnie

[1]) La France dans ce siècle a connu deux epées: l'une avait nom Joyeuse et l'autre Durandal.

wiek złoty. Już wyrabiamy sztuczne barwniki i perfumy. W handlu znikła hodowana w uprawie wanilia. W medycynie, terapeutyce posiądziecie również alkaliczne przetwory. Hodowanie maku, chininy uchodzić będzie niedługo za nader kosztowną i nieużyteczną fantazyę. Uspokójcież atoli smakoszów: nasze wyroby w niczem nie będą ustępowały najdelikatniejszym produktom naturalnym. Igraszką jest dla nas nadać potrawom najwytworniejszy aromat. Wynajdziemy nową sztukę kulinarną. Jednem słowem, synteza chemiczna przekształci, przeobrazi całą naszą kulturę dzisiejszą. Ziemia zamieni się w ogród rajski Wszyscy zakosztują szczęścia. Uczonym, a nie politykom przypadło w udziale urzeczywistnić ową idealną rzeczpospolitą, ową idealną Salentę (Fenelona) na tej ziemi. Już dzisiaj synteza chemiczna oraz przerobienie sił zapomocą elektryczności przeinaczają do gruntu świat i społeczeństwo. A stoimy dopiero u progu; mnożą się jednak i rozpowszechniają już te zaczątki.

Dziedziny chemii i fizyologii muszą pozostać odrębne. Dotąd wszelkie próby sztucznego zapładniania spełzły na niczem. Nauka nie doszła jeszcze do tego ostatniego kresu ewolucyi. Lecz wypada wierzyć w odkrycia przyszłości.

A teraz jedno jeszcze proroctwo. Za lat dwadzieścia pięć najdalej lokomotywy znikną. Maszyny, ogrzewane naftą lub gazem, będą głównymi motorami pociągów. Parę stanowczo uważać trzeba na niegodziwy środek przerabiania i przenoszenia siły. Elektryczność, pozbawiona siły, lecz będąca najdoskonalszym uniwersalnym ajentem transformacyi, zajmie miejsce pary, choć nigdy zupełnie nie wykluczy nafty i gazu.

Mój kolega Jansen dopiero co głosił panom sławę balonów, okrętów, ptaków powietrznych, posłusznych w ręku sterników. Miał słuszność. Oto jeszcze nowy wynalazek, zmieniający zgoła dotychczasowe warunki bytu. Wyobrażam sobie posępne miny celników i protekcyonistów? A w polityce!... Spodziewam się, iż, jeżeli nie my, to nasi synowie będą obywatelami „Stanów Europy Zjednoczonej“. Niestety! nie dojdziemy do tego postulatu bez wojen, bez wielkich i krwawych wstrząśnień... Francya, miejmy nadzieję, odegra w tej niedalekiej przyszłości pierwszorzędną rolę.

*
* *

Francya odegra pierwszorzędną rolę, jeżeli wejdzie na tory humanizmu, sprawiedliwości, tolerancyi i wiary zarazem, niegdyś tem pięknem hasłem wyrażanych: *Gesta Dei per Francos!*...

Nie chciałbym w tych kronikach dotykać polityki. Jeżeli to dzisiaj wyjątkowo uczynię, to dlatego, że w Izbie z powodu rozpraw nad ustawą o stowarzyszeniach jakby odżyły najświetniejsze tradycye parlamentaryzmu. Zdawałoby się, żeśmy wrócili do czasów Thiers'a, Guizot'a, Montalemberta, Lacordaire'a. Panowie de Mun, Ribot, ksiądz le Myre, a w przeciwległym obozie Viviani i Waldeck - Rousseau doszli prawie do szczytów krasomówstwa. Lecz szczególnie pierwszy mówca w przekonywających wywodach, we wstrząsających do głębi konkluzyach, wykazał całą obłudną ohydę tych praw wyjątkowych, gwałcących sumienie milionów wiernych, depczących najświętsze uczucia własności: tych praw,



które pod płaszczem liberalizmu są dziełem sekciarstwa, tyranii, nienawiści, które w dwudziestym wieku wbrew nadziejom i przepowiedniom rzekomych apostołów wolności całą klasę współobywateli obdzierają z przynależnych im cech obywatelskich, stawiają pod pręgierzem za to tylko, że przekonania tej klasy różnią się od przekonań sfer rządzących, praw, które godzą w samo serce ojczyzny, rozjątrzają jej niezagojone rany; które między warstwami jednej społeczności wykopują przepaść, wywołują walkę najzacieklejszą, bo walkę religijną w swej ślepej zawziętości, właśnie w chwili, gdy na dalekim Wschodzie rozwijają się wypadki nieprzewidzianej i niezmiernej doniosłości, samochcąc mogą pozbawić Francyę wielkiej moralnej potęgi, wynikającej z jej odwiecznego przywileju i miana „protektorki chrześcijan”.

Jeden z najwybitniejszych naszych publicystów pisał niedawno, że do złych objawów tego wschodzącego wieku zaliczyć wypada osłabienie Francyi. Nie wdaję się tu w niewłaściwe i zarozumiałe porównania. Lecz wolność wypowiedzenia swych myśli należy się także i maluczkim. Już temu lat kilkanaście w jednym ze swych „Listów z Paryża” mówiłem: „Bez Francyi ciemno i duszno byłoby na świecie”. Takie i dzisiaj jest moje przekonanie. Więc z początkiem nowego wieku życzę tej pięknej, — a nas zawsze, jak magnes, w złem czy dobrem z tą samą siłą ku sobie pociągającej Francyi — odrodzenia! Życzę, by przyszedł w niej i dla niej mąż prawdziwie opatrznościowy, któryby potrafił zespolić i zlać w jedno ognisko jej rozproszone siły. Życzę, aby się wzmogła w troistym swym bycie, materyalnym, udzkim i duchowym. Życzę, aby od niej, tak, jak do jej brzegów napływa ciepły prąd golfstreamu, szły także daleko na świat ożywcze promienie, i aby wreszcie ziściły się dla niej piękne słowa Rorsarda.

Le Français semble au saule verdissant,	Francuz w przeciwności, jak wierzba zielona,
Plus on le coupe, et plus, il est renaissant.	Której choć ścięta, odrośnie korona.
Il rejetonne en branches davantage,	I zewsząd gęstsze wypuści konary,
Il prend sa vigueur en son propre dommage.	Bo na zbawienie posłużą mu kary.

A. W.

LIRYKA NASZA
OSTATNIEJ DOBY*).

I.

Leży przede mną przeszło dwadzieścia książek, zapełnionych wierszami: wszystko to wydawnictwa ze schyłku zeszłego roku. Znaczna stosunkowo ich liczba świadczy wymownie, że źródło twórczości poetyckiej nie wyschło za dni naszych, lub też że po chwilowym zastoju z nową obecnie trysnęło siłą. Cała ta poezya dzisiejsza, o ile przyodziana w formę mowy wiązanej, wyłącznie niemal jest liryczna. Inne rodzaje poezyi dramata i epika, w większości przeszły do dziedziny prozy i bądź to zatraciły w niej zupeł-

*) *Kazimierz Przerwa-Tetmajer.* Poezye. I. Wyd. 2. 1900. — *Jerzy Żuławski.* Poezye, 1900. — *Kazimierz Lewandowski.* Lais, 1900. — *Edward Słoński,* MCM. — *Marya Komornicka.* Baśnie i psalmodye, 1900. — *Wiktor Gomulicki.* Wybór wierszy, 1900. — *Tenże.* Pieśń o Gdańsku. 1900. — *Leo Belmont.* Rymy i rytmy, wybór poezyi, 1900. — *Zygmunt Rostkowski.* Stargane struny, 1900. — *Mieczysław Gliński.* Poezye, 1901. — *Józef Krajewski.* Odrodzenie, poemat, 1901. — *Władysław Zalewski.* Dziad, baśń liryczna, 1901. — *Erazm Krzyszkowski.* Na starych skrzypkach, 1900. — *Leopold Starzeński.* Z gawęd starego myśliwca, 1900. — *Kazimierz Laskowski.* Z chłopskiej piersi, 1901. — *Tenże.* Wiersze, Serya III, 1900.

nie swój żywioł poetycki, bądź też zachowały go wprawdzie w mniej lub więcej znacznej mierze, lecz bez określonych form słowa rytmicznego, w bezkształtnych masach mowy niewiązanej.

W ogóle w ciągu drugiej połowy XIX w. proza tak wielką osiągnęła przewagę na całym obszarze literatury pięknej, iż pojawiły się nawet teorye, uznające ją za jedyną prawowitą w tej dziedzinie władczynią. Gdyby istotnie kiedykolwiek osiągnąć ona miała takie wyłączne znaczenie, byłby to koniec wszelkiej wogóle poezyi lirycznej, będącej przyrodzoną rzeczniczką uczuć ludzkich, które z natury swej dążą nieodzownie do ściśle określonej formy rytmicznej. Oczywiście dążność ta nie zawsze się objawia w pełnym swym rozwoju. Nie tylko w mowie potocznej, lecz i w prozie artystyczno-literackiej spotęgowana ekspresya uczuciowa ujawnia się często niewyraźnym tokiem rytmicznym bez prawidłowej formy wierszowanej.

Ostatnimi czasy w najnowszym, czyli w tak zwanym „modernistycznym", kierunku literatury nadobnej liryka taka coraz częściej poczęła się pojawiać, i można w niej dostrzedz dążność do wyższego wydoskonalenia owej formy rytmiczno-prozaicznej. W zasadzie dążność ta bardzo jest usprawiedliwiona. Nasza obecna wersyfikacya nie może być wcale uznana za szczyt doskonałości; owszem licznym podlega zarzutom. Przedewszystkiem zbyt jest przystosowana do rytmów greckich, jak wogóle cała nasza poezya nowożytna, tak w treści, jak i w formie, zawsze jeszcze wzorami greckimi jest przejęta. Wielką usługę oddałby jej ten, ktoby ją uwolnił z pod przemożnej władzy tych wzorów. Czy może nasi poeci-moderniści powołani są do podjęcia i rozwiązania tego zadania? Niepodobna o tem przesądzać. To pewna, że dotąd, obok wielu dziwactw i niewielu przebłysków natchnienia, nie zdobyli się oni ani na nowe dzieła, ani na nowe formy, mogące rościć prawo do trwałego w literaturze znaczenia. Zresztą dotychczas rozwijali oni swą działalność przeważnie na polu literatury powieściowej i dramatycznej, zrzadka tylko w dziedzinie czystej liryki, w której mogliby dojść najprędzej do wyrobienia nowych form rytmiki poetyckiej. Liryka doby obecnej w większości swych wytworów trzyma się ustalonych oddawna form i reguł wersyfikacyi, starając się tylko udoskonalić je i urozmaicić. Takie są też przeważnie wytwory naszej liryki ostatniej doby, które zamierzam tu poddać bliższemu rozbiorowi.

II.

Modernizm poetycki, t. j. zwrot w poezyi doby obecnej, różny od dotychczasowych jej kierunków, stosunkowo dość nieznacznie występuje w owych najnowszych płodach lirycznych; częściej daje się widzieć w ich treści, we właściwym im nastroju uczuć i kierunku myśli, rzadziej w ich formie. Zresztą modernistyczna treść współczesnej naszej poezyi nie zawiera w sobie nic tak dalece nowego. Oryginalność jej polega właśnie na braku nowych haseł i ideałów, na przewadze pierwiastków zwątpienia i negacyi. Owóż na tych ujemnych żywiołach nie zbywało nigdy poezyi nowożytnej: pełno ich było w romantycznym jej kierunku. Różnica polega na tem, że dawniej wynikały one z nadmiaru pragnień idealnych, ulegających rozczarowaniu, dzisiaj są następstwem zaniku takich pragnień oraz idącego w ślad za tem zniechęcenia i rozgoryczenia. Objawy te są w pewnej mierze usprawiedliwione powtarzającymi się w ciągu ubiegłego stulecia upadkami tylu ideałów, tylu szlachetnych dążności. Ale czyż wszystkie ideały upadły?

Takby można sądzić, czytając niejednego z rozgoryczonych poetów-pesymistów; a jednak byłby to sąd bardzo płytki. Przecież i dzisiaj nie samym tylko chlebem ludzie żyją, i dzisiaj widnieją przed nimi pewne wyższe cele, które nieraz wprawdzie bywały zwalczane i zaprzeczane, ale przez nikogo dotąd zniweczone nie zostały. Skąd więc to zupełne o nich zwątpienie? Z różnych przyczyn. Najprzód z zaniku silnej woli, silnych wierzeń i przekonań oraz z pochodzącego stąd rozmiękczenia, roznerwowania wielu natur przeczulonych i przerafinowanych, a następnie ze skłonności naśladowczej, która we wszystkich dziedzinach życia ludzkiego posiada swoje znaczenie i staje się źródłem mody. Pesymizm modny jest niewątpliwie w dzisiejszej poezyi: im czarniejszy, im bardziej sceptyczny, w tym lepszym jest tonie. Oczywiście nie mówię tu o zasadniczym pesymistycznym poglądzie na świat, stanowiącym istotę najwznioślejszych religii i najgłębszych systematów filozoficznych, lecz o owym pesymizmie kapryśnym i nerwowym, który objawia się w mniej lub więcej szczerych, lecz chwilowych nastrojach duszy i w mniej lub więcej udatnych ich naśladownictwach.

Najbardziej uzdolnionym i najszczerszym przedstawicielem tego pesymizmu nastrojowego jest p. Tetmajer. Powtórne, uzupełnione nieco wydanie pierwszej seryi jego poezyi zawiera wiersze bardzo piękne i bardzo smutne, w których odnajdujemy dużo

prawdziwego uczucia, występującego na posępnem tle zniechęcenia, a czasem, ośmieliłbym się powiedzieć, jakiegoś rozkapryszenia pesymistycznego. Książka ta jest uzupełnieniem poprzednio już ogłoszonych w drugiem wydaniu trzech dalszych seryi utworów, dlatego też autor poprzedził ją przedmową, odnoszącą się do całego czterotomowego wydawnictwa, a zawierającą refleksye nad przyjęciem, jakiego doznały zebrane tu utwory, gdy pojawiły się w pierwszem wydaniu. Przyjęcie to nie zadowoliło wcale poety. „Pisano o mnie wiele—mówi p. Tetmajer—i kwalifikowano mię rozmaicie; jeżeli mię chwalono i ganiono, jak innych, to o wszystkich moich kolegach, razem wziętych, nie napisano tylu złych rzeczy, z taką poprostu zaciekłością i zajadłością". Czy ta skarga nie płynie z nadmiernej drażliwości autorskiej? W każdym razie pewną jest rzeczą, że wysnuta z niej wątpliwość p. Tetmajera co do tego, czy jego poezya jest potrzebna, czy nie jest zbyteczna, żadnej słusznej nie ma podstawy. Zbyteczną nie może być poezya, która tak żywe wzbudziła zajęcie. Autor jej słusznie może utrzymywać, że pomimo egotycznego swego charakteru jest ona wyrazicielką uczuć wielu ludzi współczesnych; przez osobiste *ja* poety wypowiada się w niej, jeśli nie powszechne, to jakieś bardzo rozpowszechnione *ja* ludzkie, ale wypowiada się w swej treści osobniczej, w swem samolubnem odosobnieniu. Takie *ja*, sobą tylko zajęte i w sobie wiecznie pochłonięte, często występuje w naszych czasach, nie dziw, że ma swoją poezyę, i nie dziw, że ta poezya mroczna jest, posępna, pesymistyczna. Mickiewicz mówi: „Serca niebiańskie poi wesele, kiedy je razem nić powiąże złota". Jest to „nić złota" dążeń wyższych i ideałów. Mało ich jest w dzisiejszej młodzieży, mało w dzisiejszej młodej poezyi. Skądże ma się w niej wziąć „niebiańskie wesele"? Daremnieby go też szukać w pieśniach p. Tetmajera. Przez wszystkie te pieśni ciągnie się czarna nić smutku i zwątpienia. Nawleczone są na nią liczne perły i brylanty poetyckie, ale wszystkie biorą od niej ciemne zabarwienie, rozjaśniane tylko zrzadka jaskrawymi błyskami nerwowej, wcale nie niebiańskiej wesołości. Bardzo posępnie nastrojony jest pierwszy zaraz wiersz zbioru p. t. „Przeżytym", w którym z ogromną siłą wyraża się rozpaczne wyczerpanie i zniechęcenie duchów wątpiących, wzywanych jednak przez poetę do dalszej walki życiowej w imię miłości dla idei, bez wiary i nadziei. Czy takie wezwanie jest zupełnie szczere? A przytem kogóż ono zdoła naprawdę pobudzić i pociągnąć? W następnym wierszu z rzewnym liryzmem zwraca się poeta ku swym Tatrom rodzinnym, szukając w cudach majestatycznej ich przyrody ukoje-

nia smutków i wstrętów, wzbudzonych przez rzeczywistość życia współczesnego, „życia Kainów”, jak je nazywa. Melancholia głęboka panuje w dalszych wierszach lirycznych („Wybiegła dusza”, „W jesieni”) i przechodzi następnie w gniewny wybuch niewiary i pożądania nicości („Nie wierzę w nic...”) Ten ostatni motyw często powtarza się w liryce p. Tetmajera, a zawsze czyni wrażenie, jakby był wynikiem podrażnienia chwilowego, które poeta sam w sobie pobudza, jak się to często zdarza u ludzi niecierpliwych, zdenerwowanych lub rozkapryszonych. Obok tego występują inne motywy, żywo zawsze odczute i z wielkim wyrażone artyzmem. W wierszu p. t. „Czardasz” mamy przedziwnie silny, chwilami porywający wyraz bujnego użycia, przenikniętego nutą rzewnej tęskno-ty. W wierszach: „Rozmowa”, „W nocy” i w kilku innych przejmująco oddane zostały jakieś pozaświatowe wzloty i pragnienia duszy niewierzącej. Najpiękniejszy może w całym zbiorze wiersz p. t. „Orzeł” pełen jest pożądania silnych i wzniosłych wrażeń. Cykl wierszy miłosnych wraz z obszerniejszą „Fantazyą” zawiera dużo wrażeń i dużo pięknych obrazów przyrody.

Oprócz utworów czysto lirycznych znajdujemy w zbiorze p. Tetmajera kilka rzeczy liryczno-epickich, jak fragment poematu „Śmierć Janosika”, piękne ballady o „Pannie młodej” i o „Renie”, oraz najobszerniejszy utwór p. t. „Nowina”, którego nie można chyba brać za wyraz głębszych przekonań poety. Mamy tu bardzo zresztą piękny obraz młodzieńca hebrajskiego, który zachwyca się cudami letniego wieczoru, rozmyśla o srogim Jehowie i postanawia „stworzyć” tej pięknej ziemi „nowego Boga”, pełnego dobroci i miłości. Ma to być poetyckie zobrazowanie budzącej się w duszy Zbawiciela „dobrej nowiny” chrześcijańskiej. Ale, powtarzam, czyż można brać je na seryo? Jakto? przywidzenie poetyckie rozmarzonego pięknością letniego wieczoru młodzieniaszka ma być źródłem największego przewrotu duchowego, jaki się dokonał w dziejach cywilizowanej ludzkości? Pominąwszy kwestyę wierzeń i przekonań religijnych, czyż można w sposób płytszy, zakrawający niemal na żart, pojąć początek chrześcijaństwa? Szkoda blasków fantazyi i uroków artyzmu dla przyozdobienia myśli tak płytkiej i tak błahej.

III.

Ten utwór p. Tetmajera nader jest charakterystyczny, jako odbicie poetyckie budzących się tak żywo w duszach dzisiejszych ludzi na tle wątpiącej myśli pragnień idealnych i tęsknot religijnych.

Ale jak nieokreślone i mgliste są ideały, ku którym zwracają się te pragnienia, jak słabe i chaotyczne są przebłyski wiary, z których wynikają te tęsknoty! Świadczą też o tem wymownie „Poezye” p. Żuławskiego, w których te porywy duchowe donioślejsze posiadają znaczenie i więcej zajmują miejsca, aniżeli u autora „Nowiny”.

Poezye owe nawskroś są refleksyjne, przeniknięte dążnością filozoficzną. Jeżeli p. Tetmajera spotykały zarzuty, że nazbyt wyłącznie sobą się zajmuje w poezyi, to p. Żuławski zarzutom tym podlegać nie może. Twórczość jego jest bezosobista, zwrócona ku celom ogólno-ludzkim, oderwana od otaczającej poetę rzeczywistości życiowej. Nie powiem jednak, aby to jej wyszło na pożytek. P. Tetmajer we wspomnianej przedmowie słusznie zauważył, że poeci najbardziej egotyczni, jak np. Byron lub Heine, najsilniejszy zawsze wpływ wywierali. Jest to zjawisko naturalne. Poezya winna być odbiciem całej istoty wewnętrznej człowieka; na tem głównie polega siła jej działania. Nie chodzi o to, ile jest treści ogólnoludzkiej w danej poezyi, lecz ile jej jest w osobie samego poety, w jego uczuciach, dążeniach i czynach. Owóż poeci, wyrażający oderwane idee wszechludzkie, rzadko kiedy zdołali je zamienić na osobistą własność, przetworzyć je, że tak powiem, w krew własnej swej duszy, tryskającą strumieniem żywych, samorodnych natchnień. Nie można powiedzieć, aby ta żywa krew poetycka płynęła zawsze w utworach p. Żuławskiego. Niekiedy tylko zabarwia je ona wyraźnie; częściej jednak daje się w nich dostrzedz blada, bezkrwista abstrakcya, strojna czarami i urokami poezyi. Bo p. Żuławski jest niepospolitym mistrzem formy poetyckiej i potężnym władcą słowa. Wyraża on zawsze prawie swe idee w sposób piękny, silny, dosadny, tylko nie zawsze umie wlać życie w abstrakcyjną ich treść i wycisnąć na nich znamię odrębnej swej indywidualności. Podczas gdy p. Tetmajer czerpie zawsze z siebie, p. Żuławski, jak sądzę, chwyta niekiedy w lot idee, krążące w atmosferze duchowej, i daje im dość abstrakcyjny wyraz w poezyi. To też jest on bliższy specyficznie modernistycznego kierunku i jest jednym z najwymowniejszych jego rzeczników. Zresztą p. Żuławski należy do najmłodszego pokolenia, nie dziw przeto, że przejmuje się najnowszemi ideami poetyckimi, których nie miał może jeszcze czasu przyswoić sobie należycie. Idee te w swym polocie ku górnym, nadziemskim dziedzinom bytu występują, jak wiadomo, zawsze u naszych modernistów na tle bardzo pesymistycznego nastroju duszy. Niebrak tego tła w poezyi p. Żuławskiego. Widnieje ono wy-

raźnie w wierszu p. t. „Introibo", w którym panuje beznadziejny pesymizm w poglądzie poety nie tylko na współczesny stan świata ludzkiego i jego przyszłość, lecz także na najwyższą zasadę jego bytu, zjawiającą się tu poecie w postaci straszliwego Jehowy starohebrajskiego, ziejącego dziką żądzą zagłady.

W następnych wierszach rozwija poeta swoje idee pesymistyczne o życiu ludzkiem. Wysnuwa je z głębokiej metafizyki staroindyjskiej Jadżurwedy lub z potężnego wyobrażenia helleńskiej Ananke, wyraża je we fragmentach lirycznych, głoszących bezmiar nędzy życiowej, i w pełnym grozy obrazie sądu ostatecznego („Dies irae"). Pesymistyczny ton przenika też pięć sonetów p. t. „Jungfrau", zawierających wspaniałe obrazy górskiej przyrody, oraz cykl opowieści lirycznych, wysnutych z Talmudu żydowskiego. Nieco pogodniejszy nastrój panuje w fantastycznej scenie poetyckiej „Narodzenie Psychy" (mającej stanowić wstęp do fantazyi „Eros i Psyche") oraz w dyalogowym ustępie z poematu „Nad morzem", w którym poeta daje wyraz idealistycznym swym aspiracyom w ich przeciwieństwie do trzeźwo-pozytywistycznego poglądu na świat. Idealizmem przeniknięte są też dwa większe poematy liryczne, wysnute z motywu staroindyjskiego „Lotos", symboliczno-mistyczno-mglista apoteoza duszy wszechświata, oraz ponuro-fantastyczny „Lucyfer", wysławiający zbuntowanego przeciw Bogu anioła, jako zgnębionego przez tyranię niebios ducha wolności, światła i duszy szlachetnej.

We wszystkich tych utworach p. Żuławski okazuje się poetą-myślicielem, pełnym górnych pragnień, idealnych porywów, o bardzo niejasnych i nieokreślonych pojęciach i uczuciach. Szukając zaspokojenia swych pragnień mistyczno-idealistycznych, zwraca się on do różnych źródeł: staro-hebrajskich, staro-indyjskich, staro-greckich, tylko nigdy mu nie przyjdzie na myśl zwrócić się do źródeł chrześcijańskich, z których poczęła się jednak cała nasza nowożytna kultura duchowa w swej najżywotniejszej treści. Byłoby to przecież zbyt proste, zbyt naturalne na prawego modernistę zaspakajać pragnienie duszy w dostępnych wszystkim czystych i zdrowych strumieniach prawdy duchowej. Modernistyczny arystokrata intellektualny nie może się napawać takiem pospolitym napojem, on potrzebuje jakichś napojów nadzwyczajnych, egzotycznych, choćby miał w nich znaleźć chorobę zamiast zdrowia. Tak każe przerafinowany intellektualizm naszych czasów, a często tylko panująca moda literacka. Na czele zbioru swych poezyi p. Żuławski położył motto z „Irydyona": „Już się ma pod koniec starożytnemu

świata". Słowa te dają się zastosować i do nowożytnego, współczesnego świata, w którego życiu duchowem (jak o tem wymownie świadczy współczesna nasza poezya) panuje chaos idei, uczuć, pragnień i dążeń, przypominający żywo schyłkową epokę starożytności klasycznej. Niedarmo też Krasiński w „Nieboskiej komedyi" przepowiada nieuchronną zagładę całej naszej rozerwanej wewnętrznie kultury w potopie powszechnego zamętu, ponad którym wzniesie się jedynie niespożyta i wiecznotrwała prawda duchowa chrześcijaństwa.

IV.

Jednym z objawów zamętu i rozstroju współczesnej duszy w najnowszych prądach poetyckich jest dziwna mieszanina wybujałego idealizmu i zmysłowości wyuzdanej, jakiejś mistyczno-marzycielskiej zmysłowości, pełnej żarów namiętnych, dreszczów lubieżnych i tajemniczej zgrozy.

Dość charakterystyczny, choć niezbyt silny, a bardzo sztuczny i retoryczny wyraz takiego nastroju znajdujemy w zbiorze poezyi p. Lewandowskiego. Tytuł zbioru, „Lais", pochodzi od umieszczonego na czele dyalogu lirycznego, w którym bardzo wymowny młodzian zdobywa względy pięknej Lais sztuczną i wymuszoną retoryką zmysłowo-namiętną. Z wyjątkiem kilku zaledwie wierszy zmysłowość erotyczna wszechwładnie panuje w liryce p. Lewandowskiego, który dla wyrażenia jej posługuje się zawsze niezmiernie wymanierowaną i napuszystą frazeologią. Oto mała próbka:

Symfonia gąbek nabożnemi usty
Rosę kąpieli spije z twego ciała.

Możnaby przytoczyć wiele jeszcze takich kwiatów stylu, służących nieraz do przyozdobienia myśli bardzo pospolitych lub też do pokrycia zupełnego braku myśli. Wogóle jest to poezya czysto frazeologiczna. Co chwila z nużącą jednostajnością wspominane w niej są kobiece oczy, usta, włosy, ramiona nagie, uściski namiętne i pocałunki ogniste, ale, pominąwszy już błahość i poziomość wszystkich tych uniesień, jak mało w nich prawdziwego ognia i prawdziwej namiętności, jak wiele natomiast ogni sztucznych i sztucznie przybranej ekspresyi namiętnej! Taki charakter zasadniczy posiadają wszystkie, mniejsze i większe, utwory p. Lewando-

wskiego. We wszystkich pesymizm ze zmysłowością do pary wyprawiają jakieś szalone harce frazeologiczne. Mniej zmysłowy i pesymistyczny, ale nie mniej retoryczny jest najobszerniejszy z tych utworów poemat liryczny „Karnet”, opiewający powaby jakiejś piękności balowej, wzbudzającej zachwyty poety. Wylewają się one powodzią szumnych frazesów, w których niepodobna dosłuchać się odgłosu uczucia, ani dopatrzyć wyraźniejszych kształtów i zarysów, a często nawet... sensu. Zresztą ten ostatni czynnik poczytywany jest, jak wiadomo, za zupełnie zbyteczny przez niektórych poetów-modernistów. Do charakteru zaś takiego poety p. Lewandowski pretenduje widocznie nie tylko przez wymuszoną swą egzaltacyę, sztuczną nastrojowość i mglisto-symboliczne obrazowanie, lecz także przez niezwykłe formy stylu i wersyfikacyi, mające być bezpośredniem odbiciem jakichś nadzwyczajnych stanów duszy, a w istocie rzeczy będące tylko objawem nadzwyczaj sztucznie lub chorobliwie podnieconej fantazyi.

Podobne, nieco sztuczne podniecenie fantazyi, występujące wszakże na tle daleko szerszych nastrojów uczuciowych, spotykamy w niewielkim zbiorku utworów lirycznych pana Słońskiego, które trzymane są całkowicie w charakterze modernistycznym. Jest to cykl poetycki, odtwarzający w szeregu obrazów symboliczno-nastrojowych kilka bardzo smutnych, tęsknych lub ponurych stanów duszy. Ból, melancholia, cisza, żal, śmierć — oto tematy i tytuły poszczególnych fragmentów cyklu, którego epilog stanowi sonet, rzucający złowrogie przekleństwo na życie ludzkie i wszystkie jego sprawy. Osnowa całego cyklu przenikniętą jest owym pesymizmem zniechęcenia i rozgoryczenia nerwowego, który zaznaczyłem powyżej, jako rys znamienny wielu najmłodszych naszych poetów, a forma poetycka, służąca do oddania tego nastroju, odznacza się rytmiką oryginalną, urozmaiconą i miejscami bardzo wyrazistą oraz bogactwem obrazów symbolicznych o zarysach dziwacznych i barwach jaskrawych, będących więcej objawem wybujałej fantazyi, aniżeli naturalnej ekspresyi uczucia. Niektóre stany uczuciowe, jak melancholia, żal, oddane są wprawdzie wiernie i plastycznie w obrazowaniu poetyckiem p. Słońskiego, ale w obrazie bólu pusta fantastyka bardzo przemaga. Poeta posługuje się tu symboliką barw. Barwy jaskrawe i gorące: czerwona, żółta, purpurowa mają tu uprzytomniać ostre, intensywne, piekące działanie bólu.

Sama postać bólu przedstawia mu się, niby „jakieś cielsko ogromne w purpurowej todze z koroną na głowie i z berłem w ręku, ślizgające się po gzemsach kolumn pod mrocznem sklepieniem kościo-

ła ponad tłumem ludzi strwożonych, wijących się w męce". Nieco dalej widzimy, jak „potężny władca ból" na żółtym wozie, ciągnionym przez czarnego rumaka, pędzi z brzękiem i hukiem przez martwe pola, roztrącając wichry i kurzu tumany. Przykłady te nader charakterystycznie uprzytamniają nam pewną stronę twórczości ogółu naszych poetów-modernistów, którzy, unoszeni przez rozpęd swej fantazyi lub też sztucznie podniecając w sobie jaknajdziwaczniejsze jej wybryki, snują z niej obrazy symboliczne i allegoryczne, mające odpowiadać pewnym stanom i nastrojom duszy; niekiedy odpowiadają one im zrazu istotnie, ale w dalszem swem rozwinięciu zamieniają się na jakąś igraszkę imaginacyjną, dowolną kombinacyę barw, zarysów i kształtów, bez treści i znaczenia. Jest to jedna z najujemniejszych stron poezyi współczesnej, świadcząca wymownie o braku równowagi duchowej u jej przedstawicieli najmłodszych oraz o braku żywotnego wątku uczucia i myśli w ich natchnieniach twórczych.

Berdzo rozbujała, bardzo sztuczna i bardzo beztreściwa fantastyka panuje wszechwładnie w utworach poetyckich p. Komornickiej, którym możnaby nadać ogólny tytuł „Wiele hałasu o nic". Hałasu w nich istotnie dużo. Szumią w nich słowa, kłębią i przeważają się z łoskotem frazesy, ale wśród tej wrzawy niepodobna dosłuchać się wyraźnych i szczerych odgłosów myśli lub uczucia. O ile zaś jakieś zmącone ich echa uderzą nasz słuch, dźwięczą one zawsze tak fantastycznie, a huczą tak gwałtownie, jak gdyby fantazya była jedynem ich źródłem, a wewnętrzna pustka duszy jedynem ich środowiskiem. Istotnie u p. Komornickiej odwrócony zostaje naturalny porządek twórczości. Fantazya nie służy do przyobleczenia i uplastycznienia treści, idei i uczuć, lecz odwrotnie—treść ta zdaje się wynikać z fantazyi, i to nie zawsze pono z rozwijających się w niej obrazów, często tylko ze słów szumno-brzmiących, które się w niej rozlegają. Dawno już zauważył Mefistofeles w „Fauście" Goethego: „*Denn eben wo Begriffe fehlen, Da stellt ein Wort zur rechten Zeit sich ein*".

Ta sarkastyczna rada szerokie znajduje zastosowanie w literaturze współczesnej. Przyczyna tego jasna: słów mamy poddostatkiem, bo nam je przekazali wielcy mistrze mowy z czasów dawniejszych, idei świeżych brak nam wielce, bo te sami musimy wytworzyć, a na to nie bardzo nas stać obecnie. Nie znajdujemy ich też wiele (powiedziałbym niemal, nie znajdujemy ich wcale) w poezyach p. Komornickiej. Są to rzeczy, pisane prozą poetycką przeważnie w stylu biblijnym: dwa opowiadania fantastyczno-symboliczne (czyli

baśnie, jak je nazwała autorka) p. t. „O ojcu i córce" i „Andronice" oraz trzy pieśni liryczne w formie psalmów religijnych: „Do Pana", „Kona Pan" i „Tęsknota", Pierwsza z wymienionych baśni wygląda na halucynacyę gorączkową, tak jest beztreściwa i chaotyczna, druga, osnuta na pomieszanych motywach staro-greckich i staro-hebrajskich, będąca miejscami parafrazą biblijnego Eklezyasty, zawiera apoteozę namiętności płciowej, pojętej w duchu czysto modernistycznym, jako potęga mistyczno-demoniczno-krwiożerczo-śmiertelna, wcielona w istocie kobiecej. Kulminacyjnym punktem pomysłowości autorki, sięgającym daleko poza granicę, która wzniosłość od śmieszności oddziela, jest ustęp opowieści, przedstawiający, jak potężny, mądry i wspaniały król Gynajkofilos w chęci pozyskania względów pięknej i demonicznie okrutnej Andronice, niby pies, chodzi na czworakach, wodzony przez nią na łańcuszku. Symbolika, przenikająca osnowę „baśni" p. Komornickiej, panuje też wszechwładnie w jej „Psalmodyi", która także nie odznacza się bogactwem myśli i może wzbudzać liczne powątpiewania co do szczerości i prawdy wyrażonych w niej uczuć, ale zasobna jest bardzo w pomysły i wybryki rozbujałej fantazyi, która szczególnie w zakończeniu ostatniego utworu, podniecona widocznie własnym rozpędem, wpada w jakiś szał frenetyczny, stanowiący odpowiedni finał szalonych harców, jakie wyprawia w całej osnowie poezyi p. Komornickiej.

V.

Rozważone powyżej zbiory utworów poetyckich w mniejszym lub większym stopniu należą do kierunku modernistycznego, t. j. do kierunku, usiłującego stworzyć w niej nowe formy wyrazowe, a poczęści też wlać w nią nową treść uczucia i myśli. Pozostały nam jeszcze do rozważenia nierównie liczniejsze, ale mniej, co prawda, interesujące zbiory poezyi lirycznych, przeniknięte przeważnie duchem dawnych mistrzów. Autorowie tych zbiorów niekoniecznie należą do starszego pokolenia poetów, owszem, są między nimi młodzi, a nawet najmłodsi, nie przyłączający się jednak do modernistów.

Wpośród tych, których można zaliczyć do starszych, postawimy tu na pierwszem miejscu p. Gomulickiego. Jego „Wybór wierszy" nie odznacza się wysokim polotem natchnienia ani szczególnym artyzmem, ale ma dużo naturalnej szczerości i prostoty, przymiotów, od których odzwyczaiła już nas twórczość najmłodszych naszych poetów, ukazujących nam wybladłe, zdenerwowane swe oblicza,

o gwałtownych wykrzywieniach i kontorsyach, świadczących bądź to o istotnym niepokoju i zamąceniu dusz, bądź też o rozmyślnej chęci wzbudzenia podziwu przez możliwie największą niezwykłość wyrazu i nastroju poetyckiego. Takie niepokoje i takie chęci obce są p. Gomulickiemu, który niezawsze szczęśliwie wybiera swoje tematy i niezawsze umie je poetycznie ukształtować, ale zawsze wyraża je poprostu, szczerze, naturalnie i daje nam poznać duszę, wrażliwą na różne oddziaływania życia, choć niezbyt zawiłą, ani nawet bardzo złożoną, ani tem mniej przeczuloną, a dzięki temu mającą w sobie dużo spokoju i miary. Zresztą nie wszystkie utwory, wchodzące w skład „Wyboru wierszy", w jednakim stopniu odpowiadają usposobieniu psychicznemu autora i naturze jego uzdolnień twórczych. Podzielił je poeta na dziewięć części, różniące się treścią i nastrojem, a poprzedzone wierszem wstępnym „Gdzie piękno?", który określa wzniosłe zadania twórczości poetyckiej.

Wiersze części I-ej, czysto liryczne, wpadają najczęściej w ton nauczający. Część II, też przeważnie liryczna, odznacza się nastrojem pogodnym i zawiera utwory, mające dużo życia i naturalnego wdzięku, jak np. „Na Kanonii", utwór, trzymany w tonie żartobliwym; „Czary", „Chloe", pełne szczerego liryzmu, „Ekloga", dość konwencyonalna sielanka. W części III-ej mamy obrazki przeważnie z życia warszawskiego: humorystyczne, jak „W kamienicy pod okrętem", lub realistycznie eligijne i sentymentalne, jak „El mole rachim", obrazek z życia biednej klasy żydowskiej. Nie brak tu i utworów banalnych, jak: „Nastka", „Pogrzeb aktora", „Na huśtawce", „Na wodzie", lub wymanierowanych, jak „Warszawianka"; ale są też rzeczy, tak szczerze odczute i z osobistych wysnute wspomnień, jak „Moja rzeka". Część IV zawiera apoteozę Szekspira. Część V składa się z szeregu sonetów, opiewających uroki wiejskiego życia. W części VI-ej mamy przeważnie wyraz współczucia poety dla cierpiących i upośledzonych, wyraz zawsze serdeczny, a niekiedy silny, jak w wierszu „Na zgliszczach", napisanym w Grodnie 1885 r. po pamiętnym pożarze. Rzewny liryzm przenika utwory części VII-ej i VIII-ej. Szczególnie w tej ostatniej są rzeczy, głęboko odczute i niepospolicie piękne, jak „Pod ciosem", a nadewszystko „Uspokojenie", wiersz rzewny, harmonijny bardzo i pełen przejmującego smutku. Piękna jest też i wymowna w swej prostocie „Modlitwa". Część IX różni się od poprzednich, gdyż zawiera tylko dwa fragmenty z większych utworów poety; z „Pieśni o Gdańsku" i z „Bajki o szklanej górze".

„Pieśń o Gdańsku" ogłoszona została w oddzielnem wydaniu.

Jest to poemat humorystyczno-liryczno-opisowy, w którym autor na wzór „Podróży na Wschód" Słowackiego, w zwrotkach sześciowierszowych kreśli swe wrażenia z pobytu w Gdańsku, z kapryśną dowolnością przeskakując z przedmiotu na przedmiot, wtrącając w osnowę zwroty żartobliwe lub uczuciowo-liryczne oraz refleksye i spostrzeżenia, nie mające często żadnego związku z głównym tematem. Niewątpliwie p. Gomulicki włada biegle językiem i rymem, wszelako nie posiada ani dosyć polotu, ani dosyć artyzmu, aby ze swobodą i wdziękiem poruszać się w eterycznych sferach tego rodzaju humorystyki poetyckiej. Poeci nasi nieraz próbowali przyswoić sobie aryostyczną gracyę i bajronowski sarkazm podmiotowy, którymi tak potężnie zawładnął autor „Beniowskiego"; próby te po większzj części nie udały się. I „Pieśń o Gdańsku" nie może być uznana za próbę zupełnie udaną. Jej żartobliwa humorystyka często pozbawiona jest gustu, jej zwroty, skoki i kaprysy stylistyczne często bywają wymuszone i niezręczne. Oczywiście nie brak też ustępów udatnych. Niewiele ich znajdziemy w dwu pierwszych częściach, kreślących wrażenia po przybyciu do miasta i wspomnienia, z niem związane; za to w części III-ej opis wspaniałej Fary gdańskiej, a szczególniej zawarte w nim ustępy o posągu Lutra i o obrazie sądu ostatecznego Memlinga odznaczają się żywością i prawdą. W części IV szkicuje poeta charakterystykę Gdańszczan, a osobliwie pięknych cór Gdańska. Część V daje nam wrażenia z Copotów i z Kaszub. Nie brak tu ustępów, przesiąkniętych liryzmem, który unosi poetę daleko poza granice jego przedmiotu i wybucha protestem przeciw współczesnej krytyce i czytającej publiczności polskiej, która jakoby poza Mickiewiczem nic nie uznaje w poezyi i „przed tem jednem klęczy wciąż bożyszczem". O ile taki zarzut jest niesłuszny, dowodzą choćby hołdy, składane obecnie Sienkiewiczowi; a trudno wymagać od krytyki i publiczności, aby klękały przed każdym talentem lub talencikiem, któremuby się podobało wstąpić na piedestał i domagać się hołdów. Ostatnia część poematu, zawierająca również wspomnienia z przeszłości Gdańska i zwroty liryczne, należy do udatniejszych ustępów całości.

P. Gomulicki, ogłaszając wybór swych poezyi, różnymi czasy powstałych, przypomniał i uprzytomnił czytelnikom główne rysy znanej im już oddawna swej indywidualności twórczej; p. Leo Belmont daje się dopiero poznać ogółowi w dwutomowym zbiorze utworów lirycznych, które, jak się dowiadujemy z przedmowy, napisane zostały w ciągu dwudziestoletniego blizko okresu czasu, począwszy od bardzo wczesnej młodości poety. P. Belmont nie jest

wprawdzie nowicyuszem na polu literackiem, ale dotąd występował przeważnie, jako prozaik-publicysta; niewielka tylko ilość jego utworów poetyckich drukowana była dawniej w czasopismach. Obecnie pragnie on dać pewien całokształt swej twórczości, występuje przed czytelnikami, jak sam mówi, ze szczerą i zupełną spowiedzią poetycką. Dlatego też, jakkolwiek w tytule nazwał zbiór swych utworów wyborem poezyi, jednak uprzedza, że wybór ten nie jest ścisły, gdyż nie wyklucza wielu płodów niedojrzałych, uznanych za potrzebne dla uzupełnienia fizyognomii duchowej autora.

Temu przypisać należy, że „Wybór poezyi" tak znaczne przybrał rozmiary. Czy nie nazbyt znaczne? Czy wielu utworów nie dałoby się usunąć bez szkody, a może nawet z pożytkiem dla „fizyonomii duchowej autora", która pozbyłaby się wtedy pewnych rysów, mało mówiących lub nic zgoła nie mówiących, a bardzo szeroko rozprowadzonych, powiedziałbym: rozmazanych i w tem rozmazaniu swem zacierających wyrazistość zarysów głównych. Zwięzłość jest konieczną zaletą dobrego rysunku, warunkiem jego jasności i dosadnej plastyki. Owóż nie można powiedzieć, aby „fizyognomia duchowa" p. Belmonta zwięźle została zarysowana w jego poezyi. Wielomówność ta, tak powszechna wada dzisiejszych poetów, dotkliwie daje się uczuć w utworach p. Belmonta. Nie można wprawdzie powiedzieć, aby grzeszył on szumnobrzmiącą frazeologią, owszem — wyraża zazwyczaj swe myśli prosto i naturalnie, ale do wyrażenia ich za wiele słów używa i do tego często słów pospolitych, a jeszcze częściej prozaicznych. Prozaiczność — oto druga ujemna strona „Rymów i rytmów". Z połączenia zaś tych dwu usterek wynika trzecia: brak treści żywotnej, świeżej i zajmującej, nadmiar spowszedniałych ogólników. Oczywiście obok tych stron ujemnych są też dodatnie, a te i tamte w bardzo nierównej mierze występują w poszczególnych utworach zależnie od tego, o ile osnowa ich odpowiada usposobieniu i uzdolnieniom poety. Rozdzielone one zostały aż na szesnaście cyklów o różnych rozmiarach i rozmaitej treści. Szczególnie w tomie 1 panuje rozmaitość przedmiotów i nastrojów... A więc mamy tu poezye refleksyjne, dalej obrazy natury, szkice i obrazki z życia, utwory satyryczne, humorystyczne i żartobliwe, wreszcie lirykę uczuciową, mniej lub więcej przesiąkniętą refleksyą. Wogóle refleksyjność stanowi główny żywioł poezyi p. Belmonta; tam, gdzie ona występuje samoistnie na tle ironicznej, sarkastycznej i sceptycznej obserwacyi życiowej, poeta zdobywa się na utwory nader udatne, jak np. wcyklu III-ym: „Sawantka", „Uczuciowa", „Nauczyciel", „Nie-kobieciarz", „Mój wizerunek", „Anielka". Utwory te odzna-

czają się też niezwykłą u p. Belmonta zaletą zwięzłości. Wiersz „Mój wizerunek” przeniknięty jest ostrą samoironią, która dosadniej jeszcze zaznacza się w innych utworach z przymieszką wygórowanego sceptycyzmu, przechodzącego niekiedy w przykry, cyniczny sarkazm. Objawy te występują na tle pesymistycznego nastroju duszy, który nie wypowiada się krzykliwie ani pretensyonalnie, jak u wielu modernistów współczesnych, lecz tem szczerszy i głębszy być się zdaje i wynika pono z wielkiego braku wiary oraz nieodłącznych od niej wyższych pragnień duchowych. Wprawdzie takie pragnienia wyrażone są w wielu utworach p. Belmonta, ale polot ich zwrócony jest ku tak ogólnikowym ideałom, iż nikogo chyba porwać nie zdołają. Wogóle czysto liryczne natchnienie niezbyt dopisuje autorowi. W tomie 1-ym jest ono dość rzadkim objawem, ale ma kilka chwil szczęśliwych w piosnkach i fragmentach cyklu IV („Na strunach arfy”); za to w tomie 2 rozpościera się ono szeroko w bardzo czułej i roztkliwionej liryce miłosnej, tworzącej jeden wielki cykl, podzielony na kilka części, odpowiadających różnym fazom rozkwitających sentymentów. Jest tu dużo naśladownictwa Heinego i dużo oryginalnych, ale monotonnych, bezbarwnych i rozwlekłych nad sobą i nad swem uczuciem roztkliwień. Oprócz tego w tomie 2 znajduje się wiele jeszcze wierszy miłosnych, cykl refleksyjnych epigramatów i urywków, ułożonych w heksametrach, kilka fragmentów liryczno-refleksyjnych i kilka niezbyt udatnych utworów opowiadających. Jeden z nich jednak wyróżnia się korzystnie, jako bardzo szczęśliwa przeróbka wierszowana ustępu z „Pana Wołodyjowskiego” Sienkiewicza. Wogóle poezya p. Belmonta wydaje mi się dość typowym i bardzo szczerym wyrazem tak powszechnego dziś obniżenia i zaniku wszelkich wyższych wierzeń, pragnień i dążności. Stąd przenikające ją uczucia zwątpienia i pesymizmu, różne wielce od wszelkich nastrojów, wybuchów lub kaprysów pesymistycznych, z którymi tak lubią się popisywać rzecznicy modernizmu poetyckiego. W wyrażeniu tych uczuć jest ona szczera, prosta i naturalna, ale bez wyższego polotu i wykwintniejszego artyzmu. Forma jej zewnętrzna świadczy, iż poeta włada biegle (często jednak niezbyt udatnie, a częściej jeszcze bez gustu) językiem, rymem i rytmem, posiada do swego rozporządzenia wiele (nazbyt wiele) słów, a bardzo mało obrazów i tonów uczucia. Fantazya nie jest jego dziedziną, ani uczucie nie stanowi silnej jego strony. Dlatego też wszelkie obrazowanie poetyckie w odtwarzaniu przyrody nie udaje mu się zazwyczaj, a czysta liryka brzmi u niego słabo i bezdźwięcznie: natomiast rzeczy refleksyjne z mniejszą lub większą

przymieszką liryzmu lub humorystyki, o ile nie są zaniedbane w formie lub zbanalizowane w treści, bardzo niekiedy bywają udatne.

Nastrój bardzo smutny i pesymistyczny przemaga też w zbiorku utworów lirycznych p. Rostkowskiego, ale tym razem jest on aż nadto usprawiedliwiony, jako wynik istotnej i wyjątkowo ciężkiej niedoli życia, o której powiadamia nas w przedmowie przyjaciel poety, p. Bukowiński. Dowiadujemy się od niego, iż zawarte w zbiorku utwory są to pierwsze próby poetyckie wstępującego zaledwie w świat młodzieńca, który następnie przestał pisać zupełnie wskutek ubezwładniającej go straszliwej choroby dziedzicznej.

Autor przedmowy nie przecenia wcale wartości tych utworów, zaznacza niedostateczne wyrobienie ich artystyczne, podnosi tylko prawdę i szczerość wyrażonych w nich uczuć. Zresztą usterki artystyczne młodego poety są względne. Nie ma on świetnej formy, ale włada biegle językiem i stylem poetyckim, a często zdobywa się na siłę wyrazu i harmonię wiersza. Głównym brakiem jego pieśni jest pewna ogólnikowość w sposobie wyrażania uczucia i myśli, ale jest to wada, bardzo zwykła u młodych liryków. W pieśniach p. Rostkowskiego widać stopniowy smutny postęp od tonów jasnych, ogrzanych zapałem, rozpromienionych nadzieją do coraz posępniejszych. W pierwszych pieśniach dużo młodzieńczych uniesień i wzlotów idealnych, które szczególnie w wierszu p. t. „Naprzód!”, osnutym na motywie z Mickiewiczowskiej Ody do młodości, wyrażają się w słowach zwięzłych i silnych. Zwięzłość właściwa jest innym utworom p. Rostkowskiego i stanowi niewątpliwie jedną z głównych ich zalet, jak np. w krótkim, ale pełnym treści szkicu z „dysonansów życia” p. t. „Helena”. W dalszych pieśniach jest nieco smutnych i dość ogólnikowych wierszy miłosnych oraz dużo tęsknych zwrotów ku szczęśliwym wspomnieniom przeszłości, dużo pragnień przyszłego szczęścia i przeczuć przyszłej niedoli. Następnie mamy krótki, z dwu fragmentów złożony poemacik „Dwie noce”, rozwinięty na tle bardzo nieokreślonej i niewyraźnej sytuacyi, i wreszcie w ostatniej części zbioru szereg pieśni, zawierających coraz więcej smutku, rozczarowań i goryczy, wyrażonych, jak wszystkie poprzednie stany uczuciowe, ogólnikowo i abstrakcyjnie.

Abstrakcyjność uczucia i myśli w wyższym jeszcze stopniu daje się widzieć w liryce innego młodego poety, p. Mieczysława Glińskiego. Osnowa jego utworów lirycznych tak jest oderwana od rzeczywistości nie tylko wrażeń zmysłowych, zjawisk i kształtów ziemskich, ale także uczuć konkretnych i wogóle określonych stanów duszy, iż czytelnik nie może sobie zdać sprawy z tego, co ma

widzieć, co ma czuć, a czasem nawet z tego, o czem ma myśleć. Zdaje się, iż poeta obrał sobie stałą siedzibę w podobłocznych sferach „wyżej lasów szumiących, niżej chmur pływających”, jak mówi baśń ludowa, i stamtąd widzi ziemię w zarysach ogólnikowych, mglistych, rozwiewnych oraz słyszy dalekie, słabe, ginące w przestworzu echa wiekuistego rozgwaru dążeń i cierpień ludzkich. Przyznać trzeba, że widzenia te niekiedy piękne są prawdziwie i echa owe brzmią dźwięcznie, harmonijnie, ale cóż, kiedy to wszystko tak nieuchwytne! Czasem zdaje się nam, że widzimy jakiś obraz lub przynajmniej wyraźniejszy zarys obrazu, albo też że słyszymy jakiś określony dźwięk i ton, aż tu nagle, niewiedzieć skąd, nadlatuje powiew myśli oderwanej i rozwiewa w puch wszelkie obrazy, zarysy i dźwięki. W poezyach p. M. Glińskiego dużo miejsca zajmuje przyroda, ale, oczywiście, wobec określonego wyżej ich charakteru nie może być mowy o plastycznem zobrazowaniu jej zjawisk i kształtów; są to tylko różne nastroje odbieranych od niej wrażeń, ale i te dźwięczą zazwyczaj w tonach ogólnikowych, a przytem dość jednostajnych w natężeniu i barwie. Dwie pierwsze zaraz pieśni zbioru: „Żeglarze” i „W błękicie” napełnione są bardzo oderwaną, allegoryczną treścią. Takiż sam charakter posiadają sonety p. t. „Nastroje”, „Wiosno ty, wiosno!” „Żegnajcie, witaj”. Krótki poemacik „Zima” zawiera też ogólnikowy obraz przyrody, ale poetycznie, silnie, a miejscami nawet żywo i plastycznie zarysowany. Z pozostałych utworów godne jeszcze uwagi: „Fantazya górska”, mająca dużo poezyi w pomyśle, a niedość plastyki w obrazowaniu; „Czy lepiej”? z bardzo piękną pierwszą zwrotką, której myśl słabo rozwinięta jest w następnych; „Bóg jeden od końca do końca”, wiersz nader rytmiczny i nastrojowy; „Palma”, „Zgryzota”, „Książę potępionych”, utwory, wyróżniające się korzystnie jasnością myśli i obrazowania; „W poszukiwaniu”, rzecz niejasna, ale pełna poezyi nastrojowej, harmonijna wielce i rytmiczna; wreszcie „Dramat w przyrodzie”, „Ruiny” i Potok”, mające dużo siły wyrazowej w rytmice i nastroju. Forma artystyczna tych utworów dużo posiada zalet. Język poprawny, czysty i piękny; wiersz, rytmiczny i harmonijny, pomimo napełniającej go oderwanej treści utrzymany jest zwykle w tonie prowdziwie poetyckim, z rzadka tylko zatrącającym prozaicznością. Przy takich zaletach p. M. Gliński mógłby tworzyć rzeczy poetyczne wysokiej wartości, gdyby jaśniej myślał o życiu, wyraźniej widział jego zjawiska realne i silniej je odczuwał.

Wśród pozostałych płodów liryki ostatniej doby kilka jeszcze mamy rzeczy, przenikniętych widocznie bardzo młodocianym du-

chem. Zatrzymam się tu chwilę tylko nad dwoma poematami lirycznymi p. Krajewskiego i p. Zalewskiego. Utwór pierwszego z nich p. t. „Odrodzenie" jest to ułożony w strofach jedenastowierszowych poemat *à la* Słowacki o wybujałej fantazyi, śmiałych wzlotach i wirtuozowskich skokach stylowych, wśród których dusza poetycka, „hypogryfująca na wykrzykniku", rzuca na wszystkie strony słowami oburzenia, gniewu, sarkazmu i ironii. Bohater poematu, młodzieniec wymowny, cały nadziany ogólnikami i frazesami, rozmyśla melancholijnie, peroruje, dysputuje, wygłasza wiele szumnych haseł i idealnych aspiracyi, ubolewa nad obojętnością dla nich otaczającej go młodzieży, wreszcie zostaje zrozumiany i oceniony przez piękną dziewicę, zdobywa jej miłość, a w tej miłości osiąga uspokojenie swych porywów i odrodzenie swej duszy rozstrojonej. Taka jest osnowa poematu, będąca właściwie zlepkiem ogólników, w których dużo jest może zapału, ale mało treści.

Jeszcze bardziej ogólnikowy i pusty w treści, a mniej udatny w formie jest poemat p. Zalewskiego p. t. „Dziad", przez autora „baśnią liryczną" nazwany. Z baśni ma on tylko fantazyjną dowolność i mglistość, z jaką poeta przedstawia tu miłość dwojga bardzo eterycznych kochanków, rodzącą się na tle eterycznego krajobrazu, wobec jakiegoś eterycznego „dziada", który zjawia się na progu sielankowej pod lasem stojącej chaty, rozczula się widokiem kochanków, we łzach cały tonie i w żałosnych zatapia się wspomnieniach. Całość czyni wrażenie bardzo nieszczęśliwego naśladownictwa „Szwajcaryi" Słowackiego i razi wielką pretensyonalnością formy poetyckiej przy nader niedostatecznem wyrobieniu stylu i wersyfikacyi.

VI.

Wszystkie rozważone powyżej płody najnowszej naszej liryki odznaczają się wybujałą, choć zazwyczaj niezbyt wyrazistą ani plastyczną, fantazyą oraz uczuciowością, silnie podniecaną, sztucznie nieraz rozegzaltowaną i nastrojoną na ton smutny, ponury, rozpaczliwy, daleką zazwyczaj od rzeczywistego życia, a czasem zgoła od wszelkiej prawdy życiowej. W najbardziej typowych „modernistycznych" swych objawach liryka ta popisuje się nawet dość krzykliwie ze swym wstrętem do życia. Nie będę się tu rozwodził nad tem, o ile ten wygórowany pesymizm jest szczery; dotknąłem zresztą już tej sprawy we wstępie, tutaj zaznaczam jeszcze, że

w swem pesymistycznem zacietrzewieniu są nasi poeci dzisiejsi co najmniej bardzo jednostronni i żadną miarą nie mogą być poczytywani za typowych przedstawicieli jakiegoś szerszego ogółu. Wśród tego ogółu nie brak wprawdzie smutku, ale nie brak też wesołości, wprawdzie niezbyt ochoczej ani tem mniej wytwornej, ale silnie i stale ugruntowanej na uregulowanem doskonale filisterstwie życiowem, które nigdy może tyle, co za dni naszych, nie miało znaczenia. Filister dzisiejszy musi mieć dostarczoną swoją porcyę śmiechu i wesołości i to z taką samą regularnością, jak „Kuryerek" przy rannej kawie, jak wint wieczorny w oznaczone dni tygodnia. Znaczne zasoby takiej systematycznej wesołości, jakie tłumy wielkomiejskie czerpią codziennie z różnych źródeł, a osobliwie z grubego, płaskiego i trywialnego komizmu tak wszechwładnej dzisiaj operetki, zdają się świadczyć przeciw rozpowszechnionemu mniemaniu o przemagającym jakoby wśród dzisiejszego społeczeństwa nastroju pesymistycznym. Przypominam sobie, że czytałem przed paru laty traktat francuski przeciw pesymizmowi, napisany widocznie przez jakiegoś typowego moralistę-filistra (którego nazwisko wyszło mi z pamięci). Powoływał się on głównie w swej argumentacyi optymistycznej na ogromną obfitość owych zwykłych uciech, przyjemności i rozrywek, których nam dostarcza życie codzienne, a które tak niesłusznie lekceważymy w naszem pesymistycznem rozgoryczeniu. Inny typowy filister w wyższym tylko stylu, tak zwany przez Nitzschego „Bildungsphilister", Dawid Straus, nieco dawniej w swem słynnem dziele „Der alte und der neue Glaube" podobnymi argumentami zwalczał pesymizm współczesny.

Dlaczego mimo to wszystko poezya współczesna w większości swych objawów nic nie chce wiedzieć o wszelkim optymizmie życiowym i upiera się przy jaknajbardziej pesymistycznym poglądzie na świat i życie? Może ma do tego swoje powody, może wiedziona jest w tym względzie trafnym instynktem, który ją chroni od zupełnego znikczemnienia i spodlenia. Tutaj właśnie tkwi tragizm szczególny w losach poezyi współczesnej. Wyraża się on takim dylematem: albo poezya zbliży się do życia, przyswoi sobie jego prawdę realną, a razem z nią całą jego płaskość, pospolitość i trywialność, jak to uczyniły w znacznej mierze romans i dramat naszych czasów, albo też, pozostawiając tym sprozaiczonym swym rodzajom całą realność życia współczesnego, a odstępując jego wesołość i humor farsie, operetce i pisemkom brukowym, sama wzniesie się wysoko ponad pogodne jego poziomy w górne strefy „ulewy i grzmotu", a tam zachowa może swą godność lub jej pozory, lecz

często bardzo wraz ze swym nastrojem pogodnym utraci wszelką naturalność, szczerość, prawdziwość, stanie się sztuczną, wymuszoną, nadętą, w sobie zasklepioną i, jak mówił Krasiński o autorze „Beniowskiego", „w bańce własnych siedząc marzeń, jednym wciąż piać będzie głosem, tylko fantastycznie".

Czy współczesna nasza poezya, w znacznej przynajmniej części nie uległa takiemu losowi? Czy młodzi jej przedstawiciele nie zbliżyli się najwięcej do ubóstwianego swego mistrza, Słowackiego, właśnie w tej jego fantastyce samolubnej i sztucznie nieco wyegzaltowanej, którą zarzucał mu Krasiński? Wszelako raz jeszcze tu powtórzę — być może, że poezya dzisiejsza w tem dążeniu swojem do fantastycznego odosobnienia się od życia i jego prawdy realnej kierowała się trafnym instynktem samozachowawczym, — być może, iż w przeciwnym razie zostałaby zatopiona zupełnie w szarych, mętnych i, powiedzmy szczerze, mocno błotnistych falach pospolitej prozaiczności, zalewającej całą naszą współczesną rzeczywistość życiową.

Mogłaby wprawdzie owładnąć tym zalewem, wyjść z niego zwycięska i tryumfująca, ale na to potrzeba, aby się w niej zjawił jakiś nowy Dante, któryby uchwycił potężną dłonią swego geniuszu całą występną, grzeszną i zbrodniczą rzeczywistość ziemską, osądził ją z mocy zapisanych w swem sercu odwiecznych praw ducha i wzniósł się ponad mętne jej obszary w czyste, promienne, pełne uniesień radosnych dziedziny nadziemskiej, bożej rzeczywistości. W naszych czasach zwątpienia i zamętu duchowego skądże się ma zjawić taki zwycięski geniusz, silny wiarą i w jej imię zwalczający wszelką szkaradę i wszelką podłość życia? Dzisiejsi poeci niezdolni są do takich zwycięstw. Oni umieją tylko chronić się przed nędzą i pospolitością realnego życia w tęczach i chmurach własnej swej fantazyi i rzucać stamtąd bezsilne skargi złorzeczenia i przekleństwa. Nie umieją cieszyć się radością życia materyalnego, wysławianą dzisiaj przez mistrza naturalizmu Zolę, ani radością życia duchowego, ożywiającą wielu dawniejszych bohaterów i wieszczów ludzkości. Poezya naszych czasów, jeśli chce rozjaśnić jakim promykiem wesela panujące w niej mroki pesymistyczne, nieodzownie zwraca się do przeszłości. Jakże to znamienne, że kreacya, która w całej literaturze współczesnej najwięcej ma pogodnego humoru i szczerej wesołości — sienkiewiczowski Zagłoba, wyobraża typ dawno minionych i przebrzmiałych czasów!

Podobny nieco objaw, odmiennego tylko znaczenia i bez porównania mniejszej doniosłości, zaznaczyć można wśród płodów liry-

cznych ostatniej doby. Oto na zakończenie swego przeglądu zachowałem kilka zbiorów poetyckich, wyróżniających się nastrojem pogodnym i wesołym. Treść zawartych tu utworów wysnuta jest wprawdzie z wrażeń życia współczesnego, ale autorowie ich zdają sobie sprawę ze swego archaicznego w tem życiu stanowiska i zaznaczają je nawet dobitnie w tytułach swych poezyi.

„Na starych skrzypkach"— taki tytuł nadał swym utworom p. Krzyszkowski, i oto, jak go usprawiedliwia w wierszu wstępnym:

Na starych skrzypkach grajku graj
Młodości pieśń wesoło!
Na świecie smutno... skonał śmiech,
Mazgajów zgraje wkoło.

Zdaleka szare płyną mgły,
Świat cały w nie owiany;
Symbolem biedy: ból i łzy,
Nastroje lub nirwany.

Melodye, dźwięczące na owych „starych skrzypkach", proste są, szczere, nie bez wdzięku i nie bez wyrazu, ale nazbyt jednostajne, czasem pospolite, a zawsze pozbawione silniejszego podkładu harmonijnego, t. j. harmonii uczuć wielogłosowych. Pod tym ostatnim szczególnie względem pieśni p. Krzyszkowskiego różnią się znacznie od ogółu liryki dzisiejszej, a osobliwie liryki modernistycznej, która może być nazwana polifoniczną, gdyż w niej dźwięczą odgłosy najrozmaitszych, często sprzecznych i walczących z sobą uczuć i wytwarzają owe tak znamienne dla dzisiejszej poezyi „nastroje", będące nie czem innem, jak połączeniem różnych nieokreślonych, czasem zestrojonych harmonijnie, częściej rozstrojonych uczuć w akordy poetyckie, mniej lub więcej piękne, wyraziste lub tylko dziwaczne. Ani śladu podobnej polifonii nie znajdujemy w liryce p. Krzyszkowskiego. Głosy uczuciowe, odzywające się w niej, są dość nieliczne i dźwięczą nader jednostajnie w tonie, barwie, a nawet w natężeniu. Są to przeważnie, niemal wyłącznie odgłosy uczuć miłosnych. Poeta opiewa miłość, zazwyczaj w tonie pogodnym, wesołym, żartobliwym, niekiedy w zmysłowym i swawolnym, czasami w tęsknym lub rzewnym, ale nigdy w rozpaczliwym ani w tragicznym. Pieśni te po większej części są krótkie, urywkowe, z epigramatycznem zacięciem; niektóre z nich („W altanie", „Pierścionek „Kasi") rozwijają się w dłuższe nieco, przesiąknięte liryzmem opowieści, niektóre znów łączą się w cykle. Jeden taki

cykl nosi tytuł „Czarnej sukience” i zawiera tęskne wspomnienia przebrzmiałej miłości; inny składa się z udatnych sonetów, pisanych widocznie pod wpływem Mickiewicza i erotyczną również napełnionych treścią. Forma tych i innych utworów wogóle udatna i gładka, niekiedy dużo ma werwy (np. w wierszu „Pijany poeta”) lub swobodnej gracyi (np. w wierszach „Pierścionek Kasi”, „Świeci miesiąc”), często wszakże wpada w prozaiczność, a nawet w trywialność. Wogóle poezya p. Krzyszkowskiego tak w treści swej, jak i w formie, utrzymuje się zawsze na dość nizkim poziomie życiowym i artystycznym, nie zdobywa się nigdy na silniejszy polot natchnienia, a z drugiej strony za mało ma plastyki. Uczucia, w niej wyrażone, pozbawione są zazwyczaj tła obrazowego, a wskutek tego nie uwydatniają się należycie i nie czynią dość silnego wrażenia. Panujący zaś w nich nastrój pogodny nie tyle może jest wyrazem owej pewnej archaiczności, którą poeta zaznaczył w tytule i w wierszu następnym, ile wynika z przejęcia się dość pospolitym optymizmem codziennego życia, niewolnym od owego ducha filisterskiego, który zaznaczyłem powyżej, jako tak znamienny, a tak wrogi poezyi żywioł współczesnej naszej rzeczywistości życiowej.

Bardziej uzasadniony jest archaiczny tytuł utworów p. Starzeńskiego: „Z gawęd starego myśliwca”. Są to prawdziwe gawędy myśliwskie, wysnute z osobistych wspomnień autora i ujęte częścią tylko w formę wierszowaną, a częścią w prozaiczną; wszelako liryzm stanowi główny żywioł poetycki tych gawęd i jest głównem źródłem poetyckiego ich uroku. Autor opowiada o różnych przygodach myśliwskich, kreśli służące im za tło obrazy przyrody, z zamiłowaniem wysławia przyjemności i pożytki myśliwstwa, prawi nam o różnych jego sposobach, środkach, zwyczajach, a niekiedy posługuje się poszczególnemi jego wyobrażeniami dla wyrażenia dosadnej satyry, zwróconej przeciw rozmaitym ujemnym stronom publicznych stosunków galicyjskich. W tem wszystkiem dużo jest jędrnego humoru, werwy ochoczej i szczerej wesołości, ale wśród tych pogodnych przeważnie nastrojów duszy przewija się ciągle jakaś elegijna nuta żalu za owem bujnem i swobodnem życiem myśliwskiem, które już do przeszłości należy. Bo p. Starzeński opisuje tu, opiewa i wysławia myśliwstwo takie, jakiem ono było dawniej i jakie uwiecznione zostało w „Panu Tadeuszu” i w gawędach staroszlacheckich Pola — swobodny objaw ochoczej werwy i dzielności wrodzonej, rozwijający się na tle miejscowych warunków, w ścisłym związku z przyrodą krajową i żywą tradycyą przeszłości.

Wszelkie tego rodzaju objawy życiowe muszą dzisiaj zanikać stopniowo, gdyż nie dadzą się pogodzić z bezbarwną, mechaniczną i niwelującą kulturą naszych czasów. Na ich miejsce występują tak zwane „sporty”, będące nie czem innem, jak zmechanizowaniem i ujednostajnieniem w bezdusznych, pedantycznych regułach wszelkiej swobodnej gry sił życiowych. Dzisiejsi ludzie, zmechanizowani przeważnie przez kulturę naszej epoki przemysłowej, mają naturalny pociąg do wszelkich uciech i rozrywek sportowych, ale natury, poszukujące wszędzie prawdy życia, a więc przedewszystkiem natury szczerze poetyckie nie mogą się z niemi pogodzić. Do takich natur należy autor „Gawęd”, i stąd wynika poetyczność jego opisów i wspomnień myśliwskich. Nie odznaczają się one wprawdzie wielkim artyzmem ani wysokim polotem, często zawierają dość błahą anegdotyczną treść i dość płytką przeniknięte są humorystyką, ale często też ujmują swoją prostotą, szczerością, zamaszystą swadą, a szczególnie przenikającem je głębokiem i żywem poczuciem przyrody. To ostatnie występuje najdosadniej w dwu obszerniejszych gawędach: „Rykowisko”, epizod z polowania na jelenie w górach karpackich, zawierający kilka bardzo plastycznie nakreślonych rysów natury górskiej i nader charakterystyczny szkic przewodnika Hucuła, oraz „Na stepie”, trzymany w tonie dydaktycznym, a mimo to pełen szczerej poezyi, żywy i malowniczy opis polowania na dropie. W obu tych utworach obok barwnych opisów i obrazów znajdują się dosadne zwroty satyryczne przeciw różnym kunsztownym wymysłom nowożytnego sportu myśliwskiego, będącego zresztą stałym przedmiotem satyry i w innych gawędach wierszowanych „starego myśliwca” oraz wybornej humoreski prozaicznej p. t. „Niby polowanie”. Drugie obszerniejsze opowiadanie prozą, zatytułowane „Ostatnie wspomnienia z ostatnich polskich łowów” ma charakter pamiętnikowy i zawiera dużo barwnych i zajmujących opisów przygód łowieckich oraz kilka szkicowo, lecz dosadnie nakreślonych typów myśliwskich, wśród których króluje otaczana szczególną czcią autora postać jego towarzysza i przyjaciela, Kazimierza Wodzickiego. Ustępy, poświęcone pamięci tej niezwykłej osobistości myśliwca, wielkiego pana i znakomitego przyrodoznawcy, należą do najudatniejszych w „Gawędach” p. Starzeńskiego, które przez swą treść zajmującą i formę żywą, barwną, dosadną, przez swą szczerość i prostotę, a nadewszystko przez swe serdeczne umiłowanie przyrody rodzinnej i tradycyi swojskiej tak ujmujące i sympatyczne czynią wrażenie.

Czy nie zbyt nagły będzie to przeskok, jeśli na zakończenie swe-

go przeglądu od wspomnień poetyckich arystokratycznego myśliwca zwrócę się do poetyckich odgłosów „piersi chłopskiej”, dźwięczących tak żywo, szczerze i dosadnie w liryce ludowej p. Laskowskiego? A może odstęp między tymi dwoma zbiorami poetyckimi nie jest w istocie rzeczy tak znaczny, może odnajdziemy nawet w nich pewne wspólne żywioły, które okażą się zasadniczymi żywiołami wszelkiej wogóle poezyi i jako takie, ułatwią nam wyciągnięcie ostatecznego wniosku z tego przeglądu najnowszych jej płodów.

Przedewszystkiem co zawiera zbiór utworów p. Laskowskiego? Zawiera głównie cykl pieśni weselnych, utrzymanych doskonale w charakterze, tonie, języku, stylu i rytmie poezyi ludowej. Autor przyswoił sobie najzupełniej wszystkie te jej czynniki, wcielił się, że tak powiem, całkowicie w osobistość drużby weselnego, który opowiada i wyśpiewuje różne fazy małżeństwa chłopskiego, począwszy od „zmówin”, t. j. od wzajemnych wyznań miłosnych między chłopcem a dziewczyną aż do sutych chrzcin pierworodnego dziecięcia młodych małżonków. W rozwinięciu tego tematu dwie strony dają się rozróżnić: uczuciowa i obyczajowa. Pierwsza, jak to wynika z natury i z warunków bytu chłopskiego, niewiele stosunkowo zajmuje miejsca, ale przy nadzwyczajnej prostocie i prawdzie realnej, wykluczającej wszelkie objawy czułostkowego sentymentalizmu, odznacza się siłą i żywością, a niekiedy wdziękiem. Pieśń „zmówin” to prześliczny duet miłosny, płonący żarem uczuć serdecznych.

W pieśni o chrzcinach w kilku dziwnie delikatnych i rzewnych tonach zaznaczona została czysta miłość młodych małżonków, zdwojona przez wspólne uczucie rodzicielskie dla nowonarodzonego niemowlęcia:

I patrzyli tak na siebie,
Jako gwiazdki dwie na niebie
W noc, w pogodny czas!
I patrzyli nie mówiący —
Jeno sercem gorejący,
Że już „drobiazg“ jest!...

Druga, obyczajowa strona przedmiotu, przedstawiona w rysach charakterystycznych z życiem i prawdą, świadczy wymownie, że p. Laskowski nie tylko odczuwa sercem swój przedmiot, lecz go też widzi jasno wzrokiem wyobraźni. Oto przesuwają się przed nami różne przygotowania i obrzędy weselne. Widzimy więc naj-

przód pana młodego, jak w towarzystwie swatów z dźwiękiem skrzypiec i dudnieniem basów przybywa na „zrękowiny", opisane w kilku rysach żywych, dosadnych i pełnych charakterystycznego humoru. Następuje potem opis samego wesela. Drużyna weselna z brzękiem i szczękiem jedzie do kościoła. W kościele odbywa się obrzęd ślubny.

Grajom organy
Nutę radosną!
W kościele ludu,
Jak kwiecia z wiosną!

Kierezyje centkowane —
Gorseciki sznurowane...
Wstęgi barwiste!
A serca czyste!...

Niemniej żywo, barwnie, malowniczo opisane są następne sceny i obrzędy weselne: szumna uczta, huczne i ochocze tany, przewyborna mowa zakrystyana, wreszcie kończące całą uroczystość oczepiny. Charakterystyczna i dosadna plastyka wszystkich tych opisów na najwyższe zasługuje uznanie. Poeta z nadzwyczajną żywością uprzytamnia nam cały obchód weselny z jego werwą ochoczą, z jego szumem i gwarem i z serdeczną jego prostotą. Widzimy przesuwające się pary taneczne w raźnym, rytmicznym korowodzie, słyszymy dźwięki muzyki, zmieszane z rozgwarem rozmów, odgłosem śpiewek wesołych i okrzyków hulaszczych, z tupotaniem nóg i brzękiem podkówek. Ochota wre i kipi, „aż wiatr idzie z pod falbanek, a drzazgi lecą z podłogi". Z całego opisu wysnuwa się obraz obyczajowości ludowej, rozwijający się na tle bujnego, swobodnego życia, silnie odczuty i odtworzony w rysach dosadnych i plastycznych. Taki obraz powstać może jedynie w wyobraźni poety, który do głębi duszy przejął się swym przedmiotem, przyswoił go sobie całkowicie, umiłował go serdecznie i dzięki temu może wydobyć z niego tyle szczerej prawdy życiowej.

Jest to najprzód prawda obyczajów, które, przekazane w odwiecznej tradycyi, jako wytwór i łącznik życia wielu pokoleń, stanowią przeciwieństwo konwencyonalnego fałszu mody, tego największego i najbardziej bezdusznego ze wszystkich głupstw dziecinniejącej na starość „kulturalnej" ludzkości. Dalej jest to prawda swobodnej i ochoczej werwy życia, występującej w swem naiwnem, często szorstkiem prostactwie, jako potężne odetchnięcie wśród ciężkich znojów pracy, a tak odmiennej od owej nieszczerej werwy „szałów karnawałowych", podniecconych sztucznie wśrod rozpró-

żniaczonej nudy warstw uprzywilejowanych. Wreszcie jest to prawda uczuć ludzkich, które w naturalnej szczerości swych zasadniczych, prostych i zwięzłych objawów niemniej mają siły, polotu i delikatnych odcieni, jak podniecona chorobliwie uczuciowość rozromansowanych naszych dam i panów, tylko nie mają ich tkliwości czułostkowej i sztucznego wyrafinowania.

Uwydatnienie w szczupłych zarysach obrazu obyczajowego tych rysów znamiennych duszy ludowej i wyrażenie ich w słowach zwięzłych a dosadnych, w rytmice charakterystycznej i wyrazistej— oto główna zasługa autora „Z chłopskiej piersi" wydobytych piosenek. Jest w nich szczera poezya, bo jest szczere odczucie życia w pewnych zasadniczych jego objawach, podobnie jak poezya „Gawęd starego myśliwca" tkwi w głębokiem i szczerem odczuciu pewnych stron bytu przyrody. I na tem polega analogia tych dwu cyklów poetyckich, nastręczających powód do bardzo pouczających spostrzeżeń.

Najważniejszem z nich jest to wcale nie nowe, a jednak zapominane często spostrzeżenie, że głównem źródłem natchnień twórczych było jest i będzie zawsze życie ludu i życie przyrody. Wogóle twórcą, poetą jest ten, który pewną zasadniczą sferę życia odczuł i odtworzył w jaknajpełniejszej prawdzie. Ale trzeba być Goethem, aby pragnąć i módz „życie całej ludzkości ogarnąć w swem łonie"; trzeba być Mickiewiczem, aby „ludzkości całej ogromy przenikać z końca do końca". Atoli Goethych i Mickiewiczów mało bardzo na świecie, a takich, coby nimi chcieli zostać, bardzo dużo. Ta fałszywa pretensya objawia się fałszywem natchnieniem twórczem, a z tego ostatniego znowu wynikają niezliczone fałsze naszej poezyi literackiej. Tymczasem każdy prawie z tych niefortunnych pretendentów na genialność poetycką mógłby być prawdziwym poetą, gdyby w swoich utworach wyrażał to, co czuje szczerze i naprawdę, zamiast tego, coby chciał czuć lub co mu się marzy, że czuje.

Gdybyż to ludzie chcieli być sobą! Każdy człowiek prawie, obdarzony wyższą wyobraźnią i wrażliwością uczuciowości, miał chwile w życiu, w których był poetą. Ci, co tę chwilę umieli w nieskończoność „rozdłużyć, rozszerzyć", co tę iskrę twórczą zdołali w „płomień pożerający rozszerzyć, rozpalić", ci byli geniuszami poezyi. Ci zaś, co ją sztucznie usiłowali rozciągnąć poza przyrodzony jej zakres, stali się fałszerzami geniuszu lub talentu. A jak wielu jest na świecie takich fałszerzy, szczególnie w cza-

sach obecnych, odznaczających się taką niepomierną wybujałością pożądań, pragnień, ambicyi i pretensyi!

Obaj rozważani tu w zakończeniu mego przeglądu poeci zdobyli się na rzeczy szczere, prawdziwe i piękne, bo w najważniejszych objawach swej twórczości umieli się utrzymać we właściwym sobie zakresie wrażeń, silnie i głęboko odczutych, w zakresie zresztą bardzo szczupłym: przyrody krajowej, związanej z myśliwstwem, i obyczajowości ludowej, wziętej z jej strony zewnętrznej i dość powierzchownej. Autor „Gawęd starego myśliwca" nie zdołałby zapewne odtworzyć obrazów przyrody krajowej w tym zakresie (nie mówię tu oczywiście o niezmiernej różnicy w stopniu poetyckiego natchnienia i artyzmu), w jakim ona została ujęta w „Panu Tadeuszu", autor zaś weselnych pieśni chłopskich nie mógłby zapewne odczuć duszy ludowej w tych głęboko ukrytych, zasadniczych jej żywiołach, jakimi ona przemawia do nas w „Dziadach", w „Zamku Kaniowskim" lub w „Sobótce". Przytem obaj ci poeci poza właściwą sobie sferą tracą swobodę i prawdę swych natchnień. P. Starzeński w swych satyrycznych wycieczkach na pole stosunków społecznych wpada w prozaiczność i banalność. P. Laskowski w III seryi swych „Wierszy", skoro tylko wyjdzie poza zagrodę chłopską, traci werwę i żywość twórczą. Nawet tak blizki swojskiej mu dziedziny życia ludowego opis święconego w skromnym dworku szlacheckim („Ot! chodźmy na święcone") grzeszy pewną czułostkową przesadą, a opis zabawy Warszawiaków „na Bielanach" trąci mocno prozaicznością.

Takie i inne zboczenia ku dziedzinom prozy lub też częstsze jeszcze zapędy w kierunku przesady fantazyjnej i sztucznej egzaltacyi zdarzają się, jak widzieliśmy w ciągu niniejszego przeglądu, aż nadto często we współczesnej naszej poezyi literackiej, natomiast zupełnie są one obce poezyi ludowej, bo ta jest wytworem nie zawodowych poetów-literatów, którzy, jak się wyraża Lessing, wydobywają z siebie natchnienie sztucznym systemem rur i pomp, lecz poczyna się w twórczości, tryskającej samoistnie z przepełnionej nadmiarem czucia duszy ludzkiej, która, wolna od wszelkich ambicyi i próżnostek, snuje swe natchnienie, jak jedwabnik, snujący swą przędzę, śpiewa swe pieśni, jak ptak wśród gałęzi drzewnych.

Tak tworzy lud i tak tworzą geniusze:

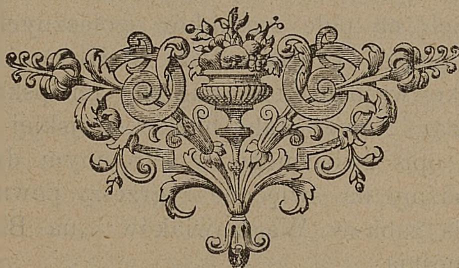
Ich singe, wie der Vogel singt,
Der in den Zweigen wohnet

mówi Goethe. Z większą jeszcze prostotą wyraża się Mickiewicz:

Ja rymów nie dobieram, ja zgłosek nie składam,
Tak wszystko napisałem, jak tu do was gadam.

Tylko poezya z takiej twórczości wynikła — poezya ludu i poezya geniuszów wiecznotrwałą ma w sobie prawdę i żywotność; wszelka poezya, będąca jej naśladownictwem lub przeciwieństwem, fałszywa jest i przemijającą, jak znikome i zmienne kaprysy mody.

Walery Gostomski.



LUDWIKA GODLEWSKA

(EXTERUS),

wspomnienie pośmiertne.

Boże. czyś Ty sam uświęcił związek dwu ciał; czyś Ty sam wyrzekł, że nic ich rozerwać nie zdoła, choć dusze się odepchną od siebie, pójdą każda w swoją stronę i ciała, gdyby dwa trupy, zostawią przy sobie?

Z. Krasiński.

Mężczyzna a kobieta, ich stosunek wzajemny w małżeństwie i poza małżeństwem to temat odwieczny, do dna wyczerpany we wszelkich możliwych sytuacyach, ograny na wszelkie tony i na wszystkich instrumentach rozgłośno-dętych i smyczkowo-płaczliwych. Od cnotliwej żony Penelopy i niewiernej żony Heleny u Homera aż do ibsenowego „trójkątu małżeńskiego" i błyskotliwych wszeteczeństw werystów włoskich tyle umysłów wytężało swą siłę twórczą nad rozwiązaniem pytania, kto w zasadzie bliższy jest prawdy: czy ten angielski poeta, co wyrzekł, iż „ułomność kobiety imieniem", czy ten nasz, który wielbił żonę poczciwą, jako szczerozłotą, blaskami cnót jaśniejącą „męża koronę".

Zasługa atoli autora polega częstokroć nie na wyszukiwaniu nowych stron życia, ale na obrzucaniu starych nowem światłem prawdy przedmiotowej. Zasługa ś. p. Ludwiki Godlewskiej do takich należała.

Nieodrodna to córka najświatlejszej i najzacniejszej bojowniczki praw kobiety, Gabryelli; przy kominkowym ogniu, wśród grona „entuzyastek" znalazłoby się dla niej miejsce. Wyzwolenie kobiety w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu, równouprawnienie duchowe, podniesienie samicy do godności człowieka, myślącego i czującego samodzielnie — to wspólna idea autorki „Białej Róży" i autorki „Dobranych par". W pierwszym swym, zlekka nakreślonym szkicu powieściowym p. t. „Po zdrowie" [1]) Godlewska, ukrywająca się jeszcze pod pseudonimem Exterusa, tak mówi o nowoczesnych dążeniach kobiety: „W kobietach od wieków już zwolna budzi się człowiek myślący, choć okoliczności nie bardzo temu rozwojowi sprzyjały. Dawniej były niewolnicami, a później albo domowemi cackami, albo krzykliwemi gospodyniami, albo ofiarami. Tylko wyjątki wybijały się nad poziom, a wybijały jedne wielką inteligencyą, inne wielkiem sercem. Teraz tych wyjątków różnych — najróżnorodniejszych mamy cały legion, ten legion wyciąga ręce do światła, woła o przynależne miejsce w społeczeństwie, nie chce poświęcać się, tylko żyć własnem życiem i zwiększa się z każdym rokiem, niemal z każdym dniem".

Tak mówi młody entuzyasta w powieści, a autorka gotowa mu przyklasnąć. Cóż, kiedy ta teorya, jak wiele innych, pozostaje jeszcze i niezawodnie długo pozostanie w obrębie błogich pożądań. Praktyka życiowa, już w tej samej powieści stwierdzona, okazuje, że „legion" owych „wyjątków" dałby się ująć w liczbę, bardziej określoną. Niepochlebne bowiem świadectwo daje swojej płci Godlewska w powieści „Po zdrowie". Dlaczego np. taka pani Adela, w której wszelkie pozory każą się domyślać anioła łagodności, dobroci i poświęcenia, tak, że chciałoby się klękać i modlić do niej, jak do świętej, w samej rzeczy jest sobie bardzo zwyczajną kocicą buduarową, która kazi się brzydką miłością z grubym, podtatusiałym gachem? a co smutniejsze jeszcze, dlaczego taka właśnie kobieta najgodniejszych, najbardziej uduchowionych mężczyzn ciągnie ku sobie, jak potężny elektro-magnes, łamiąc dziesiątki istnień dookoła siebie? Oto zagadka psychiczna, która przewija się przez wszystkie utwory Exterusa, nie wyłączając i powieści „Po zdrowie".

Kontur został naszkicowany; pozostawało go wypełnić. W powieści „Po zdrowie" jest to uczynione jeszcze dość niezręcznie, w psychologię osób autorka jeszcze się nie zagłębia, dając nam lekko

---

[1]) „Ateneum", r. 1895, t. IV i 1896, t. I, a także osobno w r. 1896.

nakreślone sylwetki: np. gacha p. Adeli nie widzimy ani razu, przez co dwoistość tej dziwnej postaci jest dla nas wprost niezrozumiała. Tajniki duszy bohaterów odkrywa autorka zapomocą takich przestarzałych sposobików, jak podsłuchiwanie, odczytywanie cudzych listów i t. p.; intrygi ożywionej brak, zresztą leniwe i jednostajne życie towarzystwa polskiego w Meranie, jako tło obrazu, nie nadawało się do rozwinięcia bogactwa epizodów i scen rodzajowych.

O wiele więcej ich w następnej powieści Exterusa p. t. „Kato"[1]). Subtelne duszoznawstwo, w którem tak celowała Godlewska, występuje tu na jaw po raz pierwszy. Oto galerya typów: Andrzej Krępic, syn chłopski, inżynier, przez kolegów jeszcze w uniwersytecie zwany Katonem; przyjaciel jego, Zygmunt Znamieniecki, „w gruncie paniczyk, arystokrata, szlachcic, filozof, z twarzą lalki, który wie, że mu teraz równie pięknie w demokratycznej bluzie, jak będzie później w czerwonym albo niebieskim fraku"; ojciec Zygmunta, lodowo-zimny egoista, który wszelkie cieplejsze objawy serca, np. miłość syna, stara się ukryć w głębi duszy, nie jest wszelako pozbawiony szlachetniejszych uczuć i porywów; systematyczny do niemożliwości, do niemożliwości również rozmiłowany w swych dzieciach Bodziewicz ze swoją słodką, anielską żoną i wszystkie postacie drugorzędne aż do starej piastunki i rezydentki Znamienieckich Boni. To nie z papieru postacie, to ludzie z ciałem, krwią i kośćmi, realnie a wszechstronnie odtworzeni przez autorkę. A zadanie tym razem było niełatwe: psychologia bohaterów „Katona" to robota nie tylko malarska, ale i cyzelatorska. Przedstawić przejścia duchowe takiego Krępica rzecz niełatwa: „demokrata z krwi, kości i przekonań", miłość uważa nie za przelotną igraszkę zmysłów, lecz za święty znicz życia, bo cześć dla kobiety wyssał z mlekiem matki, niewiasty wielkiej sercem i poświęceniem, choć prostej zagonowej szlachcianki, co wyszła za chłopa, a syna uczyła czytać na „Żywotach Świętych" i „Wieczorach pod lipą" i wysłała go w świat po światło dla ciemnych. Bo oto Krępic żeni się z ukochaną, wymarzoną kobietą, nie „feministką, nie flirtówką i nie gęsią", ale kobietą-człowiekiem; a po trzech latach szczęśliwego pożycia oddaje tę najdroższą istotę Zygmuntowi za żonę, skoro ci szczerze i śmiało wyznali mu, iż kochają się nawzajem i dlatego rozstać się muszą; ba! jest nawet obecny na ich ślubie, błogosławi ich i — patrzy na ich pierw-

---

[1]) „Kato, powieść współczesna" („Ateneum", r. 1897, t. I, II i III); oddzielnie w 2 tomach w r. 1899.

szy pocałunek małżeński! Ten bolesny, straszliwy, choć cichy, bez romantycznych wybuchów dramat w sercu żelaznego, niezłomnego „Katona” Godlewska umiała przedstawić nadzwyczaj umiejętnie, wiedziona bystrą intuicyą duszoznawcy. Pozostaje pytanie zasadnicze: dlaczego taka dzielna pod każdym względem kobieta, jak Krępicowa, przełożyła „paniczyka” Zygmunta nad „Katona” Krępica? Różni różnie to tłómaczą: co szlachcic, arystokrata Znamieniecki, to nie Krępic, chłopskie dziecko, mówi jeden; przeznaczone im było połączyć się, majątki ich leżą w sąsiedztwie, będą się więc mogły zlać kiedyś, objaśnia inny. Mniejsza o tego rodzaju sądy; co jednak sama autorka o tem myśli?

Odpowiedź znajdziemy w ostatnim, najdoskonalszym, naszem zdaniem, utworze Godlewskiej, nagrodzonym na konkursie powieściowym „Głosu” i drukowanym w tymże tygodniku w r. 1899 p. t. „Dobrane pary”, powieść współczesna [1]). W samym tytule brzmi gorzka ironia: „dobranemi” parami nazywa autorka takie, któreby właściwie nigdy nie powinny się kojarzyć. Przyjrzyjmy się zblizka tym „dobranym” parom. Oto Stanisławowstwo Borscy: on adwokat, publicysta potroszę, człowiek prawy i rozumny, ona—kwoka domowa; w mieszkaniu wiecznie nieład, bieganina, gorączkowa niby to praca, turkot maszyny od rana do nocy, tyle jest szycia dla dzieci! a w domu robić zawsze taniej wypada — ale dzieci pomimo to wiecznie brudne i nieubrane. Co gorsza, pani Borska nic a nic nie może zrozumieć ideowych aspiracyi swego męża; ona nie gniewałaby się na niego wcale, gdyby pisywał nie tylko w postępowym „Ruchu”, ale i w gadzinowej „Ziemi” (nb. „Ziemia” daje bardzo przyzwoite — honorarya); dla niej mąż oddaje się na wysługi hrabiemu Dajrugowi, pocieszany przez żonę, że na tem stanowisku może dopiero spełniać ważne „usługi społeczne”, odwodząc hrabiego od złego, a kierując ku dobremu. Przez nią do jego czystej duszy przylegają mniejsze i większe gruzełki błota: jej brat, zwyczajny szubrawiec, prowadzi skandaliczny proces, chcąc obalić testament stryja, odsądzający go od dziedzictwa i przeznaczający je na cele dobroczynne, a ludzie pomawiają Borskiego, że i on w tej brudnej sprawie palce umaczał. A on? wybuchnie raz i drugi szlachetnem oburzeniem, ale potem uściska swą drogą Melcię, przeprosi, łezki z buzi zcałuje — i kocha po dawnemu.

Jest inna para: Walentowstwo Borscy. Pan Walenty, obywa-

---

[1]) Wydanie książkowe wyszło we Lwowie w r. 1900.

tel ziemski, o podobnież szlachetnych aspiracyach, marzy o działalności społecznej na szerszą skalę; pani Flora podobnież, jak i jej bratowa, ideałów męża nie podziela, o co się zresztą mało troszczy; zato podczas jego nieobecności każe młodym ludziom wobec siebie tańczyć kankana, przygrywając im na fortepianie i wyrażając zachwyt w lichej francuszczyźnie, albo też innemu młodzieńcowi każe czytać na głos „niemożliwe romanse" francuskie. To zresztą drobnostki; ona gotowa uczynić coś jeszcze głupszego: kiedy mąż sprasza do siebie sąsiadów, by naradzić się w sprawie ubezpieczenia robotników rolnych, ona bez jego wiedzy sprowadza muzykę i rozpoczyna w najlepsze tany; bez jego wiedzy również zaprasza znane na całą okolicę z lekkiego prowadzenia się jejmoście z arystokratycznie brzmiącem nazwiskiem. Warto przypomnieć tę przepyszną scenę: Borski dopiero na pięć minut przed przyjazdem tych pań dowiaduje się, że mają przybyć pod jego dach; wpada więc w złość, łatwo wytłómaczoną: „sroki, wrony, kury brudne, za drzwi wypędzę! a ona, Florcia, kompromituje męża na każdym kroku, głupieje coraz bardziej! jak śmiałaś bez mego pozwolenia pisać!" Z wielkiej chmury mały deszcz! Florcia się rozpłacze, a on—utuli ją, do piersi przyciśnie, szepcąc: „Jestem brutal, raptus, kocię moje, maleństwo moje!" — no i „te panie" będą przyjęte w domu państwa Walentowstwa z całą serdecznością.

Jest jeszcze para innego rodzaju — Leon i Jadwiga Linkowscy: on za kawalerskich czasów birbant i lampart, ona — doktór medycyny, jedna z najbardziej uduchowionych niewiast w powieści. Rozejdą się, bo Leon nie chce pozwolić jej praktykować, pragnąc dla siebie zostawić całą dumę pracowania na dom; „*das ewig Männliche* — mówi Jadwiga — nie znosi współzawodnictwa ani pomocy żony, chce być zawsze wierzycielem i dębem swojego bluszczu, mężem i panem".

Za przykładem tych „dobranych" par skojarzą się inne. Inżynier Ładysz z lekkiem sercem porzuci rozumną i dzielną dziewczynę, Hańkę Borską, a zwróci serce ku pospolitej sroczce, Janinie Tygłowskiej, a Hańka — po bezskutecznym zamachu samobójczym pogodzi się z losem i wybierze sobie męża z gatunku bawołów.

Oto szereg przykładów, które sprowadzają się do jednego smutnego spostrzeżenia, iż „mężczyzni, im więcej warci, tem częściej marnują się dla mało wartych kobiet", i, „im więcej kto wart, tem większej lalki będzie mu potrzeba", na prawdziwej zaś kobiecie poznają się tylko bawoły albo lamparty. Ku stwierdzeniu tej prawdy

życiowej ściąga się i cała poprzednia działalność literacka Exterusa, nie wyłączając i znacznej części nowel (np. „Feministka”) [1]).

Tak jest! bo mężczyna - dąb potrzebuje kobiety „bluszczowej, ładnej, słodkiej, omdlewającej”, kobiety, któraby odpowiadała ideałowi „*bonne, belle et bête*” — „grymaśne, głupiutkie, a przytem przytulne, wierzące w pana, jak w Boga, a za nos go wodzące i takie bardzo, takie zupełnie nasze!”

Stary dziwak, doktór Wieżajski, grający rolę rezonera w powieści, w jej zakończeniu wypowiada kilka nadzwyczaj trafnych uwag w tym przedmiocie. „Dla mężczyzny, który przerósł bawoła— powiada — dla mężczyzny wyższego, który w teoryi przyznaje kobietom człowieczeństwo, są w praktyce kurki, koliberki, kotki, mogą być bazyliszki z anielskiemi skrzydłami albo synogarlice, czasem wrony i inne ptaki podobne, wszystkie podszyte rybą, z gatunku, zwanego słusznie — flądrą... Aby się podobać mężczyźnie, kobietka musi być okrąglutka, troszkę spocona, troszkę pachnąca, więc przylepna, jednem słowem, prawdziwa kobieta. Zapach czystości to maleńka przeszkoda do małżeństwa”.

Doktór Wieżajski nie poprzestaje na trafnej dyagnozie choroby społecznej, podaje również i środki lecznicze: „Mężczyzna musi wziąć na munsztuczek nerwy, żeby kobietki nie miały na czem wygrywać symfonii i kankaników... Jak munsztuczek uspokoi nerwy panów, to może zanikną z czasem i wylęgarnie, gdzie hodują kurki, synogarliczki, koliberki i inne kapłanki mężowskich świętości, co daj Boże, amen!”

Całem sercem przyłączyć się możemy do tego pobożnego życzenia. Owe bowiem przeklęte nerwy w ostatnich czasach skalały świętość domowego ogniska; dawne pokolenia, które nie wiedziały nic o nerwach, mogły dać nam takie zacne kapłanki ognisk domowych, jak stara Borska lub matka Krępica — dziś... inne zwyczaje. I nie będzie lepiej, aż nie zmieni się stanowisko społeczne kobiety, aż świat nie zrozumie, iż nie tylko dla zmysłowej uciechy mężczyzny jest ona stworzona. Stanowisko to, jak dotychczas, nazbyt upadlające. Godlewska mówi ze szlachetnem oburzeniem o tych matkach, co na balach wystawiają na pokaz gołe plecy swych córek, jak towar na jarmarku, ale cóż robić? w samem pojęciu panny na „wydaniu” tkwi coś wspólnego z kramikiem, nie mówiąc już o tem, iż niejednokrotnie małżeństwo jest poprostu interesem han-

---

[1]) Nowelle ukazały się w dodatkach bezpłatnych do „Gazety Polskiej“ pod ogólnym tytułem „Kwiat aloesu“ (1899 r.).

dlowym. Dopoki kobietę uważać będziemy za bawidełko buduarowe, za przedmiot rozkoszy, za „luby ciężar” życia, dopóki nerwy, inaczej mówiąc, zmysły kojarzyć będą małżeństwa, dopóty będą one tylko związkiem dwojga ciał, nie zaś dusz dwojga, a ciała pozostaną przy sobie, jak dwa trupy, sprzęgnięte w jarzmo „dobranej pary”. Odwieczne dzieje małżeństw, które łączy wyobraźnia, kaprys lub nerwy, tak znakomicie odczute genialną intuicyą poety w pierwszej części „Nieboskiej Komedyi”, powtarzają się na każdym kroku.

Oto sprawa, która kamieniem legła na serce ś. p. Ludwiki Godlewskiej; należy się jej uznanie za śmiałość, z jaką obnażała rany społeczne, i szlachetność pobudek, które nią kierowały.

Możnaby jej zarzucić jednostronność: wszystkie jej powieści dążą do wyjaśnienia ciemnej kwestyi współczesnego doboru płciowego. Obfitość atoli doświadczeń życiowych wskazuje, iż autorka nie zatrzymałaby się prawdopodobnie na tym jednym przedmiocie; w nowellach jej daje się zauważyć większa różnorodność tematów („W karnawale”, „Do słońca”, „Ksiądz Roch Osypka”).

Przedwczesna śmierć ś. p. Godlewskiej druzgoce wszelkie nadzieje, pokładane na jej niepospolitym talencie, dlatego też wieść o jej zgonie, która nadeszła do Warszawy w ostatnich dniach stycznia r. b., na ludziach, miłujących literaturę ojczystą, wywarła przygnębiające wrażenie.

Non omnis moriar!

Henryk Galle.



NAJNOWSZE WYDAWNICTWA

AKADEMII KRAKOWSKIEJ.

Rok ubiegły zaznaczył się raz na zawsze w dziejach nauki polskiej. Jubileusz uniwersytetu krakowskiego przyniósł tyle wydawnictw, opracowań i dzieł, że i po przebrzmieniu ostatnich dźwięków uroczystości, nie zakłóconej najlżejszym dysonansem, imponującej, dowodzącej świetnie żywotności nauki polskiej, pozostawił trwałe, a donośne świadectwa ruchu umysłowego, rozbudzonego nie przez chwilowe wymagania, lecz będącego stałym nabytkiem i ważnym czynnikiem w dziejach naszego narodu w wieku XIX. To też w sprawozdaniu swem nie ograniczymy się wyłącznie do wydawnictw jubileuszowych, sięgniemy i poza nie; wciągniemy nawet kilka wydawnictw, nie akademickich wprawdzie, lecz związanych ściśle treścią swą z niemi.

Lwią część publikacyi, skoro chodziło o uświetnienie jubileuszu instytucyi średniowiecznej, stanowią, naturalnie, dzieje literatury i umysłowości średniowiecznej, zgrupowane około uniwersytetu i jego na tem polu działalnośni twórczej, która odrazu nadała nową fizyognomię polskiemu życiu duchowemu. Tu wypada więc wymienić dwie wielkie prace nieodżałowanej pamięci kustosza książnicy jagiellońskiej, Władysława Wisłockiego, historyografa uniwersy-

tetu, którego los zawistny wydarł nam w sam przeddzień jubileuszu. Jedna z nich to zbiór Aktów rektorskich, t. j. zapisek z sądownictwa rektorskiego nad scholarami i innemi osobami, do uniwesytetu, t. j. cechu uczonego, należącemi, 3,380 zapisek, począwszy od roku 1469 aż do roku 1537, z indeksem spraw, słów i osób na 400 niemal stronicach, sporządzonym z mrówczą pilnością i niesłychaną u nas dokładnością: to specyalność Wisłockiego, ułatwiająca każdemu pracownikowi natychmiastowe zoryentowanie się w tysiącznych szczegółach, jakich publikacya dostarcza; dopiero na podstawie tych aktów można wyczerpująco skreślić życie żaków krakowskich. Uporawszy się z Aktami jeszcze w roku 1897, wydał roku 1900 niestrudzony kustosz spis inkunabułów, druków łacińskich aż do roku 1500, — około 300, na 700 niemal stronach; inkunabuły te posiadali mistrzowie krakowscy, zapisywali je książnicom wydziałowym, jako najcenniejsze ślady zajęcia, z jakiem badali rozwój nauki zagranicznej. Inkunabuły jednak mają i inne jeszcze znaczenie: spotykamy się w nich bowiem nie tylko z zapiskami, odnoszącemi się do właścicieli, lecz z ciekawymi nieraz tekstami lub przysłowiami polskiemi, wpisywanemi na okładkach i indziej. Najciekawsze z nich to wykład snów „Daniela proroka"; dawne bowiem senniki, dziś „egipskimi" zwane, krążyły niegdyś pod nazwą tego to proroka. „Wykład" trzymał się abecadła; obudziwszy się z jakiego snu trapiącego, należało na chybił trafił otworzyć książkę i popatrzyć na literę pierwszą u góry lewej karty; objaśnienie tej litery dawał „wykład" w wierszach polskich, np. dla *p:* „możesz czyście ten dzień plęsać, nie będzie cię gniewnik kęsać"; albo dla *s:* „by się też zamknął do skrzynie, wżdy cię ten dzień swar nie minie" i t. d. Już tu, w tych inkunabułach, żartują sobie z mostu polskiego, hołdu pruskiego, rady ruskiej, wiary węgierskiej, prawdy śląskiej i t. d., albo powtarzają: „cnota, pokora nie godzi się do dwora"; „uroda, świeboda, dworski stan, kto nie ma pieniędzy, kiep, nie pan" i t. d.

Wydziałowi teologicznemu, najcelniejszemu, poświęca od lat wielu skrzętne badania z benedyktyńską pilnością, starannością i krytycyzmem ksiądz dr. Jan Fijałek, uczeń i docent krakowski, dziś profesor lwowski. Jego „Studya do dziejów uniwersytetu krakowskiego i jego wydziału teologicznego w XV wieku" (w dwudziestym dziewiątym tomie Rozpraw filologicznych) odnosiły się głównie do pierwszych teologów krakowskich, uczniów praskich, chociaż przeważnie pochodzenia polskiego, z Krakowa, jak Isner lub Mikołaj Wigand, z Jasła Bartłomiej, z Pyzdr Mikołaj i in.; dalej do polskich studyów teologicznych, dzieł kanonistycznych, orzeczeń

w sprawach wątpliwych; np. orzeka św. Jan Kanty, że należy zwolnić osobę od ślubów nierozsądnych: ofiarowała się ona czołgać na kolanach do św. Lenarta (w krypcie wawelskiej) — pocóż, skoro nam Bóg dał nogi do chodzenia, nie do czołgania się, więc należy zgromić ją i za pokutę jałmużnę jej nałożyć i kilka pacierzy. Albo tenże św. Jan orzeka, że można rzeczy świeckie, choćby i z poganina, do kościoła ofiarować, przecież i w Rzymie z bóżnic kościoły poczyniono. Dalej zawdzięczamy ks. J. Fijałkowi obok tych ciekawych szczegółów całość naukową wielkiej wagi, dzieło w dwu sporych tomach: „Mistrz Jakób z Paradyża i uniwersytet krakowski w okresie soboru Bazylejskiego" (nakładem Akademii, 1900).

Mistrz Jakób, cysters, któremu Paradyż wielkopolski był ziemską i duchową ojczyzną, ubożuchny niegdyś syn ludu, w dojrzałym wieku dopiero scholarz krakowski, promocyi na mistrza św. teologii — pierwszy cysters polski — dostąpił roku 1432; przeniósł się potem do cystersów mogilskich i opuścił wreszcie cystersów, profesurę i Polskę roku 1442, wstępując do ostrzejszej reguły kartuzów: w Kartuzie erfurckim osiadł i tamże żywota dokonał roku 1464 w osiemdziesiątym piątym roku życia. Jak to, zawoła czytelnik, dwa tomy (870 stronic!!) o życiu skromnego mnicha, może nawet Niemca rodem, spędzającego między samymi Niemcami ostatnie dwadzieścia kilka lat cichego żywota, który i słówka po polsku nie napisał? Ale zato ten mniszek gorącem sercem, znaczną wiedzą, usilną pracą, cnotą nieugiętą należy do tegoż typu dawnych duchownych, z którego innym reprezentantem, Mateuszem z Krakowa, czytelnika łaskawego staraliśmy się niedawno zapoznać („Ateneum", 1900, II). A chociaż on ani kardynałem nie został, ani krakowskiego uniwersytetu zakładać nie pomagał, to jednak czynność jego kaznodziejska i profesorska, a najbardziej autorska zjednała mu imię i znaczenie, sięgające o wiele wyżej i dalej nad Mateusza: dzieła Jakóba, w rękopisie i druku, są w każdej dawnej bibliotece i wpłynęły znacząco na literaturę moralno-teologiczną XV wieku. Z kolegami krakowskimi zwalczał mistrz Jakób husytów, z nimi, najgorętszy między nimi, zwalczał on zwierzchność papieską nad soborem, a fala, która go do celi kartuskiej uniosła, zabrała i innych, najzdolniejszych nieraz i najdzielniejszych Polaków. Kulminuje się więc nauka krakowska w sławnym swym mistrzu, i należało mu się tak obszerne traktowanie, uwzględniające głównie spuściznę literacką po pilnym, a skromnym ascecie. I wydobył ks. Fijałek, szperając żmudnie w rękopisach sprzecznych, mylnych, niedostatecznych nieraz, odcięty od wielkich bibliotek, nie zrażony żadnemi tru-

dnościami, — szanowną, sympatyczną postać z mroku zapomnienia. Co zaś na najwyższe zasługuje uznanie, że ksiądz Fijałek w tej, jak i w swych innych pracach, nic nie ukrywa, nic nie upiększa, nic nie zmniejsza; służy tylko prawdzie, jak umie i może, a służy tem samem kościołowi najlepiej. Przeszłość bowiem katolicyzmu jest tak olbrzymia, a tak słoneczna, że tylko głupiec istnieniu plam na tem słońcu przeczyć będzie i tylko głupiec z istnienia plam słońce to o ciemność pomawia.

Nie skończył się jednak na tem szereg prac ks. Fijałka; wymienimy tylko jeszcze jedną, również żmudną, niewdzięczną napozór, a tak potrzebną: o studyach polskich zagranicznych, t. j. włoskich w wieku XV; wyszedł dotąd pierwszy zeszyt, obejmujący 35 biografii scholarów padewskich lub bolońskich z Polski; wyłaniają się nowe postaci, taki np. Jan z Ludziska, który przed Grzegorzem z Sanoka „do Krakowa wprowadził ogładę i blask dawnego języka", t. j. był pierwszym, właściwym pionierem humanizmu.

Co ksiądz Fijałek dla teologii i filozofii, podejmuje prof. J. Rostafiński dla dziejów medycyny i nauk przyrodniczych; narazie wygotował on krótki stosunkowo, ale bardzo pouczający i na sumiennych studyach oparty „szkic źródłowy i krytyczny" p. t. „Medycyna na uniwersytecie Jagiellońskim w XV wieku" — o wiedzy lekarskiej, jej źródłach, właściwościach i formach, o egzaminach i taksach, o autorach i profesorach Polakach; równocześnie wydał dwa spore tomy (razem 952 stronic!) p. t. „Średniowieczna historya naturalna, systematyczne zestawienie roślin, zwierząt, minerałów oraz leków prostych, używanych w Polsce od XII do XVI wieku". Praca strasznie uciążliwa, niewdzięczna, nie podjęta dotąd na tak obszerne rozmiary w żadnej innej literaturze europejskiej. Sprawdzać na podstawie rękopisów i druków bardzo chwiejną tradycyę z niezliczonymi, ciągłymi błędami; poprawiać je na podstawie znawstwa fachowego; objaśniać każdy szczegół; wojować z materyałem 18,000 kartek łacińskich, a 11,000 polskich, zebranych z kilkudziesięciu rękopisów i druków, sprowadzanych z najdalszych zakątków — to wszystko wymagało olbrzymiego nakładu pracy, pilności, ostrożności, przezwyciężenia siebie samego, aby nie ustawać ze znużenia. I wykazało się, skąd poszła wielka ilość nazw botanicznych; kierunek, który u nas niegdyś Ryszard Berwiński zainicyował, w pół wieku później tryumfuje: nazwy te, imponujące nieraz różnym fantastom, jako domowe, pogańskie, prasłowiańskie, zdradziły pochodzenie (greckie) łacińskie, —są nieraz tylko przekładem z Pliniusza! Wydawca objaśnia wiele innych rzeczy, twierdzi np., że czerwiec

nie od domowej „koszenili”, czerwcu, lecz od czerwiu pszczół nazwany; między innemi zaś uwydatnił zasługi i znaczenie kanonika krakowskiego i lekarza królewskiego, Jana Stanki (około r. 1470), znakomitego a zapomnianego botanika, który pierwszy rozróżnił 433 domowe gatunki roślin (późniejsze herbarze - zielniki z XVI wieku rozróżniały ich tylko 259), a zebrał najobfitszy zbiór synonimów łacińskich, jaki istnieje we wszystkich literaturach średniowiecznych (dla samej „Bryonii” np. podał 250 jej nazw!).

Z przedruków dawnych dzieł wymieniamy śliczny okaz sztuki typograficznej krakowskiej, — żywot Grzegorza z Sanoka, arcybiskupa lwowskiego, nadto przecenianego „pierwszego” humanisty polskiego, piórem pochlebnem Kalimacha skreślony, wydany poprawnie przez prof. A. Miodońskiego, i komentarzyk Wojciecha z Brudzewa z roku 1482 do „nowej teoryi planet” królewczanina Jerzego Peurbacha, wydany przez prof. Ludwika Birkenmajera, który już dawniej wydał inny łaciński traktat (geometryczny) Marcina Króla z Przemyśla, wcześniejszy (w Warszawie, 1895). Wydawca dowodzi, że włoski astronom, Giuntini, całe rozdziały z Brudzewskiego czerpał dosłownie, albo że Brudzewski na lat sześćdziesiąt przed astronomem witenberskim, Reinholdem, obieg księżyca dokładnie oznaczył. Od wydawcy, któremu już zawdzięczamy biografię i ocenę pierwszego znaczniejszego astronoma Polaka, Bylicy, oczekujemy z niecierpliwością biografii Kopernika; narazie wyszedł jej tom pierwszy, foliant olbrzymi,—„Mikołaj Kopernik”; część pierwsza: „Studya nad pracami Kopernika oraz materyały biograficzne” (711 stronic wielkiej ćwiartki). Pokazało się, że i nowsi badacze, jak ks. Polkowski i prof. Curtze, nie wyczerpali materyałów, że udało się prof. Birkenmajerowi poodkrywać w najdalszych zakątkach Europy cały szereg zapisek (astronomicznych przeważnie, lecz i lekarskich i innych), książek i t. d. Kopernika. Na str. 683 — 688 zestawia wydawca „przegląd główniejszych wyników pracy niniejszej”—jest ich 78, pomiędzy nimi są i błahe, gdyby szczegół o Koperniku mógł być błahym; wykazał np. wydawca, że „Kopernik wypracował nie jeden, ale po kolei dwa różne mechanizmy heliocentryczne” i wyłuszczył „powody, dla których zarzucił później wcześniejszy taki mechanizm”, uwydatnił wagę studyów krakowskich Kopernika; oświecił mnóstwo rzeczy spółczesnych, np. coraz wybitniejszą czynność Bernarda Wapowskiego, nie tylko historyka (jakim go wyłącznie znaliśmy), lecz i mapografa i t. d. Dla historyi nauk ścisłych w Polsce są tu przyczynki nadzwyczaj cenne; wydanie przepyszne; faksymilia (nawet z okładek książek krakowskich, jakie Kopernik posiadał) wy-

tworne. Wydawca pomnożył kapitał obrotowy umiejętności; z uwag jego skorzystał np. zaraz jeden z pierwszych dzisiaj meteorologów niemieckich: w publikacyi, którą niebawem ogłosi, oparł się pomiędzy innemi na notatach prof. Birkenmajera.

Podczas gdy Wisłocki, Fijałek, Rostafiński i Birkenmajer poświęcili prace swe wydziałom czy osobom lub szczegółom, odtwarza całość dziejową prof. Kazimierz Morawski w znakomitem dwutomowem dziele p. t. „Historya Uniwersytetu Jagiellońskiego. Średnie wieki i odrodzenie. Ze wstępem o Uniwersytecie Kazimierza Wielkiego" (razem około 950 stronic). Nie tylko w dziejach Polski, lecz w dziejach jej „Studyum Generale" wiek XV był wiekiem kulminacyjnym, zapowiadającym przyszłość najświetniejszą (skrzywioną i zeszpeconą w wiekach późniejszych), nęcącym więc najbardziej badacza dzisiejszego. Nie poskąpił autor trudów; zebrał obfity materyał, a oświetlił go i ocieplił żywem, zajmującem, miejscami podniosłem przedstawieniem; oparł go o stosunki zagraniczne, uzupełniające, czego źródła nasze nie dopowiadają, a połączył z dziejami i umysłowością domową. Treść dzieła jest następująca. Po wstępie o fundacyi Kazimierzowskiej, więcej ważonej, niż urzeczywistnionej— dla przyczyn najrozmaitszych, choćby dla rychłej śmierci fundatora i zamieszek późniejszych—kreśli autor zabiegi Jadwigi o stworzenie seminaryum dla propagandy katolickiej na wschodzie litewskim i ruskim; poparcie ich przez króla, papieża, osobistości wpływowe; wreszcie założenie samej szkoły i pierwsze jej dziesięciolecie, z pierwotnem jej uposażeniem, pierwszymi nauczycielami Polakami, wracającymi z Pragi do kraju, scholarami, na których czele wpisują się król, dostojnicy świeccy i duchowni i panie do metryki uniwersyteckiej. Dalej pierwszy, głośny występ szkoły krakowskiej wobec zachodu na soborze w Kostnicy, gdzie dzielnemu episkopatowi polskiemu, Mikołajowi Trąbie i znakomitemu Mazurowi, Jędrzejowi Łaskarzowi (z którego u nas najniepotrzebniej jakiegoś pseudogreka Laskarysa robią), sekunduje uniwersytet w osobie Pawła Brudzewskiego, broniąc Husa przeciwko spaleniu, wyższości soboru przeciwko papieżom, gruntownej reformy kościoła przeciwko kortyzanom włoskim, a honoru Polski przeciwko paszkwilom Falkenberga. Opowiadanie dalsze przerywa skreślenie wewnętrznej organizacyi wydziałami, z wymienianiem głównych postaci, najwybitniejszych profesorów, ich dzieł i czynności. Przechodzi potem autor do ponownego, jeszcze wybitniejszego wystąpienia uniwersytetu wobec Zachodu na soborze bazylejskim, tym razem jednak bez episkopatu, stojącego wobec groźnej scysyi wraz z królem na uboczu raczej, przechylają-

cego się tylko tu i owdzie, np. w osobie biskupa krakowskiego, Oleśnickiego, na stronę soboru, a przeciw papieżowi. Najwytrwalej ze wszystkich szkół i zgromadzeń dzierży się i broni uniwersytet krakowski sztandaru soborowego i reformacyjnego, aż opuszczony przez wszystkich—i przez Studyum paryskie, i nawet przez ojców bazylejskich, korzy się przed Mikołajem V i reformy się zrzeka. Po tem wystąpieniu nazewnątrz idą znowu dzieje wewnętrzne. Tom drugi (obejmujący księgę trzecią i czwartą) opowiada najpierw losy uniwersytetu za Zbigniewa Oleśnickiego i Kazimierza Jagiellończyka, kreśli walki i przeobrażenia, tudzież najwybitniejsze fizyognomie: Jana z Oświęcimia (Sakrana, ostatniego reprezentanta twardej średniowiecczyzny, mimo humanistycznych zakusów, tyczących stylu, nie ducha; Michała (Paryżanina) z Bystrzykowa, ostatniego dyalektyka (scholastyka) o większych rozmiarach; Macieja z Miechowa, znakomitego uczonego i człowieka. Dalej idą „na przełomie dwu wieków" pierwsi humaniści, obok i w samym uniwersytecie, przybłędy i tubylcy, Konrad Celtes, Ślązacy, jak Sommerfeldowie i Korwin, Paweł z Krosna i jego uczniowie i następcy. Z początkiem XVI wieku następuje, niestety, powolny, niechybny upadek wielkiej szkoły i wielkiej Polski, cofanie się we wszystkich kierunkach, rezygnacya, osłabienie organizmu państwowego, nie mniej jak uniwersyteckiego; państwo rzuca stanowczo wszelkie tory polityki europejskiej, ześlepia się w pożądaniu pokoju, w używaniu korzystnych warunków ekonomicznych, nie dbając o same podwaliny potęgi państwowej; uniwersytet, nie wzbogacany nowemi nadaniami i funduszami, wyposażony coraz niedostateczniej, traci siłę przyciągającą dla obcych i swoich; szlachta omija go ostatecznie, zlatując do Padwy i Bolonii; uniwersytet staje się szkołą plebejską, chłopską, dyecezyalną niemal. Tego przełomu i upadku autor już nie kreśli; w księdze czwartej i ostatniej bowiem opisuje już tylko życie scholarów i magistrów, nie wyczerpując tego przedmiotu, dodając ją tylko dla zaokrąglenia całości. Z powodu takiej dyspozycyi materyału, o którąby się spierać można, autor powtarza się miejscami; możnaby i niejeden ze szczegółów zakwestyonować; szczególniej wobec prac Fijałka i Rostafińskiego, lecz wszelkie wątpliwości nikną wobec podjęcia tak wielkiego zadania, całokształtu dawnych dziejów uniwersytetu i świetnego jego wykonania; miejscami, we wstępie np. lub na końcu, wznosi się autor najwyżej, pisze całe stronice z najgłębszem przejęciem się, krwią i łzami; nigdzie nie spada do suchego zbioru notat —tak niebezpiecznego, a zwykłego w dziejach instytucyi naukowych — ogarnia myślami zawsze najszersze hory-

zonty; styl piękny, nie błyskotliwy jednak, pociąga czytelnika, a imponuje mu widoczne staranie na każdym kroku o wydobycie samej prawdy, bez pobłażania i schlebiania komukolwiek — dawne dzieje uniwersytetu upiększań żadnych, Bogu dzięki, nie potrzebują; zgłębić je znaczy je pokochać.

Z uniwersytetem krakowskim, acz później, w połowie XVI wieku, związana jest pamięć jurysty—Hiszpana, Piotra Rojzyusza, którego poezye w dwu tomach wydał prof. B. Kruczkiewicz, poprzedziwszy wydanie obszernem studyum o życiu i pismach autora (w 27 tomie Rozpraw filologicznych), którego wyniki tym razem po łacinie streszcza. Akademia wydaje bowiem oddawna zbiór łacińsko-polskich poetów, przed Kochanowskim piszących, zbiór, obejmujący wiersze i poemata Pawła z Krosna, Jana z Wiślicy, Andrzeja Krzyckiego (bardzo ciekawe i bardzo nieprzyzwoite z powodu fraszek aż nadto rozwiązłych), Mikołaja z Husowa (o treści bardzo zajmującej, szczególniej w opisie łowów na żubra), a teraz i Piotra Rojzyusza. Czy warto było obcego autora, chociaż najwalniejsza część produkcyi jego na Polskę wypada, z takim nakładem pracy w całości wydawać? mnożyć teksty humanistyczne, przynoszące tak mało poezyi, wojujące z prawdą najniemiłosierniej, ograniczające się do samych ogólników, frazesów, figur, popłacających tak samo w Upsali, jak w Neapolu, tak samo w Londynie, jak w Madrycie? Rojzyusz to nie poeta przecież, jak Janicyusz np., lecz jurysta, który, wyniósłszy ze szkół upodobanie i wprawę do „robienia" wierszy, rzemiosła tego do końca życia nie rzucił, schlebiając, dziękując, polecając się względom monarszym i biskupim, a co wiedział i myślał o ludziach i stosunkach, tając głęboko, spowiadając się wyjątkowo ze skrytości serca, ostrożnie, nieufnie. Nie przeczymy, że współcześni, Trzecieski, Rej, Kochanowski, cenili go, jako „vates—wieszcza", że oczekiwali od niego poematów epicznych, sławiących dzieje Polski, do czego im samym weny i ochoty brakło, że kochali go za miłość, jaką się przybranej ojczyźnie odwdzięczał — mimo to poetą Rojzyusz nie był, i zasługi poetyckiej liczne jego wiersze nie mają żadnej. Nie mają jednak i historycznej: poezya humanistyczna, przeżuwająca formułki klasyczne, tak się umiała urządzać, że rzeczywistość, otoczenie, stosunki prawdziwe eskamotowała stale, zarzucając je wdziękami i kwieciem pożyczonemi, sztucznemi; jeżeli sarkamy na pseudoklasyków i ich poemata sielskie i pasterskie XVIII wieku, to nieszczerość, konwencyonalność, pochlebstwo aż do granic najwstrętniejszych, nieludzkich niemal, maskarada ciągła, narzucanie obcych pojęć, uczuć, myśli, zacieranie staranne, umy-

ślne wszelkiej prawdy są stałem zjawiskiem, wyłączną cechą w poezyi humanistycznej XV i XVI wieku; wyjątkowo tylko, rzadko w poezyi opisowej, częściej we fraszce, satyrze lub epigramacie odnajdziemy w obcej formie prawdę życiową. Rojzyusz należy do najgorszych: pochlebia potwornie, bawi się zawzięcie w „klasyczność”, unika cech charakterystycznych, powtarza się nieustannie i z tysięcy wierszy jego da się wycisnąć niewiele kropli żywotnych. Jeszcze najnaturalniejszy jest, gdy mówi o zbytku polskim w napojach albo o niewygodach w podróży; tu zdobędzie się nawet na formę żartobliwą, na mieszanie polskich i łacińskich wyrazów; niejeden z jego poematów dydaktycznych, np. o „groszu”, rozszedł się nawet dosyć daleko — ale religijne i panegiryczne wiersze jego, a tych jest najwięcej, odrażają czczą wielomównością i paskudnem schlebianiem Gamratom i Zebrzydowskim. Nie zazdrościmy wydawcy żmudnej a niewdzięcznej pracy; wywiązał on się z niej bardzo starannie; miejscami tylko w komentarzu utknął: np. wylicza Rojzyusz w „Tysiącczniku” swoim z roku 1557 szermierzy katolicyzmu, duchownych i świeckich, między nimi słynnego kaznodzieję Łukasza — wydawca zrobił z niego Łukasza Górnickiego, o którym w roku 1557 nikt jeszcze, jako o wytrawnym i dzielnym mówcy, nie słyszał; ależ to Łukasz Lwowianin, zmarły r. 1583, o którym Orzechowski i inni wspominają; albo zamiast Warszewickiego Stanisława, tłómacza Etyopik, wysunął mylnie Krzysztofa i t. d. Kochanowski nieraz Rojzyusza wymieniał, po łacinie i po polsku, imiennie i bezimiennie, Rojzyusz jego — nigdy — nie miał przecież Kochanowski nic do darowania — raz tylko wspomina o poecie fraszek i z przekąsem się o nich wyraża: zdaniem naszem, o Kochanowskim to mówi.

A kiedy już mowa o pismach Rojzyusza, wspomnijmyż i o ostatnich publikacyach Biblioteki Pisarzów Polskich. Ciągną się one arcyżółwim krokiem; pocieszał nas wprawdzie nowy jej redaktor, że tempo będzie szybkie, ale oczekiwania, przynajmniej jak dotąd, zawiodły nas zupełnie; w ostatnich trzech latach (1898 — 1900) otrzymaliśmy trzy szczupłe numery. Jakóba Zawiszy z Kroczowa „Wskrócenie prawnego procesu koronnego” (1613), miesza reformę sądową z polityczną, stawia rozumną zasadę, że jednomyślność odnosi się do trzech stanów (król, senat, sejm), ale w obrębie senatu lub sejmu samego większość głosów rozstrzygać winna. Stanisława ze Szczodrkowic „Rozmowa pielgrzyma z gospodarzem o niektórych ceremoniach kościelnych” (1549) jest pierwszą odpowiedzią katolicką na zaczepki luterskie, wychodzące z Królewca

pod firmą Seklucyana, a z pod pióra Reja i innych: Stanisław, człowiek świecki, występuje, skoro powołani — duchowieństwo — milczą, z najlepszą wolą, lecz z najsłabszemi zdolnościami, w wierszach, chociaż poezya kolebce jego nie przyświecała, skoro i lutry poezyą maluczkich zwodzić usiłują; dowodzi na podstawie Pisma, nieraz naciągając je, jak szewc skórę, konieczności i świętości wszelkich obrządków (świec, wody święconej, wigilii, egzekwii, postów i t. d.), a także dogmatów (wzywania świętych, szczególniej Maryi, czyśćca i t. d.) — miejscami drastycznie, nie szczędząc docinków na Węgry i Szmalkaldy, wytykając nawet nierząd kościelny, mnogość beneficyów, zagarnianych przez jednego, przez co służba Boża znacznie traci; wszystko w dawnych, krótkich rymach. Nakoniec — dwie broszury polityczne Bartosza Paprockiego z r. 1587 i 1588: „Upominek albo przestroga zacnemu narodowi polskiemu i t. d." (na interregnum) i „Pamięć nierządu w Polszcze, przez dwie fakcye uczynionego i t. d.", pierwsza prozą, druga wierszem, obie przetykane gęsto nieznośnemi jego cytatami łacińskiemi, a jeszcze gęściej fałszami i obelgami na króla (Batorego) i Zamoyskiego, na Annę i Zygmunta, paszkwile kuźni zborowskiej i austryackiej, godne powroza i kata, lecz pod płaszczyk miłości ojczyzny i wolności się podszywające, ciekawe przez szczegóły anegdotyczne i historyczne (o dawnych królach, o uniwersytecie i t. d.), wstrętne i marne, jako całość, pouczające, jaką to bronią fakcye walczyły, jak na łatwowierność, nieopatrzność, podejrzliwość tłumów szlacheckich liczono. A tak doczekaliśmy się po trzynastu latach 38 numerów Biblioteki: połów niekoniecznie obfity!

Wracamy od tekstów do pomników, do najcelniejszego między nimi, świadka tylu klęsk i tryumfów, do katedry na Wawelu, która się nakoniec wyczerpującej monografii doczekała. Dokonał jej nie architekt, lecz historyk, prof. Tadeusz Wojciechowski, w dziele: „Kościół katedralny w Krakowie", zebrawszy wszelkie wzmianki po kronikach i inwentarzach dawnych, opukawszy każdy kamień, wpatrzywszy się w najdrobniejszy szczegół, a związawszy wszystko bystremi kombinacyami, myślą krytyczną, znakomicie wyszkoloną. I urosła całość, imponująca pewnością, dokładnością, bogactwem i znaczeniem spostrzeżeń i kombinacyi. Autor omawia każdą kaplicę, każdą przebudowę, oznacza czas jej i przemiany, jakie za sobą pociągała; w dalszym toku uogólnia i dopełnia założenia i odtwarza ciekawą, a ważną całość tych dziejów. Staje przed oczyma naszemi pierwotna Chrobrego katedra, murowana i drewniana napoły, prędko wzniesiona, roku 1001 konsekrowana, pod wezwaniem Sal-

vatora; niebawem nie wystarcza ona wymaganiom czasu, już Kazimierz Mnich i biskup Aaron ją zamierzają rozszerzyć, dopiero jednak roku 1142 konsekrowano nową romańską budowę, a gdy pożar i czas ją nadwątliły, przystąpił biskup Nankier roku 1320 do budowy trzeciej, gotyckiej tym razem katedry — r. 1346 konsekrowano wielki jej ołtarz; może budowniczym jej był Konrad Duryng. Obok tych kwestyi głównych — mnóstwo mniejszych, o śladach malowań bizantyńskich; o wpływach budowli kościelnych zachodnich; o losach rozmaitych nagrobków; gdzie szukać grobów książąt najdawniejszych, Kazimierza Sprawiedliwego i Leszka Białego; który był krucyfiks Jadwigi i t. d. Wieloletnia skrzętna praca, mozolne poszukiwania i świetne kombinacye złożyły się na całość niezwykłej w naszem dziejopisarstwie ceny.

Obok publikacyi wyjątkowych, specyalnych, okolicznościowych szły trybem zwykłym publikacye peryodyczne Akademii, jej Rozprawy Wydziałów filologicznego i historycznego, publikacye Komisyi antropologicznej, historyi sztuki, prawniczej (nie wspominając o publikacyach matematycznych i przyrodniczych, usuwających się z pod naszego sądu). Rzućmyż i na nie okiem.

Z Rozpraw filologicznych wyszły w roku 1899 i 1900 cztery tomy, od XXVIII do XXXI; pomijamy trzydziesty z rozprawami łacińskiemi o późnych autorach greckich prof. Sternbacha; z reszty wymieniamy wydawnictwo ś. p. Malinowskiego, który przedrukował modlitewnik polski ze spuścizny anspachskiej, dziś w Erlangen zachowany, królewny Jadwigi, córki Zygmunta Starego, żony Joachima brandenburskiego —nie odgadł tego Malinowski i nie wspomniał o dwu innych rękopisach polskich w Erlangen tegoż pochodzenia, o których zdawałem sprawę w Pracach Filologicznych, III (1889), 292 i nn.

Prof. Czubek objaśnia z ksiąg sądowych charakter i sprawki warchoła, Paska, który w oświetleniu archiwalnem staje się coraz mniej sympatyczny: zestawiać tego człowieka z Wacławem Potockim, który go o całe niebo i, jako człowiek, i, jako autor, sercem i wykształceniem, przewyższał, było naszem zdaniem wcale zbyteczne.

Prof. Brückner ukończył studya nad Wacławem Potockim, nad jego spuścizną rękopiśmienną, nad „Ogrodem fraszek”, nad „Moraliami” i nad jego językiem: widzi w nim najlepszego, najszlachetniejszego, najzupełniejszego przedstawiciela „sarmatyzmu” — nie owego ogłupiałego, zwyrodniałego, płytkiego, czasów saskiej

ciemnoty i opilstwa, lecz swojskości szczeropolskiej, sympatycznej, pięknej nieraz i głębokiej; język potwierdza sąd o autorze i człowieku, ze swym jędrnym tokiem staropolskim, od którego tak dalece odwykliśmy, że go nieraz już i nie rozumiemy należycie. Dalej ogłasza tenże autor studyum nad pomnikiem, dziś, niestety, zatraconym, z którego tylko notaty ocalały, które ks. kan. A. Petruszewicz przed pół wiekiem porobił: „Rozmyślanie o żywocie Pana Jezusa”, olbrzymi tom z pierwszej połowy XVI wieku, najkompletniejszy zbiór wszelkich (a więc i apokryficznych) podań i opowiadań o Maryi i Synu, doprowadzony na 840 stronicach tylko do *Ecce Homo*, czerpiący ze źródeł średniowieczczyzny najgłębszej, ceniony w Polsce (fragment od samego początku, z innego, gorszego odpisu, odnalazł i przedrukował niegdyś Maciejowski, nie wiedząc, co za dzieło miał przed sobą), ale tylko w odpisach; czasy nadchodzącej reformacyi bowiem nie sprzyjały już ogłoszeniu drukiem takiego, miejscami całkiem bajecznego utworu: jak to Zbawiciel w chłopięctwie wodę w podołku lub na promieniach słonecznych nosił, gorzkie zioła w „kapuście” (*compositum*) na słodkie odmieniał, z Dyzmasem podczas ucieczki egipskiej się potykał i t. d. Pomnik ten jest ważny, bo dowodzi, że literatura apokryficzna nie była dawniej Polsce tak nieznana, jak dotąd mniemano. .

Prof. Kawczyński od rytmiki romańskiej przerzucił się na pole odległe: zajął się osobą i pismami Apulejusza i poświęcił mu trzy rozprawy, o życiu, o pismach jego oratorskich i filozoficznych, o „Metamorfozach”, czyli opowieści o złotym ośle, poczem przejdzie do studyum o Amorze i Psysze, o wędrówkach tego wątku po bajkach całego świata, w tysiącu i jednej nocy, u Perraulta, Grimmów i t. d., aby w końcu poruszyć pytanie o pochodzeniu wątku, o tem, jak bajki powstają i jak się szerzą: rzecz, zakrojona na bardzo obszerne rozmiary, poważna i pouczająca, jak wszystko, co wytrawnemu pióru autora zawdzięczamy; uwzględnianie najdalszych źródeł i literatur jest jego właściwością; przy powieści o przemianach ludzi w zwierzęta nie uwzględnił tylko studyum K. Weinholda w rocznikach akademii berlińskiej.

Skromniejsze jest studyum z literatury ludowej dr. St. Ciszewskiego, „Bajka o Midasowych uszach”, zestawiające waryanty tej po całym świecie krążącej powiastki i starające dobić się podkładu życiowego, na jakim bajka taka urość mogła; powiodło się to autorowi, chociaż ani miejsca, ani czasu powstania wątku takiego dokładniej nie oznaczył, wierny sceptycznemu zapatrywaniu na granice wiedzy i badań, lecz rzecz nieco utrudnił, splótłszy z motywem

o uszach oślich i zdradzeniu tej tajemnicy motyw z dziedziny sztucznego pokrewieństwa (przez pożywanie tegoż samego mleka macierzyńskiego).

Kilka innych rozpraw pomijamy, między niemi wyborne studyum polemiczne prof. Tretiaka o Jeźdźcu śpiżowym Puszkina i jego tendencyach.

Wymienimy natomiast „Słownik Gwar Polskich" dr. Jana Karłowicza, którego tom pierwszy (litery A—E) również jubileuszowi poświęcony. Mieliśmy dotąd mnóstwo drobnych, rozproszonych po nieskończenie wielu publikacyach „słowniczków, przyczynków, spisów" i t. d. „prowincyonalizmów, słów narzeczowych i t. d., istny chaos poprawnych i wątpliwych pozycyi, których ani ogarnąć, ani kontrolować sposobu nie było. Dr. Karłowicz, poświęciwszy w ostatnich latach zupełnie u nas zaniedbanemu polu leksykografii znakomite swe siły (jemu zawdzięczamy Słownik wyrazów obcych, doprowadzony do litery Ł, i spółpracownictwo w Słowniku Warszawskim), walną tę lukę zapełnił. Słownik jego obejmuje nie tylko wyrazy, ale i formy ludowe odrębne; daje obszerne wypisy z tekstów; poprawia i kontroluje jednego zbieracza czy zapisywacza zapomocą drugiego, nie wdając się zresztą w specyalne objaśnienia, które byłyby rzeczywiście zbędne, źródła dawniejsze wyczerpał zupełnie, tylko najnowszych publikacyi nie mógł zawsze uwzględniać, chcąc pracę raz ukończyć. Oto mamy nakoniec trwały podkład dla dalszych badań naukowych, które dotąd na tem polu jakby w powietrzu wisiały.

„Materyałów antropologiczno-archeologicznych i etnograficznych" wyszedł tom IV, obejmujący między innemi powieści ludu polskiego na Śląsku z tek L. Malinowskiego, po trzydziestu latach wydane, ciekawe formą głównie, ale i treścią wcale różnorakie; dalej studyum Cerchy o wsi Przebieczanach pod Wieliczką, o ludzie i życiu jego, o mowie i wierzeniach, pieśniach i zabawach, dokładne a obfite, dr. Talki-Hryncewicza paleoetnologiczne studya o mogiłach ukraińskich i Azyi wschodniej, wreszcie dr. Demetrykiewicza o przedhistorycznych koronach bronzowych (przeznaczonych na włosy, jako spięcie, nie na czoło) i o wykopaliskach w Trembowelskiem.

Z Rozpraw historyczno-filozoficznych wyszły trzy nowe tomy, XXVIII i następne. Zapełniają je głównie prace Prochaski, Piekosińskiego i Potkańskiego. Prochaska, jak zawsze, zajęty stuleciem XV, Piekosiński—kwestyami prawnopolitycznemi i heraldycznemi; Potkański opuścił narazie historyczno-etnograficz-

ne badania prawieku i zwrócił się do wieku XIV; tu usunął nam znowu legendę efektowną, o Wincentym z Szamotuł i jego zdradzie, o mściwem naprowadzeniu Krzyżaków na nieszczęsną Wielkopolskę — tradycya pomawia go niesłusznie o jakąś wyjątkową zbrodnię; spiskował on sobie chyba z margrabiami brandenburskimi, tak, jak i inni wtedy; reszta studyów Potkańskiego poświęcona szczegółom mniejszego dla szerszej publiczności znaczenia, walce o Poznań 1312 r., datom zjazdów koszyckich i t. d.

Prochaska wytoczył nanowo sprawę warneńską; wyjaśnił, że efektowne wykrzykniki o złamaniu zaprzysiężonego z Turkami przymierza, o krzywoprzysięstwie niby króla i kardynała Cezariniego i karze, za to poniesionej, są wierutnym fałszem: tureckie źródła nigdy o tem ani słówkiem nie napomykały, nieporozumienie u Długosza a kłamstwa Kalimachowe dla oczernienia papieża i legata wywołały tę bajkę; były traktaty pokojowe poza plecami Władysława, ale on ich nigdy nie przyjmował ani nie potwierdzał. Klęska nastąpiła mimo nadludzkiej waleczności Władysława z powodu podłej ucieczki Węgrów: a tak znowu o jedną legendę mniej.

Z trzecią legendą uporał się Piekosiński: praca o statucie litewskim, bardzo obszernie zakrojona, wykaże bowiem, że statut ten — to nie rodzime litewsko-ruskie prawo, za jakie go uważają, ale prawo polskie, przeniesione z kulturą łacińską na Litwę; narazie wydrukował uczony prawnik tylko część pierwszą, w której wymienił wszystkie artykuły wszystkich ustaw i statutów litewskich.

Czwartą legendę usunął młody badacz, hr. dr. St. Badeni, wykazawszy w monografii o St. Ciołku, biskupie poznańskim, że księży husyckich w Zbąszyniu nie spalono, jak Długosz twierdzi, że akta kapitulne nic a nic o tem nie wiedzą, i wdzięczniśmy mu bardzo, że tę obrzydliwość z dziejów naszych nakoniec usunął. W pracy swej pomija autor Ciołka - literata; interesuje go tylko człowiek, dworak i biskup, ale przedewszystkiem sam kościół, stosunki w kapitule, obyczajność kleru, stan sądownictwa duchownego, wyłaniające się więc głównie sprawy socyalne i ekonomiczne na podstawie aktów konsystorskich poznańskich. Obfituje ta praca w ciekawe przyczynki dla historyka kultury; czytamy o praktykach guślarskich, by piwo się dobrze szynkowało, albo aby złodzieja wyszukać; dowiadujemy się, że dobrzy ludzie, jeśli nie grali o pieniądze, to grali choć o czubienie się za włosy („niechajnego" grali, pewnie musiał przegrywający długo tego „niechaj" za włosy słuchać): nawet historyk literatury uraczy się owym wikarym, co w szynku

z kazań proboszczowych się naśmiewa i pisze wiersze skandaliczne, które potem z ambony głosi i t. d.—byłby tu niejeden rys i dla „Krzyżaków” się odnalazł.

Z młodszych pracowników wstępuje w szranki obok hr. Badniego Stanisław Kętrzyński ze staranną i gruntowną pracą o Kazimierzu Odnowicielu — i on przeczy legendzie o mnichowstwie, ale nie on pierwszy legendę tę usunął.

Z dawniejszych witamy po raz ostatni Lewickiego, jego „Unia florencka w Polsce” jest wydaniem pogrobowem, fragmentem obszerniejszej pracy, której już nie mógł wykończyć, a żałujemy bardzo, bo rzecz ciekawa, szczególniej przez wystąpienie nowego, żarliwego zakonu, braci kapistrańskiej, bernardynów, jako misyonarzy na Litwie i Rusi.

Wreszcie wymienimy obszerną i gruntowną rozprawę dyrektora dr. Wojciecha Kętrzyńskiego „O Słowianach, mieszkających niegdyś między Renem a Łabą, Salą i Czeską Granicą” (z mapami), przynoszącą wiele ważnych wiadomości, chociaż na główne jej wyniki zgodzić się nie możemy. Punkt wyjścia jej stanowi teorya, pokutująca już od czasów Jak. Grimma, jakoby nazwy Swewów a Słowów, t. j. Słowian były identyczne, jakoby Swewowie byli więc Słowianami, nadwerężonymi w walkach rzymskich, podbitymi przez Germanów, ze Skandynawii wyszłych; on uważa za Słowiaa i Markomanów, i Longobardów i t. d. — nie tu jednak miejsce rozprawiać się z podstawami tych wniosków; zaznaczymy tylko, że praca dyr. Kętrzyńskiego przynosi bardzo cenny materyał do oznaczenia dawnych siedzib słowiańskich, sięgających w średnich wiekach niesłychanie daleko w głąb Niemiecczyzny, do Frankonii i Bawaryi z jednej, a do Hesyi z drugiej strony: opactwo fuldajskie i biskupstwo bamberskie ze Słowianami miały stale do czynienia i dla Słowian poczęści je nawet erygowano.

Nie dobiliśmy jeszcze do brzegu; należałoby wymienić wydawnictwa Komisyi prawniczej, w których po tomie trzecim (obejmującym średniowieczne pomniki prawne w dawnych przekładach polskich) wyszedł czwarty z przedrukiem Statutu litewskiego; dalej wydawnictwa Komisyi historyi sztuk pięknych z tylu ciekawemi rozprawami, referatami i illustracyami; dalej zbiorowe prace innych instytucyi naukowych, np. „Księgi Pamiątkowej Uniwersytetu Lwowskiego ku uczczeniu 500-ej rocznicy fundacyi jagiellońskiego uniwersytetu krakowskiego” (z pracami Abrahama o Muskacie, biskupie krakowskim; Porębowicza o tryadach-trójcach Krasińskiego, jak wcielał heglowskie koncepcye w formy arty-

styczne; Ćwiklińskiego o humaniście — lekarzu poznańskim, Stanisławie Czarnym; Kołesy o rytmiczności języka polskiego i t. d. i t. d.) albo zbioru prac uczniów uniwersytetu krakowskiego. Lecz nie sposób przemilczeć o jednem jeszcze wydawnictwie, odbiegającem napozór jak najdalej i od Krakowa, i od jubileuszu uniwersyteckiego, a mimo to jemu poświęconem: wyszły nakoniec zebrane niegdyś przez ks. Antoniego Juszkiewicza „Melodye ludowe litewskie"! Jeżeli w ciągu naszego sprawozdania mieliśmy sposobność wspominania trzech przedwcześnie zmarłych badaczy, Lewickiego, Malinowskiego i Wisłockiego, to tutaj na karcie tytułowej jest cała nekrologia: bo obok zbieracza, dawno (r. 1880 jeszcze) zmarłego, niegdyś wikarego w Wielonie nad Niemnem, i dwaj inni, którzy ów zbiór przeszło półtoratysiąca melodyi oryginalnych opracowywali, śmiercią zgaśli przedwczesną, Oskar Kolberg i Izydor Kopernicki. Dopiero prof. Jan Baudouin de Courtenay i Zygmunt Noskowski dokończyli dzieła i wydali tom pierwszy jego, obejmnjący 1785 melodyi — skarb dla muzyka i folklorysty; aby go całemu światu przystępnym uczynić, dodał wydawca przekłady wstępu i innych uwag niemieckie. Zaznaczamy samo wydawnictwo, niech sędzia kompetentny oceni jego zasoby, które nauka polska dla świata odkryła.

Jak na jeden rok i na jedną instytucyę, plon to chyba nadzwyczaj bogaty i rokujący najświetniejsze nadzieje pracy intensywnej, przynoszącej coraz większe i cenniejsze plony, odkrywającej dzielność i zasługi przodków, a zasoby teraźniejszości. Zapełniają się powoli a statecznie luki i karty napoły puste czasów minionych i dzisiejszych; uprzątają się myłki i potwarze, przez stulecia nagromadzone i powtarzane; wzmacnia się i tężeje samowiedza, a chociaż nas nie stać na coraz nowe jubileusze i uroczystości, dobiliśmy się gwarancyi, że się pogłębia i wydaje owoce. Tuszymy też niechybnie, że wypadnie nam niebawem w „Ateneum" o nowych, doniosłych pracach i o wysiłkach ich z łaskawym czytelnikiem pomówić.

A. Brückner.



Z NIEZNANYCH AUTOGRAFÓW

ADAMA MICKIEWICZA.

III.

„GOETHE I BYRON".

Zmarły przed kilku laty w Żytomierzu Jan Prusinowski, prawnik i literat, ogłosił w Nr. 110 z d. 27 kwietnia 1860 roku, wychodzącej w Warszawie „Gazety Codziennej", zamienionej za redakcyi J. I. Kraszewskiego na „Gazetę Polską", rozprawę akademicką Adama Mickiewicza p. t. „Goethe i Byron".

W liście do redakcyi Prusinowski nazywa tę rozprawę młodocianą pracą Mickiewicza i między innemi pisze: „Rozprawa ta widocznie jest niewykończoną i nieskończoną i w rękopisie, pochodzącym od kolegi Adama, p. Jeżowskiego [1]), a znajdującym się obecnie u p. Leokadyi Kopernickiej na Podolu, jest jeszcze kilka kartek niezapisanych. Pomimo to wstęp niniejszy zdaje mi się zasługiwać na wiadomość publiczną".

---

1) Wspomniany w poprzednim artykule Józef Jeżowski, profesor uniwersytetu moskiewskiego.

Rozprawa ta weszła potem do następnych wydań pism poety, a z warszawskich edycyi znajdujemy ją poraz pierwszy poprawioną według autografu, lecz bez uwzględnienia wyrazów i zdań przekreślonych, w tomie IV-ym „Poezyi Adama Mickiewicza". (Nowe wydanie, z życiorysem autora, skreślonym przez Piotra Chmielowskiego. Warszawa, Gebethner i Wolff. Petersburg. Br. Rymowicz, 1888 r.).

Dziś autograf tej rozprawy, złożony z pięciu kart zapisanych, a jednej tylko czystej, znajduje się w bibliotece Kronenbergów w Warszawie.

Prusinowski nazywa rzecz o Goethem i Byronie „młodocianą rozprawą akademicką"; czas przeto jej napisania przypadałby może na ostatnie lata pobytu poety w uniwersytecie wileńskim. W wydaniu paryskiem „Pism Adama Mickiewicza" z roku 1861 artykuł ten podany jest jednak bez wskazania daty i miejsca jego powstania; w powołanem zaś wydaniu warszawskiem z roku 1888 w końcu, bez żadnego objaśnienia, dodano: „Około 1826 r.", a zatem w kilka lat po skończeniu uniwersytetu, za pobytu Mickiewicza w Moskwie [1]).

Prusinowski nie podaje również żadnych objaśnień, dlaczego rozprawę tę odnosi do „młodocianych", uniwersyteckich lat poety. Przypuścić tylko można, że wiadomość tę, poniekąd niedokładną, posiadł był od Jeżowskiego. Czy więc bliższym prawdy jest Prusinowski, czy wydawcy warszawscy „Poezyi" z r. 1888?

Prof. Chmielowski, który, nawiasem powiedziawszy, prócz skreślenia życiorysu poety, innego udziału w wydawnictwie tem nie miał, w szerokiej i gruntownie napisanej rozprawie rozbiera estetyczno-krytyczne poglądy Mickiewicza zawarte w różnych jego pismach. Porównywając zaś poglądy te, wyrażone w przedmowie do I-o tomu pierwszego wydania „Poezyi" (Wilno, 1822 r.) z myślami rozwiniętemi w rozprawie o „Goethem i Byronie", dochodzi do bardzo logicznego i trafnego wniosku, że „poeta nasz znacznie już zmężniały i coraz samodzielniejszy rozprawę tę napisał prawdopodobnie w Moskwie roku 1826" [2]).

---

[1]) W wydaniu tem przy przedruku tej rozprawy mylnie podano datę „Gazety Codziennej" 26 zamiast 27 kwietnia 1860 r.

[2]) „Estetyczno-krytyczne poglądy Adama Mickiewicza" w Pamiętniku Towarzystwa literackiego im. Adama Mickiewicza we Lwowie. Rocznik III. Toż samo w książce: „Estetyka Mickiewicza przez d-ra Piotra Chmielowskiego". Lwów. 1898.

Za tą wskazówką prof. Chmielowskiego poszli też wydawcy warszawscy, położywszy datę powyższą przy rozprawie o „Goethem i Byronie". A za nią przemawia może i trochę światła na sporną kwestyę rzuca fakt, że oddzielnie od tekstu polskiego istnieje autograf poety o „Goethem i Byronie" w języku francuskim, prof. Chmielowskiemu wówczas nieznany i dotychczas nieogłoszony drukiem. Znajduje się on w Muzeum narodowem krakowskiem w dziale pamiątek mickiewiczowskich pod liczbą inwentarza 1742.

Trudno dziś twierdzić napewno, czy Mickiewicz artykuł francuski skończył czy nie, czy go opracował w tym samym zakresie, co rozprawę polską, czy go napisał wpierw po francusku, a potem po polsku. Zdaje się jednak, że poeta skończył na tym urywku francuskim, który nas doszedł, i że dalszej pracy zaniechał, bo inaczej zachowałoby się w posiadaniu Jeżowskiego więcej, niż ta jedna kartka. Z porównania zaś obu tekstów wynika, że artykuł francuski zawiera kilka tychże samych myśli o poezyi, które znajdujemy w rozprawie polskiej, z opuszczeniem lub dodaniem pewnych wybitnych zdań lub wyrazów. Odmienną też jest redakcya tekstu francuskiego, bo autor przestawił porządek wielu okresów.

Nastręcza się kilka przypuszczeń: może poeta po napisaniu rozprawy polskiej, zamierzał skreślić obszerniejszą rzecz po francusku i wciągnął do niej kilka wstępnych myśli z rozprawy polskiej; albo też postąpił odwrotnie i kilka uwag, napisanych po francusku, skreślił następnie w artykule polskim? Jest to jednak zupełnie obojętne, czy oświadczymy się za jednem czy za drugiem przypuszczeniem. Ważniejszem będzie może zastanowić się: kiedy, w jakim celu i wśród jakich okoliczności poeta począł rzecz o „Goethem i Byronie" pisać po francusku?

Jeżeli choć na chwilę oprzemy się na twierdzeniu Prusinowskiego, że rozprawa o „Goethem i Byronie" jest „młodocianą" pracą Mickiewicza, to należy dojść do wniosku, że i artykuł francuski powstał za czasów uniwersyteckich w Wilnie. Celem jego napisania była zapewne chęć wprawienia się w naukę języka francuskiego. Tenże sam zamiar, daleko prawdopodobniejszy, istniał też, jeżeli pójdziemy za zdaniem prof. Chmielowskiego, że poeta rozprawę tę skreślił w Moskwie roku 1826. Może wówczas pragnął przeczytać coś na zebraniach u ks. Zenejdy Wołkońskiej i w tym celu wybrał temat, któryby mógł żywo zająć gromadzące się tam towarzystwo, temat o dwu wielkich geniuszach współczesnych. Nie wyłącza to jednak przypuszczenia, że i wtedy począł pisać tę rozprawkę dla wprawy w języku francuskim.

Wiadomo, że z posady starszego nauczyciela kolegium Richelieu'go w Odesie przeniesiono Mickiewicza do kancelaryi moskiewskiego jeneralnego gubernatora. W owym tedy czasie poeta, przebywając często na zebraniach i ucztach, wydawanych przez Rosyan, zmuszony posługiwać się francuszczyzną, wprawiał się ciągle i wydoskonalił w tym języku. Nieraz też improwizował po polsku wierszami, po francusku prozą.

Dla wprawy zapewne pisał też po francusku zatraconą dla nas „Historyę przyszłości", o której Odyniec w liście z Petersburga w d. 21 maja r. 1829 z zachwytem donosząc Julianowi Korsakowi o treści tego fantastycznego dzieła, dodaje, że Adam ma już napisanych przeszło 30 arkuszy [1]).

Doskonaląc się we francuszczyźnie poeta miał może wreszcie na widoku i pewien cel praktyczny, nosił się bowiem od pewnego czasu z myślą pozyskania miejsca tłómacza w kolegium spraw zagranicznych. Z dokumentów, ogłoszonych przez prof. Wierzbowskiego [2]), wiadomo, że Mickiewicz, wyjechawszy z Moskwy za urlopem do Petersburga, starał się tam z powodu nadwątlonego zdrowia o wyjazd za granicę do łagodniejszego klimatu. „Niezdolny do dalszego pełnienia obecnej służby — pisze on w swem *curriculum vitae*, dołączonem do prośby z d. 3/15 stycznia r. 1829 — a mogąc się obejść bez pensyi, uprasza tylko o łaskę, ażeby był przykomenderowany do którego z naszych poselstw albo konsulatów we Włoszech, Francyi lub Hiszpanii, w razie zaś, gdyby ta prośba uwzględnioną nie była, domaga się prawa składania egzaminu na posadę tłómacza, wakującą w tej chwili w kolegium spraw zagranicznych".

Wszystko więc zdaje się przemawiać za tem, że Mickiewicz pisał rozprawę francuską dla wprawy w tym języku, potrzebę zaś wydoskonalenia się w nim mógł odczuwać zapewne i wcześniej, niż za pobytu w Moskwie; nadto, że jedną i drugą napisał prawie jednocześnie lub w niezbyt oddalonym czasie, czy to za pobytu w uniwersytecie wileńskim, czy też później. Stwierdza to wreszcie i ta okoliczność, że obie rozprawy pisane są na jednakowym papierze, jednakowego prawie formatu ($22^1/_2 \times 17^1/_2$ cm.) i że obie znajdowały się w posiadaniu Józefa Jeżowskiego.

Podajemy poniżej tekst francuski według pisowni dzisiejszej.

---

[1]) Listy. T. I, str. 59 i n.

[2]) Przed wyjazdem za granicę. (Przyczynek do biografii Adama Mickiewicza). „Kuryer Warszawski". Numer noworoczny z r. 1900.

Göthe et Byron.

„La plupart des theoriciens longtemps regardaient la poésie comme un arbre du monde primitif, en ayant pris[1]) sa naissance sur le sol vierge de la nature[2]), fleurit et porta ses plus beaux fruits[3]) dans l'enfance des societés. D'après leurs hautes facultés intellectuelles, sans [4]) arrêter en même temps l'essor de son imagination, et emousser sa sensibilité, ainsi les poëtes modernes, incapables de rien créer par eux même, devraient se borner à imiter les anciens.

Ce precepte d'imitation fut pourtant enoncé d'une manière vague et indefinie. Les uns voulaient tout simplement copier les ouvrages de l'art que l'heureuse antiquité nous a laissé, les autres un peu plus libéraux parlaient encore de la belle nature et du coeur humain. Ils permettaient aux poëtes d'observer cette nature et d'en retracer les beautés, pourvu. qu'ils fassent leur voyage pittoresque d'après l'itinéraire transmis par les rhéteurs anciens, et qu'ils enfermassent leur fable dans les cadres, dont [5]) toutes les dimensions furent prescrites d'avance, ou permettaient d'étudier le coeur humain [6]); mais les passions qui agitent la société moderne devaient toujours avoir la marche, la force et le langage qu'elles avaient il y a deux mille ans, en un mot: les théoriciens admettant la necessité d'inventer de nouveaux [7]) sujets pour la poésie enjoignaient de les traiter d'après la méthode des anciens [8]); il appellaient cela en terme d'école: modeler la manière moderne d'après la forme antique.

Les ouvrages de l'art ancien une fois proclamés comme seuls et uniques modèles de perfections, il s'en suivit que [9]) les remarques suggerées par l'observation de ces modèles et rédigées en système devaient être regardées comme autant de règles éternelles et immuables [10]).

C'était aussi la faute des législateurs anciens; les Lycurgues et les Solons[11]) ne voulaient jamais admettre la possibilité d'un changement dans la constitution du pays, ne prevoyant pas que la loi la plus juste [12]) et qui répondait aux besoins

---

1) Przekreślono: prennait.
2) „ l'antiquité.
3) „ pendant.
4) „ affaiblir en même temps.
5) „ la grandeur.
6) „ mais il fallait toujours.
7) „ par... que.
8) „ ou pour employer les termes d'école.
9) „ les règles basées sur les observations.
10) „ c'était la faute commune à tous législations politique de l'antiquité. J'ai les...
11) „ tachaient.
12) „ motivée par les besoins de l'état social.

actuels de l'état devrait absolument [1]) avec le temps subir les changement ou les modifications exigés par le moment social du même état [2]).

Il y a lieu à s'étonner, que les artistes mêmes finirent par partager l'opinion des hommes à système sur la stérilité de notre siècle L'histoire, disait-on [3]) montre à l'évidence la destinée du genre humain; chaque nation passait par l'enfance, attegnait l'âge virile et tombait dans la décrépitude [4]). Les ouvrages de l'art portent l'empreinte de ces différentes époques. Nous sommes arrivés à l'époque de la vieillesse, notre siècle est celui de la raison, du calcul [5]), c'est un siècle de la prose.

Dès lors les poëtes poussèrent un cri de détresse: en France aussi [ils] se plaignaient hautement, qu'il leur manquait des sujets poétiques. Voltaire, lui même regardait [6]) quelques genres de poésie comme epuisés. La Motte et Buffon ne pouvaient consevoir la manie de faire des vers et y voyaient le reste de barbarie qui devait bientôt disparaître. Enfin les journaux et les gazettes de France [7]) ôtent aux poëtes la dernière espérance, en avouant, qu'il n'est plus possible de les lire, la [8]) France étant trop occupée de choses [9]) beaucoup plus graves: de la politique de l'intérieur [10]) et des débats de [11]) deux chambres. La plus fausse opinion, énoncée d'un ton dogmatique et soutenue pendant un long temps, ne manque pas d'acquérir une certaine autorité jusqu'à quelle soit démentie par les faits [12]). C'est alors que les philosophes [13]) parviennent facilement à la detruire.

Les évènements qui suivirent la révolution française ont démontré [14]) l'impossibilité d'application de plusiers théories politiques et l'école moderne de législation en a demontré la fausseté. Dès que les chef-d'oeuvres de poésie anglaise et allemande ont fixé l'attention et excité l'enthousiasme de l'Europe, l'autorité des théories scholastiques a cessé par le fait et il est devenu facile aux esthéticiens d'en ruiner les derniers fondements.

En vérité, si les individus et les nations sont assujeties aux lois organiques, en passant de l'enfance à la vieillesse et à la mort, le genre humain pris en masse est encore trop jeune, son histoire est trop incomplète pour que l'on puisse prédire son futur divin. Le genre humain en faisant des progrès continuels dans

---

1) Przekreślono: changer par le mouvement social du même état... subir..
2) „ l'opinion des hommes à système que notre siècle ne peut rien produire et qu'il n'y a de salut que dans l'opinion... a fini par triompher.
3) „ nous.
4) „ notre... ces differentes époques.
5) „ il de la prose enfin.
6) „ plus.
7) „ offrent.
8) „ le public.
9) „ beau..,
10) Wyraz nieczytelny.
11) Przekreślono: chambre.
12) „ évènements.
13) „ achevant.
14) „ la nullité des plusiers théories politiques.

la carrière de civilisation a cependant conservé toujours ses facultés innes de l'imagination et du sentiment, il n'est pas donc privé de l'organe de poésie.

On trouve dans le monde des nations prosaiques et dans l'histoire des époques prosaiques, ce n'est pas la faute[1]) d'une civilisation trop avancée, trop vieillie, mais plutôt d'une civilisation incomplète, partielle et manquée sous quelques rapports".

. . . .

Na boku obcą ręką dopisano:

„Autograf Adama Mickiewicza od kolegi jego szkolnego Jeżowskiego dostałem.

K. (onstanty) Wołodkowicz".

Leopold Méyet.



[1]) Przekreśono: lumières trop repandues.

ARNOLD BOCKLIN.

Arnold Böcklin umarł... Zgasło jedno z najpotężniejszych słońc, które świeciły sztuce w ostatniej dobie. Bywa czasem, że jakaś gwiazda świetna, przez kataklizm potężny, który kędyś w bezkresach łamie i tworzy światy, gaśnie. A wtedy, dzięki przestrzeniom olbrzymim, ktore ją od ziemi oddzielają, ostatnie fale światła, z łona jej przed samym skonem wychodzące, płyną ku nam przez lat dziesiątki, i przez lat dziesiątki myślimy, że gwiazda żyje. Geniusz to odległość bezmierna między wielkim twórcą a tłumem. Gdy więc jakaś wielka gwiazda twórcza umiera, wieki jeszcze płynie ku tłumom jej światło, wieki jeszcze żyje ona dla tłumu życiem pozagrobowem, nieraz stokroć świetniejszem i promienniejszem, niż zwykłe ziemskie. Taka przepaść geniuszu leżała między tłumem a Böcklinem; twórca odszedł, lecz długo jeszcze nam świecić będzie ten ogień, który na niebie sztuki natchnieniem swem i pracą swoją rozpalił.

Daty z życia wielkich ludzi mają dla nas znaczenie o tyle tylko, o ile w twórczości ich stanowią jakieś punkty zwrotne, punkty, w których zaznaczyła się najwyraźniej, najznamienniej zmiana poglądów lub przekształcenie rodzaju ich sztuki. Dla życia Böcklina kilka tylko dat ma to szczególne znaczenie.

Według świadectwa własnego, Arnold Böcklin urodził się d. 16 października 1827 roku w Bazylei. Ojciec Böcklina, kupiec oraz fabrykant wstążek jedwabnych, marzył o synu, jako następcy swoim w uczciwej i poważanej firmie. Skłonności do malarstwa, jakie okazywał ów domniemany spadkobierca sklepu i fabryki, ojciec starał się wyzyskać w sposób praktyczny, w nadziei, że poczucie koloru pomoże Arnoldowi do wyrabiania bardzo pięknych wstążek. Między synem a ojcem wybuchła walka, jedna z tych, które nieraz bywają przekleństwem dla sztuki. Tym razem, na szczęście, z czułych szpon terroryzmu rodzicielskiego syn wyszedł zwycięsko.

W jaki sposób do duszy tego syna kupieckiego dostały się nasiona geniusza sztuki, trudno dociec. Nie mamy pód ręką żadnych materyałów, dotyczących rodziny Böcklinów. Może już ten duch linii i barw błąkał się po duszy któregoś przodka artysty, może umarł, przygnieciony foliałami „ksiąg głównych", zduszony więzami wstążek jedwabnych? Kto odgadnie? Bazylea, jakkolwiek miasto, żyjące handlem tylko i przemysłem, nie była jednak gruntem tak jałowym, aby w nim ziarno sztuki wykiełkować nie mogło. Bajeczna przyroda alpejska z brylantami lodowców, błękitami jezior i tęczowemi oponami mgieł była i jest niewyczerpaną skarbnicą piękna i natchnień. Zresztą Bazylea ma swoje tradycye. Była ongi „kolonią" Rzymu; leżała na szlaku, którym duch Romy kroczył do ziem odległych Galii zaalpejskiej; te resztki tradycyi klasycznych muszą tkwić w jej murach, wiać w jej atmosferze. A dalej szczyci się ona tem, że przez pewien czas dawała przytułek Holbeinom. Tu przeniósł się ongi Hans Holbein starszy z synami, tu słynny Hans Holbein młodszy tworzył czas pewien i zostawił po sobie cenne pamiątki; wszak Meyer, znany ze sławnej „Madonny", był burmistrzem Bazylei, i na jego to zamówienie Holbein malował swoje nieśmiertelne płótno. Wśród tych wspomnień, tych tradycyi, których wiecznie żywe pomniki widział w muzeum miejskiem, wśród tej wiecznie młodej i pięknej przyrody błąkał się młodociany geniusz, marząc o sztuce. I te pierwiastki natury, wspomnień holbeinowskich i tradycyi klasycznych pełne, utkwiły w duszy jego nazawsze. Nie wygryzł ich romantyzm; połączył się tylko z nimi, tworząc dziwnie piękną, dziwnie nową całość.

Namowy matki oraz przyjaciela, germanisty Wackernagla, zwyciężyły opór ojcowski. Rok 1846 jest najgłówniejszą może datą w życiu Böcklina: od tej chwili poświęca się on wyłącznie sztuce. Pierwszym mistrzem jego, nie licząc jakiegoś skromnego nauczyciela rysunków w Bazylei, był idyliczny pejzażysta Calame w Genewie.

Lecz widocznie w duszy Böcklina już kiełkowały inne, jemu tylko właściwe świeże ziarna, bo nie długo bawił nad Lemanem i pociągnął do szkoły Schirmera do Düsseldorfu. Schirmer był wonczas jednym z pierwszych pionierów romantyzmu w malarstwie, romantyzmu, stanowiącego gwałtowny protest, reakcyę przeciw neoklasycyzmowi, którego wyrazem ostatecznym był Cornelius i Wilhelm Kaulbach. Poza i toga obrzydły sztuce, nowy duch stawiał nowe wymagania. Jeśli imię artysty z Düsseldorfu utonęło dość szybko w mgle zapomnienia, to nie dlatego, że droga, którą szedł, była fałszywa, lecz, że talent jego nie miał sił sprostać zadaniu. Jakkolwiekbądź, zgadzają się biografowie Böcklina na jedno: Schirmer niewątpliwie rozbudził w uczniu swoim te może już istniejące, lecz jeszcze nieuświadomione dążenia, którym pozostał wierny prawie przez cały długi szereg lat swego życia artystycznego. I u Schirmera nie długo siedział Böcklin. Jego niespokojny, cygański duch pędził go dalej, ku odkryciu nowych światów. Krótki czas bawił w Antwerpii, przez pół roku studyował i kopiował w Brukseli Rubensa i Holendrów, wreszcie udał się do Paryża. Te ciągłe wędrówki miały dla niego znaczenie ogromne. Z różnych stron, z różnych ognisk sztuki brał różne kruszce, aby je przetopić później w jedną bryłę nowego, pięknego a swego własnego metalu.

Paryżowi zawdzięcza Böcklin wiele. Tam może po raz pierwszy widział, co to jest kolor, światło i powietrze w obrazie, tam wstrząsnęła nim po raz pierwszy może tragedya życia. Pod jego oknami stawiano barykady, między które sam dostał się raz przypadkiem; przed jego oczyma odegrał się ogromny w swym tragizmie akt dramatu dziejowego, —lały się strumienie krwi i padały martwe ciała w walce za ideę. Kto wie, czy „Wojna", malowana po pięćdziesięciu blizko latach ręką starca, nie nosi piętna tych wrażeń, które targnęły wyobraźnią młodzieńca?

Bankructwo ojca, a może i te potoki krwi, na które już za długo patrzał, zmusiły go do opuszczenia Paryża. Krótko bawił w mieście rodzinnem. Nie miał tam co robić. W domu ojcowskim bieda, której ulżyć nie mógł, w mieście—atmosfera handlu, drobnomieszczaństwa i obojętności dla sztuki: dusił się.

Teraz pociągnął do Rzymu, do którego z Niemiec biegło wszystko, co było w sztuce lepszego. Tam siedział Cornelius, tam walczył z nędzą Feuerbach, tam wydzierał pomnikom starożytności tajemnice kształtu — Begas. Do nich, a raczej do ich wspólnej pracy i wspólnej nędzy, przyłączył się Böcklin. Nie opuszczała go ta nędza przez cały czas pobytu w Rzymie, walczył z nią przez sześć lat

(1850 — 1856). Położenie jego pogorszyło się jeszcze — przez miłość. Tu pokochał cudnie piękną Rzymiankę Angelinę Pascucci, która stała się jego nieodstępną towarzyszką życia, prawdziwą żoną - przyjacielem. Lecz w walce z nędzą uległ. Nie wyciągnęła go z niej sprzedaż jednego z pierwszych jego więcej znanych obrazów „Pan w sitowiu". Zawsze dumny, zawsze nieugięty, nie schlebiający gustom tłumu, nie zniżający się nigdy do jego poziomych wymagań, należał do tych, co nie umieją zarabiać, łamiąc siebie i swego ducha. To też tłum ten przez szereg lat ruszał ramionami przed jego dziełem i dopiero w ostatnim właściwie dziesiątku lat schylił dumną swą własną głupotą głowę przed geniuszem. Z Rzymu, a zwłaszcza z późniejszych swoich wędrówek po Włoszech, po wykopaliskach Pompei, wyniósł Böcklin to, czego nikt przed nim w stopniu takim nie odczuł.

Następne lata spędza Böcklin w Monachium, gdzie nie opuszcza go przyjaciółka—nędza. W dodatku dwoje dzieci zapada mu na tyfus. Na szczęście chwilowo los mu się uśmiecha. „Pan w sitowiu" w nowym układzie, wystawiony w roku 1857, zwraca uwagę na nieznanego dotychczas artystę i zostaje zakupiony przez Pinakotekę monachijską. Nędza odwraca się na chwilę od niego. Niemal jednocześnie otrzymuje Böcklin zamówienie na malowidła ścienne dla pałacu konsula Wedekinda w Hannowerze. Nieporozumienia z „mecenasem" stanęły na przeszkodzie zupełnemu wykonaniu obstalunku, ale w tych obrazach (malowanych „temperą"), które wykończył, tkwią już pewne ziarna pomysłów, które w dalszym ciągu swej pracy artystycznej Böcklin zużytkował na chwałę sztuki i — swoją.

Franz Herman Meissner, autor dwu studyów o Böcklinie, dzieli twórczość jego na cztery czy pięć okresów, motywując podział swój różnością „sposobów" czyli stylów (*seconda maniera*, *tertia maniera* i t. d.), które dają się dostrzedz w płótnach Böcklina z rozmaitych epok. Czasem wystarcza biografowi dla charakterystyki okresu przewaga jakiegoś tonu w obrazach mistrza: „blaue Werke" np. mają charakteryzować „styl trzeci". Taki podział wydaje mi się dowolnym. Za podstawę podziału na okresy powinna być przyjęta nie „maniera", którą Meissner stawia tak wysoko, lecz tendencya, która daje się w dziełach malarza wyczuć. Za podstawę klasyfikacyi powinny być przyjęte dążenia artysty, charakter, duch jego dzieł, ten duch, którego konsekwencyą i wyrazem jest pewna „maniera", przewaga pewnego motywu lub nawet kolorytu. Wychodząc z tego założenia, należałoby podzielić twórczość Böcklina na dwa tylko okresy: do roku 1860 i po roku 1860. Pierwszy okres —

to okres walki z samym sobą, okres niejasnych dążeń i przeczuć, okres wpływów rozmaitych, kiedy to w artyście walczy romantyzm mglisty Schirmera z żywym kolorytem życia Francuzów, bujność Rubensa z powagą klasycznej Romy: to okres szukania samego siebie. Od roku 1860 Böcklin staje się już sobą i sobą pozostaje do końca.

Ta ostatnia data ma w życiu i twórczości Böcklina znaczenie ogromne. Zawiązują się wtedy, dzięki wspólnemu przyjacielowi Pawłowi Heyse, stosunki między nim a hr. Schackiem, który miał się stać odtąd dobrym duchem artysty, wtedy wraz z Lisztem, Genellim, Lenbachem, Begasem i innymi zostaje zaproszony na profesora do Weimaru, gdzie książę Karol Aleksander pragnie wskrzesić złote czasy Goethego, wtedy powstaje słynne dzieło Böcklina „Pan, przestraszający pasterza,“ które uważać należy za punkt zwrotny w jego twórczości, pierwszą rewelacyę jego geniuszu.

Dziwna rzecz: w ciągu szeregu wieków każde odnowienie się, każde odrodzenie sztuki rozpoczynało się od ablucyi w zamarłem źródle klasycyzmu. Chrystyanizm zasypał to źródło. Zniósł ubóstwienie ciała, pogańskie uwielbienie piękna form, na ołtarzu czci postawił ducha. Żyjąca dotąd wyłącznie prawie formą sztuka poczęła dusić się i konać. Ostatnie błyski gasnącej lampy to praerafaelici Fra Angelico i Sandro Boticelli. Trzeba było mieć ich geniusz, aby tak malować ducha, gardząc formą. Ich anioły, Madonny, święci—to pozbawione ciała duchy, idee. Dziwna powiewność, bezkrwistość, jakaś wprost niedostrzegalność form. Renesans wydobył z pyłu zapomnienia, z ruin czasu—ciało. Wyszło na świat promienne siłą i pięknem pogańskiem. To, co wziął z uśpionych światów Hellady—to piękno kształtu. W wieku XVII okazała się znów potrzeba zwrócenia się do skarbnicy piękna klasycznego. Tym razem tragedya francuska naciągnęła kształt grecki do barokowych wymagań wieku, tworząc jakieś bastardy poezyi, które utrzymać się mogły tylko dzięki talentowi poetyckiemu Corneille'a i Racine'a. Na początku wieku XIX-ego Cornelius i Wilhelm Kaulbach starali się znów zapłodnić sztukę nasieniem Hellady. Lecz pedanterya umysłów germańskich w tym świecie zamarłym nie znalazła już nic prócz dokumentów archeologicznych, dla których freski Corneliusa i kartony Kaulbacha służą tylko za illustracye.

Trzeba było mieć dziecinnie prostą duszę Böcklina, aby z popielisk Grecyi i Rzymu wydobyć coś więcej, niż piękne ciała lub dokument historyczny. Zwróćmy uwagę na ten fakt, że wszyscy wielbiciele klasycyzmu przed nim mieli dusze zupełnie lub choć

w części rzeźbiarskie. Rzeźba nauczyła Rafaela malować dusze w ciele, plastyka jest cechą znamienną Michała Anioła, tragedya Racina i Corneille'a to plastyka póz i ruchów, obrazy Corneliusa i Kaulbacha—to kolorowana malowana na płaszczyźnie rzeźba. Böcklin zaś miał duszę nawskroś malarską; wszystko przetapiało się u niego w barwy; stąd też wpływ pierwiastku rzeźbiarskiego świata klasycznego na jego twórczość z musu był wykluczony. To, co Böcklin z niego wziął, co pod kształtem w nim znalazł, to dziecięco-naiwny duch grecki. Politeizm greków, zaludniający całą naturę, przetwarzający ją na jakieś zbiorowisko istot żywych, antropomorfizm, który istotom tym nadał kształt człowieczy, kazał im żyć pełnem życiem natur pierwotnych na tle bogatej, rozbłękitnionej niebem i morzem przyrody,—oto co uderzyło wyobraźnię Böcklina, oto co pchnęło twórczość jego na nowe tory. Pierwszym, szczerym objawem tej twórczości był „Pan, przestraszający pasterza" (w muzeum hr. Schacka w Monachium). W gorący letni dzień, śród skał, drzemiącego może pastucha zbudził pewnie jakiś huk, jakieś może pęknięcie głazu. Pewnie, przetarłszy z niepokojem oczy, ujrzał nad sobą jakiś niewyraźny cypel skalny... Może to nie skała? W naiwnej wyobraźni Greka, budzą się z mlekiem matki wyssane mity. Może to nie cypel? Nie, to nie skała, to... to sam Pan! I „boski strach" chwyta go za pięty i, „zgubiwszy ser i bat", w panicznym strachu pędzi przed siebie na oślep, a za nim sadzą w podskokach wspaniałe wełniste kozły, a za nim leci piekielny chichot Pana... Tu się niczego nie trzeba domyślać, tu wszystko powiedziane z zadziwiającą prostotą, stąd wieje słoneczne piękno naiwnej bajki greckiej.

Dziwne zaiste porywy miewa czasem geniusz! Malując takie płótna, dla których konieczny jest dziecinnie prosty umysł i dziecinnie naiwna dusza, zaczyna Böcklin naraz z zapałem oddawać się studyom nad kwestyą maszyn latających i czyni w tej dziedzinie próby, które, według zdania znawców, mają wskazywać jedyną drogę, mogącą doprowadzić do rozwiązania zagadnienia. Czyni jednocześnie niezliczone doświadczenia z samą techniką malowania i wreszcie dochodzi do jakiejś kombinacyi „tempery" z pewnego rodzaju pokostem czy werniksem, która daje przepych i ogromną trwałość barwom.

Böcklin nie miał żadnych warunków na profesora niemieckiego, duch tułaczy nie dawał mu nigdzie siedzieć długo na miejscu. Po dwuletnim pobycie w Weimarze porzuca akademię i dwór książęcy, aby na nowo przenieść się do Włoch. Tym razem nie ogra-

nicza się na samym Rzymie. Odwiedza Neapol i Capri, błąka się śród odkopanych ruin Pompei, wchłania w siebie przebrzmiałe echa światów zamarłych i do tego stopnia przejmuje się życiem świata klasycznego, że woła: „ależ starożytni nie pragnęli wcale tworzyć antyków!" Bo te wykopaliska to dla niego nie dokumenty przeszłości, to przeszłość sama, która odżyła i która mu stokroć bliższa jest duchowo niż cała współczesność!

Lazury zatoki Neapolitańskiej, lecz nadewszystko tchnienie zagrobowe świata klasycznego i drzemiące w duszy echa romantyczne— oto pierwiastki, które składają się na pierwszy arcytwór Böcklinowski, „Willę nad morzem". (Mamy dwa płótna pod tym tytułem. Różnią się one tonem ogólnym oraz napięciem uczucia i nastroju w przyrodzie. Obydwa należą do pereł galeryi monachijskiej Schacka). Nad skalistem wybrzeżem w otoczeniu cyprysów wznoszą się marmurowe mury. Lekkie fale pieszczą podnóża skał. Z morza, z bezkresu idzie wiew bezgranicznego smutku i zgina wierzchołki drzew. A nad samym brzegiem postać niewieścia w żałobie patrzy w dal. Tonami obrazu łka melancholia. Czy to płacze dusza artysty nad pięknym światem greckim, który pochłonęło morze czarne? Czy to w żałobie po pięknie umarłem stoi sztuka?...

Po tęsknej „Willi" idzie cały szereg reminiscencyi starożytności. Dźwięczy weselem „Traktyernia rzymska", szumią jakąś potęgą zdrowia i siły „Bachanalie", brzmi smutkiem dziecinnym „Skarga pasterza".

Wreszcie ojczyzna, która długo uznawać nie chciała geniuszu swego syna, ulega przemocy opinii. W roku 1866 Bazylea wzywa Böcklina i powierza mu wykonanie malowideł dekoracyjnych na ścianach klatki schodowej swego muzeum. Tu powstają: „Geniusz natury", „Flora z dziećmi", „Apollo na rydwanie" i in. Niebardzo jednak kupcy bazylejscy umieli się poznać na sztuce swego rodaka, nieraz pewnie dobrze mu dokuczyli swą głupotą, skoro, jak wieść głosi, maski komiczne, któremi artysta ozdobił mury muzeum, mają być karykaturami bazylejskich mecenasów.

W Bazylei powstaje również jedno z pierwszych płócien religijnych Böcklina, „Magdalena opłakująca Chrystusa". W dziele tem, jak również w poźniejszej słynnej, nieco Holbeinowskiej „Pietà" nie umiał artysta nagiąć swego pogańskiego, politeistycznego ducha do mistyki religijnej chrystyanizmu. Dlatego też tworzy on w tym kierunku dzieła piękne, lecz pozbawione wszelkiego rozmo-

dlenia, pozbawione zupełnie tego pierwiastku, który kazałby widzom zginać kolana i w skupieniu religijnem pochylać głowy.

* * *

Obszar twórczości Böcklina jest tak niezmierzony, ilość dzieł, które stworzył, tak ogromna, że wyliczanie wszystkich oraz podawanie ich treści musiałoby zamienić szkic niniejszy na obszerną rozprawę. Poprzestanę więc na wskazaniu kilku tylko, w których różne strony jego geniuszu odźwierciedliły się w sposób najwyraźniejszy.

Mówiliśmy już, że na duchowe oblicze Böcklina składają się przedewszystkiem dwa pierwiastki: mitologia grecka oraz romantyka nowszych czasów. Pierwiastki te w różnych płótnach występują bądź oddzielnie, bądź też łączą się z sobą, tworząc dzieła, potężne wyrazem i nastrojem. Do dzieci duchowych muzy greckiej Böcklina, prócz wspomnianego już „Pana, przestraszającego pasterza", zaliczyć należy między innemi „Igraszkę fal" i „Prometeusza".

Na granatowych falach morza kołysze się przez fantazyę Böcklina stworzony potwór — centaur wodny. Jest wściekły, bo goniona przezeń nimfa przed samym nosem daje mu nurka, a druga, leżąc na fali, śmieje się z jego zapałów. Na pierwszym planie stary tryton umizga się do młodej cudnie pięknej syreny, a „żabi król" wyszczerza swą wydętą głowę. Oto co w igraszce fal widzi oczyma Böcklina wyobraźnia Greka. Co w tym obrazie zachwyca, to nie tylko przedziwny, do czasów Böcklina przez nikogo nie wydobyty ton morza, nie tylko piękno syren, nie tylko fantastyczność potworów, lecz jeszcze, jak to zauważył Jellenta („Galerya ostatnich dni"), ta ogromna łączność, jaka istnieje pomiędzy temi postaciami a samem morzem. Są one dopełnieniem, zakończeniem, grzbietem fal, które, łamiąc się, nabierają jakichś dziwnych pół-człowieczych, pół-potwornych kształtów.

Prometeusz! Znów ten stary mit, już przez tylu opiewany, malowany, rzeźbiony! Znów *alle Tage Leber*, jak żartobliwie drwią Niemcy? Nie — Böcklin odtwarza mit inaczej, odtwarza to w formie nowej, a tak potężnej, że w niej drga i żyje cała groza podania greckiego. Wierzchy skał Kaukazu toną w kłębach olbrzymich, starganych, piorunami brzemiennych chmur. U stóp — ponuro szumi mroczne morze. A na tych wirchach, nad tem morzem, w tej powodzi chmur niejasno majaczeje kształt przykutego do skał Tytana. Sępa niema, wykrzywionej bólem maski niema, a mimoto

jest do najwyższego stopnia napięty tragizm. Tragizm ten tkwi w skałach, chmurach i morzu, w samej naturze, dla której majaczejące gdzieś kształty Tytana są tylko dopełnieniem. I jest to znamienne dla całej twórczości Böcklina, że u niego człowiek jest jakimś dodatkiem do natury, tonem, który się z nią zlewa w jeden dźwięczny akord.

Tych przykładów klasycznych moglibyśmy przytoczyć mnóstwo. „Cisza morska", „Idylla morska", „Najady", „Rodzina Trytonów", bosko-naiwny „Centaur u kowała" — to kryształowe pryzmaty, w których przeczyście, z tęczową grą kolorów załamuje się jasny promień ducha greckiego.

A romantyzm?...

...Z jednej strony olśniewająco jasne, lecz trupio zimne słońce stroi w czerwień i złoto szereg smutnych, milczących drzew; dziwnie przykrą białością świecą w tem świetle mury starej willi. A z cieniów, które przeciwległa ściana drzew odrzuca, wynurza się olbrzymi kary rumak o rozwianej grzywie i potężnym ogonie, niosąc na grzbiecie swym kościotrupa. Za dziwnym jeźdźcem ciągnie gęsty grobowy mrok i smutny chór szeleszczących zamarłych liści („Jazda śmierci" — galerya Schacka).

Jeszcze obraz, a raczej szereg obrazów.

...Na skalistych brzegach morza stoją zamki stare, wyniosłe i ciemnemi oczyma okien patrzą w dal niezmierzoną. Stoją dumne i potężne, jak z kamieni wyrosłe olbrzymy kamienne. Po ich murach, basztach i arkadach, snują się, rzekłbyś, duchy legend dawnych, ponurych, jak burgi same, jak chmurne rozchwieje wiszących nad nimi niebios, jak szumiące bezkresy leżącego u ich stóp morza. Czasem legendy przechodzą w ogień i krew, a wtedy baszty zamków wkładają szyszaki płomienne z pióropuszami dymów, mury grają echom pieśń oręźną, skały wtórują jękiem ofiar, które wloką do swych okrętów lotnych korsarze... („Zamek nad morzem", „Pożar zamku", „Zamek, opadnięty przez korsarzy").

Czyste echa romantyzmu odezwały się jeszcze w całym szeregu pejżażów w rodzaju: „Patrz, oto śmieją się błonia" lub „Dzień wiosenny". Nie podobna opowiadać ich treści. Cały ich czar polega na pięknie fantastycznem krajobrazu, z którym postacie minstreli i dam zlewają się w jedną bajkę rycerską z czasu turniejów pieśniarskich na Wartburgu.

Widzieliśmy już, jak ów pierwiastek romantyczny w poezyi barwnej Böcklina stapiał się z echami klasycyzmu w „Willi nad morzem"; tu jeszcze dodamy jeden taki przykład: „Wyspę umarłych",

która w wieńcu laurowym artysty jest jednym z najpiękniejszych liści.

...Z głębi wielkiej martwej wody wyrósł amfiteatr skał, nagich, omszonych i pleśnią gdzieniegdzie okrytych ułamków jakiegoś przeddziejowego wulkanu. Krater zasypały wieki i wieki wyhodowały na nim żałobny gaj cyprysowy. Śmierć wyrzeźbiła u podnóża stopnie i położyła na straży w skałach wykutego cmentarza dwa lwy. Po martwej wodzie płynie łódź Charona, wioząc do cichej ustroni od wszelkich brudów ziemskich wolną duszę. A wierzchołki cyprysów zgina bez szumu cichy wiew śmierci, i cyprysy zdają się witać nowego mieszkańca wyspy umarłych. W tym Charonie, w tej łodzi, w tej wodzie wielkiej i cichej odbijają się obrazy Homerowe, lecz sama wyspa z jej mrokiem i cyprysami — to czysty wytwór neoromantyzmu, wytwór tak piękny i tak w swej cichej grozie potężny, że, jako symbol, wart zająć w poezyi miejsce Elizyum i Hadesu. Tym samym neoromantyzmem tchnie przedziwna „Cisza leśna", upostaciowana w jednorożcu (twór czysto Böcklinowski) i w siedzącej na grzbiecie jego milczącej nimfie. W tym jednorożcu i tej zupełnie zmodernizowanej nimfie już trudno się doczekać śladów mitologii greckiej. A co najciekawsze, że ten romantyzm razem z duchem greckim w płótnach Böcklina kojarzy się w ten sposób, iż owocem ich połączenia staje się obraz duszy współczesnej, nakreślony z takiem bogactwem barw, z taką plastyką kształtu i wyrazistością konturu, jakich nie spotykamy u żadnego z malarzy chwili ostatniej. Jej walki i rzuty, jej rozterki wewnętrzne, wzloty i upadki, jej głęboką n a s t r o j o w o ś ć — oto co wyraża w sposób nieporównany Böcklin. Weźmy „Jazdę śmierci", „Willę nad morzem" i „Igraszkę fal". „Tragizm konającego życia", melancholia tęsknoty bezgranicznej, rozpętana zmysłowość — wszystko mamy tu wyrażone nie faktem, nie sceną samą, nie „literaturą", lecz podniesionym do *maximum* napięcia nastrojem, tą cechą znamienną rozdenerwowanej, drażliwej duszy człowieka współczesnego. Romantyzm i mitologia to nie cel ostateczny — to tylko środki, którymi Böcklin wyraża stany i momenty tej duszy.

*
* *

W roku 1871 znów osiada Böcklin w Monachium. Stosunki przyjacielskie z hr. Schackiem zacieśniają się. Mecenas zakupuje do galeryi swojej najwybitniejsze dzieła ulubionego artysty. Böcklin żegna się nazawsze z nędzą i coraz częściej, coraz wyraźniej po-

czyna oglądać oblicze promienne Sławy. Podczas tego pobytu w Monachium wpada w ciężką chorobę nerwową. Jego żelazny organizm zwalcza ją, lecz ślady wewnętrzne, głęboko ukryte pozostają. Podobno od tego czasu coś się w Böcklinie zmieniło, a przedewszystkiem — inaczej począł odczuwać barwy. Twierdzą niektórzy, że ten przedziwny ton granatowy wody, którego nikt nawet naśladować nie potrafi, stoi w pewnym związku z ową chorobą nerwów. Jeśli tak, to artysta powinien był ją błogosławić. Po tej chorobie powstaje słynny „Portret własny" (Böcklin stworzył ich kilka w różnych chwilach swego życia), na którym artysta za plecami swemi wymalował śmierć, grającą na skrzypcach. Wpływ Holbeina, czy też wspomnienia chwili, kiedy nagi kościotrup wyciągał już do niego swe chłodne objęcia lub kołysał go do snu wiecznego jakąś nieziemską melodyą?...

Ten trzyletni pobyt w Monachium, zwłaszcza rok 1873, był niezwykle płodny. Wstrząśnienie, wywołane chorobą, rzekłbyś podniecilo twórczość artysty. Oprócz wspomnianego już portretu powstaje tu „Venus anadyomene", „Angelika i smoki", „Pożar burgu", „Pietà" — Matka Bolesna, okryta grubym ciemnym welonem, obejmująca zwłoki syna, — tragiczna i potężna o rubensowskim rozmachu „Walka centaurów", pogańsko - naiwni „Pany, łowiący ryby", a znajdujący w sieci zamiast ryb — syrenę, i in.

Mówi gdzieś Heine, że każdy człowiek posiada zwykle dwie ojczyzny: prócz kraju, w którym się urodził, ojczystym dlań jest jeszcze ten, z którym łączą go węzły duchowe lub ideowe. Dla Böcklina drugą taką ojczyzną były Włochy. Po ciężkiej, przesiąkniętej wonią kiszki grochowej i pikelhauby atmosferze Niemiec, po artystycznem, lecz bądź co bądź cuchnącem piwiarnią powietrzu Monachium, nawet po „zapachu" ojczyzny fizycznej biegł wykąpać się duchem i ciałem w słonecznym kraju barw i pieśni. Jedenaście lat (1874 — 1885) spędza Böcklin we Florencyi. Radosnem czystem echem musiał się odbić w duszy jego ten powrót do Włoch, bo wszystkie pierwsze prace jego z tej epoki tchną nowem życiem i nową wiosną. Powstaje więc „Podróż poślubna", „Flora siejąca kwiaty" i „Flora, budząca kwiaty" (zwana inaczej „Pieśń wiosenna"), „Wieczór wiosenny", „Dzień wiosenny", „Powrót wiosny", kwiecisty, pachnący, rozśpiewany, — cały szereg dzieł, w których dziwnie pięknie, dziwnie świeżo i młodo odźwierciedliła się rozbudzona „radość życia". A tuż potem następują płótna, w których geniusz jego rozbłysnął całą swą potęgą słoneczną, a więc: „Zdjęcie z krzyża", kreacya wielka, jakkolwiek mało przesiąknięta duchem chrystyani-

zmu, „Modlący się pustelnik”, „Błonia błogosławionych”, „Poezya i malarstwo”, „Wyspa umarłych”, „Igraszka fal”, „Prometeusz” i in. Ten pobyt we Florencyi to epoka, w której geniusz Böcklina doszedł wyżyn zawrotnych („Wyspa umarłych”, „Igraszka fal”, „Prometeusz”). Odtąd — z początku bardzo powoli i bardzo nieznacznie, później coraz szybciej — następuje upadek talentu i twórczości.

W roku 1885 ogarnia artystę tęsknota za krajem. Wraca do Szwajcaryi i osiada w Zurychu. Ze wspaniałej, wygodnej, często przez hr. Schacka odwiedzanej pracowni, wychodzi w świat jeden z najpiękniejszych „Portretów własnych”, pełen życia i jakiejś orlej siły (z kielichem w ręku), wychodzi „Cisza leśna”, nowy „Pożar burgu”, przepyszny „Centaur u kowala” i wiele innych. Lecz tu również, na ziemi ojczystej czycha na artystę straszny grajek z monachijskiego portretu. Atak apoplektyczny rzuca Böcklina na łoże boleści. Wywieziony do Karrary dla uzdrawiających kąpieli morskich spędza tam trzy lata i wreszcie roku 1895 powraca do Florencyi zdrów. Lecz lew stracił moc i ostrość pazurów... Pędzel nie słucha się już dłoni starczej, natchnienie zniżyło loty, wyobraźni opadły skrzydła... Przy wykańczaniu ostatnich dzieł mdlejącym dłoniom mistrza pomagać muszą silniejsze lecz niedołężne dłonie synów...

W zimie roku 1897 świat czcił siedemdziesiątą rocznicę urodzin Böcklina. Bito medale, urządzano bankiety, wygłaszano mowy, przysłano jubilatowi dyplomy, oznaki honorowe, pozdrowienia. A jemu oczy pewnie zachodziły mgłą, gdy patrzał w krwawe, a smutne łuny zachodzącego słońca swego geniuszu...

* * *

Gdy patrzymy na dzieła Böcklina, obok cech, wymienionych wyżej, dwie szczególniej uderzają oczy. To przepyszny, bogaty i silny, a jemu tylko właściwy koloryt, oraz potęga tkwiącego w nich pierwiastku malarskiego. Wybitnym rysem tego kolorytu jest, że użyję doskonałego wyrażenia Witkiewicza, „transponowanie” każdej barwy na ton wyższy. Zwłaszcza kolor morza (granatowy, miejscami zielony) jest daleko „bardziej granatowy”, daleko bardziej intensywny, niż w naturze. Stąd — fantastyczność, jakaś wielka siła i ogromny czar kolorytu Böcklina. Ta barwność jego płócien jest tak porywająca, że, patrząc na nie, zapomina się o rysunku. Böcklin też w swoich dziełach nacisku na rysunek nie kła-

dzie, jest on może u niego nie zawsze akademicko - poprawny, lecz, gdy chodzi o wyraz, charakter i życie, zawsze mistrzowski. Wielki muzyk, nawet niedbale biegający palcami po klawiszach, wydobywa z nich tony, po których poznać mistrza.

A wreszcie — pierwiastek malarski. Każdą scenę, każdy pejzaż, każdy przejaw fantazyi lub życia pojmuje Böcklin po malarsku jedynie. Wszystko przetapia się u niego w barwę i linię. Niema tu żadnej literatury, żadnych świadomych, umyślnych popędów ku nastrojom muzycznym. A jeśli jest w jego płótnach ogrom poezyi, to polega ona na tym fantastycznym, poetycznym kolorycie, na jakimś rozmachu natchnienia, na ogromnym *Schwung'u*, jak mówią Niemcy. Böcklin rozumiał doskonale związek, istniejący pomiędzy poezyą a malarstwem, bo kazał im czerpać natchnienie z jednego wiecznie bijącego źródliska („Poezya i Malarstwo"), odczuwał jednakże ich odrębność, bo je tem samem źródłem od siebie oddalił i rozdzielił. Wiedział on, że nie wszystko da się malować, jak świadczy jedyny znany jego utwór poetycki p. t. „Das kann man nicht malen!" Pozwolę sobie przytoczyć go tu w przekładzie, zachowując biały wiersz i rytmikę oryginału.

Ku miastu szedłem, gdy już zmrok zapadał;
Na Via Appia pozostawiłem
Ruiny grobów, które milcząc wzrok
Kierują w niebo.

Ileż pokoleń leży tam próchniejąc!
Jak wiele bólu może pogrzebiono!
Kto o tem wie? Minęły odtąd już
Tysiące lat.

A oto śpiew się monotonny zbliża,
Maleńką trumnę niesie mnich w objęciach.
Ponuro Requiem swoje śpiewa ksiądz,
A za nim kroczy

Dwoje dzieci; zaledwie zdążyć mogą.
W tej trumnie leży brat ich, może siostra — —
W szpitalu matka, ojciec umarł już — —
Samotne dzieci.

Nieszczęście jest ludzkości stałym losem —
Kto w życiu nie znał bólu? — Bądź cierpliwy!
I twój nastąpi kres! — Tak dzieje się
Tysiące lat!

Oto, czego namalować nie podobna bez obawy wpadnięcia

w „literaturę”. Z tych prostych naiwnych strof wyziera bardzo wraźliwa i bardo szlachetna dusza.

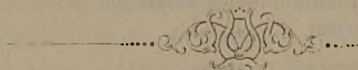
* * *

Czy Böcklin zostawia po sobie szkołę w malarstwie? czy zostawia uczniów? Nie, —jakkolwiek pierwsza lepsza wystawa międzynarodowa pozornie mówi co innego. W samej rzeczy, na tych kiermaszach sztuki roi się zwykle od „böckliniady”, lecz wobec tych dzieł, pozbawionych zazwyczaj wszelkiej prawie wartości artystycznej, wzrok duszy kieruje się mimowoli ku arcytworom mistrza. Dwaj tylko wielcy artyści wzięli w siebie coś z ducha jego: to Stuck i Klinger. Zwłaszcza ten ostatni (zawdzięczamy mu kilka przepysznych akwafort z dzieł Böcklina); jego sam Böcklin, zdaje się, uważał za najgodniejszego swego następcę na tronie sztuki. Niegdyś stary lew odwiedził twórcę „Chrystusa na Olimpie” w jego pracowni lipskiej i pono miał z nim długie rozmowy samotne. Czyżby chciał odsłonić spadkobiercy swej sławy czarodziejskie tajemnice berła królewskiego?...

* * *

Gdy cofniemy się wstecz i spojrzymy poza siebie na obszary sztuki umarłego stulecia, dwa imiona przemówią najgłośniejszem echem do duszy i wyobraźni naszej; to Meissonnier i Böcklin. Zupełnie różni w celach i środkach, niepodobni do siebie ani formą, ani duchem, mają jedno wspólne — geniusz. Dopełniają się wzajemnie: poezya i fantastyczność jednego składa się z prawdą niepospolitą drugiego na całokształt życia. Są oni jako potężne kolumny granitowe, któremi nieznany Wódz znaczy drogę idącej za Nim w przyszłość ludzkości...

Michał Mutermilch.



Rozbiory i Sprawozdania.

Życiorysy sławnych Polaków. № 1. *Henryk Merczyng.* Mikołaj Kopernik, życie i działalność naukowa.—№ 2. *Stanisław Tarnowski.* Adam Mickiewicz, życie i dzieła. — № 3. *Piotr Chmielowski.* Józef Korzeniowski, jego życie i działalność literacka. — № 4. *Tenże.* Zygmunt Kaczkowski, jego życie i działalność uaukowa. — № 5. *Witold Nowodworski.* Jan Zamojski, jego życie i działalność polityczna. — № 6. *Leon Świeżawski.* Jan Śniadecki, jego życie i działalność naukowa. — № 7, *Ferdynand Hosick.* Fryderyk Chopin, zarys biograficzny. — № 9. *Piotr Chmielowski.* Klementyna z Tańskich Hofmanowa, zarys biograficzno-pedagogiczny. — № 10. *Tenże.* Tadeusz Czacki, jego życie i działalność wychowawcza, zarys biograficzny. — N. 11. *Henryk Wernic.* Stanisław Konarski, jego życie i działalność wychowawcza, zarys biograficzny. — № 12. *Władysław Nehring.* Jan Kochanowski, życie i dzieła, zarys biograficzny. — № 13. *Leon Świeżawski.* Jędrzej Śniadecki, jego żywot, naukowe i społeczne stanowisko.—№ 14. *Fr. Rawita-Gawroński.* Michał Czaykowski (Sadyk-pasza), jego życie, działalność wojskowa i literacka, zarys biograficzny. — № 15. *Mikołaj Mazanowski.* Józef Bohdan Zaleski, życie i dzieła, zarys biograficzny. — Petersburg (Grendyszyński), 1898 — 1900 (Cena każdego tomiku: kop. 30).

Nader pomyślny zwrot zaznaczył się w naszym ruchu wydawniczym w ostatniem trzechleciu: powstały trzy wydawnictwa, na obszerną zakreślone miarę — „Czytelni Polskiej“ w Krakowie, które jednak, jako nieistniejące, już z tej cyfry odliczyć należy, „Biblioteki dzieł wyborowych“ w Warszawie, „Wiedzy i Życia“ we Lwowie i nakoniec „Życiorysów sławnych Polaków“. To ostatnie wydawnictwo podjął w Petersburgu p. Kazimierz Grendyszyński, a przystąpił do niego ze zrozumieniem ważności zadania; postarał się przedewszystkiem o prace oryginalne i tylko w razie konieczności, kiedy nikt nie chciał podjąć się napisania danego życiorysu, posługiwał się przedrukami, ale przedrukami rozpraw prawdziwie wartościowych i cennych. Ma więc p. Grendyszyński zasługę w tym względzie,

że pobudził wielu autorów do pracy i że przedsiębiorstwo swoje we wzorowy poprowadził sposób, nie wdając się w niesumienną spekulacyę. Na wzór Hachettowskich *Les grands écrivains français* postanowił wydać szereg portretów naszych wielkich wodzów, poetów, pedagogów, artystów i t. d., stąd—nazwa wydawnictwa: „Życiorysy sławnych Polaków". Dla kogo jednak to wydawnictwo jest przeznaczone i jakiego rodzaju są prace, w niem zawarte? Czy jest to rzecz popularna w najszerszem tego słowa znaczeniu, przystępna dla każdego, czy może rzecz ściśle naukowa? O wydawnictwie popularnem dla szerokich warstw czytelników nie można tutaj mówić; takich zresztą edycyi, biblioteczek mamy już dość; brak nam było atoli wydawnictwa naukowego, któreby jednak było przystępne zarówno treścią swoją, jak i ceną, dla szerokich warstw *intelligentnych*, dziełek naukowych sumujących w sobie wyniki współczesnej wiedzy i badań nad poszczególnemi znakomitościami narodowemi. Otoż wydawnictwa popularno-naukowego dla intelligencyi dotąd jeszcze nie widzieliśmy w takim właśnie zakresie, jaki wyznaczony jest dla „Życiorysów".

Ukazało się dotąd tomików szesnaście; z nich jedynie cztery są przedrukami prac, dawniej ogłoszonych, reszta ukazała się po raz pierwszy na specyalne zamówienie księgarza. Do przedruków należą prace prof. Chmielowskiego o Hofmanowej, Czackim, Korzeniowskim i Kaczkowskim.

W stosunku do nader nizkiej ceny każdego tomiku (30 kop.) musiały i rozprawy być zredukowane do małej objętości, wynoszącej 6—8 arkuszy bitego druku w małej 8^0. Celem zaś każdego tomiku było przedstawienie życia, twórczośc, czy to literackiej, czy artystycznej, czy jakiej innej, zasług i znaczenia tego czy innego męża w dziejach, historyi literatury, rozwoju umysłowego czy cywilizacyi narodowej. A to wszystko miało być wynikiem rezultatów, do jakich nauka nasza dotąd doszła, czyli innemi słowy — celem wydawnictwa było popularne skreślenie biografii poszczególnych ludzi na podstawie naukowej. Trudno nam tutaj wobec tego, iż szczupłe ramy nakreślone zostały dla tej oceny, rozstrząsać szczegółowo każdy tomik, wytykać jego błędy, boć błędy wszędzie być muszą. To tedy niech nas tłómaczy, dlaczego recenzye pojedyńczych prac są tak krótkie i nie wyczerpujące.

Świetną pracą jest rozprawa prof. Tarnowskiego o Mickiewiczu, wydana jeszcze z początkiem 1898 roku. W roku tym pojawiło się całe mnóstwo rozpraw i dziełek mniejszej objętości o mistrzu pieśni polskiej, którego urodzin setną obchodzono rocznicę. Dziełek takich, popularnie napisanych, wyszło, rachując zgrubsza, około 50. Jeśli się atoli wśród nich rozpatrzymy, bez wątpienia palmę pierwszeństwa będziemy musieli przyznać tej właśnie rozprawie prof. Tarnowskiego. Znajdujemy wprawdzie na samym wstępie tego życiorysu oświadczenie autora, że ta praca nie jest taką, jakąby być powinna, a mimo to przecież po przeczytaniu jego dochodzimy do przekonania, iż lepszego życiorysu popularnego Mickiewicza dotąd nie mieliśmy, że takiej charakterystyki znaczenia wieszcza dla narodu dotąd nam nikt nie dał, nikt tak nie objaśnił zasad, które arcymistrz dla przyszłych pokoleń zostawił w testamencie; tak wzniośle, tak pięknie i tak prawdziwie nikt nam nie wytłómaczył idei poety, która świeciła mu w całem życiu wtedy nawet, gdy błądził w mgle mrocznej nauki Towiańskiego.

Drugą wyborną rozprawą jest praca znakomitego profesora wrocławskiego, Wł. Nehringa, o Kochanowskim. Że nikt inny nie był więcej powołanym do skreślenia biografii największego poety polskiego XVI stulecia, który aż do zabłyśnięcia geniuszu Mickiewicza niepodzielnie przez trzy wieki na Parnasie polskim pa-

nował, to chyba każdy przyzna, jeśli zważy, iż autor nie od krótkiego czasu pracuje nad Kochanowskim, iż dwie świetne rozprawy o „Trenach“ i „Odprawie posłów greckich“ piętnaście lat temu z górą wyszły z pod jego pióra. Materyałów zaś do wyczerpującej charakterystyki Jana z Czarnolasu, jako człowieka i jako poety, nazbierało się już dość wiele, bo cała falanga uczonych (Brückner, Tarnowski, Kallenbach, Kryński, Plenkiewicz) sporo pracy wyłożyła na badanie poszczególnych momentów życia i twórczości. To też wybrać z tego całego materyału to, co rzeczywiście do jędrnej a zwięzłej biografii potrzebne było, a odrzucić rzeczy mniej ważne, nie było rzeczą łatwą. Naszem zdaniem, najwłaściwiej postąpił prof. Nehring, ująwszy życie Kochanowsktego w szczupłe ramy, bo ledwie dziesięć stron obejmujące; bardzo właściwe zajął stanowisko wobec miłości poety, nie przychylając się do opinii, bardzo dziś rozpowszechnionej, którą nawet ostatni biograf Kochanowskiego (Plenkiewicz) przyjmuje, t. j. nie przypisując treści wierszy poety, pisanych do Lidyi, znaczenia faktycznego, a jedynie uznając te wynurzenia miłosne za ćwiczenia poetyckie w guście rzymskich liryków i włoskich Petrarkistów. Daleko obszerniejszą część pracy swojej poświęcił (stron 60) autor rozbiorowi dzieł Kochanowskiego, kreśląc dokładną ich charakterystykę.

Za życiorys słynnego Sadyka-Paszy, Michała Czajkowskiego, wielka wdzięczność należy się p. Rawicie-Gawrońskiemu, dotąd bowiem zbyt mało prawdy o tym tak dziwnym, a tak utalentowanym człowieku wiedzieliśmy. Materyał, zawarty w pamiętnikach, a podany zazwyczaj przez osoby trzecie, był niejednokrotnie jednostronny: albo zbyt przychylnie oceniał działalność Czajkowskiego, albo też potępiał wszystkie jego kroki. Wobec zaś braku innych wiarogodnych źródeł trudno było dociec prawdy faktycznej. Udało się dopiero p. Gawrońskiemu odróżnić prawdę od fałszu na podstawie materyałów rękopiśmiennych, na których podstawie osnuł zarys biograficzny. Materyałami zaś tymi były następujące manuskrypty: pamiętnik o Sadyku Paszy, pisany przez osobę, bardzo blizko stojącą Czajkowskiego, resztki pamiętników majora Grochowalskiego, część korespondencyi ks. Adama Czartoryskiego z Sadykiem-Paszą, część korespondencyi jego z Ludwiką Śniadecką, jego listy do bankiera Alleon i list otwarty do Polaków po powrocie z Turcyi do Kijowa. Rzecz cała skreślona jest z widocznem zamiłowaniem przedmiotu i podaje częstokroć oprócz wielu faktów nowych sprostowania dawniejszych, np. rok urodzenia 1803, nie 1805, jak dotąd sądzono. Rozprawa osnuta jest na tle szerokiem i umiejętnie naszkicowanem. Autor zajął się więcej działalnością polityczną i wojskową Czajkowskiego, aniżeli powieściopisarską, którą zwięźle tylko szkicuje, patrzy zaś na fakta i ocenia je zupełnie bezstronnie.

Dwie monografie prof. Chmielowskiego, o Hofmanowej i o Czackim są przedrukami: pierwsza z dzieła p. t. „Autorki polskie wieku XIX“. (Warszawa 1885, str. 43—193), druga z „Encyklopedyi wychowawczej“. Ale w pracy o Hofmanowej poczynił autor pewne zmiany. Opuścił mianowicie rozdział pierwszy, w którym skreślił szkicowo dzieje pedagogii polskiej w latach przed wystąpieniem Hofmanowej, a dał na jego miejsce życiorys, stanowiący niejako tło, na którem zarysowują się pedagogiczne poglądy Hofmanowej. Nadto opuścił autor ustęp, w którym była mowa o czasopismach dla dzieci, które powstały po wydawaniu „Rozrywek dla dzieci“. Lepszych prac o Hoffmanowej i Czackim nie mamy dotychczas w naszej literaturze naukowej.

I praca prof. Chmielowskiego o Korzeniowskim jest przedrukiem pracy, umieszczonej najprzód w „Tygodniku illustrowanym“, a następnie w seryi drugiej dzieła „Nasi powieściopisarze“. Zmian tu poczynił autor niewiele, bo opuścił tylko

wstęp, a dodał kilka tylko drobnych poprawek i uzupełnień. Szkoda, że uzupełnienia nie zostały poczynione wszędzie, bo materyału nowego, rzucającego nowe światło na Korzeniowskiego, ukazało się wiele w ostatnich czasach, choćbyśmy tylko wymienili pracą Czarnika („Korzeniowski i teatr lwowski 1822—1844, Lwów, 1896“), albo M. Gawalewicza „Korzeniowski o sobie (Biblioteka Warszawska 1897, I)“. Autor zmienił wprawdzie na ich podstawie niektóre błędne daty, poprawek tych jednak nie zrobił wszędzie, co starannie wykazał dr. Czarnik w recenzyi tej pracy (Por. „Kwartalnik historyczny“ 1898, str. 358).

Rozprawa prof. Chmielowskiego o Kaczkowskim, będąca również przedrukiem z „Naszych powieściopisarzy“, zawiera piękną charakterystykę tego męża, jako powieściopisarza i człowieka, i nader sumienny rozbiór jego działalności.

Z kolei przystępujemy do dwu prac, o których, niestety, nie można wypowiedzieć tych pochwał, jakie przyznawaliśmy omówionym już wyżej życiorysom. Mamy tu na myśli rozprawkę nader zasłużonego pedagoga, p. Wernica o Konarskim i pracę p. M. Mazanowskiego o Zaleskim. Jednym z głównych zarzutów, jakie pracy p. Wernica uczynić musimy, jest ten, iż autor, pisząc swoją pracę, nie oparł się na wynikach badań ostatnich nad Konarskim i stąd popełnił wiele błędów faktycznych. Nie znał np. p. Wernic pracy K. Wojciechowskiego p. t. „Młodość Konarskiego. Lwów, 1895“, to też rozdział pierwszy jego rozprawy aż roi się od błędnych twierdzeń. Ciekawego czytelnika odsyłam do mojej recenzyi, zamieszczonej w lwowskim miesięczniku „Muzeum“ 1899 str. 719 — 720, gdzie szczegółowo wykazałem drobną tylko część ogólnej liczby tych błędów. Drugim zarzutem, jaki tej pracy uczynić z żalem musimy, jest ten, że p. Wernic nigdzie nie umotywował źródeł swojej pracy, nawet tam, gdzie z „Konarscianów“ ks. St. Biegańskiego przedrukowywał wydane tam dokumenty, np. ustępy z rękopisu biblioteki Jagiellońskiej; przecież, jeśli się w jakiej pracy, nawet popularnej, ogłasza jaki dokument czy wiersz nieznany, należy wyraźnie zaznaczyć, czy się go wzięło wprost z danego rękopisu, czy z pracy, w której on został ogłoszony. W rozprawie p. Wernica natomiast zacytowany jest tylko numer rękopisu, o pracy jednakowoż księdza Biegańskiego, z której ustęp został przedrukowany, niema ani słowa. Jeszcze niekrytyczniejszą jest praca p. M. Mazanowskiego o Zaleskim. Ażeby wyliczyć wszystkie błędy w tym życiorysie, potrzebaby wiele miejsca, wykazaliśmy je zresztą na innem miejscu szczegółowo. (Porów. „Kwartalnik historyczny“, 1900 zeszyt I). Skorośmy jednak tak nieprzychylne dali świadectwo o tej pracy, musimy i tutaj choćby kilka podać przykładów, ażeby twierdzenie nasze o bezkrytyczności życiorysu Zaleskiego nie było gołosłownem. A więc: elementarną naukę zawdzięczał Zaleski nie wyłącznie ciotce Jasieńskiej (str. 9), lecz także szkole w Kaniowie, gdzie wprawdzie czas bardzo krótki przebywał, ale zato nauczył się niemal sam czytać; rozprawę „O Klasyczności i Romantyczności“ Brodzińskiego (str. 11), jak wiadomo z pamiętnika Goszczyńskiego („Ateneum“ 1895 I w rozprawie p. Wasilewskiego), znał Zaleski już w Humaniu dobrze; Zaleski nie ukończył wcale szkół humańskich, jak o tem mówi p. Mazanowski na str. 14, lecz opuścił je, będąc w klasie szóstej, razem z Goszczyńskim z powodu zatargu z księdzem prefektem Skibowskim, nie doprowadziwszy nawet 1-go kursu do końca; co się tyczy pobytu Zaleskiego u Górskiego, to myli się p. Mazanowski, mówiąc (str. 14), iż był tam poeta przez dwa lata (1823—1824), bo Zaleski przebywał w domu Górskiego jedynie w zimie r. 1822 i przez styczeń i luty 1823, a w marcu już przeniósł się do jenerała Szembeka i przyjął miejsce nauczyciela syna jego; autor, mówiąc o wierszach p. t. „Lubor“, „Arab u mogiły konia“ i „Ludmiła“, uważa je

za oryginalne, tymczasem dr. Kolessa wykazał dawno („Żytie i Słowo“, Lwow, 1894, str. 124—134), iż utwory te są parafrazami poezyi W. Żukowskiego; utwory: „Lach serdeczny na marach“, „Wyprawa chocimska“, „Z mogiły Sawor“, „Luli niemowlęciu Iwoni“, „Teligoła“, „Hej, hej, ojcze atamanie“—powstały nie w latach 1821—1830, jak twierdzi p. Mazanowski, lecz w roku 1840 we Francyi, podczas pobytu poety w Plombières. Takich błędów jest moc w pracy p. Mazanowskiego.

Dwie rozprawy p. Leona Świeżawskiego o Janie i Jędrzeju Śniadeckich są, jak na popularne opracowania, dobre. Widać z nich niemałe zdolności autora do takiego traktowania przedmiotu; charakterystyka jednego i drugiego męża występuje wyraziście na obszernie rzuconem tle epoki, w której żyli i działali na polu naukowem obaj Śniadeccy.

Życiorys Kopernika, napisany przez p. Merczynga, jest nader zajmujący. Praca cała podzielona została na cztery części, z których trzy pierwsze zajmują szczegóły natury biograficznej, ostatni zaś traktuje o naukowej doniosłości odkrycia Kopernika i zaznajamia czytelnika z treścią sławnego dzieła „De Revolutionibus“. Autor korzystał z wielu źródeł, a szczególniejszą zwrócił uwagę na prace niemieckie, któremi dotąd mało kto u nas uważał za stosowne się posługiwać. Stąd poszło, że wizerunek wielkiego astronoma występuje o wiele wyraźniej, niż w dotychczasowych pracach. (Porównaj recenzye d-ra L. Birkenmajera w „Kwartalniku historycznym“ 1898 str. 897 i nast.)

Również interesująco została skreślona praca o Chopinie przez p. Hoesicka. Autor, jak wiadomo, pracuje obecnie nad obszerną monografią o Chopinie. Zanim jednak praca ta będzie mogła ukazać się w w druku, konieczną rzeczą było skreślenie małej objętością monografii, któraby zaznajomiła szerokie warstwy czytającej publiczności z życiem genialnego artysty. To też niemałą oddał usługę pan Hoesick, wydając krótki a zwięzły szkic biograficzny, zawierający najważniejsze wypadki życia artysty i jego dziwne koleje. Dodać warto, iż w pracy tej nie napotykamy tylu przypuszczeń i domyślań się, ile ich było w dawniejszych rozprawach tego autora o Słowackim.

Ostatni wreszcie życiorys— kanclerza i wielkiego hetmana koronnego Jana Zamoyskiego — wyszedł z pod pióra p. Nowodworskiego i odznacza się trafnem ujęciem rysów epokowej postaci, która dotąd jednego tylko miała biografa w Reinholdzie Heidenszteinie, historyku czasów Stefana Batorego. Słusznie zwrócił autor w przedmowie uwagę na konieczność opracowania szczegółowego i naukowego życiorysu jednego z największych mężów stanu w Polsce; jakoż niebawem sam do tej pracy przystąpił.

Jesteśmy u kresu naszego przeglądu. Słówko jednak o stronie typograficznej wydawnictwa. Wytknąć musimy brak należytej korekty, zdarzają się bowiem tomiki, oszpecone licznymi błędami drukarskimi (Gosławski, Kochanowski). Zwracamy tedy uwagę wydawcy, ażeby postarał się o dokładniejszą korektę, bo zresztą zewnętrzna strona wydawnictwa jest bez zarzutu, portrety nawet są w znacznej części udatne. Wogóle wydawnictwu temu, odznaczającemu się tylu zaletami, ślemy z naszej strony: „Szczęść Boże!“

Stanisław Ździarski.

Życiorysy sławnych Polaków. № 16 *Bolesław Wilczyński.* Stanisław Moniuszko, dziedzictwo, życiorys, muzyka, zarys biograficzny. Petersburg (Grendyszyński), 1900.

Dosyć, że Moniuszko nie może się doczekać ani życiorysu, ani analizy swej twórczości, bo książeczka, napisana przez p. Wilczyńskiego, nie odpowiada nawet

najskromniejszym wymaganiom, o życiu Moniuszki nic się z niej nie można dowiedzieć, a o twórczości jego jeszcze mniej. Pan Wilczyński rozpowiada szeroko, strasznie, okropnie szeroko *de omnibus rebus et quibusdam aliis*, a tylko od czasu do czasu, bardzo rzadko przypomina sobie, że ma pisać przecież o Moniuszce... Nie znam książki chaotyczniejszej, nudniejszej, bardziej bałamutnej i napisanej tak fatalnie, że przy każdem zdaniu zastanawiać się trzeba, czy to jest napisane po polsku, czy też może w jakimś innym, nieznanym i niezrozumiałym języku. Nie. O tej biografii Moniuszki nic się nie da powiedzieć; nie można jej nawet krytykować, ani nie można polemizomać z poglądami p. Wilczyńskiego, bo ani rusz dowiedzieć się nie można, czego on chce właściwie i do czego dąży. Jest np. część pierwsza (str. 9—42) „Dziedzictwo“ (??!); ma to być wykazanie wpływów dziedziczności ną psychikę kompozytora „Halki“. Przeczytawszy (z niesłychanym mozołem tych kilkadziesiąt kartek, dochodzi się do przekonania, że wie się tyle, co się wiedziało przed przeczytaniem wywodów p. Wilczyńskiego. Główną wadą tej biografii jest zupełny brak zdolności pisarskich u jej autora, który starał się poprostu, by najprostszą myśl wypowiedzieć w formie dziwacznej i niezrozumiałej. Oto próbki na chybił trafił bez wyboru: „Żywokształt osoby, wyrzeźbiony proporcyonalnie i harmonijnie, świadczył, że we wnętrzu człowieka-artysty gra muzyka czynników strojna, ujęta w karby porządku. Tu swobodnych i równych uderzeń serca nie burzył złowieszczy poseł ze strony mózgu ani grom z widnokręgu; gospodarz umiał oddalić to siłą woli, trzeźwością sądu“ (str. 19). „Umysł, silnie zajęty nauką, przekracza łatwo granice praw swoich i wymaga, iżby na korzyść snowań idealnych wszystkie władze, zmysły, wyobraźnia, pamięć, uwaga i wola, znosiły materyał pożądany; więc je despotycznie pozbawia żywotności, mało bacząc, że zrywa stosunek ze światem zewnętrznym i nadweręża równowagę psychofizyczną“ (str. 32). „Uszy dworu śmiłowickiego, nastawione kwoli zwykłych wymagań polityki domowniczej, nie ucierpiały nigdy z powodu swarów i poduszczeń złowrogich. Tu, zamiast wycieczek nadczułości obrażonej, gniewu i pychy bywały posiedzenia intuicyi i rozumu, dość spokojne i na korzyść domu baczne, iżby je wieńczył wynik zgody zupełnej“ (str. 21). „Szkodnictwo tępić przez wzgląd na marnotrawstwo, dzikie instynkty płoszyć do ostatka w imię cywilizacyi, *wytwornie* pojętą dobroć surową krzesać społecznie i przez stosunek do objawów życia w naturze oto zasady, które pana Stanisława (dziada kompozytora) zmuszały do użycia ręki ilekroć na skutek upomnień łagodnych rachował mało“ (str. 23). „Kompozycyę wykończa głowa; lecz masę przestrzeni i czasu daje żywostan (?) całkowity“ (str. 24). „Działaczy obowiązkiem najbliższym nie opuszczać dzielnicy rodzimej prawomocnie w swym rozwoju zależnej od wyżników miejscowych“. Dosyć, trzebaby chyba całą książkę przepisać. A jaki dobór wyrazów wspaniały i bogaty: kojarzenia (powtarza się na każdej stronie), ostoja, wiaromocnie, kończyny miękko umięśnione, niżnik (w znaczeniu: niższy wzrostem), żywokształt (zapewne organizm), spadkobranie, spadkodawstwo, wyżnik (w znaczeniu: człowiek intellektualnie wyższy), wzorodawca, płodowity, jednia (jednolitość?), ideomoc, lubownictwo (amatorstwo?), inteligencya pięknoznawcza i fantazya pięknotwórcza, samouczny, samowładza, muzyka wylewna, wykształt kojarzni, słuchowiec (?!!), zachwyt z podniszczenia (?), stany wyrobne (duszy), dzieła wyrobne, cierpliwiec, odstępca darowizny, pięknotwórca, okres wyzwoleńców, rzecznik, czułek zamknięty i jedynak upieszczony, dwojnictwo, wzorodawczy, pierwocinny, łzy gorzkie i rozwięzłe, skrzypiący kołowrot chuci brudnych i t. d. i t. d. I tak za dużo miejsca poświęciliśmy książce, o której nic, absolutnie nic dodatniego powiedzieć nie można.

Adolf Strzelecki.

Życiorysy sławnych Polaków. № 8. *Ździarski Stanisław.* Maurycy Gosławski, zarys biograficzno-literacki. Petersburg (Grendyszyński), 1899.

Tomik ósmy biblioteczki „Życiorysów sławnych Polaków“ zawiera sylwetkę Maurycego Gosławskiego pióra p. Ździarskiego. Autor wywiązuje się ze swego zadania umiejętnie: życiorys poety splata się z rozbiorem krytycznym jego utworów w całość ujmującą. P. Ździarski przyczynił się niniejszym szkicem do spopularyzowania sympatycznej postaci „ułana polskiego“, który, przyćmiony blaskiem genialnych i bardziej utalentowanych, uległ zapomnieniu. Kilka urywków jego poezyi, a zwłaszcza znana szeroko piosenka „Gdyby orłem być...“ tuła się jeszcze bezimiennie w pamięci intelligentnego ogółu, ale całokształt spuścizny piśmienniczej Gosławskiego mało kto jest w stanie sobie uprzytomnić. Znaczną część szkicu p. Ździarskiego zajmuje rozbiór poematu p. t. „Podole“, przyczem autor z właściwą sobie drobiazgowością i skrupulatnością uwydatnia wszelkie, najdrobniejsze nawet wpływy poezyi ludowej. Wyznać musimy, że ta część szkicu jest najmniej interesującą: dość nam dowiedzieć się, że pieśń i podanie ludu ukraińskiego wogóle znalazły echo w „Podolu“, ale szczegółowe wykazywanie, który wiersz Gosławskiego odpowiada któremu waryantowi pieśni, uważamy za rzecz w wydawnictwie naukowo-p o p u l a r n e m zbędną; poco o g ó ł p u b l i c z n o ś c i wprowadzać do wnętrza pracowni badacza, kiedy wystarcza obznajmić ją z ostatnimi jego pracy rezultatami? Wogóle zarzuciłby można p. Ździarskiemu zbytnie namaszczenie, z jakiem mówi o poezyach Gosławskiego, ich wadach i zaletach. Ostatecznie bowiem zgodzić się trzeba, że Gosławski był talentem poetyckim bardzo miernym, a wobec tego szczegółowe rozpatrywanie, czem ta lub owa scena czy ustęp grzeszy pod względem literackim, nie wydaje nam się nieodzownem.

Te i podobne usterki wywołało jednak szczere umiłowanie, jakiem autor otacza poetę; i to właśnie umiłowanie stanowi największą może zaletę niniejszego szkicu. Rozumiemy je i podzielamy z p. Ździarskim; autor „Podola“ i „Banka“ bądź co bądź zasługiwał na to, aby raz nareszcie światu o nim przypomnieć.

H. Galle.

Stanisław Witkiewicz. **Juliusz Kossak.** Warszawa-Kraków, 1900.

Pierwszą myślą, jaka powstaje po zamknięciu tej książki, jest stwierdzenie, że dzieło to należy do niezwykłych i pod każdym względem dalekie jest od wszelkiej przeciętności, banalności lub szablonu. Można się nie zgadzać na niektóre opinie autora, można je nawet zwalczać, ale niepodobna zwalczać tego uroku, który nas w czasie czytania ogarnia. Jest to jedna wielka improwizacya. Wsłuchujemy się w nią i wsłuchujemy bez zdawania sobie sprawy, jakie ona ma cele i czy do nich dąży drogą najprostszą, ale i sam improwizator zdaje się nie panować nad swem piórem, a wątek myśli snuje mu się swobodnie, niekrępowany żadnemi z góry zakreślonemi ramami. Improwizacya rozwija się barwnie, przechodzi z przedmiotu na przedmiot, czasem odbiega tak daleko od głównego założenia, że, zdaje się, już do niego nie powróci, tymczasem po chwili znów nieznacznie przechodzi do tematu zasadniczego. Przez to w dziele tem jest o samym Kossaku względnie niewiele, i cała praca nie jest książką *o* Kossaku, ale raczej *z powodu* Kossaka. Kossak jest tu tłem, na którem utalentowany autor maluje przed nami przepyszne obrazy z najrozmaitszych dziedzin sztuki, a nawet i różnych gałęzi wiedzy ludzkiej. Oddzielnie biorąc, obrazy te są często wspaniałe, a poglądy

oryginalne i bardzo ciekawe. Jest to dzieło, pisane o sztuce przez artystę, czującego ją głęboko, obejmującego jej cele i zadania tak, jak tylko artysta jest w możności je odczuć i wypowiedzieć. Przez to Kossak jest tu albo na planie drugim pod względem poświęconego mu miejsca, albo odwrotnie, — stawiany jest na piedestale wyższym, niż ten, który rzeczywiście mu wyznaczy historya w panteonie sztuki polskiej. Witkiewicz nie tyle jest tu krytykiem, ile wielbicielem entuzyastycznym Kossaka, a bynajmniej nie używam słowa „krytyk" w tem ciasnem pojęciu, jakie najczęściej mu nadają, to jest człowieka, który tylko niekorzystne i złe strony wytyka, lecz przeciwnie w pojęciu wszechstronnem, gdzie jednakowo obowiązuje go wykazanie błędów, jak podkreślenie zalet z tąż samą bezwzględnością, sumiennością i sprawiedliwością.

Gdy ziemia spada na trumnę artysty, gdy jego karyera na zawsze się skończyła, wówczas i s z c z e g ó l n i e j wówczas krytyk ma możność rzucić okiem na działalność całego jego życia artystycznego. Działalność ta jest już skończona, a więc można o niej mówić, jako o zamkniętej całości, co za życia artysty byłoby niepodobne. Z drugiej zaś strony krytyk taki, choćby nie z tego samego pokolenia artystów, ale współczesny omawianej postaci, ma pod ręką niewyczerpany zapas danych do odbudowania barwnie, plastycznie, niezmiernie prawdziwie tej sylwetki, która w miarę mijania lat coraz bardziej będzie bladła i odrywała się od tych dzieł, które pozostawiła po sobie. Krytyk współczesny ułatwia sobie zrozumienie działalności przez poznanie, zrozumienie i ocenę samego artysty, krytyk zaś późniejszy postępuje wręcz odwrotnie i musi odgadnąć samego artystę zapomocą tych dzieł, które, jako jedyny ślad jego istnienia, pozostały po nim. Dlatego książka Witkiewicza nie tylko powinna mieć znaczenie bieżące, ale być pomnikiem źródłowym, do którego zwracać się będą przyszli historycy sztuki polskiej. Z biegiem czasu bowiem ma się ona stać dokumentem, na który powołać się będzie musiał każdy, piszący o dzisiejszej naszej sztuce. Krytyk ów przyszły będzie mógł spokojniej rolę swą spełnić i odróżni słuszność od entuzyazmu lub niechęci, jakiemi współczesny mógł mimowolnie zabarwić swe poglądy. Lepiej zapanuje nad całością, ale czego będzie najbardziej żądał od współczesnego artyście pisarza, to tej masy szczegółów ścisłych, tyczących się danej osoby i jej otoczenia, tego środowiska artystycznego pełnego szczegółów, często drugorzędnych, a jednak niezbędnych dla odbudowania całości, dla nadania zupełnej wypukłości sylwetce. Krytyk taki otworzy książkę Witkiewicza i zawiedzie się, bo dzieło to pisane jest nie dla przyszłych pokoleń, ale dla dzisiejszego; nie jest pomnikiem i dokumentem o Kossaku, ale piękną i bogatą improwizacyą Witkiewicza o sztuce, śród której imię Kossaka snuje się, jak ta nitka, na której nanizany jest sznur korali. Wiąże ona i jednoczy wszystko, ale nie jest sobie sama celem.

W naszej ubożuchnej literaturze sztuk pięknych dzieło Witkiewicza jest zjawiskiem fenomenalnem, roztaczającem jakąś świetlaną atmosferę, która pozwala w czasie czytania wierzyć, że dość nam sięgnąć ręką na półkę, żeby zdjąć inny tom o Matejce, jeszcze inny o Grottgerze, o Gersonie, o Andriollim i o tylu, tylu innych, którzy przeszli przez naszą sztukę, jak pochodnie, roztaczające naokół światło, czasem potężniejsze, czasem słabsze, ale zawsze własne. Przez chwilę wiara ta zaciera to uczucie zazdrości, jakiego doznajemy, widząc szeregi monografii, których się doczekali artyści niemieccy, francuscy i inni. Sięgamy więc na półkę i spostrzegamy, że jest prawie pusto. Z tej to może przyczyny Witkiewicz

tak się rozpraszał, poruszał tyle tematów i tak odbiegał od głównego założenia.

W literaturze bogatej autor zmuszony jest do kroczenia po ściśle określonej drodze. Z prawej i lewej strony idą również ścieżki, po których kroczyli już inni, wydeptane, wymierzone, sprawdzone i poznane. Przeskakiwać więc z jednej na drugą byłoby powtarzaniem rzeczy znanych. Przez to badacz nie ma tych pokus, jakich doznawał nasz pisarz, bo u nas wszystko jest jeszcze do powiedzenia, wszystko do zbadania, wszystko do odkrycia. Historya naszej sztuki, a mam na myśli nie tylko sztukę malarską, która się rozwinęła późno, ale sztukę wogóle, znaczącą swe ślady przez szeregi wieków, o ile tych śladów nie zniszczyły czas, pożary, napady tatarskie i inne, a nawet własnych potomków niedbalstwo, — historya naszej sztuki jest, jakby zamek opustoszały. Badacz przebiega krużganki i szeregi sal pustych, przerażony tem opuszczeniem. Przebiega jednym tchem wszystkie, nie wiedząc, w której się wpierw zatrzyma. Chciałby krzyczeć, żeby tym krzykiem ożywić je wszystkie, wstrząsnąć tą ciszą, chciałby zapełnić sobą tę pustkę, tę całą pustkę i błąka się i plącze śród labiryntu kurytarzy, nie znajdując żadnej wskazówki ani przewodnika. Taki nastrój musi ogarnąć każdego piszącego, który nie znajduje prawie nic, coby mu pracę mogło ułatwić, nikogo, któryby przed nim te skarby poruszał. Łatwiej jest pisać o sztuce meksykańskiej z epoki przedkolumbowej, o sztuce nieistniejących od tysięcy lat narodów azyatyckich, niż o sztuce własnej, a chociażby o samych artystach, którzy są nam niemal współcześni.

Witkiewicz miał dużo do powiedzenia, czuł, że tego nikt nie powiedział naszemu ogółowi, więc wypowiedział się przy sposobności z powodu Kossaka. Ogół tych uwag i spostrzeżeń mógł równie dobrze umieścić, pisząc monografię któregokolwiek innego z naszych artystów. Czy to jest błędem, czy zaletą?

W naszych warunkach za błąd poczytać tego nie można. Przeciwnie, książka staje się przezto bardziej pouczającą i zaciekawiającą nasz ogół, niż gdyby była ścisłem rozbiorem dzieł i życia artystycznego Kossaka. Ale metoda taka możliwa jest tylko tam, gdzie panuje takie ubóstwo, że książka taka jest jakiemś fenomenalnem, nadzwyczajnem, a nie normalnem zjawiskiem. Autor chce nią zapełnić tę pustkę i zastąpić nią jednocześnie brak dzieł kilkunastu. Dlatego Witkiewicz napisał rzecz głównie dla dzisiejszych czytelników, występując przedewszystkiem, jako krytyk, polemista i profesor. Te trzy cechy sprawiają, że chce pewne opinie i przekonania pedagogiczno-krytyczne o sztuce zaszczepić czytelnikowi, używając do tego Kossaka, jako eksperymentu do demonstracyi. Często jest w tem znakomity, ale czasem mniej szczęśliwie mu się to udaje. Wezmę tu dwa ustępy najcharakterystyczniejsze,

W pierwszym Witkiewicz przedstawia nam Kossaka, jako zupełnego samouka, i na tej zasadzie dowodzi szkodliwości wszelkiej szkoły dla malarza. Przedewszystkiem trzeba rozróżniać złą szkołę od dobrej. W złej, a takie są wogóle, i to po części usprawiedliwia krańcowość zdania Witkiewicza, zabijają indywidualność przyszłego artysty, a przyuczają go do pewnego szablonu malarskiego. Takie szkoły z miernych i czysto technicznych zdolności robią malarzy-rzemieślników, to jest takich, którzy dzięki szkole poznali stronę techniczną malowania i nabrali pewnej biegłości i rutyny, pozwalającej im jako tako narysować i namalować to, co im umieszczą przed oczami. Lecz prawdziwy, ale jeszcze młody talent, który czuje i myśli indywidualnie, jest przygnieciony całą tą kuchnią malarską, w wielce uroczysty sposób podawaną, która spycha aż na dno duszy tę indywidualność,

a dopiero znacznie później, pod wpływem coraz bardziej dojrzewającej samowiedzy artystycznej pozbywa się tego szkolnego szablonu, marnując jednak na tę walkę i przemianę często całe lata. Dobra zaś szkoła nierównie skromniejsze ma napozór uroszczenia. Ona ma za zadanie pielęgnować tę indywidualność, nie narzucając jej swego *ja* i tylko ucząc patrzeć samodzielnie na naturę. Gdy uczeń już nauczył się patrzeć rozumnie na naturę i wyrobił w sobie zamiłowanie w jej badaniu, wtedy dla niego szkoła już przestaje być potrzebna: odtąd jego jedyną szkołą staje się cały obszar istnienia, cały świat uczuć. Zła szkoła uczy patrzeć na wszystko oczami szablonu szkolnego, dobra — własnemi oczyma ucznia. Jeśli Kossak nie był formalnie w szkole, gdzieby przechodził systematycznie z kursu na kurs i wyszedł obdarzony dyplomami, to jednak nie może być podawany za typ samouka, a zatem nie może być dowodem potrzeby zupełnego samouctwa. Kossak zabrał się do malarstwa dość późno, to jest, kiedy umysł jego był już zupełnie rozwinięty i dojrzały, mógł więc już bez nauczyciela nauczyć się patrzeć na naturę pod kontrolą swej własnej inteligencyi krytycznej, jaką mu ogólne wykształcenie i lata dały. Tymczasem ogół zaczyna studya daleko wcześniej, w wieku młodzieńczym. A i Kossak czuł braki jakieś i mimo dłuższej karyery artystycznej marzy ciągle o wyjeździe do Paryża. Tam wprawdzie nie wstępuje do żadnej szkoły, ale znów dla tej samej przyczyny, że jest już przygotowany do samodzielnych badań i kierowania swymi krokami. Jeśli będziemy uważali naturę, jako wielkiego i jedynego nauczyciela w sztuce, ale którego wykład wymaga dużego wyrobienia u słuchaczów, a szkołę, jako korepetytora, który młodym i jeszcze nierozwiniętym uczniom ułatwia zrozumienie i przyswojenie sobie wykładów tego nauczyciela: to spostrzeżemy, że dobra szkoła jest niezbędna dla nierozwiniętych i niedojrzałych jeszcze umysłów, a samodzielne i już świadome swych celów indywidua mogą się obejść bez systematycznego jej przechodzenia. Czy jednak na tem zyskują, o tem wątpię, bo muszą zdobywać to samo doświadczenie techniczne bez wszystkich udogodnień, jakie tylko dobra szkoła dać może.

Drugi ustęp jeszcze mniej jest uzasadniony. Witkiewicz szydzi najzupełniej słusznie z bardzo powszechnego, a z gruntu fałszywego pojęcia, „że istnieje jakaś t e c h n i k a, od której zależy mistrzostwo i że ta technika jest jednaką dla wszystkich talentów i indywidualności“, co według Witkiewicza „jest w znacznej mierze przyczyną tych wędrówek z a g r a n i c ę, tych marzeń o wyjeździe d o P a r y ż a“. Lecz zaraz w następnych wierszach łączy najniesłuszniej dwa fakty, niczem z sobą się nie wiążące, a wypływające z całkiem przeciwnych sobie pobudek: „Charakterystycznem jest, iż, podczas kiedy zewsząd wędrują tam (to jest do Paryża) czciciele sztuki, jednocześnie tacy: Corot, Millet, Daubigny i tylu innych ucieka z Paryża do małych wsi okolicznych, mieszka w chatach chłopskich i żyje tak, jak żeby ognisko sztuki było gdzieś w cieniu starych dębów Fontainebleau, na polach Barbison, wśród opłotków Auvers, wśród wierzb pochylonych nad Sekwaną i trzcin Oise'y!...“ Witkiewicz nie zwrócił widać na to uwagi, że ci zacytowani dla przykładu „wielcy“, jak np. Millet, zanim zaczęli z Paryża się wymykać do Barbison, to wpierw narówni z innymi przybyli z prowincyi do tego Paryża, pragnąc się nauczyć tego, czego nauczyć może tylko takie potężne ognisko sztuki, jakiem jest Paryż. Przenieśmy wielkie muzea i cały ruch artystyczny do jakiej małej mieściny, a wnet artyści zaczną omijać Paryż, żeby do nowego gniazda sztuki podążyć. Takie niewielkie Monachium najlepszym jest dowodem, co artystów przyciąga. Artyści francuscy, znający swą sztukę, dobrze robią, uciekając z Paryża na wybrzeża Bretanii, pośród wzgórza Owernii lub do lasów Fon-

tainebleau. Każdy z cudzoziemców robi to samo, posiedziawszy dłuższy czas w Paryżu, bo natura jest poza murami Paryża, a w Paryżu jest tylko zgromadzone to, co geniusz artystów potrafił stworzyć pod wpływem natury. Jak paryscy artyści wyjeżdżają do Barbison lub Concarneau, tak nasi opuszczają Warszawę lub Kraków dla Zakopanego, Wisły, Ojcowa, Kazimierza i t. p. Nie jest to więc żadnym dowodem, że do Paryża nie potrzeba jeździć lub dopiero w wieku dojrzałym, bo wówczas, dowiedziawszy się o jakimś chłopaczku utalentowanym, który mieszka na wsi zapadłej, trzebaby mu było zabronić zjawiać się w jakiemkolwiek większem ognisku życia umysłowego i artystycznego aż do dojścia do zupełnej dojrzałości artystycznej, czyli, że kazać mu najlepsze lata życia zmarnować na błąkaniu poomacku. Zapewne, że korzystniejszemby było dla n a s z e g o artysty, gdyby Warszawa mogła nam zastąpić Paryż, ale nim do tego dojdziemy, trzeba jeździć do Paryża, i to jak najwcześniej.

Strona illustracyjna i wydawnicza jest, jak na nasze stosunki, wyjątkowo bogata. Niema stronnicy, na którejby nie było jednego lub kilku rysunków. Liczebnie biorąc, trudno o bogatsze ozdobienie tekstu. Pod względem artystycznym te długie szeregi siatkówek, będących musowo gorszą kopią złej zwykle kopii fotograficznej z obrazu, nie mogą być dla nas ideałem artystycznego illustrowania dzieł sztuki. Kosztowne wydawnictwa zagraniczne pokazują nam inne bardziej artystyczne sposoby w takich razach. Ale niepodobna wymagać niemożliwości. W naszych warunkach i te dwieście kilkadziesiąt siatkówek, 8 światłodruków i 6 facsimili kolorowych z akwarel musi być już uznane za nadzwyczajny fenomen w ruchu księgarskim. Szkoda, że illustracye nie przystosowane są do tekstu, jakby je inna ręka wybierał: o niektórych niema w tekście ani wzmianki, i naodwrót kilka takich opuszczono, nad któremi Witkiewicz obszerniej się rozpisuje.

Pomimo te kilka drugorzędnych zarzutów dzieło to jest niezmiernie cennym nabytkiem; czyta się je z zajęciem od początku do końca, wracając z przyjemnością po kilkakrotnie do tych samych ustępów, a przeglądanie mnóstwa illustracyi można powtarzać bez końca, ciągle odnajdując niedostrzeżone, a piękne szczegóły kompozycyi. Z każdej stronicy uderza nas ta cecha, że tak rdzennie polskiego artystę, jak Juliusza Kossaka, mógł tak pojąć i przedstawić tylko ten, kto łączy w sobie dwa warunki: umiłowanie sztuki i naszego kraju i znajomość gruntowną i jednej i drugiego. *Antoni Austen.*

Betz Louis P.: La littérature comparée. Essai bibliographique par... Introduction par *Joseph Texte*, professeur de littérature comparée à l'Université de Lyon. Strassbourg. Karl J. Trübner, Éditeur. 1900. 8-vo, str. XXIV+123.

Książka, wymieniona w tytule, zapełnia dotkliwą lukę w piśmiennictwie, dotąd bowiem w żadnej literaturze nie było dzieła, podającego zestawienie bibliograficzne dzieł i rozpraw z zakresu literatury porównawczej. Pierwszą próbę takiej bibliografii literatury porównawczej podaje Betz, dzieląc zestawienie swe na trzynaście działów. Dział I obejmuje prace teoretyczne, II prace o stosunku ogólnym literatur francuskiej, niemieckiej, angielskiej, włoskiej i hiszpańskiej, III zatytułowany jest: „Francya i Niemcy“ z dwoma podziałami: A) do wieku XVII, B) wiek XVIII i XIX z podziałami: 1) Molière w Niemczech, 2) Goethe i literatura francuska, 3) Francya i Niemcy w wieku XVIII i XIX, 4) Prace lingwistyczne, filologiczne. Dział IV „Francya i Anglia“ rozpada się na pięć części: 1) do w. XVII.

2) Szekspir we Francyi, 3) Molière w Anglii, 3) Francya i Niemcy w w. XVII, XVIII i XIX, 5) studya lingwistyczne i filologiczne. Dział V. „Anglia i Niemcy" składa się z 2 części: 1) Szekspir w Niemczech. 2) stosunki literackie między Anglią a Niemcami. Dział VI poświęcony jest literaturze włoskiej: wśród niego zasługuje przedewszystkiem na uwagę część, poświęcona bibliografii Dantego. Dział VII zestawia prace porównawcze z zakresu literatury hiszpańskiej, dział VIII uwzględnia literatury krajów północnych, IX literatury słowiańskie, X stosunek literatury francuskiej, niemieckiej i angielskiej do innych literatur, XI prace o wpływie poezyi prowansalskiej, XII wpływ starożytnej literatury greckiej, rzymskiej i wschodniej na języki nowożytne, XIII wreszcie dział podaje literaturę z zakresu tematów historycznych.

Spis Betza, jak już czytelnik mógł poznać z pobieżnie podanej treści, odznacza się nadzwyczaj wielkiem bogactwem treści: autor z niezmierną skrzętnością i wielkim trudem zebrał znaczną ilość dzieł i rozpraw z zakresu literatury porównawczej, pisanych w najrozmaitszych językach europejskich: zestawienie jego zawiera przeszło 3000 numerów. Są często wprawdzie w bibliografii Betza rzeczy, nie należące ściśle do jego zakresu, ale ten błąd powstaje u bibliografów zwykle wskutek zbyt wielkiej chęci dokładności, da się więc częściowo wytłómaczyć. Nadzwyczaj pouczającymi już w samem zestawieniu są ustępy o Molierze w Niemczech, Anglii, Goethem we Francyi, Szekspirze we Francyi i Niemczech, a przedewszystkiem nadzwyczaj obfita bibliografia o Dantem w literaturach: niemieckiej, francuskiej, angielskiej i innych. Autor, sam pochodzenia niemieckiego, najlepiej zna literaturę niemiecką, z tej też najwięcej przytacza dzieł i rozpraw: dokładnie zna również literatury włoską, angielską i francuską: inne literatury są mu mniej znane, stąd rozdział VIII, IX i X wypadły stosunkowo dość blado. Mimoto oddał Betz znaczną usługę pracownikom na polu literatury porównawczej ową bibliografią, dał bowiem podstawę do dalszych podobnych prac, wydobył też na jaw cały szereg prac zapomnianych, uwzględniając oprócz dzieł i rozpraw, osobno wydanych, także cały szereg artykułów, umieszczanych w czasopismach literackich. Jednym z najciekawszych działów jest dział XIII, uwzględniający, jak autor pisze, „historyę w literaturze", ale dział ten jest niezupełny, jest tylko szkicem bibliografii z tego zakresu, o czem zresztą autor sam czytelnika poucza: szkoda, że działu tego nie rozprowadził Betz w zupełności. Jednego też działu nie wprowadził Betz do swej bibliografii, nadzwyczaj ważnego w literaturze porównawczej, nie uwzględnił bowiem w dziełku swem wpływu biblii na literaturę nowożytną, chociaż w zakresie tym pojawił się cały szereg prac jako to: *A. Weilen:* Der ägyptische Joseph im Drama des 16 Jahrhundertes. (Wien 1887). *Pilger*: Die Dramatisierungen der Susanna im 16 Jahrhunderte. (Halle a/S. 1879). *Holstein Hugo*: Das Drama vom verloreren Sohne. Ein Beitrag zur Geschichte des Dramas. 1880). *Creizenach W:* Judas Ischariot in Legende und Sage des Mittelalters. (1875). *Wick A*: Tobias in der dramatischen Litteratur Deutschlands. (Heidelberg. 1899). i t. d.

Podręcznik Betza posiada jednak jedną wielką wadę: autor przyjął za zasadę w swej bibliografii. jedynie układ chronologiczny: we wszystkich przeto częściach swego zestawienia wylicza dzieła i rozprawy w porządku chronologicznym od czasów najdawniejszych aż do chwili obecnej. Nie uniknął autor w ten sposób tej niekonsekwencyi, że rozprawy o jednym i tym samym temacie są porozrzucane po różnych miejscach książki: czytelnik, chcąc odszukać, czy istnieją jakie rozprawy np. o wpływie Waltera Scotta na obce literatury, musi werto-

wać książkę na różnych stronach, bo rozprawy te są umieszczone na str. 35 (w trzech miejscach), 38, 50, 74, 96. Podobnie ma się rzecz z wielu innemi pozycyami, porozrzucanemi w różnych miejscach, jak np. z pozycyami: Marya Stuart (s. 97, 104, 105), Dziewica Orleańska (s. 15, 21 (2 razy), 97, 104 (3 razy), 105 (2 razy) i t. d. Dodany na końcu spis alfabetyczny zawiera tylko wykaz autorów, nie jest więc żadnem ułatwieniem: szkoda, że autor, postanowiwszy wprowadzić system chronologiczny, nie podał na końcu książki odpowiedniego wykazu rzeczowego, który mógłby znacznie ułatwić korzystanie z książki, zwłaszcza, gdyby rozprawy były ponumerowane.

Można jeszcze uczynić książce Betza drugi zarzut, nie tak już ciężki, jak poprzedni, ale będący także ujemną cechą jego wydawnictwa: przy wielu pozycyach jego bibliografii niema często podanego roku i miejsca wydania, często nawet przy wydawnictwach, powszechnie znanych: zamiast podania roku i miejsca notuje Betz często tylko jaką recenzyę o przytoczonej przez siebie książce: nie podaje też z reguły nigdzie ilości stron przy wymienianiu dzieł i osobno wydanych rozpraw, podobnież nie oznacza stron przy artykułach, pomieszczanych w czasopismach literackich.

Zauważyłem nadto braki następujących rozpraw w dziełku Betza, które dla uzupełnienia zestawiam: *Reuss Ludwik:* Rola ślepoty w literaturze niemieckiej (po niem., 1884), *Pedone-Lauriel L.:* Bibliografia del VI centenario del Vespro siciliano (Palermo, 1882); *Breul K.:* Sir Gowther. Eine englische Romanze aus dem XV Jhr... nebst einer litterarhistorischen Untersuchung über ihre Quelle sowie den gesammten ihr verwandten Sagen - und Legendenkreis mit Zugrundelegung der Sage vom Robert dem Teufel (Oppeln, 1886, dokładna bibliografia podania o Robercie dyable); *Schmid G.:* Die Wallenstein-Litteratur, 1626 — 1878 (Prag, 1878); *Neudert J.:* O některých pracích básnických, jichž středem jest císař Julian Apostata (Program w Jičině, 1895 i 1896); *Wenstelholz:* Die Griseldissage (Heidelberg, 1888); *Knoop Otto:* Die deutsche Walthersage und die polnische Sage von Walther und Helgunde (Posen, 1887); *Rischka R.:* Verhältniss der polnischen Sage von „Walgierz Wdały“ zu den deutschen Sagen von „Walther von Aquitanien“ (Brody, 1880); *Nehring W.:* Powieść kronikarza polskiego (Ateneum, 1883). Z rozpraw o żydzie wiecznym tułaczu niema wymienionej ani jednej, jak np. *Suchamela, d'Ancony, Gastona Parisa, Neubauera L.:* Die Sage vom ewigen Juden. Leipzig, 1884 (por. rec. Deutsche Litteraturzeitung, 1884); *Helbiga F.:* Die Sage vom „Ewigen Juden“, ihre poetische Wandlung und Fortbildung, 1874 (por. *Czerwiński B.:* Baśń o „Żydzie wiecznym tułaczu“, studyum według Helbiga. Tydzień (Lwów), 1874, nr. 2—4); *Grässego:* Die Sage vom ewigen Juden (Dresden, 1844); *Grassera, Blaasa C. M.:* Der ewige Jude in Deutschland, 1870; *Violeta F.:* Die Sage vom ewigen Juden. 1886; *Weilen A.:* Shakespeares Vorspiel in der Wiederspänstigung Zähmung. Frankfurt a/M., 1884; *Rochholz E. L.:* Tell und Gessler in Sage und Geschichte. 1876; *Günther Engelbert:* Calderon und seine Werke. Freiburg i. B., 1888, 2 tomy. 2) Studien zu Lope de Vega. Rottweil, 1895; *Popek A.:* Der falsche Demetrius in der Dichtung mit besonderer Berücksichtigung Schillers und seiner Fortsetzer. Linz, 1893 n.; *Wannemacher F. X.:* Die Griseldissage auf der iberischen Halbinsel. Strassburg, 1894; *Wülker R.:* Die Arthursage in der englishen Litteratur. Leipzig, 1895; *Benezé E.:* Das Traummotiv in altdeutscher Dichtung. Jena, 1896; *Splettstösser W.:* Der heimkehrende Gatte und sein Weib in der Weltlitteratur. Berlin, 1898; *Lebermann N.:* Belisar in der Litteratur der romanischen und germanischen Nationen. Nürnberg, 1899; *Gomez I. B.:* Vergleichende Kritik der verschiedenen Ignes - de Castro Tragödien. Leipzig, 1841, por. też zestawienie podobnych podań przez *J. Kreme-*

ra w Listach z podróży do Włoch. I, 86—88; *Zernitz A.:* I Menemmi di Plauto e le imitazioni che ne fecero il Trissino ed il Firenzuola. Capo d'istria, 1881; *Huber A.:* Die Tellsage, Zeitschrift für allgemeine Geschichte, 1885 i t. d. i t. d.

W zakresie literatur słowiańskich opuszczeń takich jest stosunkowo znacznie więcej: dość wskazać na dział literatury polskiej, do której się ograniczę. Betz zna tylko rzeczy A. Mickiewicza, Sachera-Masocha, Ziołeckiego, W. Mickiewicza, Karpelesa, M. Żdziechowskiego, T. Arnolda, Estreichera, co stanowi tylko nieliczny poczet rozpraw z zakresu literatury porównawczej w nauce polskiej. Nie mogąc podać w tem miejscu wyczerpującego spisu rzeczy, opuszczonych przez Betza, podaję przynajmniej rzeczy najważniejsze, sądząc, że te zestawienie może się przydać czytelnikowi. O wpływie literatur zagranicznych na naszą mamy specyalnie temu przedmiotowi poświęconych tylko kilka rozpraw, jako to: Dante w Polsce, Niwa, 1885, *Tarnowski S.:* Szekspir w Polsce. Studya do dziejów litetatury polskiej XIX w., tom IV, *Zahorski I.:* Szekspir w Polsce. Dzieła Szekspira. Lwów, tom IX, *Żdziechowski M.:* Byron i jego wiek. Kraków, 2 tomy. 1894/97, *Dembiński B.:* Stosunek włoskiej literatury politycznej do polskiej. Kraków, 1888. *Zipper A.:* 1) Grillparzer in Polen. Wien, 1893, 2) Uhland's Harald und Zaleski's Lubor., 1895. Weimar, *Grudziński Stefan:* Lenore in Polen. Bochnia, 1890, *Kolessa A.:* Ukraiński narodny piśni w poezyach Bohdana Zaleskoho. Lwów, 1892, *Polivka J.:* Roman o Apollonovi Králi Tyrském w české, polské i ruské literatuře. Praha, 1889; *Murko M.:* Die Geschichte von den sieben Weisen bei den Slaven. 1890, Wien; *Żdziechowski M.:* Mesyaniści i Słowianofile. Kraków, 1888; *Knoop Otto.:* Die deutsche Walthersage und die polnische Sage von Walther und Helgunde. Posen, 1887; *Heinzel R.:* Ueber die Walthersage. Wien, 1888; *Beheim Schwarzbach M.:* Die Mäuserthurmsage von Popiel und Hatto. Posen, 1888; *Mandybur T.:* Ślady wpływu satyryków rzymskich na polskich. Jarosłaaw, 1888.

Oprócz tego należałoby w tym związku przytoczyć cały szereg rozpraw o dziełach naszych pisarzy, v których ubocznie autorowie wykazują wpływ literatur zagranicznych na naszych poetów, coby jednak zajęło w recenzyi za wiele miejsca. Do dzieł, zajmujących się nie tylko literaturą polską, ale też i obcą, zaliczyć należy przedewszystkiem książkę *Matuszewskiego I.:* Dyabeł w poezyi (Ateneum, 1893 i odb., Warszawa, I—1894, II—1899 *Kawczyński M.:* 1) Studien zur Literaturgeschichte des XVIII Jahrhundertes; 2) Essai comparatif sur l'origine et l'histoire des rhytmes; *Porębowicz E.:* Andrzej Morsztyn.

Z zakresu rozpraw o wpływie naszej literatury na obce wymieniam takie rzeczy, jak: *Kurtzmann L.:* 1) Die Mickiewicz - Litteratur in deutscher Sprache. Posen, 1888; 2) Goethe w Polsce. Poznań, 1887; 3) Die polnische Litteratur in Deutschland, Posen, 1881. *Kawczyński M.:* Konrad z Dziadów w poezyi francuskiej. Lwów, 1898. *Tretiak J.:* Ślady wpływu Mickiewicza w poezyi Puszkina, Kraków, 1889.

W końcu należy jeszcze wspomnieć o pracach porównawczych w samej tylko literaturze polskiej: tutaj należą: zestawienie dzieł na polu dramatu polskiego, podane przez *Estreichera* w jego Bibliografii, tom II, dalej rozprawy: *Tomkowicza S.:* Barbara Radziwiłłówna u historyków w rzeczywistości i w poezyi. Przegląd polski, 1874/5. *Marrené-Morzkowska:* Wanda w poezyi polskiej. Tygodnik illustrowany, 1899, II. *Deiches Ernest:* Halszka z Ostroga w dramacie i poezyi. Kraków, 1891, a nadto zbiorki *W. Belzy:* 1) Sobieski w poezyi polskiej. Lwów, 1883; 2) Żydzi w poezyi polskiej. Lwów, 1883; Żydzi polscy w literaturze obcej. Neuzeit. Wiedeń, 1890, nr. 47

Zestawienie to dałoby się niezawodnie uzupełnić jeszcze, w ogólności jednak rozpraw w tym zakresie, ostatnim zwłaszcza, posiadamy w literaturze naszej bardzo mało. Tematów zaś, cisnących się niemal pod pióro i nadzwyczaj wdzięcznych dla pracowników w naszej literaturze jest cały szereg; żeby choć wspomnieć o zestawieniu i opracowaniu takich tematów, jak Bolesław Śmiały w poezyi polskiej, królowa Jadwiga, Halszka z Ostroga, Jan Kochanowski, Dymitr Samozwaniec, Samuel Zborowski, Gliński, Mazepa, Beniowski, Kościuszko, Kochanowski, Klonowicz, Gertruda Komorowska i t. p.

Bibliografię poprzedza krótki zbiór aforyzmów, zaczerpniętych z dzieł rozmaitych poetów i uczonych o znaczeniu literatury porównawczej, następnie słowo wstępne Betza, w którem podaje zasady, jakich się trzyma w swem zestawieniu, wreszcie „wstęp“ Józefa Texte'a, profesora literatury porównawczej uniwersytetu lyońskiego: Texte podaje w nim pogląd na rozwój historyi literatury porównawczej: wiek XX powinien według niego wydać krytyczną historyę tej nauki. Książka, chociaż wydana w Niemczech, jest ułożona w języku francuskim: tytuł wstępy oba, nagłówki rozdziałów; tytuły rozpraw są przytaczane naturalnie w języku, w jakim zostały napisane z pewnymi tylko wyjątkami. Posługiwanie się językiem francuskim przez Betza psuje niemało krwi niemieckim recenzentom jego bibliografii.

Wiktor Hahn.



Дозволено Цензурою. — Варшава, 31 Марта 1901.

Wydawca: ***Wł. Spasowicz.***
Redaktor: ***Ignacy Chrzanowski.***